

NORA ROBERTS

ZAGUBIENI W CZASIE

SPIS TREŚCI

Więzień czasu	3
Spirala czasu	150

NORA ROBERTS

WIĘZIEŃ CZASU

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Schodził w dół. Wskaźniki instrumentów pokładowych błyskały i w szalonym tempie wyświetlały liczby, kokpit wirował jak zwariowana karuzela. Nie potrzebował dzwonka alarmowego, żeby wiedzieć, że znalazł się w kłopotach. Nie musiał widzieć czerwonego znaku ostrzegawczego na ekranie komputera, by się zorientować, że kłopoty te są naprawdę poważne. Wiedział to wszystko już w chwili, gdy zobaczył pustkę.

Klnąc i starając się zachować resztki spokoju, przesunął dźwignię do przodu. Może uda się osiągnąć pełną moc. Pojazd zadygotał, walcząc z przeciążeniem. Grawitacja uderzyła w niego jak taran. Metal tarł zgrzytliwie o metal.

- Wytrzymaj, kochanie - zdołał szepnąć, gdy w podłodze pojawiła się dziesięciocentymetrowa szczelina o poszarpanych krawędziach. - Trzymaj się, ty cholerna...

Starał się utrzymać kurs na wschód. Znów zaklął. Na nic wszelkie manewry, za chwilę czarna dziura pochłonie statek...

Światła w kokpicie zgasły. Pozostały tylko kolorowe lampki na pulpicie sterowniczym. Statek przekoziółkował jak kamień wystrzelony z procy. Pilot zobaczył białe światło, mimo swej chłodnej barwy gorące i piękne. Instynktownie osłonił ręką oczy. Po chwili nagły, miazdzący nacisk na klatkę piersiową sprawił, że mógł już tylko walczyć o oddech.

Zanim stracił przytomność, przypomniał sobie niespodziewanie marzenie matki: chciała, żeby został prawnikiem. On jednak po prostu musiał latać.

Gdy odzyskał świadomość, statek już nie dygotał i nie koziółkował. Szybko, swobodnie spadał. Rzut oka na wskaźniki wystarczył, by się przekonać, że instrumenty pokładowe uległy uszkodzeniu. Pilot czuł, że grawitacja wciska go w fotel. Już widział krzywiznę Ziemi.

Wiedział, że w każdej chwili może znów stracić przytomność. Nachylił się, by zamknąć przepustnicę i włączyć sterowanie komputerowe. Instrumenty automatycznie wyszukiwały najbliższy nie zamieszkały obszar i uruchamiały osłony antyzderzeniowe.

Może, ale tylko może, zobaczy jeszcze kolejny wschód słońca. No i co u diabła jest złego w zawodzie prawnika?

Patrzył, jak świat pędzi na niego, niebieskozielony i piękny. Do cholery z prawem, pomyślał w końcu. Jaką przygodę można przeżyć przy biurku?

Libby stała na ganku i patrzyła na nocne niebo. Błyskawice i deszcz potrafiły wyczarować prawdziwie fascynujący spektakl. Choć chronił ją okap, miała mokre włosy i twarz. Okna domku rozświetlało ciepłe, żółte światło. Kolejna błyskawica upewniła Libby, że postąpiła słusznie, rezygnując z elektryczności na rzecz świec i lamp naftowych.

Światło i ciepło nie zwabiły jej jednak do wnętrza. Tego wieczoru wołała chłód i potężne wyładowania atmosferyczne, których tętniące echo nadchodziło od strony górskich szczytów.

Jeśli burza potrwa dłużej, północna przełęcz będzie nie do przebycia przez całe tygodnie. Nieważne, pomyślała Libby, gdy następna błyskawica przecięła nieboskłon. W gruncie rzeczy, uznała w duchu, obejmując się ramionami, mam przecież mnóstwo czasu.

Najlepszą decyzją, jaką kiedykolwiek podjęła, było spakowanie manatków i zakopanie się w rodzinnym domku na odludziu. Zawsze lubiła góry. Klamath w południowo - zachodnim Oregonie oferowało wszystko, o czym marzyła. Przepiękne widoki, urwiste skały, czyste powietrze i spokój. Jeśli napisanie pracy o wpływie cywilizacji na życie mieszkańców wyspy Kolbari zajmie jej sześć miesięcy, to trudno. Przez pięć lat studiowała etnografię i antropologię, z czego trzy zajęły jej badania w terenie. Od ukończenia osiemnastego roku życia nigdy nie leniuchowała, a już na pewno nie miała okazji pobyć trochę sama. Praca dyplomowa była dla niej ważna, może nawet zbyt ważna, jak to niekiedy w duchu przyznawała. Teraz zapragnęła zwolnić nieco tempo, nie rezygnując jednak całkowicie z pracy.

Urodziła się w tym właśnie przysadzistym, piętrowym domku. Spędziła w nim pierwsze pięć lat życia. Wolna jak ptak, ograniczona jedynie przez widniejące na horyzoncie góry. Uśmiechnęła się, wspominając, jak wraz z młodszą siostrą biegały na bosaka i myślały, że świat zaczyna się i kończy na nich.

No i byli jeszcze ich niekonwencjonalni, skłócenie z cywilizacją i głoszący potrzebę powrotu do natury rodzice. Matka wyplatała maty i dywaniki, ojciec pracował z zapalem w ogrodzie. Wieczorami słuchali muzyki i snuli długie, fascynujące opowieści. Cała czwórka nie potrzebowała towarzystwa innych ludzi. Kontaktowali się ze światem zewnętrznym tylko raz w miesiącu, gdy wyprawiali się do Brookings, żeby sprzedać rodzinne wyroby i zrobić zakupy.

Żyliby tak dalej, lecz lata sześćdziesiąte minęły, zaczęły się siedemdziesiąte. Właściciel pewnej galerii zachwyił się kilimami matki Libby. Niemal w tym samym czasie ojciec osiągnął mistrzostwo w sporządzaniu herbat ziołowych. Nim Libby ukończyła osiemnaście lat, jej matka stała się cenioną artystką, ojciec zaś prężnym i odnoszącym sukcesy

biznesmenem. Rodzina przeprowadziła się do Portlandu, a chatka zaczęła pełnić rolę domku letniskowego.

To właśnie te przeżycia sprawiły, że Libby wybrała etnografię i antropologię. Studia pochłonęły ją bez reszty, stały się treścią jej istnienia.

Zacznę pisać jutro, postanowiła. Będę mogła włączyć komputer, gdy minie burza, ale co najwyżej na cztery godziny. Przez ostatnie półtora roku pracowałam po dwanaście...

Wszystko w swoim czasie, mawiała jej matka. Tak, teraz pora zapomnieć o licznych obowiązkach i skorzystać z wolności.

Libby czuła podmuchy wiatru, słuchała dudnienia ulewy. Mimo szalejących wokół żywiołów w jej duszy zagościł spokój.

Zobaczyła na niebie światło. Przez chwilę myślała, że to piorun kulisty albo może meteor. Gdy jednak niebo pojaśniało, dojrzała niewyraźny kształt i błysk metalu. Postąpiła krok do przodu, w deszcz, zmrużyła oczy. Gdy obiekt się przybliżył, przerażona przyłożyła dłoń do krtani.

Samolot? - Zdawał się muskać czubki jodeł na zachód od domku. Huk odbił się echem od ściany lasu i sprawił, że Libby zamarła. Potem pobiegła po płaszcz i apteczkę.

Gdy wsiadała do landrowera, po niebie przetaczał się grzmot. Zapamiętała miejsce, w którym samolot musiał uderzyć w ziemię. Na szczęście zawsze miała dobrą orientację w terenie.

Jazda w strugach deszczu wyboistą drogą zabrała jej prawie trzydzieści minut. Przygryzła wargę, gdy samochód wjechał w wezbrany strumień. Dzięki Bogu знаła drogę prawie na pamięć.

Wdepnęła mocno pedał hamulca, gdy reflektory landrowera wydobyły z ciemności jakąś postać. Samochodem zarzuciło, w górę poszybowały grudki błota. Libby chwyciła latarkę i koc, wyskoczyła i uklękła przy leżącym człowieku.

Żyje. Poczowała ulgę, wyczuwając dłonią puls na jego szyi. Był ubrany na czarno, przemoknięty do suchej nitki. Narzuciła na niego koc i zaczęła szukać ewentualnych obrażeń.

Był młody i szczupły, lecz muskularny. Gdy go ostrożnie badała, modliła się, by nieznajomy przeżył. Nie stwierdziła złamań. Oświetliła latarką twarz rannego.

Zaniepokoił ją siniak na czole i wypływająca z niego krew. Możliwe, że mężczyzna miał uszkodzony kręgosłup, dlatego Libby nie próbowała go podnosić. Wróciła szybko do samochodu po apteczkę. Gdy przykładła do rany na czole opatrunek, ranny otworzył oczy.

Dzięki Bogu, pomyślała i ujęła dłoń mężczyzny, by go uspokoić.

- Wszystko będzie dobrze, nie martw się. Jesteś sam? Patrzył na nią, lecz widział tylko niewyraźny zarys postaci.

- Co?

- Czy ktoś z tobą był? Czy jeszcze ktoś jest ranny?

- Nie. - Chciał usiąść. Świat zawirował. Chciał się jej przytrzymać, lecz dłoń ześlizgnęła się po mokrym płaszczu. - Jestem sam - zdołał szepnąć, zanim znów stracił przytomność.

Nawet nie miał pojęcia, jak bardzo sam.

Libby tej nocy właściwie nie spała. Udało się jej wtaszczyć ofiarę wypadku do samochodu, potem z pojazdu do domku, i wreszcie na kanapę. Rozebrała go, wytarła do sucha i opatrzyła rany. Potem usiadła w dużym fotelu przy kominku i zapadła w niespokojną drzemkę. Co jakiś czas wstawała, żeby sprawdzić stan rannego.

Mężczyzna był w szoku, lecz obrażenia nie wyglądały na poważne. Siniaki na żebrach, kilka brzydkich zadrapań. Miał szczęście, uznała, popijając herbatę i przyglądając się mu w świetle płonącego na kominku ognia. Mówi się, że głupi ma zawsze szczęście. Tylko człowiek niespełna rozumu zaryzykowałby przelot przez góry podczas burzy.

Na zewnątrz wciąż szalały żywioły. Libby odstawiła kubek i dołożyła grube polano do ognia. Płomień oświetlił twarz nieznanego. To bardzo atrakcyjny głupiec, pomyślała z uśmiechem. Wysoki i dobrze zbudowany. Wygięła w łuk bolące plecy. Miał szczęście, że trafił na silną kobietę, przyzwyczajoną do dźwigania ciężkich ładunków. Oparła się o kominek i znów spojrzała na mężczyznę.

Tak, bardzo atrakcyjny, uznała ponownie. Mocno zarysowane kości policzkowe i pełne usta. Celtycka twarz, pomyślała. Przystojny, choć teraz blade jak ściana. Miał chyba dwudniowy zarost, co w połączeniu z bandażem na głowie nadawało mu zawadiacki wygląd. No i te ciemnoniebieskie, niemal granatowe oczy.

To potwierdzało jej teorię o celtyckim pochodzeniu nieznanego. Miał też kruczoczarne włosy. Teraz, gdy wyschły, lekko pofalowane. Zbyt długie jak na wojskowego, pomyślała. Jednak jego czarny skafander miał zdecydowanie wojskowy krój. Zresztą, nad kieszenią na piersi dostrzegła jakby wojskowe insygnia. Może jest członkiem jakiegoś elitarnego oddziału.

Nieprzytomny mężczyzna miał dziwny, chyba bardzo kosztowny zegarek z maleńkimi przyciskami. Tyle że ta droga zabawka pokazywała błędny czas.

- Nie wiem, czy uda się zreperować zegarek - stwierdziła na głos, ziewając - ale jego właściciel wyjdzie z tej katastrofy bez szwanku.

Zapadła w drzemkę.

Obudził się z silnym bólem głowy. Widział wszystko jak przez mgłę. Zobaczył odbłask płonącego ognia albo jego doskonałą symulację. Czuł zapach lasu i deszczu. Pamiętał, jak przedzierał się przez ścianę deszczu. Najważniejsze, że przeżył i wreszcie było mu ciepło. Przypomniawszy sobie, jak przemarzył, przemókł i stracił orientację. Chwilami nawet nawiedzało go wrażenie, że statek spadł do oceanu. A potem pojawiła się jakaś postać... Kobieta? - Cichy, miły głos, delikatne dłonie... Próbował się skupić, lecz ból głowy mu to uniemożliwiał.

Zobaczył ją. Siedziała w starym fotelu, kolana miała przykryte kolorowym pledem. Halucynacja? Może i tak, lecz jakże miła. Na ciemnych włosach nieznajomej igrały odbłaski płonących bierwion. Spała, widział jej pierś unoszącą się w spokojnym oddechu. Skóra kobiety zdawała się być w świetle ognia złocista. Ostre rysy twarzy, niemal egzotyczne, do tego wydatne, zmysłowe usta. Trudno o bardziej sympatyczną halucynację.

Zamknął oczy i spał aż do wschodu słońca.

Gdy się ponownie obudził, znikła. Ogień na palenisku nadal płonął, przez okna sączyło się rozmyte deszczem światło dnia. Ból głowy właściwie nie zelżał, lecz przestał być tak nieznośnie dokuczliwy. Ostrożnie dotknął bandaża na czole. Wiedział, że mógł być nieprzytomny przez kilka godzin albo dni. Gdy spróbował unieść się na łokciach, zakręciło mu się w głowie.

Zebrał wszystkie siły, by przyjrzeć się otoczeniu. Ściany małego, tonącego jeszcze w półmroku pokoju wydawały się zrobione z drewna i kamienia. Widział kiedyś w skansenie bardzo podobne, równie prymitywne budowle. Udało mu się przekręcić głowę. Dojrzał płomień liżące kłodę drewna. Powietrze było suche i ciepłe; czuł zapach dymu. Trudno jednak przypuszczać, by znalazł schronienie w muzeum.

Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje.

- O, obudziłeś się.

Libby przystanąła w drzwiach z filiżanką herbaty w ręku. Jej podopieczny wpatrywał się w nią bez słowa. Uśmiechnęła się i podeszła do kanapy. Wyglądał tak bezradnie, że nieśmiałość, z którą walczyła przez całe życie, zupełnie ją opuściła. Usiadła na skraju kanapy i zbadła mężczyźnie puls.

Teraz widział ją wyraźniej. Włosy miały ciepły odcień brązu. Słowo „egzotyczna” rzeczywiście wydało mu się najwłaściwsze. Duże, leciutko skośne oczy, wąski nos i pełne usta. Przypomniawszy sobie malowidło przedstawiające egipską królową Kleopatę. Na nadgarstku czuł dotyk chłodnych palców nieznajomej.

- Kim jesteś?

- Niestety nie dyplomowaną pielęgniarką, ale muszę ci wystarczyć. - Uśmiechnęła się, odciągnęła rannemu powieki i przyjrzała się jego źrenicom. - Ile osób widzisz? - zapytała wreszcie.

- A ile powinienem?

Roześmiała się cicho i poprawiła mu poduszkę.

- Na szczęście tylko jedną. Chodzi o to, czy nie widzisz podwójnie.

- Nie, widzę tylko jedną kobietę. - Dotknął jej ładnie uformowanego podbródka. - Ale za to piękną.

Odsunęła się gwałtownie i zarumieniła. Nie była przyzwyczajona do takich komplementów. Wolała, gdy doceniano jej inteligencję i fachowość. Podsunęła mu filiżankę.

- Spróbuj tego - zaproponowała. - Sekretna mieszanka mojego ojca. Jeszcze nie wprowadził jej na rynek.

Zanim zdążył kategorycznie odmówić, przysunęła mu filiżankę do ust.

- Dziękuję. - O dziwo, ten zapach przypomniał mu dzieciństwo. - Co ja tu robię?

- Dochodzisz do siebie. Twój samolot rozbił się w górach, kilka kilometrów stąd.

- Mój samolot?

- Nie pamiętasz? - Jej złociste oczy spochmurniały. - Wszystko sobie przypomnisz, jestem tego pewna. Uderzyłeś się mocno w głowę. - Z trudem powstrzymała się przed odgarnięciem wystających spod opatrunku włosów. - Oglądałam z ganku burzę. Dzięki temu zobaczyłam wypadek. Na szczęście nie jesteś ciężko ranny. Nie mam tu telefonu, a radio jest w naprawie. Nie mogę nawet wezwać lekarza.

- Radio.

- No tak, aparat nadawczo - odbiorczy. Sądziś, że uda ci się coś zjeść?

- Może. Jak się nazywasz?

- Liberty Stone. - Odstawiła filiżankę. Położyła mu dłoń na czole. To istny cud, ale nieznajomy nie miał gorączki. Chyba nawet się nie przeziębził. - Moi rodzice byli hippisami. No wiesz, szalone lata sześćdziesiąte. Dlatego ja nazywam się Liberty, czyli Wolność, a moja siostra Sunbeam, czyli Promyk Słońca. - Roześmiała się, widząc jego zmieszanie. - Mów do mnie po prostu Libby. A ty?

- Ja nie...

Czuł na czole chłodną, niewątpliwie realną dłoń. Jej właścicielka nie może zatem być jedynie wytworem jego wyobraźni. Jednak nie miał zielonego pojęcia, o czym właściwie mówiła.

- Jak się nazywasz? Nie co dzień ratuję ofiary katastrof lotniczych.

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć. Okazało się jednak, że nie pamięta. Poczł strach, zbladł.

- Ja... nie mogę sobie przypomnieć.

Zakłęła w duchu, ale zrobiła dobrą minę do złej gry.

- Nie przejmuj się - rzuciła lekko. - Po prostu jesteś trochę zdezorientowany. Postaraj się rozluźnić, odpocząć. Ja tymczasem przygotuję coś do jedzenia.

Gdy zamknął oczy, wstała i poszła do kuchni. Nie mam nic, co umożliwiłoby ustalenie jego tożsamości, myślała, przygotowując omlet. Żadnego portfela, dokumentów. Nie wiadomo, kim jest. A jeśli to groźny przestępca lub psychopata... Nie, skądże, skarciła się w duchu. Zawsze miała bujną wyobraźnię. To zresztą pomagało jej w pracy. Umiała myśleć o przedstawicielach starych i prymitywnych kultur jak o ludziach z krwi i kości.

Zazwyczaj trafnie oceniała charakter człowieka, choć unikała zbyt bliskich i intymnych kontaktów. Zdecydowanie bardziej odpowiadała jej rola postronnego obserwatora.

Człowiek leżący teraz w saloniku nie stanowił dla niej zagrożenia, kimkolwiek był. Omlet był gotowy, sięgnęła więc po talerz. Nagle wrzasnęła. Upuściła patelnię, strąciła ze stołu kilka jajek. Nieznajomy, całkowicie nagi, stanął w drzwiach kuchni.

- Hornblower - zdołał wykrztusić, osuwając się wzdłuż futryny. - Caleb Hornblower.

Słyszał niewyraźnie, jak kobieta na niego krzyczy. Walcząc z zawrotami głowy, uniósł się nieco. Libby objęła go i spróbowała podnieść. Chciał jej pomóc. Chwycił się jej i oboje wylądowali na podłodze.

Libby leżała bez ruchu na plecach, przygnieciona jego ciężarem.

- Chyba już lepiej, żebyś znów stracił przytomność - rzuciła z wściekłością.

- Przepraszam. - Zdołał się przekonać, że jest wysoka i bardzo jędrna. - Przewróciłem cię.

- Tak. - Nadal go obejmowała, czuła pod palcami jego twarde mięśnie. Gwałtownie cofnęła ręce. O to, że zapało jej dech w piersi, obwiniła upadek na podłogę.

- A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu... jesteś trochę ciężki - powiedziała, próbując go z siebie zepchnąć.

Udało się mu oprzeć jedną ręką o podłogę i unieść się o kilka centymetrów. Od razu tego pożałował, gdyż leżąc na dziewczynie, czuł się jak w niebie.

- Chyba jestem zbyt osłabiony - mruknął. Czyżby w jego głosie pobrzmiwało rozbawienie?

Tak, uznała Libby, słuch mnie nie myli. Ten facet świetnie się bawi...

- Hornblower, jeśli ze mnie nie zejdziesz, to tak cię palnę, że będziesz jeszcze słabszy.
Zanim się oswobodziła, dostrzegła jeszcze jego lekki, źle skrywany uśmiech.
Westchnęła i pomogła mu wstać.

- Jeśli chcesz iść na spacer, musisz niestety poczekać, aż nabierzesz sił - wyjaśniła przez zaciśnięte zęby. - I aż znajdę jakieś spodnie w rzeczach ojca - dodała stanowczo.

- Racja.

Opadł na kanapę.

- Nie ruszaj się, dopóki nie wrócę.

Nie zaprotestował. Nie mógł. Droga do kuchni i z powrotem pochłonęła resztkę jego sił i wcale mu się to nie podobało. Ostatnio chorował jako dziecko. Fakt, poobijał się kiedyś dotkliwie na skuterze powietrznym, ale kiedy to było? - Miał wtedy chyba osiemnaście lat.

Cholera, skoro to pamiętam, dlaczego nie mogę sobie przypomnieć, jak się tu dostałem? - Zamknął oczy. Ona... Libby, powiedziała, że rozbił się samolot... Jasne, coś musiało się rozbić. Mogłem się tak paskudnie pokiereszować tylko w jakimś wypadku. Przypomnę sobie, pomyślał, przynajmniej wiem, jak mi na imię.

Wróciła, niosąc talerz.

- Masz szczęście, właśnie uzupełniłam zapasy.

Gdy otworzył oczy, zawahała się. Niewiele brakowało, by omlet znów wylądował na podłodze. Tak, to jego widok tak mnie wytrąca z równowagi, przyznała w duchu. Na wpół nagi, okryty tylko od pasa w dół kocem, mógł przyprawić każdą kobietę o drżenie rąk. Uśmiechnął się.

- Moja specjalność. - Odetchnęła głęboko i przysiadła na krawędzi kanapy. - Dasz radę zjeść?

- Aha. Kiedy leżę, nie kręci mi się w głowie. - Wziął od niej talerz i spróbował dania. Potem spojrzał ze zdziwieniem na gospodynię. - Czy to jest prawdziwe, to znaczy... realne?

- Realne? Pewnie, że tak.

Zaśmiał się i włożył kolejny kęs do ust.

- Nie jadłem prawdziwych jajek od... nie pamiętam od kiedy.

No tak, przeczytała gdzieś, że w wojsku korzystają ze sproszkowanych jajek.

- To są prawdziwe jajka od prawdziwych kur - zapewniła go. Uśmiechnęła się, widząc jego niezdecydowanie. - Zjedz więcej.

- Tak, oczywiście. - Spojrzał na nią. Piła kolejną filiżankę herbaty. - Jeszcze ci nie podziękowałem za ocalenie.

- Po prostu znalazłam się przypadkiem we właściwym miejscu i we właściwym czasie.

- Dlaczego tu mieszkasz? - zapytał, rozglądając się po saloniku. - W takim miejscu?

- Powiedzmy, że to coś w rodzaju urlopu. Jestem antropologiem. Zakończyłam właśnie kilkumiesięczne badania w terenie. Tutaj piszę pracę.

- Tutaj?

Na szczęście nie usłyszała zwyczajowej uwagi, że jest zbyt młoda na naukowca.

- Dlaczego nie? - Zabrała pusty talerz i odstawiła na bok. - Tu jest bardzo spokojnie, o ile właśnie nie spada z nieba jakiś samolot. Jak twoje zębra? Bołą? Dopiero teraz dostrzegł siniaki.

- Nie, niespecjalnie.

- Wiesz, miałeś dużo szczęścia. Poza tą raną na głowie odniosłeś tylko powierzchowne obrażenia. Obserwując katastrofę, nie spodziewałam się, że znajdę kogoś żywego.

- Osłony antyzderzeniowe...

Przypomniał sobie mgliście, jak włączał urządzenia. Kontrolki, błyskające światełka. Dzwonek alarmowy. Próbował się skoncentrować, lecz obraz się rozmył.

- Jesteś pilotem doświadczalnym?

- Co? Nie, chyba nie.

Żeby go uspokoić, ujęła jego dłoń. Własna reakcja na ten dotyk tak ją zdenerwowała, że natychmiast cofnęła rękę.

- Nie lubię łamigłówek - mruknął.

- A ja uwielbiam. Pomogę ci więc poskładać to wszystko do kupy. Spojrzał jej w oczy.

- Może nie spodoba ci się rozwiązanie. Ogarnął ją niepokój. Mężczyzna był bardzo silny.

Gdy dojdzie do siebie, jego ciało stanie się tak potężne, jak - wyczuwała to - jego umysł. A wokół żywej duszy... Tylko ich dwoje... Żeby przerwać te niewesołe rozmyślenia, wypła łyk herbaty.

- Nie przekonamy się, dopóki go nie znajdziemy - zauważyła. - Kiedy skończy się burza, od razu zawiozę cię do lekarza. Na razie musisz mi zaufać.

Ufał jej. Nie wiedział dlaczego, lecz od chwili gdy zobaczył ją w fotelu, wiedział, że może na nią liczyć. Nie wiedział tylko, czy może zaufać sobie. I czy ona zaufa jemu.

- Libby... - Spojrzała na niego i w tym momencie zapomniał, co chciał powiedzieć. - Masz miłą twarz - mruknął i dostrzegł, jak jej spojrzenie stało się ostrożne.

Nagle zapragnął jej dotknąć. Jednak gdy unióś rękę, Libby wstała.

- Sądzę, że powinieneś wypocząć. Na górze jest wolna sypialnia. - Mówiła teraz szybko, nerwowo.

- Wczoraj nie dałam rady zanieść cię tam, ale dziś możesz wejść po schodach o własnych siłach. Tam będzie ci wygodniej.

Patrzył na nią z namysłem. Nie był przyzwyczajony do tego, by kobiety odsuwały się od niego. Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Tak, uznał, gdy mężczyzna i kobieta wydają się sobie atrakcyjni, reszta jest łatwa. Może nie odzyskałem jeszcze sprawności umysłu, ale jest oczywiste, że między mną i Libby coś iskrzy.

- Masz parę?

Libby obrzuciła go zdumionym spojrzeniem.

- Czy mam co?

- Parę. Towarzysza. Musiała się roześmiać.

- Osobliwie się wyrażasz. Nie, akurat nie. Pomogę ci wejść na górę.

Podowała mu rękę. Złapał się jej i zaczął wstawać.

- Byłabym ci wdzięczna, gdybyś owinął się tym kocem.

- Nie jest zimno - odparł.

Potem wzruszył ramionami i posłusznie okrył biodra pledem.

- Oprzyj się o mnie. - Położyła jego rękę na swoich ramionach i objęła go w pasie. -
Możesz stać?

- Tak. - Gdy ruszyli, stwierdził, że zawroty głowy niemal minęły. Mógłby sam wejść po schodach, lecz wołał z nią. - Nigdy nie byłem w takim miejscu - przyznał.

- Tak, wystrój jest bardzo skromny - powiedziała - ale zawsze lubiłam ten dom.

Słowo „skromny” zabrzmiało jak zabawny eufemizm. Cal nie chciał jednak obrazić gospodyni.

- Zawsze?

- Urodziłam się tutaj.

Pragnął zadać jej jeszcze kilka pytań, gdy jednak odwrócił głowę, poczuł na twarzy kosmyk jedwabistych włosów Libby. Napiął mięśnie i natychmiast poczuł ból poobijanych żeber.

- Usiądź tutaj, w nogach - usłyszał. - Pościelę łóżko.

Wykonał polecenie. Dotknął łóżka i zdumiał się. Drewno, tak, to na pewno drewno, ale nie mogło mieć więcej niż dwadzieścia, trzydzieści lat. Niesamowite i... niemożliwe.

- To łóżko...

- Jest bardzo wygodne, naprawdę. Zrobił je mój ojciec. Może jest trochę krzywe, ale za to ma porządny materac.

Cal zacisnął palce na ramie łóżka.

- Zrobił je twój ojciec? Z drewna?

- Z dębu. Ten mebel jest ciężki jak ciężarówka.

Wiesz, urodziłam się na nim. Rodzice uważali, że poród to naturalne, a zarazem bardzo osobiste przeżycie i obecność lekarzy nie jest konieczna. Nadal nie mogę sobie wyobrazić, jak mój ojciec sobie poradził z odebraniem dziecka. Nosił wtedy kucyk i mnóstwo indiańskich naszyjników i bransoletek.

Gdy wyprostowała się, zaniepokoił ją wyraz twarzy Cala.

- Dobrze się czujesz? - zapytała. - Co się stało? Powoli kręcił głową. Potrzebuje wypoczynku, dużo wypoczynku, uznała.

- Czy twój ojciec uczestniczył w jakimś eksperymencie? - zapytał wreszcie.

- Można to tak nazwać - odparła z rozbawieniem. Podeszła do komody i wyjęła z szuflady kalesony.

- Możesz je włożyć. Tata zawsze zostawia tu trochę ubrań, a nosicie chyba ten sam rozmiar.

- Jasne. - Chciała już wyjść, lecz chwycił ją za rękę. - Gdzie my właściwie jesteśmy?

Wyglądał na bardzo zmartwionego, więc pogłaskała go uspokajająco po dłoni.

- W Oregonie, przy granicy z Kalifornią, w górach Klamath.

- Oregon. - Na jego twarzy zobaczyła wyraz ulgi. - USA?

- Muszę ci zmierzyć temperaturę - zatroskała się. Chwycił ją mocno za nadgarstek.

- Jaka to planeta?

Spojrzała na niego. Był śmiertelnie poważny, choć zadał jej tak absurdalne pytanie.

- Ziemia. Wiesz, ta trzecia od Słońca - rzuciła żartobliwie, żeby poprawić mu humor. - Odpocznij trochę, Hornblower. Dobrze ci to zrobi.

- Aha. - Głęboko odetchnął. - Chyba masz rację.

- Krzyknij, gdybyś czegoś potrzebował.

Gdy wyszła, siedział nadal tam, gdzie go zostawiła. Miał niedobre przeczucie. Chyba rzeczywiście nie doszedł jeszcze do siebie. Jeśli jest w Oregonie, na północnej półkuli swej planety, nie zboczył zbyt z kursu. Z kursu, powtórzył w myślach, czując ponownie nieznośny ból w skroniach. Ale jakim kursem właściwie leciałem?

Spojrzał na naręczny komputer i zmarszczył brwi. Dotknął małego przycisku z boku koperty. Zielone cyfry zbladły i znikły. Przez czarną tarczę zaczęły przelatywać czerwone cyferki.

Los Angeles. Gdy rozpoznał współrzędne, poczuł ulgę. Wracał do bazy... cholera, po czym?

Położył się i stwierdził, że Libby nie skłamała. Łóżko okazało się zadziwiająco wygodne. Miał nadzieję, że gdy obudzi się po kilku godzinach snu, wszystko sobie przypomni. Po chwili wahania włożył kalesony. Odniosł wrażenie, że dla Libby było to z jakiegoś niezrozumiałego powodu bardzo ważne.

W co ja się wpakowałam - ? - - rozmyślała. Siedziała przed komputerem i wpatrywała się w pusty ekran. Miała w domu rannego. Niewiarygodnie przystojnego rannego. Wstrząs, częściowa amnezja, rekapitulowała w myślach. Poza tym... oczy, dla których można oszaleć. Westchnęła, oparła podbródek na splecionych rękach. Z szokiem, jakiego doznał, jakoś sobie poradzę, stwierdziła. Znała dobrze zasady udzielania pierwszej pomocy, bardzo przydatne podczas pracy w terenie.

Nie poradzę sobie jednak z jego amnezją, westchnęła w duchu. I z tymi oczami. Nie miała zbyt wielu doświadczeń w kontaktach z mężczyznami, o ile oczywiście nie byli akurat obiektami jej badań.

Umiała udawać pewną siebie. Nauczyła się tego, po prostu z czasem zwalczyła chorobliwą nieśmiałość. Dzięki temu mogła podróżować, robić wywiady z obcymi ludźmi, zyskała też kilku przyjaciół. Jednak praktycznie nie miała życia osobistego.

Wiedziała, jak zniechęcić mężczyzn, którzy chcieli się z nią umówić. Większość z nich i tak czuła się onieśmielona jej wiedzą i inteligencją. A rodzina? Uśmiechnęła się. Matka pozostała na zawsze artystką - marzycielką tkającą kilimy. Ojciec... William Stone zarobił wprawdzie fortunę, lecz daleko odbiegał od wizerunku biznesmena, do jakiego przyzwyczaiły nas media. Oczywiście zwoływał zebrania zarządu, lecz nadal słuchał Boba Dylana.

Jedyny mężczyzna, jakiego Libby przyprowadziła do domu na rodzinną kolację, wyszedł zmieszany i zdenerwowany. No i niewątpliwie głodny, przypomniała sobie z uśmiechem. Przedtem dość nieprzytomnie wpatrywał się w suflet z cukinii i soi przygotowany przez matkę.

Libby odziedziczyła po rodzicach idealizm i gotowość służenia skazanym na niepowodzenie sprawom. Jednocześnie jednak, jak na naukowca przystało, była praktyczna i dociekliwa. Wierzyła, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Wierzyła w potęgę matematyki i...

baśnie. Pracowała tak ciężko, że nie miała już czasu na romanse. Zresztą, w głębi duszy bała się emocjonalnego zaangażowania.

Miała dwadzieścia trzy lata i, jak ujął to Caleb Hornblower, nie miała towarzysza.

Spodobało się jej to określenie. Uznała, że jest precyzyjne, a zarazem niezwykle romantyczne. Może dlatego wciąż była samotna, bo nie spotkała dotąd właściwego towarzysza?

To stwierdzenie poprawiło jej humor. Założyła okulary i zabrała się do pracy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy Cal się obudził, deszcz już osłabł. Krople leniwie bębniły o szyby. Ten odgłos działał uspokajająco, jak relaksująca muzyka. Cal powoli przypominał sobie, gdzie jest i jak się tu znalazł.

Miał dziwny sen. Błyskające światełka i ogromna, czarna dziura. Wspomnienie koszmaru sprawiło, że serce Cala zabiło szybciej, na czoło wystąpił mu pot. Świadomie doprowadził do zwolnienia tętna.

Pilot musi panować nad swym ciałem i emocjami. Decyzje trzeba często podejmować natychmiast, nie ma czasu do namysłu.

Był pilotem. Zamknął oczy i skoncentrował się na tej myśli. Zawsze chciał latać. Przeszedł przeszkolenie. Przypomnieć sobie cokolwiek więcej...

MSK, Międzynarodowe Siły Kosmiczne. Zacisnął dłonie w pięści, uspokoił puls. W MSK uzyskał stopień kapitana. Kapitan Hornblower. Tak, na pewno. Kapitan Caleb Hornblower. Cal. Wszyscy go tak nazywali, poza matką. Wysoka, frapująca kobieta. Żywa, łatwo wybuchająca śmiechem.

Niemal ją widział. Może to, bardziej niż cokolwiek innego, dawało mu poczucie tożsamości. Miał rodzinę, nie towarzyszkę, tego był pewien. Rodziców i brata. Ojciec jest spokojny, cichy, można na nim polegać. Brat... nazywa się Jacob. Cal skupił się i zobaczył Jacoba. Impulsywny, uparty i uczciwy mężczyzna.

Znów rozbolała go głowa. Na razie wystarczy, uznał.

Powoli otworzył oczy i pomyślał o Libby. Kim ona jest? - Na pewno piękną kobietą o brązowych włosach i kocich oczach. Nietrudno być pięknym, jednak w Libby było coś takiego... Może przez to dziwne miejsce? Spojrzał na ścianę z bali i szklane okna. To miejsce też było niezwykle. Żadna z kobiet, które znał, nie wybrałaby życia na takim odludziu. I w dodatku bez mężczyzny.

Naprawdę urodziła się w tym łóżku czy tylko żartowała?

Antropolog, tak o sobie powiedziała. No właśnie... Może statek spadł na teren objęty jakimś eksperymentem. Z niejasnych przyczyn Liberty Stone żyła tak jak w epoce, którą studiowała. Zawsze uważał naukowców za dziwaków. Cal mógł zrozumieć zainteresowanie przyszłością. Po co jednak grzebać się w przeszłości? - Przeszłość to przeszłość. Nie można jej zmienić, po co więc ją badać?

Nie moja sprawa, uznał po namyśle.

Miał wobec Libby dług wdzięczności. Zginałby, gdyby go nie znalazła i nie zabrała do swojego domu.

Odwdzięczy jej się, gdy tylko dojdzie trochę do siebie. Zawsze spłacał swoje długi i był z tego dumny.

Liberty Stone. Libby. Powtórzył w myślach to imię, rozkoszując się jego melodyką. Był zafascynowany jej oczami. Można zmienić kolor i kształt oczu, lecz nie ich wyraz. Wszystkie emocje Libby odbijały się w nich jak w lustrze.

Wiedział, że przez niego zmagala się z różnorodnymi emocjami. Rozpoznał troskę, lęk, rozbawienie, pożądanie.

Usiadł na łóżku, potem szybko oparł głowę na rękach, gdyż pokój zawirował mu przed oczyma. Jego organizm mógł sobie reagować na Liberty Stone, na razie jednak trzeba było poprzestać na snuciu erotycznych fantazji. Zniechęcony Cal opadł ciężko na poduszkę. Muszę po prostu jeszcze trochę wypocząć, pocieszył się w duchu. Dzień - dwa, i ciało wyzdrowieje, umysł zaś wydobędzie wszystkie fakty z zakamarków pamięci. Wiedział już, kim jest i gdzie się znajduje. Na resztę przyjdzie czas później.

Dostrzegł książkę na nocnej szafce. Zawsze lubił czytać, to była po lataniu jego druga pasja. Wolał słowo pisane od taśm i dysków. Ucieszyło go, że to także sobie przypomniał. Sięgnął po książkę.

Zdziwił go tytuł. „Podróż na Andromedę”? Głupi, uznał natychmiast, zwłaszcza że serię oznaczono jako science fiction. Każdy, kto ma wolny weekend, może polecieć do tego gwiazdozbioru... Otworzył książkę, w oczy rzuciła mu się adnotacja na temat praw autorskich.

To na pewno pomyłka. Oblał się zimnym potem. To śmieszne. Książka, którą trzymał w ręku, była na pewno nowa; gładki grzbiet świadczył o tym, że nikt jej jeszcze nie przeczytał. Także strony wyglądały, jakby tego tomu nikt nawet nie przewertował. Głupi błąd, zwykłe niedopatrzenie, powtarzał sobie, lecz poczuł, że ma wyschnięte wargi. To na pewno błąd, bo przecież książka wydana przed niemal trzystu laty nie mogłaby zachować się w takim idealnym stanie.

Pochłonięta pracą Libby nie zwracała uwagi na nasilający się ból w plecach. Wiedziała, że podczas wielogodzinnego ślęczenia nad papierami zachowanie prawidłowej postawy jest bardzo ważne, gdy jednak zaczynała pisać, zapominała o bożym świecie.

Od śniadania nic nie jadła, a zaparzona wcześniej herbata zdążyła już dawno wystygnąć. Wokół stołu, na podłodze leżały notatki i książki, zresztą także ubrania, których nie chciało jej się schować do szafy. Poza tym piętrzyła się sterta nieprzeczytanych jeszcze

gazet i czasopism. Libby siedziała na bosaka, od czasu do czasu przerywała pisanie, by poprawić okulary w okrągłych, czarnych oprawkach.

„Nie ulega wątpliwości, że korzystanie z najnowszych zdobyczy cywilizacyjnych wywiera silny, choć nie zawsze pozytywny, wpływ na izolowane kultury, takie jak Kolbari. Wiek dwudziesty chylił się ku końcowi, jednak mieszkańcy wyspy pozostali nadal społecznością rolniczą. Wbrew powszechnie panującym opiniom nie dążą do integracji z nowoczesnymi społeczeństwami przemysłowymi. To, co bywa postrzegane jako dobrodziejstwo naszych czasów, a mam tu na myśli postęp w dziedzinie technologii, medycyny czy edukacji, jest najczęściej...”

- Libby.

- Co? - Odwróciła się.

Zobaczyła Cala. Błady i roztrzęsiony, jedną ręką przytrzymał się framugi, drugą ścisnął książkę w miękkiej okładce.

- Co tu robisz? - zapytała. - Miałeś zawołać, gdybyś czegoś potrzebował!

Zniecierpliwiona jego zachowaniem i trochę zła, że przerwał jej pracę, wstała, żeby pomóc mu podejść do krzesła. Gdy go dotknęła, wyrwał się.

- Co masz na twarzy?

Zaskoczył ją ton jego głosu. Furia przemieszana ze strachem. Niebezpieczne połączenie.

- Okulary. Okulary do czytania.

- Wiem, cholera, co to jest. Dlaczego je nosisz? Powoli, powiedziała sobie, ostrożnie. Delikatnie dotknęła jego ramienia. Mówiła wolno, by go uspokoić, jakby przemawiała do rannego lwa.

- Potrzebuję ich do pracy.

- Dlaczego ich nie naprawisz?

- Okularów? Nie są uszkodzone.

- Mówię o twoich oczach... Ostrożnie zdjęła okulary.

- Usiądź - poprosiła. Pokręcił przecząco głową.

- Chcę wiedzieć, o co tu chodzi.

Libby spojrzała na książkę, którą wymachiwał jej przed twarzą. Odchrząknęła.

- Nie wiem - odparła. - Nie czytałam. Chyba zostawił ją mój ojciec. On czytuje science fiction.

- Nie o to mi... - Cierpliwości, napomniał się w duchu. Nie miał jej nigdy zbyt dużo, ale teraz znalazł się w wyjątkowej sytuacji. - Otwórz na stronie redakcyjnej. Tam gdzie są prawa autorskie.

- Dobrze, ale dopiero kiedy usiądziesz. Nie wyglądasz najlepiej.

Chwiejąc się lekko na nogach, dotarł wreszcie do krzesła.

- Otwórz. Przeczytaj datę.

Obrażenia głowy często powodują zaburzenia zachowania, przypomniała sobie Libby. Nie uważała, że Cal może być niebezpieczny, jednak na wszelki wypadek postanowiła mu się nie sprzeciwiać. Przeczytała rok. Potem pozwoliła sobie na uśmiech.

- Prosto z drukarni - oznajmiła.

- Czy to ma być dowcip?

- Nie rozumiem...

Tak, jest wściekły, utwierdziła się w przekonaniu. I przerażony. Przykucnęła obok krzesła.

- Czy ta książka ma coś wspólnego z twoją pracą? - zapytał.

- Pracą? Nie, jestem antropologiem, to znaczy, że studiuje...

- Wiem, co to znaczy. - Do diabła z cierpliwością. Wyrwał Libby książkę. - Chcę wiedzieć, o co tutaj chodzi.

- To tylko książka. O ile znam upodobania ojca, jakaś drugorzędna powieść o inwazji pozaziemskich przybyszy. Wiesz, mutanty, laserowe karabiny i kosmiczni wojownicy. W każdym razie coś w tym rodzaju. - Wyjęła mu książkę z ręki. - Zaprowadzę cię z powrotem do łóżka, a potem ugotuję zupę.

Spojrzał na nią. Zobaczył w jej oczach troskę, a także zachęcający, bardzo miły uśmiech. I zdenerwowanie. Przeniósł spojrzenie niżej. Położyła dłoń na jego dłoni, w bardzo przyjazny sposób. A przecież widział, że się go obawia. Absurd. Równie koszmarny, jak data w książce.

- Może zwariowałem - przyznał.

- Nie - zaprotestowała. Przestała się bać, powoli uniosła dłoń i pogłaskała Caleba po twarzy. Jak kogoś, kogo mogła utracić, a teraz cudem odzyskała. - Jesteś ranny, to wszystko.

Chwycił ją mocno za nadgarstek.

- Uszkodzone banki pamięci? Aha, możliwe. Libby... - W jego oczach malowała się prawdziwa rozpacz.

- Jaki dziś jest dzień?

- Dwudziesty czwarty albo piąty maja, dokładnie nie pamiętam.

- Nie, pełna data, proszę.

- Dobrze, prawdopodobnie czwartek, dwudziestego piątego. - Potem dodała rok. Taki sam jak w książce.

- W porządku?

- Doskonale. - Zdołał zapanować nad sobą i uśmiechnął się. Jedno z nich musiało zwariować. Miał nadzieję, że Libby. - Masz tu coś do picia poza herbatą?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Brandy. Zaraz przyniosę.

- Aha, dziękuję.

Począł, aż usłyszy odgłos kroków na schodach. Potem ostrożnie wstał i otworzył pierwszą z brzegu szufladę. W tym dziwnym miejscu musi być coś, co pomoże mu odkryć prawdę.

Znalazł bieliznę, starannie ułożoną, co dziwnie kontrastowało z panującym w pokoju chaosem. Zastanowił się nad krojem i materiałami. Libby powiedziała, że nie ma towarzysza, a tymczasem kupowała rzeczy, których celem było sprawienie przyjemności mężczyźnie. Kolejna dziwna, niezrozumiała sprawa. Po cichu zamknął pierwszą szufladę.

W następnej zobaczył turystyczne spodnie z dużymi kieszeniami i dżinsy. Zastanawiał się przez chwilę, do czego służy suwak. Wreszcie odkrył, jak to działa, i odłożył dżinsy na miejsce. Ruszył w kierunku biurka, na którym zobaczył komputer, archaiczną maszynę, jak zdążył się zorientować, zanim potknął się o stos gazet. Nie spojrzął na teksty ani na zdjęcia. Szukał dat.

Nie ma wątpliwości, znalazł się w dwudziestym wieku.

Poczuł, że ma w żołądku dużą, palącą kulę. Nie zwracając uwagi na brzęczenie w uszach, schylił się i porwał z podłogi gazetę. Słowa tańczyły mu przed oczami. Artykuł o zbrojeniach nuklearnych, stwierdził z przerażeniem. Grad zniszczył uprawy na Środkowym Wschodzie. Jacyś Mariners pokonali Braves. Powoli, ostrożnie, dotarł z powrotem do krzesła i usiadł.

Źle, bardzo źle, pomyślał. I to nie Libby Stone zwariowała.

- Calebs - Podbiegła do niego, rozlewając po drodze trochę brandy z kieliszka. - Jesteś biały jak kreda.

- To nic. - Musiał teraz uważać, bardzo uważać. - Chyba za szybko wstałem.

- Chyba rzeczywiście powinieneś się napić. - Upewniła się, że chwycił kieliszek mocno, obiema dłońmi.

- Powoli - poprosiła, lecz opróżnił szklaneczkę jednym haustem. Przysiadła na piętach.
- Nie powinieneś tak szybko pić - zganiała go. - Możesz znów stracić przytomność.

Brandy była prawdziwa, nie ulegało wątpliwości. Czuł aksamitny ogień spływający do gardła i niżej, do żołądka. Zamknął oczy, żeby poddać się błogosławionemu działaniu trunku.

- Nie mogę jeszcze pozbierać myśli. Od jak dawna tu jestem?

- Od wczoraj. - Zauważyła, że na twarz jej gościa powracają kolory. Mówił już spokojniej, składniej. Dopiero teraz, gdy się trochę rozluźniła, poczuła, jak bardzo była spięta.

- Widziałam, jak się rozbiłeś, koło północy.

- Widziałas to?

- No cóż, tylko światło, potem usłyszałam huk.

- Uśmiechnęła się. - Przez chwilę myślałam, że to meteor albo UFO.

- UFO? - powtórzył ostrożnie.

- Nie to, żebyśmy wierzyła w istnienie kosmitów, ale mojego ojca zawsze fascynowały takie historie. Teraz już wiem, że widziałam samolot. - Zauważyła, że Caleb patrzy na nią ze zdziwieniem. - Lepiej się czujesz?

Nie mógł zdradzić, jak naprawdę się czuje. Powinien zachować najwyższą ostrożność, ważyć każde słowo.

- Trochę. - A może to tylko jakaś koszmarna pomyłka, łudził się nieśmiało. Wskazał gazetę. - Skąd ją masz? - - zapytał.

- Kilka dni temu pojechałam do Brookings, jakieś sto dwadzieścia kilometrów stąd. Zrobiłam zakupy i odebrałam pocztę. Jeszcze nie przeczytałam gazet, wiadomości zdążyły się trochę zdezaktualizować.

- Wstała i zakrzętnęła się, żeby trochę posprzątać.

- Zawsze czuję się tu odcięta od świata - wyjaśniła.

- Nawet bardziej niż kiedy pracuję w prawdziwej głuszy, setki kilometrów od najbliższego miasta. Gdyby ludzie osiedlili się na Marsie, nawet bym się o tym nie dowiedziała.

- Na Marsie - powtórzył, czując, że zaraz zemdleje.

- To już chyba ze sto lat temu.

- Tak? - Widocznie przegapiłam tę informację.

- Westchnęła i wyjrzała przez okno. - Znów zaczyna padać. Może włączyć poranne wiadomości i posłuchamy prognozy meteorologicznej.

Ominęła stos książek i włączyła mały, przenośny telewizor. Po chwili pojawił się zniekształcony obraz. Przeciągnęła dłonią po włosach. Postanowiła nie wkładać okularów, żeby nie prowokować dziwnych pytań.

- Prognoza pogody powinna być... - zaczęła. - Calebs Wyglądasz, jakbyś po raz pierwszy w życiu zobaczył telewizor.

- Co? - - Żałował, że nie ma pod ręką kolejnego drinka. Telewizor. Oczywiście, słyszał o tych urządzeniach. - Nie wiedziałem, że go masz.

- Jesteśmy na wsi - wyjaśniła - ale to nie oznacza, że nie możemy korzystać z nowoczesnych urządzeń.

Niespodziewanie roześmiał się.

- Może powinienes znów się położyć? - - zapytała z troską.

- Aha. - Tak, kiedy się później obudzę, wszystko okaże się snem, pomyślał z ulgą. - Czy mógłbym zabrać te gazety?

Pomogła mu wstać.

- Nie wiem, czy w takim stanie powinienes czytać.

- To chyba najmniejszy problem - zapewnił ją Tym razem pokój nie zawirował, lecz i tak Caleb objął dziewczynę ramieniem. Ma silne ramiona, pomyślał. I miły zapach. - Libby - oświadczył uroczyście - jeśli po przebudzeniu stwierdzę, że całe to zdarzenie było iluzją, wiedz, że stanowisz jej najlepszą i najmiłszą część.

- Jesteś bardzo miły.

- I szczerzy.

Zaprowadziła go do łóżka i położyła. Nawet wtedy nie zabrał ręki z jej ramion. Musiała się pochylić, a wtedy musnął wargami jej usta.

Wyprostowała się gwałtownie. On natychmiast zapadł w sen, gdy tymczasem jej serce biło jak oszalałe.

Kim jest Caleb Hornblower? To pytanie przez cały wieczór nie dawało Libby spokoju. Jej zainteresowanie mieszkańcami wyspy Kolbari znacznie zbladło w porównaniu z fascynacją osobą niespodziewanego gościa.

Kim on jest i co mam z nim zrobić? - zastanawiała się. Dlaczego pomimo szalejącej burzy nie przerwał nocnego lotu? - Skąd przybył i dokąd zmierzał? Dlaczego zwykła książka wprawiała go w przerażenie? Dlaczego tak spieszył się do całowania?

W tym momencie przerwała rozmyślenia. Ta ostatnia kwestia nie jest ważna, uznała natychmiast. Nie warto tym się zajmować. W końcu to nawet nie był pocałunek, przekonywała samą siebie. Zresztą, był czy nie był, to i tak bez znaczenia. Na pewno

Calebowi chodziło o wyrażenie wdzięczności. Wiedziała, że w zachodniej kulturze pocałunek stał się zdawkowym gestem. Mógł zastąpić uśmiech lub uścisk dłoni, być wyrazem przyjaźni, sympatii albo wdzięczności. Lub też... pożądania. Zaczęła nerwowo ogryzać paznokcie.

Pocałunek nie był przyjęty we wszystkich społeczeństwach. Na przykład w wielu prymitywnych kulturach... Boże, chyba zwariowałam, komu ja wygłaszam ten wykład, pomyślała zniechęcona. Spojrzała na ogryzione paznokcie. Zły znak, uznała.

Postanowiła na razie nie myśleć o Hornblowerze i coś zjeść. Wstała. Już i tak tego dnia wiele nie napisze, może więc z czystym sumieniem przygotować posiłek.

Ponieważ w pokoju Caleba było ciemno, minęła go na palcach. Zajrzy tutaj, wracając z kuchni. Na pewno sen dobrze mu zrobi, lepiej niż jedzenie, doszła do wniosku. Gdy schodziła po schodach, usłyszała przeciągły pomruk burzy. Kolejny zły znak. Minie kilka dni, zanim będzie można zawieźć Caleba do lekarza.

Może już go szukając Rodzina, przyjaciele, współpracownicy. Żona albo dziewczyna... Każdy kogoś ma.

Gdy sięgnęła do wyłącznika, żeby zapalić światło w kuchni, niebo przecięła pierwsza błyskawica. Otworzyła lodówkę. Nie znalazła nic, na co miałyby ochotę, zaczęła więc przeszukiwać spiżarnię. Należy mi się porządna zupa i spokojny wieczór przy kominku, uznała.

A może jest samotny?

Westchnęła i otworzyła puszkę. Ostatnio wiele myślała o samotności. Może dlatego, że żyła w społeczeństwie ceniącym rodzinę. Ludziom samotnym, bez towarzysza, przypomniawszy sobie z uśmiechem, często nie wystarcza już własne towarzystwo. Media nieustannie i dość nachalnie propagowały określony model życia, zupełnie jakby człowiek bez pary był niepełnowartościowym członkiem społeczności, wręcz wybrykiem natury. Do tego dochodzą naciski ze strony zaniepokojonej rodziny. Życzliwe przyjaciółki oferują pomoc w znalezieniu odpowiedniego partnera. Człowiek jest istotą towarzyską, niemal od urodzenia, widać mamy to w genach.

Może właśnie ta powszechna presja działa na mnie paraliżująco, pomyślała Libby. Powoli mieszała zupę. Po chwili doszła do kolejnego wniosku. Przecież od urodzenia wpajano jej dążenie do indywidualizmu i niezależności. W szkole i na studiach poszła na kilka randek, bez żadnych konsekwencji. Takie spotkania śmiertelnie ją nudziły.

Może to nie do końca prawda, poprawiła się w duchu. To było interesujące przeżycie, lecz z czysto naukowego punktu widzenia. Nie spotkała jeszcze nigdy mężczyzny, który skłoniłby ją do zmiany takiego nastawienia. Już w szkole koleżanki i koledzy mówili o niej

profesor Stone. Nadal ją to bolało. W college'u złośliwi nazywali ją etatową dziewczyną. Starła się nie zwracać uwagi na złośliwości, skupić się na studiach. Miała wielu przyjaciół, obu płci, ale intymność to coś zupełnie innego. Nigdy nawet nie zatęskniła za żadnym mężczyzną.

Z drewnianą łyżką w ręku odwróciła się, żeby sięgnąć po miskę. Caleb znów stał w drzwiach. Libby drgnęła, łyżka z łoskotem upadła na podłogę. Świat za oknem rozjaśniła błyskawica. W tym momencie zgasło światło.

- Libby?

- Cholera, Hornblower, nie rób tego. - Otwierała kolejne szuflady w poszukiwaniu świecy. - Kiedyś przestraszysz mnie na śmierć.

- Pomyślałaś, że jestem mutantem z Andromedy?

- zapytał.

- Już ci mówiłam, że nie czytam tych bzdur.

- Zakłęła, gdyż zamykając szufladę, przytrzasnęła sobie palec. - Gdzie są te głupie zapalki?

Odwróciła się i w ciemności wpadła na Caleba. Nagle następna błyskawica wydobyła na moment jego sylwetkę z mroku. Libby poczuła, że ma sucho w ustach. Wyglądał oszalałająco. Taki silny i niebezpieczny.

- Drzysz - zauważył. Mówił bardzo cicho, lecz mocno ścisnął jej ramiona. - Naprawdę się boisz?

- Nie, ja... - Nie była panienką lękającą się burzy, albo jakiegoś faceta. Trzęsła się jednak jak osika. Drżącą ręką dotknęła jego piersi. - Muszę znaleźć zapalki.

- Dlaczego zgasiłaś światło? - zdziwił się. Cudownie pachniała. W chłodzie i ciemności mógł się skoncentrować na zapachu. Niemal nieuchwytnym, a jednak bardzo zmysłowym.

- Nie zgasiłam. Z powodu burzy jest przerwa w dostawie prądu. - Poczula, że zacisnął mocniej dłonie na jej ramionach. - Calebs.

- Cal. - W świetle kolejnej błyskawicy zobaczyła jego dziwnie pociemniałe oczy. - Wszyscy mówią do mnie Cal.

Rozluźnił uchwyt.

- Kiedy Caleb mi się podoba - zaprotestowała, uważając, by zabrzmiało to w równym stopniu miło, co i niezobowiązująco. - Zachowajmy więc to imię na szczególne okazje. Puść mnie.

Przeciagnał dłońmi wzdłuż jej rąk, potem z powrotem do ramion.

- Dlaczego?

Zaniemówiła, gdyż teraz trzymał ją miękkimi dłońmi za łokcie. Powoli, delikatnie masował kciukami gładką i wrażliwą skórę w zgięciu rąk.

- Ja... - Poczwała, jak napinają się jej mięśnie. - Nie rób tego - wykrztusiła i wyrwała się. - Muszę znaleźć zapałki.

- Proszę bardzo.

Powróciła do poszukiwań. Nawet gdy już znalazła pudełko, zapalenie zapałki zajęło jej minutę. W końcu, odwrócona tyłem do Caleba, zapaliła dwie stożkowate świece.

- Podgrzałam zupę. Chcesz trochę?

- Tak, poproszę.

Krzętanie się przy kuchni pomagało jej opanować rozedrgane nerwy.

- Na pewno już się lepiej czujesz - zauważyła. Uśmiechnął się na wspomnienie swych ponurych rozmyślań w ciemnej sypialni.

- Chyba tak.

- Boli cię głowa?

- Tylko trochę.

Zaparzyła herbatę, ustawiła naczynia na tacy.

- Usiądźmy przy kominku - zaproponowała.

- Zgoda.

Wziął obie świece i poszedł przodem, żeby oświetlać drogę.

Burza pomogła, pomyślał Cal. Wszystko wydaje się teraz nierealne. Może zanim przestanie padać, będę już wiedział, co powinienem zrobić.

- Obudziły cię pioruny?

- Tak.

To nie ostatnie kłamstwo, jakie muszę jej zaserwować, pomyślał. Choć było mu z tego powodu przykro, uśmiechnął się. Usiadł w jednym z foteli. To właściwie wspaniała sprawa, że zwykła burza może pogrążyć człowieka w ciemności, skazać go na światło świec i blask ognia na kominku. Żaden komputer nie wymyśliłby lepszej scenarii.

- Jak sądzisz, kiedy znów będzie prąd? - zapytał.

- Za godzinę. - Spróbowała zupy i już niemal zupełnie się uspokoiła. - Może jutro. - Roześmiała się. - Tata ciągle mówił o zainstalowaniu generatora, ale jakoś nigdy nie miał do tego głowy. W zimie często musieliśmy gotować na kuchni na węgiel. Ja z siostrą spałam tu, na podłodze, a rodzice trzymali na zmianę wartę przy ogniu.

- Lubiałś to - zauważył Cal.

Znał ludzi, którzy wyprawiali się do rezerwatów i mieszkali w namiotach. Zawsze uważał ich za dziwaków. Libby jednak najwidoczniej miło wspominała chwile spędzone w prymitywnych warunkach.

- Lubiłam? Przepadałam za tym.

Już całkowicie się uspokoiła. Widział to w jej oczach, słyszał w jej głosie. To dobrze. Im bardziej się rozluźni, tym więcej informacji uda się mu od niej wyciągnąć.

- Jaką epoką się zajmujesz?

- Nie specjalizuję się w jednej epoce. Badam przede wszystkim izolowane kultury oraz wpływ, jaki wywierają na nie nowoczesne maszyny i urządzenia. Wiesz, że powszechna elektryfikacja spowodowała zmianę wzoru zachowań społecznych? Zajmowałam się też wymarłymi cywilizacjami, na przykład Aztekami i Inkami. Jesienią wybieram się do Peru.

- Dlaczego się tym zainteresowałaś?

- Pewnie dzięki wycieczce na Jukatan, którą odbyłam we wczesnym dzieciństwie. Te wszystkie wspaniałe budowle Majów... Byłeś w Meksyku?

Przypomniał sobie pewną szczególnie szaloną noc w Acapulco.

- Tak, dziesięć lat temu. - Albo będę za kilka stuleci, dodał w myślach i opuścił głowę.

- Coś się stało?

- Nie, przyglądam się tej herbacie. - Upił łyk. - Wydaje mi się znajoma.

Uśmiechnęła się.

- Ojciec ucieszyłby się, gdyby to usłyszał. Herbal Delight to jego firma. Zaczął tutaj, w tej chatce.

Cale roześmiał się.

- A ja myślałem, że to tylko taka legenda.

- Legenda? - Uśmiechnęła się niepewnie - To jakiś żart? - Przepraszam, nie zrozumiałam, o co w nim chodzi.

- Trudno to wyjaśnić.

Czy mógł jej powiedzieć, że przez dwieście lat Herbal Delight stała się jedną z największych i najbogatszych firm na Ziemi i w ziemskich koloniach - Że oprócz herbaty produkują paliwo organiczne i Bóg wie co jeszcze - Siedzę sobie tutaj, myślał, w domku, w którym to wszystko się zaczęło. Zauważył, że gospodyni patrzy na niego wyraźnie zaniepokojona. Czyżby ponownie chciała sprawdzić mu puls.

- Matka mi ją parzyła - wyjaśnił - kiedy... nie czułem się dobrze.

- Lekarstwo na wszystkie choroby? - Przypominasz sobie coraz więcej.

- Tylko fragmenty, jednak nie mogę poskładać ich w całość. - Postanowił zachować ostrożność. - Więcej rzeczy z dzieciństwa niż z zeszłej nocy.

- To zupełnie normalne. Jesteś żonaty? Dlaczego o to zapytałam - - spłoszyła się i wbiła wzrok w ogień.

Cieszył się, że nie zobaczyła jego uśmiechu.

- Nie. Gdybym był, nie pragnąłbym ciebie. To byłoby niewłaściwe.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Szybko wstała i zaczęła ustawiać naczynia na tacy.

- Wolałabyś, żebym tego nie powiedział?

- Czego?

- Że cię pragnę.

Chwycił ją za nadgarstek, by nie odeszła. Poczł szybko bijący puls. Nie wiedział, jak współczesne Libby kobiety reagują na zaloty. No, te sprawy chyba za bardzo się nie zmieniły...

- Tak. Nie.

Uśmiechnął się i odebrał od niej tacę.

- Co chciałaś powiedzieć?

- Że to nie jest dobry pomysł. Gdy wstał, cofnęła się o krok.

- Caleb...

Dotknął palcem jej policzka. Zobaczył, że oczy Libby zaszyły mgłą.

- Nie rób tego.

Śmieszne, pomyślała. Przecież takie dotknięcie nie ma prawa wytrącić mnie z równowagi. A jednak wytrąciło.

- Kiedy się obudziłem i zobaczyłem ciebie śpiącą w fotelu, w blasku ognia, pomyślałem, że mam omamy. - Delikatnie przesunął palec na jej wargi. - Teraz też tak wyglądasz... jakoś nierealnie, jak magiczne zjawisko. Chodźmy do łóżka.

Przygarbiła się. Była na siebie wściekła. Dlatego, że zadrzała, że poczuła nieznośne gorąco. Musi sobie poradzić z tymi dziwacznymi emocjami. Postanowiła traktować Caleba z dystansem, jak silna, niezależna kobieta, która zna swoją wartość.

- Nie zamierzam z tobą spać. Nie znam cię.

A więc o to chodzi, uświadomił sobie. Jeśli się nad tym zastanowić, takie postawienie sprawy ma sens. Jest nawet urocze.

- W porządku - zgodził się. - Ile czasu potrzebujesz, żeby mnie poznać?

Wpatrywała się w niego.

- Nie mogę się zorientować, czy żartujesz, czy coś ci się pomieszało w głowie. Wiem jedno. Jesteś najdziwniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Zaczęła poprawiać drewno na kominku. Obserwował jej zręczne ruchy, ładne ciało i najbardziej wrażliwe oczy, jakie kiedykolwiek widział.

- Jutro się poznamy - oświadczył. - Potem będziemy spać razem.

Wyprostowała się gwałtownie, uderzyła głową w gzyms kominka. Zakłęła i potarła dłonią bolące miejsce.

- Niekoniecznie - odparła. - Właściwie to bardzo mało prawdopodobne.

- Dlaczego?

- Ponieważ... - Zaczerwieniła się, przez chwilę szukała właściwych słów. - Ja takich rzeczy nie robię.

Zauważyła, że to go naprawdę zdziwiło.

- W ogóle? - zapytał z niedowierzaniem.

- Naprawdę, Hornblower, to nie twój interes. Poczucie godności i resztki dumy pomogły, choć nie do końca. Libby energicznie chwyciła tacę, naczynia przesunęły się niebezpiecznie, lecz na szczęście nie spadły na podłogę.

- Dlaczego jesteś zła? - zapytał. - Ja tylko chcę się z tobą kochać.

- Posłuchaj. - Wzięła głęboki oddech. - Mam już tego dość. Uratowałam cię, a ty, zamiast okazać choć trochę wdzięczności, zapraszasz mnie do łóżka, i to tylko dlatego, że masz na to ochotę. Według ciebie miałabym się kochać z kimś zupełnie obcym, z tego tylko powodu, że nadarzyła się okazja? Obrażasz mnie.

Pochylił głowę, jakby popadł w głęboką zadumę.

- Bez okazji byłoby lepiej? - spytał wreszcie. Zaciśnęła zęby.

- Posłuchaj, Hornblower - syknęła. - Gdy tylko się stąd wydostaniemy, podrzucę cię do najbliższego baru dla samotnych. Do tego czasu trzymaj się ode mnie z daleka.

Zdecydowanym krokiem wyszła z pokoju. Usłyszał, jak niesione przez Libby naczynia spadają z hukiem na podłogę.

Zamyślony ruszył na górę. Trudno zrozumieć kobiety z dwudziestego wieku, lecz trzeba przyznać, że są wyjątkowo fascynującymi istotami. No i co to, do cholery, jest ten bar dla samotnych?

ROZDZIAŁ TRZECI

Rano czuł się już prawie normalnie. Oczywiście, biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znalazł. Właściwie jeszcze się przecież nie urodził... Dziwne, bo w świetle najnowszych teorii naukowych to zupełnie bezsensowne stwierdzenie. Chyba że otaczająca go rzeczywistość okaże się jednak snem.

Jeśli mam szczęście, kontynuował rozmyślania, jestem teraz w szpitalu i cierpię na zaburzenia umysłowe po uderzeniu w głowę. Jeśli nie, wszystko wskazuje na to, że rzeczywiście znalazłem się w dwudziestym wieku, czyli epoce prymitywnej, w której przemoc jest na porządku dziennym.

Pamiętał, że tuż przed katastrofą stoczył prawdziwą walkę o ocalenie statku. Potem wydarzyło się coś złego... Nie pamiętał, co właściwie spowodowało katastrofę.

Nazywam się Caleb Hornblower, podsumował dotychczas odzyskaną wiedzę. Urodziłem się w roku 2222. Dlatego dwójka przynosi mi szczęście, przypomniał sobie i uśmiechnął się. Mam trzydzieści lat, nie mam pary. Jestem starszym z dwóch braci. Należałem do Międzynarodowych Sił Kosmicznych. Jestem kapitanem, a od osiemnastu miesięcy pracuję na własny rachunek. Dostarczam zaopatrzenie do kolonii Brigston na Marsie. W drodze powrotnej zboczyłem z kursu, żeby uniknąć zderzenia z deszczem meteorów. Potem coś się stało...

Na razie muszę pogodzić się z faktem, że w jakiś zagadkowy sposób cofnąłem się w czasie. Przebiłem się nie tylko przez ziemską atmosferę, lecz również przez mniej więcej dwa i pół stulecia. Znalazłem się w wieku, w którym ludzie uważają podróże międzyplanetarne za wymysł pisarzy. Jednocześnie jednak ci sami ludzie, w co już trudniej uwierzyć, igrają niebezpiecznie z materiałami rozszczepialnymi.

Wylądowałem na pustkowiu, podsumował. Żyję i znalazłem się w rękach wspaniałej brunetki. Mogło być gorzej.

Teraz muszę znaleźć sposób, żeby wrócić. Żywy.

Poprawił poduszkę, dotknął dłonią szorstkiego od zarostu podbródka. Ciekawe, pomyślał, jak zareagowałaby Libby, gdybym teraz zszedł na dół i powiedział jej, do jakich wniosków właśnie doszedłem.

W najlepszym przypadku natychmiast wyrzuciłaby mnie za drzwi, i to tak jak stoję, stwierdził po namyśle. Mogłaby też umieścić mnie w jakiejś klinice psychiatrycznej. W dwudziestym wieku te przybytki nie były chyba nazbyt luksusowe.

Martwiło go teraz, że nie przykładał się do nauki historii. Wszystko co wiedział o dwudziestym wieku, zmieściłoby się na jednym ekranie komputera. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości - tutaj nikt nie cackałby się z facetem twierdzącym, że podczas rutynowego lotu z Marsa rozbił w górach F 27.

Nie, nie mogę wyznać prawdy, zdecydował. Muszę się też lepiej maskować. To znaczy, bardziej uważać na to, co mówię i robię.

Wczoraj popełniłem błąd. Uśmiechnął się, przypominając sobie reakcję Libby na niewinną propozycję wspólnego spędzenia nocy. Nagle pożałował, że nie czytał starych romansów, które tak lubiła matka.

Teraz miał poważniejsze problemy niż to, że został odrzucony przez piękną kobietę. Musiał się dostać do statku. A przede wszystkim odtworzyć w pamięci przebieg wydarzeń i odwrócić ich bieg. To chyba jedyny sposób na bezpieczny powrót do domu, innego nie potrafił sobie wyobrazić.

Ona ma komputer, przypomniał sobie. Prymitywny, ale jeśli podłączyć do niego mój naręczny, może uda się obliczyć trajektorię lotu.

Na razie chciał wziąć prysznic, usunąć zarost i zjeść trochę jajek, które tak wspaniale przyrządzała Libby. Otworzył drzwi i niemal na nią wpadł.

Trzymała filiżankę, nad którą unosił się obłoczek pary.

Przywitała go słowami:

- Pomyślałam, że będziesz miał ochotę na kawę.

- Dziękuję. - Zauważył, że zachowuje się bardzo oficjalnie i z dystansem. Hmm, mimo upływu stuleci natura kobieca pewnie niewiele się zmieniła. Warto o tym pamiętać. - Chciałbym przeprosić - powiedział ze swoim najbardziej czarującym uśmiechem. - Wiem, że wczoraj trochę wypadłem z orbity.

- Tak, można to również tak ująć - zgodziła się.

- Chodzi mi o to, że... to ty miałaś rację, nie ja. Jeśli to nie podziąła, pomyślał, to znaczy, że nie wiem nic o kobietach.

- Już dobrze. - Nie lubiła chować urazy. - Zapomnijmy o tym.

- Czy wolno mi chociaż powiedzieć, że masz piękne oczy? - zapytał.

- Niech ci będzie. - Tak, to celtycka krew, utwierdziła się w swych poprzednich przypuszczeniach. Jeśli ten mężczyzna nie ma irlandzkich przodków, wracam do szkoły podstawowej. - Skoro nie możesz się powstrzymać...

Wyciągnął rękę.

- Zostańmy przyjaciółmi.

- Dobrze. - Podała mu rękę i od razu spostrzegła, że popełniła błąd. Dotyk sprawił, że serce znów zabiło jej szybciej. - Zejdę na dół przygotować śniadanie - rzuciła nonszalancko.

- A czy mógłbym wziąć prysznic? - Jasne. Pokażę ci, gdzie co jest. - Od razu poczuła się pewniej. Zaprowadziła go do łazienki. - Czyste ręczniki są tutaj. - Wskazała szufladę. - Gdybyś chciał się ogolić, to proszę. - Podała mu jednorazową maszynkę i pojemnik z pianką. - Coś nie tak?

Patrzył na te przedmioty jak na narzędzia tortur. - Używasz elektrycznej? - domyśliła się. - Niestety, takiej nie mam.

- Nic nie szkodzi - zdobył się na słaby uśmiech - w porządku.

- Szczoteczka do zębów, proszę, elektrycznej niestety nie ma.

- To nic.

- Znajdź sobie potem na górze jakieś ubranie. Powinny być dzinsy i sweter. Śniadanie podam za pół godziny. Zdażysz?

- Oczywiście.

Gdy zamykała drzwi, Cal wpatrywał się nadal w przyrządy toaletowe, które trzymał w rękach.

Fascynujące. Teraz, gdy przewyciężył już strach i niedowierzenie, dostrzegł w swej sytuacji wiele emocjonujących elementów.

Oni używali tych przedmiotów trzy razy dziennie, wyławiał z otchłani pamięci okruchy wiedzy. Mieli pasty o różnych smakach, którymi nacierali sobie zęby. Wycisnął na palec trochę pianki do golenia, spróbował językiem. Obrzydliwe. Jak ludzie to wytrzymywali? - Oczywiście, ich medycyna nie uporała się jeszcze z chorobami zębów i dziąseł.

Rozerwał karton i wyjął szczoteczkę. Dotknął palcem włosia. Uśmiechnął się do lustra i przyjrzał swym mocnym, białym zębom. Może nie powinien ryzykować? - Lepiej nie.

Odłożył szczoteczkę, krem i maszynkę na półkę przy umywalce. Rozejrzał się. Owalna wanna, dziwny, pojedynczy prysznic wystający ze ściany. Może po powrocie napiszę o tym książkę? - pomyślał.

Na razie jednak musiał się nauczyć, jak działa ten prysznic. Nad wanną dostrzegł trzy białe pokrętła.

Jedno oznaczono literą C, drugie Z, trzecie zaś tajemniczą strzałką. Patrzył na nie bezradnie. Mógł się domyślić, że C to ciepła woda, Z - zimna. Jak jednak dobrać właściwą temperaturę? - Brakowało komputera, trzeba było ustawić wszystko ręcznie, na wycucie.

Najpierw się oparzył, potem niemal krzyknął pod strumieniem lodowatej wody. W końcu jednak on i prysznic doszli do porozumienia. Na tyle, że tusz zaczął sprawiać Calowi niekłamana przyjemność. Zobaczył butelkę z napisem „szampon”. Zdziwiło go opakowanie, lecz wylał trochę zawartości na dłoń.

Pachniało pięknie, jak Libby.

Niemal natychmiast ogarnęło go pożądanie. Dziwne, pomyślał. To uczucie było zawsze przyjemne, proste. Teraz jest niemal bolesne. Przycisnął dłoń do brzucha, pożądanie jednak nie mijało. To na pewno efekt wypadku, zaniepokoił się. Po powrocie powinienem dokładnie się zbadać.

Nagle kąpiel przestała mu sprawiać przyjemność. Sięgnął po ręcznik i szybko się wytarł. Zaprzagnął uwolnić się od zapachu mydła i szamponu, od wszechobecnego zapachu Libby.

Dżinsy okazały się trochę za luźne, ale i tak wspaniałe. Zwłaszcza że w czasach Cala na naturalną bawełnę mogli sobie pozwolić tylko nieliczni bogacze. Czarny sweter z golfem miał dziurę na rękawie. Caleb aż jęknął z zachwytu. Zawsze lubił obszerne, niezbyt eleganckie, wygodne ubrania. Między innymi dlatego, że nie przepadał za mundurami, opuścił MSK. W dobrym nastroju, bosy, podążył do kuchni, skąd dobiegły go smakowite zapachy.

Libby wyglądała wspaniale. Luźne, workowate spodnie podkreślały jej smukłą sylwetkę i pozwalały się domyślić wspaniałej figury. Calebowi spodobał się sposób, w jaki Libby podwinęła rękawy obszernego, czerwonego swetra. Ma bardzo piękne łokcie, pomyślał i znów doświadczył tego dręczącego uczucia, które kazało mu wybiec w popłochu z łazienki. Nie powinienem snuć takich fantazji, zmitygował się. Przyrzekłem to sobie.

- Cześć.

Tym razem spodziewała się go, więc nie podskoczyła nerwowo.

- Cześć, usiądź. Zjesz, a potem zmienię ci opatrunek. Mam nadzieję, że lubisz francuskie grzanki.

- Odwróciła się. Na widok Cala mocniej zacisnęła dłoń na rączce patelni. Ubrany był w czarny sweter jej ojca i prezentował się nader atrakcyjnie. - Nie ogoliłeś się - zauważyła.

- Zapomniałem. - Nie zamierzał zdradzać, że dziwne stalowe ostrze napawało go obawą. - Przestało padać - dodał.

- Aha, chyba po południu wyrzy słońce. Postawiła patelnię na stole. Cal nachylił się i wciągnął w nozdrza rozkoszny zapach.

- Naprawdę ty to zrobiłaś? - zapytał.

- Tak, śniadanie wychodzi mi najlepiej. Usiadła naprzeciwko niego przy stole.

- Mógłbym się do tego przyzwyczaić - stwierdził.

- Do jedzenia?

Skosztował i przymknął oczy z zachwytu.

- Do takiego jedzenia.

- A co zwykle jadasz?

- Gotowe dania.

W gazecie widział reklamy gotowych dań - zapowiedź postępu cywilizacyjnego.

- Ja na ogół też - przyznała. - Kiedy jednak tu przyjeżdżam, coś każe mi gotować, rąbać drewno, zbierać zioła. Jak wtedy, gdy byłam dzieckiem. Co robisz, kiedy nie rozbijasz samolotów? - - zmieniła temat.

- Latam.

Przemyślał z góry odpowiedź na takie pytanie. Uznał, że powinien trzymać się możliwie najbliższej prawdy.

- Więc służysz w lotnictwie.

- Już nie. - Wziął do ręki filiżankę i zrećnie zmienił temat: - Nie wiem, czy podziękowałem ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Chciałbym się jakoś odwdzińczyć, Libby. Może masz tu do wykonania jakąś pracę?

- Chyba powinieneś jeszcze przez jakiś czas unikać fizycznego wysiłku.

- Nie wytrzymam leżenia przez cały dzień w łóżku. Zwariuję.

Przyjrzała się mu uważnie.

- Wróciły ci kolory - stwierdziła. - Nie masz już zawrotów głowy?

- Nie.

- Możesz mi pomóc pozmywać.

- Jasne.

Obrzucił spojrzeniem kuchnię. Podobnie jak łazienka, to pomieszczenie go zafascynowało. Jedna ściana z kamienia, z paleniskiem. W miedzianym dzbanie zasuszone kwiaty i zioła. Szerokie okno nad zlewem oferowało wspaniałą widok na góry i rosnącą w pobliżu samotną sosnę. Szare niebo było niesłychanie spokojne. Cał rozpoznał lodówkę i kuchenkę. Pod bosymi stopami czuł podłogę z desek. Chłodną i gładką.

- Szukasz czegoś? Drgnął.

- Przepraszam?

- Patrzyłeś przez okno tak intensywnie...

- Ja... tylko podziwiałem widok. Wskazała talerz.

- Już skończyłeś? - zapytała.

- Aha. Piękna kuchnia.

- Zawsze ją lubiłam. Oczywiście teraz, z nowoczesnym sprzętem, jest bardziej funkcjonalna. Nie uwierzyłbyś, na jakim muzealnym palenisku gotowaliśmy kiedyś posiłki.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Rzeczywiście, nie uwierzyłbym.

- Dlaczego ciągle mam wrażenie, że żartujesz, a ja nie mogę się połapać, na czym polega dowcip?

- Nie wiem.

7 Wziął talerz, podszedł do zlewu i otworzył najbliższą szafkę.

- Jeśli szukasz zmywarki, to daj sobie spokój. - Libby przyniosła ze stołu resztę naczyń. - Moi rodzice nie sprzeniewierzyliby się aż do tego stopnia ideałom lat sześćdziesiątych. Nie ma zmywarki, mikrofalówki ani anteny satelitarnej.

Zatkała zlew i sięgnęła po butelkę z detergentem.

- Chcesz zmywać czy wycierać?

- Powycieram.

Obserwował, jak napełnia zlew wodą i wlewa płyn. Nawet przyjemny zapach, pomyślał. Powstrzymał się jednak przed nachyleniem i powąchaniem.

Libby potarła swędzącym nosem o ramię. Dostrzegła zafascynowane spojrzenie Cala.

- Daj spokój, Hornblower, nie widziałeś nigdy, jak kobieta zmywa gary?

Postanowił sprawdzić jej reakcję.

- Nie. Właściwie tak. Kiedyś w kinie. Roześmiała się i wręczyła mu talerz.

- Postęp pozbawia nas coraz większej ilości przyjemnych zajęć. Prawdopodobnie za sto lat jakieś roboty będą sterylizowały brudne naczynia.

- Raczej za sto pięćdziesiąt. Co mam z tym zrobić?

- Wytrzeć.

- W jaki sposób?

Uniosła brew z niedowierzaniem i wskazała złożoną starannie ściereczkę.

- Możesz spróbować tym.

- Racja.

Wytał talerz i wziął następny.

- Wiesz - powiedział - miałem nadzieję, że zerknę dzisiaj na to, co zostało z mojego sta... samolotu.

- Deszcz rozmył szlak. Landrowerem chyba przejechalibyśmy, ale lepiej poczekać jeszcze jeden dzień.

- Pokażesz mi, w którą stronę jechać?

- Nie. Zawiozę cię tam.

- Dość już dla mnie zrobiłaś.

- Może tak, ale nie dam ci kluczyków, a na piechotę trudno tam dotrzeć.

Wytarta ręce. Caleb gorączkowo szukał jakiejś wymówki. Nie zdążył, gdyż Libby już zapytała:

- Dlaczego nie chcesz, żebym zobaczyła twój samolot, Hornblower? Nawet jeśli go ukradłeś, nie zorientuję się.

- Nie ukradłem.

Powiedział to z taką mocą, że musiała mu uwierzyć.

- No cóż, pomogę ci znaleźć wrak, gdy tylko szlak stanie się bezpieczniejszy. Na razie usiądź. Obejrzę tę ranę na głowie.

Dotknął bandaża.

- Już w porządku.

- Boli, boli. Widzę po twoich oczach.

Uniósł wzrok. Dostrzegł w jej spojrzeniu sympatię. Zapragnął wtulić twarz w jej włosy i wyznać prawdę.

- Tylko od czasu do czasu.

- Więc zmienię ci opatrunek i dam dwie aspiryny. - Odebrała mu ścierkę i poprowadziła do krzesła.

- Bądź grzecznym chłopcem.

Usiadł i spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Mówisz jak moja matka.

- Zamiast odpowiedzieć, poklepała go po policzku. Z apteczki w kredensie wyjęła nowy bandaż.

- Nie ruszaj się - poprosiła.

Zdjęła opatrunek. Zmarszczyła brwi, tak że przeszedł go zimny dreszcz.

- Nie martw się - uspokoiła go. Brzydka rana, pomyślała, głęboka, o poszarpanych brzegach. Otaczały ją sińce koloru burzowych chmur. - Wygląda już trochę lepiej. Najważniejsze, że nie wdała się żadna infekcja. Będziesz miał bliznę. Przerażony, uniósł dłoń do rany.

- Bliznę?

A zatem jest próżny, pomyślała z rozbawieniem.

- Nie przejmuj się, będziesz wyglądał zabójczo. Trzeba by założyć kilka szwów, ale na kursie zapomnieli mnie tego nauczyć...

- Na jakim kursie? - zaniepokoił się.

- Żadnym, tylko żartowałam. Trzymaj się, będzie trochę szczypać.

Gdy czyściła ranę, kłął głośno i barwnie. Zanim doszła do połowy, chwycił ją za rękę.

- Szczypać? - Trochę? - powtórzył z oburzeniem.

- Odwagi, Hornblower. Najlepiej pomyśl o czymś przyjemnym.

Zacisnął zęby i skoncentrował uwagę na jej twarzy. Pałący ból sprawił jednak, że syknął. Libby miała bardzo stanowczy wyraz twarzy, lecz w jej wzroku malowało się współczucie. Palce dziewczyny były zręczne i delikatne.

Jest naprawdę piękna, uznał, obserwując ją w rozmytym świetle poranka. To nie kosmetyki, no i prawie na pewno nie chirurgia plastyczna. Po prostu już urodziła się z taką twarzą.

Może, ale któż to wie, jest zwykłą kobietą swoich czasów. Jednak jemu wydawała się jedyna w swoim rodzaju, niepowtarzalna. Pożądał jej tak bardzo, że niemal odczuwał ból.

Ledwo na nią spojrzę, a już zaczynam wariować, zorientował się nagle. Co za nieprawdopodobna, dziwaczna sytuacja. Przecież tak naprawdę to Libby jest realna, nie ja. Ja się jeszcze nie urodziłem, a przecież żyję i czuję mocniej niż kiedykolwiek przedtem.

- Często to robisz? - - zapytał.

- co?

- Ratujesz ludzi.

- Nie, ty jesteś pierwszy.

- To dobrze.

- No, już chyba wystarczy. Powinno być dobrze.

- Nie pocałujesz, żeby się lepiej goiło?

Jego matka mówiła tak przy podobnych okazjach. Chyba wszystkie matki tak mówią, pomyślał, w każdej epoce.

Roześmiała się.

- Ponieważ byłeś dzielny...

Nachyliła się i musnęła wargami czoło nad bandażem.

- Nadal mnie boli. - Chwycił ją za rękę. - Może jeszcze raz?

- Przyniosę aspirynę.

Wstał, a Libby zatrzymała się w pół kroku. Coś w jego oczach powiedziało jej, że nie powinna go teraz zostawiać.

- Caleb...

- Denerwujesz się przy mnie - zauważył, pieszcząc kciukiem jej dłoń. - To bardzo pobudzające.

- Nie chcę cię pobudzać.

- Nie musisz, samo tak wychodzi.

Jest zdenerwowana, pomyślał, lecz nie przestraszona. Wycofałby się, widząc jej strach, jednak Libby na pewno wcale się go nie bała. Uniósł jej dłoń do ust, potem odwrócił wewnętrzną stroną do góry.

- Masz piękne dłonie, Libby. Takie delikatne. Wystarczyło spojrzeć jej w oczy, by zrozumieć, co czuje. Caleb zobaczył zmieszanie, niepokój, wreszcie pożądanie. Skoncentrował się na tym ostatnim. Przygarnął ją bliżej.

- Przestań. - Przeraził ją brak zdecydowania we własnym głosie. - Powiedziałam ci już, że ja... - Pocałował ją w czoło. Poczuła, że drżą jej kolana. - Ja nie pójdę z tobą do łóżka.

Wyraził zgodę cichym mruknięciem. Ich ciała stykały się teraz, jak w tańcu. Ciekawe, mógłby tak stać całą wieczność.

- Nie denerwuj się - poprosił łagodnie. Nie chcę iść z tobą do łóżka. Chcę cię tylko pocałować.

Zesztywniała.

- Nie, ja nie...

Czuła na karku jego palce. Później wytłumaczy sobie, że to jakaś sztuczka, że Cal potrafił znaleźć jakiś specjalny nerw, dotknąć tak, że straciła dla niego rozum. Teraz natomiast zawładnęła nią rozkosz. Już po chwili Libby odchyliła głowę w geście oddania.

Pocałował ją. Zamarła. Nie ze strachu, nie z gniewu, z pewnością też nie z powodu oburzenia. To wstrząs, pomyślała z popłochem. Jakby dotknęła jakiegoś urządzenia elektrycznego pod ogromnym napięciem.

Dotykał ustami jej ust. Lekko, bardzo delikatnie. Jakby się nią bawił. To było bardziej podniecające i intymne niż mocny, gwałtowny pocałunek.

Uwodził ją... W sposób, o jakim nawet nigdy nie śniła. Powolne, delikatne uwodzenie, któremu nie sposób się oprzeć.

Przesunął usta na jej szyję. Libby wydawało się, że zaczęła krzyczeć, choć wokół panowała cisza. Dłoń, którą oparła na piersi Cala, zaczęła drżeć. Czuła, że podłoga z

solidnych desek kołysze się pod jej stopami. Ciało Libby stawało się bezwolne i miękkie, jakby odrealnione. Jakby jej cielesna powłoka zamieniała się w kłębowisko zmysłów.

On nigdy nie doświadczył takiego uczucia. Było tak, jakby dziewczyna roztopiła się w nim, jakby stawali się jednością. Smakowała świeżo, pachniała powietrzem, które wpadało przez otwarte okno. Usłyszał ciche westchnienie.

Potem gwałtownie go objęła. Chwyciła mocno za włosy. Przestała biernie przyjmować pieszczoty. Teraz ona go całowała. Mocno, żarliwie, jakby chciała go w siebie wchłonąć. Poddał się temu.

Ona chce... zbyt dużo, przemknęła mu myśl. Nie wiedziałem, po prostu nie wiedziałem, że jest tak bardzo spragniona. Co ja robię? Nie mogę złapać oddechu, nie mogę myśleć. Chciałem zaznać trochę przyjemności, ale to jest coś więcej, to utrata panowania nad sobą. Jak mogło do tego dojść? - Muszę to przerwać, pomyślał rozpaczliwie, zanim wplączę się w coś, czego nie rozumiem. Dopóki nie jest za późno...

Odepchnął ją. Pomogło, lecz tylko trochę. Nadal oboje ciężko dyszeli. Miała szeroko otwarte oczy, wpatrywała się w niego z osłupieniem. Tak, osłupienie to właściwe słowo, uznał. Czuł się dziwnie oszołomiony, jakby jego statek uderzył przy pełnej prędkości w powierzchnię jakiejś twardej planety.

Co ja najlepszego zrobiłem? - - pomyślał. Zmieszany uniósł dłoń do jej warg. Co zrobiliśmy?

Libby cofnęła się. Miała wrażenie, że jej krew krąży w żyłach z oszałamiającą prędkością. Musiała znaleźć jakieś wyjście z tej kłopotliwej sytuacji.

- Poczekaj...

Nie zdołał nad sobą zapanować. Może później będzie tego gorzko żałował, lecz teraz znów ją do siebie przyciągnął.

Wyrwała się, na moment straciła równowagę. Chwyciła się oparcia krzesła, żeby zapobiec upadkowi. Patrzyła na niego intensywnie, z trudem łapiąc oddech. Nic o nim nie wiedziała, a jednak obdarowała go szczerzej niż kogokolwiek innego.

- Jeśli chcesz tu zostać, w moim domu, nie wolno ci mnie dotykać.

Teraz zobaczył w jej oczach strach. Rozumiał ten strach, sam przed chwilą doświadczył czegoś bardzo podobnego.

- Nie spodziewałem się tego. Chyba tego nie chciałem, tak jak ty.

- Więc łatwo unikniemy w przyszłości tego typu sytuacji.

Włożył ręce do kieszeni. To dziwne, nagle ogarnęła go irytacja. Coraz bardziej niepokoił go fakt, że stopniowo tracił kontrolę nad swoimi emocjami.

- Posłuchaj, kotku, oboje ponosimy winę za to, co się stało. Do niczego cię nie zmuszałem - stwierdził.

- Złapałeś mnie...

- Nie, tylko pocałowałem. To ty mnie chwyciłaś. - Zauważył z satysfakcją, że się zaczerwieniła. - Nie działałaś pod przymusem, Libby, oboje o tym wiemy. Jeśli jednak chcesz udawać, że masz w żyłach lód, to proszę bardzo.

Zbladła, jej spojrzenie sprawiło, że skłął się w myślach i powiedział:

- Przepraszam.

Udało się jej odpowiedzieć spokojnie:

- Nie oczekuję przeprosin, tylko przyzwoitego zachowania. Możesz zabrać do swojego pokoju telewizor. Na półce przy kominku są książki. Byłabym wdzięczna, gdybyś przez resztę dnia schodził mi z drogi.

Chce zgrywać twardą i obojętną, pomyślał kpiąco. W porządku, jej sprawa.

- Doskonale.

Nie ruszyła się z miejsca, dopóki nie wyszedł z pokoju. Miała ochotę czymś rzucić, najlepiej jakimś szklanym i ciężkim przedmiotem. Jak on śmiał wygłaszać takie opinie na jej temat!

Lód w żyłach? - Nie, problem polegał na tym, że zawsze chciała zbyt dużo i odczuwała zbyt mocno. Tyle tylko że nie dotyczyło to jej stosunków z mężczyznami.

Opadła na krzesło. Nigdy nie miała chłopaka. Od czasu do czasu dręczyła ją myśl, że jej życie nie jest kompletne, że czegoś jej brakuje.

Jednym pocałunkiem Cal dokonał cudu. Nagle zapragnęła czegoś, co właściwie od zawsze uważała za nieważne. Przynajmniej jeśli chodziło o jej osobę. Miała pracę, rodzinę, przyjaciół. Cholera, była szczęśliwa. Nie potrzebowała jakiegoś pilota, który przypadkowo spadł jej na głowę, jakby nie mógł sobie wybrać lepszego miejsca!

To śmieszne. Wstała i nalala sobie kawy. Właściwie, on przypomniał mi po prostu coś, o czym dawno zapomniałam, pomyślała nagle, próbując się uspokoić. Uświadomił mi, że jestem normalną, zdrową kobietą. No i co z tego? Nie ma się czym przejmować. Muszę dokończyć pracę i wrócić do Portlandu. Spotkać się ze znajomymi, pójść do kina, może na jakąś wystawę. Przedtem tylko trzeba wyprawić Caleba Hornblowera tam, skąd przybył, gdziekolwiek by to miało być.

Wzięła kawę i ruszyła w kierunku schodów. Ten facet zachowuje się tak dziwnie, jakby spadł z księżycy, pomyślała. Mijając drzwi od pokoju Cala, usłyszała włączony

telewizor. Jej gość oglądał jakiś kretyński teleturniej. No tak, mężczyźni nie są zbyt wybredni w doborze rozrywek...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Cal musiał się uczyć. Spędził kilka godzin przed telewizorem. Mniej więcej co dziesięć minut zmieniał kanał. Oglądał teleturnieje, opery mydlane, wiadomości, reklamy, a nawet jakiś były najciekawsze, natarczywe i niepokojące. Mówiły wiele o ludziach z epoki, w której się znalazł.

Zadziwiały go wyczerpane kobiety walczące resztką sił z plamami. Potem zawsze nadchodziło wybawienie, choć nie mógł sobie wyobrazić na przykład swojej matki wpadającej w ekstazę po stwierdzeniu, że obrus jest jeszcze bielszy, niż był przed praniem. Tak reklamy były najciekawsze. Także te, w których piękne, kobiety i przystojni mężczyźni rozwiązywali nader skomplikowane problemy osobiste i zawodowe, pijąc wodę z dwutlenkiem węgla lub kawę. Zresztą wydawało się, że większość ludzi specjalnie pracuje na dworze, i to bardzo ciężko, by później pójść z przyjaciółmi do baru i z satysfakcją napić się piwa.

Obejrzał odcinek jakiegoś serialu. Kobieta nieustannie zadreęczała mężczyznę pytaniami na temat swej domniemanej ciąży. Zamiast zrobić test, hipotetycznie rozważała, czy to możliwe, że już wkrótce zostanie matką. Przerzucił się na teleturniej. Gruby facet wygrał właśnie wycieczkę na Hawaje. Z jego reakcji można było wywnioskować, że w dwudziestym wieku taka nagroda była bardzo atrakcyjna.

W południe nadawano wiadomości. Cal zastanawiał się, jak ludzkości udało się dotrzeć do dwudziestego pierwszego wieku. Było oczywiste, że mordowanie innych jest bardzo popularnym zajęciem. Jak również rozmowy o ograniczeniu zbrojeń. Politycy niewiele się zmienili, pomyślał, biorąc kolejne ciasteczko z pudełka, które znalazł w kuchni. Zawsze wymowni, zręcznie krążyli wokół prawdy, uśmiechając się nieszczerze. Jednak rozmowy o tym, ile głowic nuklearnych powinno zostać w arsenałach poszczególnych mocarstw, brzmiały przerażająco. Boże, czy oni wszyscy zupełnie postradali zmysły?

Skoro żyję, to chyba jednak poszli po rozum do głowy, uznał i przełączył na operę mydlaną. Seriale podobały się mu najbardziej, no może zaraz po reklamach. Mimo kiepskiego obrazu obserwował reakcje ludzi, słuchał uważnie rozmów na temat małżeństwa, rozwodu, zdrady i uczciwości. Stosunki między mężczyznami i kobietami były widać ulubionym zagadnieniem ludzi dwudziestego wieku. Patrzył, jak jakaś blondynka ze łzami w oczach wpada w ramiona rozrośniętego twardziela. Całowali się długo i namiętnie. Pocałunek jest więc akceptowaną formą kontaktu, stwierdził ze zdumieniem. Dlaczego zatem Libby tak

bardzo się wzbraniała, co nią powodowało? - Zareagowała tak gwałtownie, jakby Cal popełnił zbrodnię.

Wstał i podszedł do okna. Właściwie sam również nie zareagował tak, jak się tego spodziewał. Pocałunek odebrał mu spokój ducha i wprowadził w irytację.

Chciał wiedzieć wszystko o Liberty Stone. Co myśli, co czuje, czego pragnie, a czego nie lubi. Chciałby jej zadać wiele pytań. Chciałby jej dotykać na wiele sposobów. Wiedział jednak, że musi zachować ostrożność. Nie wolno mu spłoszyć Libby. Była mu potrzebna, bez jej pomocy nigdy nie pozna odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania.

Dość, powiedział sobie, teraz powinienem myśleć tylko o tym, jak wrócić do domu.

Nie zależało mu na tym, by jak najszybciej się ustatkować. Fakt, rodzice dobrali się wcześniej, w wieku trzydziestu lat. On jednak nie chciał jeszcze mieć pary. A jeśli już, uświadomił sobie nagle, to u siebie, w rzeczywistym czasie, a nie w zamierzchłej przeszłości. Libby tylko go rozprasza, odwraca jego uwagę, choć w przyjemny sposób, od najważniejszego zagadnienia.

Musi się stąd wyrwać, im szybciej, tym lepiej. Przycisnął dłonie do chłodnej szyby i nagle poczuł się jak uwięzione w klatce zwierzę. Tak łatwo byłoby stąd uciec, jednak stłuczenie szyby i wydostanie się z domku niczego by nie rozwiązało.

Owszem, czytając gazety i oglądając telewizję, wiele się dowiedział. W dwudziestym wieku świat miał jeszcze do przebycia długą drogę. Ludzie nie potrafili współżyć w pokoju, zbyt wiele czasu marnowali na rozważania, co zjeść na kolację, a dostępność broni i łatwość, z jaką po nią sięgano, budziła przerażenie. Tuzin świeżych wiejskich jajek można było dostać za mniej więcej dolara, który był walutą amerykańską. No i wszyscy stosowali dietę.

To wszystko bardzo go interesowało, nie przybliżało jednak ani o krok do rozwiązania problemu. Musiał znaleźć odpowiedź na najważniejsze pytanie: co się stało z jego statkiem?

Nieustannie jednak wracał myślami do Libby, do tego, jak zareagowała na jego dotyk, jak rozpałił w niej żądzę.

Gdy go objęła, zadrzał. Nigdy przedtem czegoś takiego nie doświadczył. Miał normalne, zdrowe stosunki z kobietami. Cieszyli się swym towarzystwem, dawali sobie fizyczną przyjemność. Nigdy jednak, przynajmniej przed pocałowaniem Libby, nie doznał uczucia bliskiego utracie przytomności. Pamiętał, jak gorąco go całowała, jak stracił panowanie nad sobą, nad swymi reakcjami, tak jakby zawładnęła nim jakaś potężna siła.

Zakręciło mu się w głowie. Przytrzymał się ściany, żeby nie upaść. Zawrót głowy minął, pozostawiając tylko lekki ból u podstawy czaszki. Wtedy nagle sobie przypomniał.

Światła. Błyskające lampki w kokpicie. Awaria systemu nawigacyjnego. Osłony przestały działać. Włączył się sygnał alarmowy.

Próżnia, pustka. Miał ją przed oczami. Nawet teraz oblał się zimnym potem. Czarna dziura. Mroczna i zachłanna. Nie zaznaczona na mapach. Gdyby o niej wiedział, nigdy by się do niej tak bardzo nie zbliżył. Po prostu nagle się pojawiła i pochłonęła statek.

Mimo to przeżył. Ocalał życie i wylądował na Ziemi. Może zatem jakimś cudem uniknął wchłonięcia przez czarną dziurę, jednak jej moc sprawiła, że poszybował bezwładnie przez czasoprzestrzeń. Naukowcy na pewno to zakwestionują. Podróż w czasie nadal pozostawała w sferze fantazji, większość ludzi kwitowała teorie na ten temat niepoohamowanym śmiechem.

Jednak Cal bez wątplenia właśnie odbył taką podróż. Nie było wątpliwości.

Roztrzęsiony usiadł na krawędzi łóżka. Przeżył coś, czego nie doświadczył nikt oprócz niego. W dodatku odniósł jedynie niewielkie, zupełnie niegroźne obrażenia. I zaginął. Nie, nie zaginął. Jeśli można odbyć taką podróż w jedną stronę, logika dyktuje, że można także w drugą. Do domu.

Miał potężne narzędzia: swój umysł i spore umiejętności. Spojrzał na komputer na nadgarstku. Dzięki niemu bez trudu dokona podstawowych obliczeń. To nie wystarczy, lecz jeśli tylko dotrze do statku... Oczywiście pod warunkiem, że coś z niego zostało.

Nie dopuścił do siebie myśli, że cała aparatura mogła ulec zniszczeniu. Wstał i zaczął chodzić po pokoju. A jeśli nawet, to na pewno uda się sprawić, by jego ręczny komputer współpracował z przestarzałą maszyną Libby. Po prostu trzeba spróbować.

Usłyszał dochodzące z dołu kroki Libby. Była w kuchni, Cal wątpił jednak, by przygotowywała mu kolejny posiłek.

Obiecałem jej schodzić z oczu, przypomniał sobie. Trudno, jeśli przyłapie mnie w swoim pokoju, po prostu jeszcze raz przeproszę. Jeśli uda mi się sztuczka z komputerem, zniknę z życia Libby tak szybko i bezboleśnie, jak to tylko możliwe.

Ostrożnie i cicho przeszedł do pokoju gospodyni. Na początek postanowił dokonać wstępnych obliczeń. Z resztą musi się wstrzymać, dopóki nie dotrze do statku. Przy drzwiach zatrzymał się i przez chwilę nasłuchiwał. Tak, Libby nadal krzątała się w kuchni. Sądząc z odgłosów, wciąż była wściekła.

Komputer z niezgrabnym ekranem i dziwną klawiaturą stał na biurku wśród stosów książek i papierów. Cal usiadł na krześle i uśmiechnął się do maszyny.

- Komputer, akcja - powiedział. Ekran pozostał czarny.

- Komputer, włącz się - ponaglił niecierpliwie. Potem przypomniał sobie o klawiaturze. Wystukał komendę i czekał. Nic.

Zamyślił się. Libby z niewiadomych przyczyn wyłączyła maszynę. No cóż, łatwo temu zaradzić. Znalazł nóż do rozcinania papieru, poszukał miejsca, w którym mógłby podważyć obudowę. Wtedy na szczęście zobaczył wyłącznik.

Idiota, sklął się w duchu. Oni tu mają wyłączniki do wszystkiego. Przywołał na pomoc resztki cierpliwości, nacisnął przycisk, potem drugi, który znalazł przy monitorze. Gdy usłyszał szum, ledwie zdławił okrzyk triumfu.

- Wreszcie do czegoś dojdziemy - mruknął. - Komputer...

Pokręcił głową i korzystając z klawiatury, napisał:

„Komputer, oceń odchylenie krzywej czasu”.

Po chwili zaklął i zdjął pokrywę, odsłaniając płytę główną. Niecierpliwość go ogłupiła. Nie wydobędzie z maszyny niczego, co nie zostało do niej wprowadzone, przypomniał sobie elementarną prawdę. Pracował długo, ostrożnie, aż wreszcie połączył komputer Libby ze swoim naręcznym. Wziął głęboki oddech.

- Dzień dobry komputerze.

- Dzień dobry, Cal.

Dźwięk dobiegał z głośniczka naręcznego urządzenia. Na dużym ekranie archaicznej maszyny pojawiały się stosowne słowa.

- Och, dziecino, miło cię usłyszeć.

- Potwierdzam.

- Komputer, podaj teorie dotyczące podróży w czasie, uwzględniające siłę ciężenia i przyspieszenie.

- Teoria nie przetestowana. Przedstawiona po raz pierwszy przez dr Linwarda Bowersa w roku 2110. Bowers zakładał...

- Nie. Nie mam na to czasu. Oceń i przedstaw wnioski. Podróż w czasie i prawdopodobieństwo przeżycia przelotu w pobliżu czarnej dziury.

- Pracuję... Dane niewystarczające.

- Trudno. Podaj wartość odpowiedniego przyspieszenia i ustal prawdopodobną trajektorię. Stop...

Usłyszał, że Libby wchodzi po schodach. Zdażył wyłączyć komputer, zanim pojawiła się w pokoju.

- Co ty tu robisz?

Cal postarał się wyglądać jak istne uosobienie niewinności.

- Szukałem cię - wyjaśnił z uśmiechem.

- Jeśli naknociłeś coś w komputerze...

- Nie mogłem się oprzeć i przejrzałem twoje papiery. Piszesz o fascynujących sprawach.

- Aha. - Popatrzyła na biurko. Wszystko wydawało się być w porządku. - Przysięgłabym, że słyszałam, jak do kogoś mówisz.

- Oprócz nas nikogo tu nie ma. - Jeśli tylko odwróci jej uwagę, odłączy szybko swój komputer i poczeka na lepszą okazję. - Chyba mówiłem do siebie. Libby...

Postąpił krok. Zatrzymała go, wpychając mu do rąk tacę.

- Zrobiłam ci kanapkę.

Wziął tacę i usiadł na łóżku. Uprzejmość Libby sprawiła, że poczuł wyrzuty sumienia.

- Jesteś bardzo miła.

- Nie zamierzam cię zagłodzić na śmierć tylko dlatego, że mnie wyprowadzasz z równowagi.

- Nie chciałem cię zdenerwować. - Zbliżyła się do komputera, jednak zdążył zastąpić jej drogę. - Nie mogłem się powstrzymać. Przykro mi, że mój pocałunek nie przypadł ci do gustu.

- Mieliliśmy o tym zapomnieć.

- Nie, nie mogę. Poruszyłaś we mnie jakąś strunę. Taką, której nikt nigdy nie dotknął. Wiedziała, o co mu chodzi. Bardzo dobrze. To właśnie ją przerażało.

- Muszę popracować.

- Czy wszystkim kobietom szczerowość przychodzi z takim trudem? - zapytał.

- Nie jestem przyzwyczajona do takich sytuacji - wybuchła. - Nie wiem, jak się zachować. Nie czuję się dobrze w towarzystwie mężczyzn. Po prostu nie zauważam ich braku w moim życiu, rozumiesz? Nie jestem napaloną...

Gdy usłyszała jego śmiech, obróciła się na pięcie, wściekła i zakłopotana.

- To najzabawniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałem - wyjaśnił. - Przecież aż cię roznosi.

- Chęć do pracy - odpowiedziała, starannie dobierając słowa. - Nie to, co sugerujesz.

Ona chyba naprawdę w to wierzy, uznał. Chyba że jest taką świetną aktorką. Powinienem wyprowadzić ją z błędu, przynajmniej w ten sposób odwdziczyłbym się jej za uratowanie mu życia.

- Chciałabyś pójść na spacer? - zapytał.

- Co takiego?

- Spacer.

- Dlaczego?

Z trudem ukrył uśmiech. Ta jej ciągła potrzeba uzasadniania najniewinniejszej decyzji!

- Jest bardzo ładny dzień - odparł. - Chętnie rozejrzę się po okolicy. Mogłabyś mnie oprowadzić.

Ma rację, uznała. Obiecałam sobie przecież, że odpocznę. Praca może poczekać.

- No, to wkładaj buty - zarządziła.

W chłodnym, nieco wilgotnym powietrzu unosił się intensywny zapach... Sosny, doszedł do wniosku po chwili zastanowienia. W dodatku to pachną prawdziwe drzewa, nie z dysku zapachowego czy symulatora. Wiatr poruszał gałęziami. Po błękitnym niebie płynęło leniwie kilka szarych chmur. Śpiewały ptaki.

Poza domkiem, z którego Wyszli, i zrujnowaną szopą nie dostrzegł żadnych budowli. Tylko góry, niebo i las.

- Tu jest niesamowicie - zauważył.

- Tak, wiem. - Uśmiechnęła się. - Kiedy tu przyjeżdżam, mam ochotę zostać na zawsze.

Weszli do lasu, na poszycie upstrzone plamami słońca.

- Dlaczego zatem nie zostaniesz?

- Przede wszystkim z powodu pracy. Uniwersytet nie płaci mi za spacerowanie po lesie.

- A za co ci płacą?

- Za prowadzenie badań.

- Co robisz, kiedy niczego nie badasz?

- Co? Nic takiego. Mam mieszkanie w Portlandzie. Studiuję, prowadzę wykłady, czytam.

Ścieżka stawała się coraz bardziej stroma.

- A rozrywki? - zapytał.

- Kino, muzyka...

- Telewizja?

- Tak - roześmiała się - nawet za często. A ty? - Pamiętasz, co lubisz robić?

- Latać. - Uśmiechnął się czarująco. Nawet nie zauważyła, kiedy wziął ją za rękę. - Nic się z tym nie równa, przynajmniej dla mnie. Chciałbym cię kiedyś zabrać, pokazać ci, jak to jest.

Spojrzała na jego bandaż.

- Chyba nie skorzystam z tej propozycji.

- Jestem dobrym pilotem. Rozbawiona, schyliła się i zerwała kwiatek.

- Może.

- Nie może. Na pewno. - Wyjął jej kwiat z dłoni i wpiął we włosy. - Miałem kłopoty z instrumentami pokładowymi. Gdybym nie był dobry, w ogóle bym nie przeżył.

- Dokąd leciałeś?

Zwolniła kroku, gdyż Cal zaczął zrywać kwiaty rosnące przy ścieżce.

- Do Los Angeles.

- To daleko - zauważyła. Przez chwilę myślał, że żartuje.

- Tak - odparł w końcu. - Dalej, niż przewidywałem, Libby.

Niepewnie dotknęła kwiatu we włosach.

- Czy ktoś będzie cię szukać?

- Na razie nie. - Spojrzał na niebo. - Jeśli jutro znajdziemy mój... samolot, ocenię zniszczenia. Może coś jeszcze da się uratować.

- Za dzień lub dwa pojedziemy do miasta. - Zobaczyła, że posmutniał. Postanowiła jakoś złagodzić wymowę tego faktu. - Obejrzy cię lekarz, będziesz mógł zatelefonować.

- Zatelefonować??

Jego zmieszane spojrzenie sprawiło, że znów zaniepokoiła się, czy nie odniósł jakichś wewnętrznych obrażeń głowy.

- Tak, do rodziny, przyjaciół albo do pracy.

- Racja. - Znów wziął ją za rękę. - Czy możesz mi podać współrzędne i odległość do miejsca, w którym mnie znalazła??

- Współrzędne? - Śmiejąc się, usiadła na brzegu wąskiego, rwącego strumyka. - Nie wystarczy, jeśli powiem, że w tamtym kierunku? - Wskazała południowy wschód. - Jakies osiemnaście kilometrów w linii prostej, drogą dwa razy tyle.

Usiadł koło niej. Jej zapach był tak świeży, jak woń leśnych kwiatów, jednak znacznie bardziej zmysłowy.

- Myślałem, że jesteś naukowcem.

- To nie znaczy, że znam się na wszystkim. Zapytaj mnie o czarowników z Nowej Gwinei, a chętnie ci odpowiem.

- Osiemnaście kilometrów. - Poprzez gałęzie jodły widział zarys góry. - Po drodze nic nie ma? Żadnego miasta? Osady?

- Nie. To nadal bezludna okolica. Czasem pojawia się tylko jakiś turysta.

Nie jest więc prawdopodobne, by ktoś natknął się na statek, pomyślał. To dobrze. Pozostawał najważniejszy problem: jak go znaleźć bez Libby. Najlepiej byłoby wyruszyć na poszukiwania o świcie, jej samochodem. Jutro, postanowił. Ten dzień jest zbyt piękny, zbyt cenny, żeby marnować go na coś innego.

- Podoba mi się tutaj - stwierdził.

Nie skłamał. Siedzenie na chłodnej trawie i słuchanie szumu strumyka sprawiało mu przyjemność. A gdyby wrócić w to miejsce za dwieście lat? Ciekawe, co zostało z tego piękna?

Góra na pewno, możliwe że również resztkę lasu. Nawet strumień być może nie zmieni biegu. Ale na pewno nie będzie Libby. Poczul ból.

- Gdy wrócę do domu - powiedział bardzo wolno - będę o tobie myślał.

Czy aby na pewno? Miała nadzieję, że odpowiedź na to pytanie nie okaże się dla niej zbyt ważna.

- Może kiedyś mnie odwiedzisz?

- Kiedyś... - Przebiegł palcami po jej dłoni. Libby będzie wtedy duchem, kobietą, która istniała w swoim czasie i która sprawiła, że zapragnął czegoś niemożliwego. - Będziesz za mną tęskniła?

- Nie wiem.

Nie cofnęła dłoni. Zdała sobie sprawę, że tak, że będzie za nim tęsknić bardziej, niż nakazywałby to rozum.

- Myślę, że będziesz.

Zapomniał o statku, o swej przyszłości. Skoncentrował się na dziewczynie.

- Nadają gwiazdom, księżycom i galaktykom imiona bogiń - powiedział cicho. - Dlatego, że są silne, piękne i tajemnicze. Człowiek, zwykły śmiertelnik, nigdy ich tak do końca nie zdobędzie.

- Większość kultur ma swoje mity - odparła. - Starożytni astronomowie...

- Nie mówiłem o mitach, chociaż z tym kwiatem wyglądasz jak bogini. - Delikatnie dotknął jej policzka. To niebezpieczny człowiek, pomyślała. Umie się uśmiechać jak sam diabeł i prawie komplementy jedwabistym głosem. Nigdy nie przypuszczała, że będzie się obawiać spojrzenia w oczy mężczyźni. Nie powinna.

- Wracajmy - zaproponowała. - Mam dużo pracy. Zmarszczył brwi.

- Co takiego zrobiłem? - zapytał. Wzruszyła ramionami.

- Nic takiego.

- Przecież każdy ma prawo do wypoczynku. To nie zbrodnia.

- Nie, ale...

- Daj spokój. Dlaczego nie powiedzieć sobie, że to najlepsza pora na piwo? - Widząc jej zdumione spojrzenie, wyjaśnił: - Wiesz, jak w reklamach.

- Aha, wiem.

Objęła rękoma kolana. Przyglądała się mu. Najpierw przyrównuje ją do bogini, teraz mówi o piwie i reklamach. Co tu jest grane?

- Wiesz, Hornblower, czasami zastanawiam się, czy ty naprawdę istniejesz.

- Och, istnieję. Powiedz mi, co widzisz w górze? Odchyliła głowę.

- Niebo. Dzięki Bogu, niebieskie. Trochę chmur, które do wieczora powinny zniknąć.

- Czy zastanawiałaś się kiedyś, co jest poza nim?

- Poza czym?

- Błękitem. - Przymknął oczy. Zobaczył ciągnące się w nieskończoność skupiska gwiazd, głęboką czerń kosmosu, cudowną symetrię księżyców i planet na ich orbitach. - Myślałaś o innych światach, o tych, do których nie możesz dotrzeć?

- Nie. Chyba dlatego, że skupiam się na światach, które są i były tu, na Ziemi. Moja praca wymaga patrzenia w dół, pod nogi, nie w niebo.

- Jakie lubisz filmy i muzykę? - zmienił nagle temat.

Libby pokręciła głową. Jej towarzysza cechował chaotyczny tok rozumowania.

- Właściwie wszystkie - odparła. - Nie jestem wybredna.

- Twój ulubiony film?

- Trudne pytanie. - Patrzył na nią tak intensywnie, tak niewinnie, że postanowiła jednak wybrać losowo jeden z tych, które podobały się jej najbardziej.

- „Casablanca”.

- O czym to jest?

- Daj spokój, Hornblower, każdy wie.

- Ja go przegapiłem. Musiałem być zajęty, kiedy wszedł na ekrany.

Roześmiała się głośno.

- Jasne, na pewno w latach czterdziestych miałeś masę pracy.

Zignorował jej uwagę.

- O czym jest ten film?

Właściwie to go nie interesowało. Chciał tylko słuchać, jak Libby opowiada, patrzeć na nią, gdy to robi.

Dlaczego nie? - Siedziało się jej przyjemnie, mogła opowiedzieć film, przeżyć go w ten sposób jeszcze raz. Zaczęła mówić.

Słuchał, podobał się mu sposób, w jaki opowiadała historię utraconej miłości, bohaterstwa i poświęcenia. Podobała się mu jej gestykulacja, to jak modulowała głos. I jej oczy, gdy mówiła o kochankach, których zetknął los i rozdzieliło przeznaczenie.

- Nie ma szczęśliwego zakończenia - zauważył, gdy zamilkła.

- Nie, ale zawsze czułam, że oni odnajdą się po latach, po wojnie.

- Dlaczego?

- Bo byli sobie przeznaczeni. Tacy ludzie zawsze się odnajdą, bez względu na wszelkie przeszkody.

Uśmiechnęła się do niego, uśmiech jednak znikł, gdy zobaczyła, jak Cal na nią patrzy. Jakby byli sami. Nie sami w górach, a na całym świecie. Jak Adam i Ewa.

Zatęskniła. Po raz pierwszy w życiu zatęskniła - ciałem, umysłem i sercem.

- Nie - poprosił cicho, gdy zaczęła wstawać. - Proszę, nie bój się mnie.

- Wcale się ciebie nie boję - zapewniła natychmiast. Jednak oddychała szybko, jakby przed chwilą biegła.

- Więc czego się obawiasz?

- Niczego.

- Przecież jesteś spięta. - Zaczął masować jej ramiona. Pocałował ją w skroń. - Powiedz mi, czego się boisz.

Oparła dłoń na jego piersi, żeby nie mógł przysunąć się jeszcze bliżej.

- Właśnie tego. Nie wiem, jak zwalczyć to, co czuję.

- A po co masz to zwalczać? Ogarniało go coraz większe pożądanie.

- Za krótko się znamy - oświadczyła, przestała jednak go odpychać.

Wybuchnął śmiechem, wtulił głowę w jej szyję.

- Znamy się od wieków.

- Caleb, proszę.

Zaprotestowała słabo, lecz jednocześnie stanowczo. Czuł jej ciało, wiedział, że mógłby ją teraz mieć. Gdy spojrzał jej w oczy, nabrał pewności, że jeśli to zrobi, ona mu nigdy nie przebaczy.

Teraz odczuwał pożądanie jako trudny do zniesienia ból. Wstał. Odwrócony do niej tyłem, wpatrywał się w wodę.

- Czy wszystkich mężczyzn doprowadzasz do szaleństwa?

Objęła rękami kolana, mocno, jakby szykowała się do odparcia ataku.

- Nie, skądże.

- Więc to tylko ja mam takie szczęście. - Spojrzał w niebo. Chciałby tu wrócić, pokonać przestrzeń i czas. Sam, wolny. Wsłuchując się w szum drzew, zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie naprawdę wolny. - Pragnę cię, Libby - szepnął.

Nie odpowiedziała. Nie mogła. Żaden mężczyzna nie powiedział jej nigdy tych trzech prostych słów. Zresztą, nawet gdyby usłyszała je od stada mężczyzn, nie zrobiłyby na niej większego wrażenia. Nikomu nie udało się wypowiedzieć tych słów w taki sposób, w jaki zrobił to Caleb.

Doprowadzony do kresu wytrzymałości brakiem odpowiedzi, odwrócił się do Libby. Nie był już potulną, przyjacielską i nieco zagubioną ofiarą wypadku, lecz wściekłym, zdrowym, z pewnością niebezpiecznym mężczyzną.

- Cholera, Libby, mam nic nie mówić, niczego nie czuć? - Czy takie obowiązują tutaj zasady? - Trudno, do diabła z nimi. Pragnę cię i jeśli postoję przy tobie jeszcze przez chwilę, spróbuję cię zdobyć.

Stężała.

- Zdobyć mnie? - Jak nowy samochód? Możesz sobie pragnąć, czego tylko chcesz, Cal, ale ja też mam w tej sprawie coś do powiedzenia.

Była wspaniała. Z tą furią w oczach, z kwiatem we włosach... Zapamięta ją taką na zawsze. Wiedział to na pewno. Wiedział, że to będzie słodko - gorzkie wspomnienie. Teraz jednak chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Możesz sobie mówić, co ci się żywnie podoba.

Tym razem walczyła. Duma, gniew i wściekłość dodały jej sił, by się wyrwać. Tylko na chwilę. Objął ją mocno i pocałował. Nie tak, jak wtedy, za pierwszym razem. Nie delikatnie, kusząco, lecz mocno i władczo. Nie zwracał uwagi na jej zduszony protest. Wpadła w panikę, a jednocześnie poczuła silny przypływ pożądania.

Nie chciała, by ją do tego zmuszał. Musiała sama dokonać wyboru. Tak podpowiadał jej rozum, tak nakazywał rozsądek. Jednak jej ciało nie zamierzało słuchać rozumu.

Ożyła w jego ramionach, sprawiła, że zapomniał o wszystkim innym. Gdy poczuł jej gorący pocałunek, inne światy, inne czasy przestały istnieć. Dla niego było to równie nowe, równie podniecające i przerażające jednocześnie, jak dla niej. Nie potrafił oprzeć się tej sile.

Świat zawirował. Wzdychając, wodziła dłońmi po jego plecach, aż zacisnęła je desperacko na ramionach. Słyszała szum wody i drzew. Traciła oddech i nie chciała go odzyskać. Wiedziała, że stoi na ziemi, czuła jednak, że świat wiruje w zawrotnym tempie.

Była zakochana.

Jęknęła. Poddała się. Jemu. Sobie.

Przeszył go bolesny, lecz rozkoszny dreszcz. Głaskał ją po włosach, natrafił na kwiat, zgniótł go. Zapach dzikiej rośliny, słodki i oszłamiający, przepełnił powietrze intensywnym aromatem.

Odsunął się gwałtownie. Spojrzał na zmięty kwiat, który trzymał w dłoni. Dygotał. Poczłł obezwładniający wstyd. Nigdy, nigdy nie weźmie kobiety siłą. To najohydniejszy z grzechów. Nie do wybaczenia.

- Skrzywdziłem cię - spytał szeptem.

Libby pokręciła głową. Szybko, za szybko. Skrzywdził? - pomyślała. Nie, raczej zniszczył, i to jednym pocałunkiem. Udowodnił, jak łatwo można złamać jej wolę.

Nie przeprosił jej. Odwrócił się i odczekał, aż będzie w stanie normalnie się wysławiać. Nie zamierzał przeproszać za swe pragnienia.

- Nie mogę obiecać, że to się nie powtórzy - powiedział wreszcie. - Jednak zrobię co w mojej mocy, by się nie powtórzyło. Wracaj do domu.

I to wszystko? - pomyślała Libby. Po tym, jak obnażył bezlitośnie jej uczucia, mówi jej, żeby wróciła do domu? Otworzyła usta, chcąc zaprotestować. Potem się zreflektowała.

Miał rację, oczywiście. To co się stało, nie powinno się już nigdy powtórzyć. Byli sobie obcy, żadne słowa nie przekonają jej, że jest inaczej.

Powoli odwróciła się i odeszła, pozostawiając Cala nad strumieniem.

Później, gdy słońce pokonało już część drogi po nieboskłonie, Cal otworzył dłoń. Zmięty kwiat wpadł do potoku. Cal patrzył, jak odpływa.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie mogła się skoncentrować. Patrzyła na ekran komputera, próbując się skupić na napisanych już słowach. Mieszkańcy Kolbari i ich tradycyjny taniec księżycowy przestali ją nagle interesować. A przecież praca, zatopienie się w niej, miało przynieść ulgę i dać schronienie. Jeszcze nigdy skoncentrowanie się nie przychodziło jej z takim trudem. Potrafiła pisać referat, gdy współlokatorki urządzały w pokoju przyjęcie. Potrafiła pisać w namiocie i przygotowywać się do wykładów w dżungli. Teraz czytała po raz trzeci ten sam akapit. Mogła jednak myśleć tylko o Calu i o tym, co do niego czuła. To nie było do niej podobne.

Westchnęła i odepchnęła krzesło od biurka. Nie odrywając spojrzenia od ekranu, oparła łokcie na kolanach, a podbródek na zaciśniętych w pięści dłoniach. Nie jestem zakochana, powiedziała sobie. Ludzie nie zakochują się tak szybko. Mogą coś do siebie czuć, miłość jednak to zupełnie inna sprawa. Do tego potrzeba czegoś więcej.

Wspólne zainteresowania, uznała. Jak mogłaby zakochać się w Calu, który, co sam przyznał, pasjonuje się wyłącznie lataniem? - I jedzeniem, dodała w myślach, uśmiechając się lekko.

Trzeba zrozumieć uczucia drugiej osoby, poznać jej cele, charakter. Tak, to bardzo ważne. Jak mogłaby kochać Caleba Hornblowera, skoro w ogóle go nie rozumiałaś Jego uczucia są dla niej tajemnicą, o jego życiowych celach nigdy nie rozmawiali, zaś jego charakter zdaje się zmieniać z godziny na godzinę.

Trudno go rozgryźć. Zmarszczyła brwi, myśląc o emocjach, które tak często dostrzegała w jego spojrzeniu. Czasami przypominał człowieka, który wybrał niewłaściwy zjazd z autostrady i znalazł się nagle w zupełnie obcej okolicy. Miał jednak zbyt silną osobowość, zbyt dużo uroku, by mogła go po prostu ignorować. W jej starannie uporządkowanym życiu nie było miejsca dla takiego mężczyzny. Wprowadzał chaos samym swym istnieniem.

Usłyszała, że obiekt jej rozmyślań wchodzi kuchennymi drzwiami. Poczowała, jak szybko bije jej serce.

Zmieszana swą reakcją, przysunęła krzesło do biurka. Zamierzała pracować. Do północy. Nie miała czasu na rozmyślanie o Calu.

- Cholera, kim właściwie jest Caleb Hornblower? - zapytała na głos.

Ostatnie, czego się spodziewała, to uzyskanie odpowiedzi. Usłyszała ją jednak. Wypowiedzianą cichym, dobiegającym nie wiadomo skąd głosem.

Chwyciła się biurka, żeby nie spaść z krzesła. Odpowiedź pojawiła się również na ekranie komputera.

- Hornblower Caleb, kapitan MSK, porzucił czynną służbę.
- O mój Boże. - Z ręką przy gardle pokręciła głową. - Trzymać się, przeczekać.
- Tryb oczekiwania - usłyszała.

To niemożliwe, musi mieć halucynacje. Tak, przepracowanie, stres, brak snu. Stąd te dziwne objawy... Zamknęła oczy i trzykrotnie głęboko odetchnęła. Gdy je otworzyła, zobaczyła jednak, że słowa nie znikły z ekranu.

- Co, u diabła, tu się dzieje?
- Żądaną informację przekazano. Czy są potrzebne dodatkowe dane?

Niepewnie odsunęła papiery i znalazła zegarek Cala. Przysięgłaby, że głos wydobywał się właśnie stamtąd. Nie, to po prostu niemożliwe. Namacała palcem cieniutki, przezroczysty przewód biegnący od zegarka do stacji dysków komputera.

- W co on gra?
- Dostępne pięćset dwadzieścia gier. Którą uruchomić? - Podaj nazwę.
- Libby?

Caleb stał w progu. Intensywnie myślał. Nie czas wyrzucać sobie karygodną nieostrożność. Zresztą, chyba podświadomie chciał, by coś zmusiło go do wyznania prawdy. Teraz jednak, gdy Libby się odwróciła, nie był pewien, czy prawda wyjdzie im obojgu na dobre. Libby nie była przestraszona, ona była zwyczajnie wściekła.

- W porządku, Hornblower. Teraz powiesz mi, co się tu dzieje.

Zdobył się na miły uśmiech.

- Gdzie?
- Tutaj, do cholery - wyjaśniła, celując palcem w monitor.
- Chyba sama wiesz lepiej, to twoja praca.
- Żądam wyjaśnień. Natychmiast.

Podszedł do niej. Zerknął na ekran i uśmiechnął się. Chciała zatem wiedzieć, kim on jest. Ucieszył się, że wzbudził jej zainteresowanie.

- Nie, wolałabyś tego nie słyszeć.

Powiedział to łagodnie. Wzięłyby ją za rękę, gdyby jej szybko nie cofnęła.

- Chcę, i to natychmiast - powtórzyła. - Ty... ty... wszedłeś tu, podłączyłeś swój zegarek do mojego komputera i...

- Interfejs. Chyba znasz to słowo.

- Może mi wyjaśnisz, jak zegarek może współpracować z komputerem osobistym - wycodziła przez zęby.

Położył ręce na jej ramionach.

- Nigdy mi nie uwierzysz.

- Lepiej się postaraj, żebym uwierzyła. Czy ten zegarek to coś w rodzaju miniaturowego komputera?

- Tak.

Sięgnął po zegarek, lecz Libby okazała się szybsza.

- Zostaw. Nigdy nie słyszałam o miniaturowym komputerze, który reaguje na głos, współpracuje z komputerem osobistym i ma na dysku miejsce na pięćset gier.

- Rzeczywiście. - Spojrzał w jej zagniewane oczy. - Nie mogłaś słyszeć.

- Powiedz mi, skąd go masz, Hornblower. Kupię taki sam ojcu na Boże Narodzenie.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Chyba jeszcze przez jakiś czas nie będzie go na rynku. Chciałabyś się dowiedzieć czegoś więcej?

- Tak. Prawdy.

Splótł palce z palcami jej dłoni.

- To ma być cała prawda czy wystarczą najistotniejsze fakty?

- Jesteś szpiegiem?

Nie spodziewała się, że Cal się szczerze roześmieje. Pocałował ją w policzek.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - nalegała. Wyrwała rękę. - Jesteś agentem?

- Dlaczego tak uważasz? Wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

- Bo wszystko za tym przemawia. Rozbijasz samolot podczas potężnej burzy, gdy żaden rozsądny człowiek nie wsiadłby nawet do samochodu. Nie masz dokumentów. Twierdzisz, że nie jesteś wojskowym, ale byłeś ubrany w jakiś dziwny mundur. I masz zegarek, który odpowiada na pytania. - Spojrzała na ten przedmiot, żeby się upewnić, czy to wszystko nie jest tylko snem. - Wiem, że niektóre służby wywiadowcze dysponują bardzo nowoczesnym sprzętem. Może nie jesteś Jamesem Bondem, ale chyba...

- Kim jest James Bond? - zapytał Caleb.

- Bond, James, kryptonim 007. Fikcyjna postać stworzona przez dwudziestowiecznego pisarza Iana Fleminga. Podaję tytuły książek...

- Wyłącz się - polecił Cal, przeciągając ręką po włosach, wyraźnie zakłopotany. Jedno spojrzenie na Libby pozwoliło mu wywnioskować, że wpłynął na niebezpieczne wody. - Może usiądziesz? - zaproponował cicho.

Skinęła głową i przysiadła na skraju łóżka. Choć było już za późno na środki ostrożności, Cal odłączył swój komputer i schował go do kieszeni.

- Więc chcesz, żebym ci wyjaśnił... Właściwie już nie chciała. Przekleła jednak w myśli swe tchórzostwo i szybko skinęła głową.

- Dobrze więc, ale to ci się na pewno nie spodoba. - Usiadł na krześle. - Odbywałem rutynowy lot z kolonii Brigston.

- Skąd?

- Z kolonii Brigston. Na Marsie. Libby zamknęła oczy i potarła je dłonią.

- Chwileczkę.

- Uprzedzałem, że ci się to nie spodoba.

- Chcesz zatem, bym uwierzyła, że jesteś Marsjaninem?

- Nie bądź śmieszna. Opuściła ręce na kolana.

- Ja jestem śmieszna? Siedzisz tu, mówisz, że przyleciałeś z Marsa, a to ja jestem śmieszna? - Z braku czegoś lepszego chwyciła poduszkę i rzuciła nią w kąt pokoju. Wstała i znów zaczęła chodzić tam i z powrotem. - Posłuchaj, nie chcę się wtrącać w twoje życie osobiste, nie oczekuję nawet wdzięczności za ocalenie ci życia. Sądzę jednak, że należy mi się jakiś elementarny szacunek. Jesteś w moim domu, Hornblower. Chcę usłyszeć prawdę.

- Tak, wiem. Właśnie ci ją wyjawiam.

- Doskonale. - Opadła na łóżko. - Jesteś więc z Marsa.

- Nie, z Filadelfii.

- Ach - odetchnęła z ulgą. - Wreszcie docieramy do sedna. Leciałeś do Los Angeles i rozbiłeś samolot.

- Statek. Pozostała spokojna.

- Statek kosmiczny?

- Możesz to tak nazywać. - Nachylił się w jej kierunku. - Musiałem zmienić trasę z powodu deszczu meteorytów. Zboczyłem z kursu, za bardzo, instrumenty pokładowe zaczęły szwankować. Wpadłem w czarną dziurę, której nie ma na mapach.

- W czarną dziurę.

Odechciało się jej śmiać. Jego spojrzenie było absolutnie poważne. On w to naprawdę wierzy, pomyślała z przerażeniem. Musiał odnieść bardzo poważne obrażenia, których niestety nie zauważyła.

- To znaczy w skompresowaną gwiazdę. Zasysa wszystko: gwiazdny pył, gazy, nawet światło.

- Tak, wiem, co to jest czarna dziura. - Nie wolno go zdenerwować. Musi go wprowadzić w dobry nastrój, przyjaźnie zainteresować się jego opowieścią, potem położyć go jakoś do łóżka. - A więc leciałeś statkiem kosmicznym, wpadłeś w czarną dziurę i rozbiłeś się?

- Najprościej można to tak ująć. Nie wiem, co się dokładnie zdarzyło. Dlatego właśnie podłączyłem mój komputer do twojego. Potrzebuję informacji, żeby dokonać obliczeń i bezpiecznie wrócić do domu.

- Na Marsa?

- Nie, u diabła. Do dwudziestego trzeciego wieku. Grzeczny uśmiech zastygł Libby na twarzy.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz.

Wstał. Cierpliwości, nakazał sobie. Trudno, żeby mi od razu uwierzyła, skoro sam nie mogę tego do końca pojąć.

- Już wieki temu powstawały teorie dotyczące podróży w czasie. Wszyscy zgadzają się co do tego, że gdyby statek osiągnął wystarczającą prędkość, by przemieknąć z odpowiednią prędkością obok Słońca, mógłby przeskoczyć czas. To tylko teoria, której nie sposób sprawdzić, gdyż na obecnym etapie rozwoju techniki nie umiemy wyeliminować skutków przyciągania słonecznego. Każdy statek, który zbliży się za bardzo do Słońca, oczywiście spłonie. Równie niebezpieczne byłyby próby z wykorzystaniem czarnych dziur. Przeciężenia i promieniowanie zniszczyłyby każdy statek. Musiałem mieć niewiarygodne szczęście. Przypadkowo wybrałem właściwą trajektorię lotu. - Wyjrzał przez okno. - No i wylądowałem tutaj, ponad dwa i pół stulecia wcześniej.

Libby wstała. Położyła dłoń na jego ramieniu.

- Powinieneś się położyć.

Nie spojrzał na nią. Nie musiał.

- Nie wierzysz mi. Nie umiała skłamać.

- Ty w to wierzysz - powiedziała tylko.

Odwrócił się do niej. Zobaczył w jej oczach życzliwe współczucie.

- Jak więc to wyjaśnisz? Sięgnął do kieszeni po komputer.

- Nie musisz teraz niczego wyjaśniać. Przykro mi, że tak nalegałam, Caleb. Jesteś zmęczony.

- Po prostu nie umiesz tego wyjaśnić. Także tego, skąd się tu wziąłem.

- Posłuchaj, mam pewną teorię. Uczestniczysz w operacji wywiadowczej, może należysz do jakiejś elitarnej sekcji CIA. Działałeś pod ogromną presją, a do tego masz szok

pourazowy. Wypierasz jakieś wspomnienia. Dlatego być może umiejscowiłeś siebie w innym czasie...

- Uważasz, że zwariowałem.

- Nie. - Delikatnie dotknęła jego policzka. - Jesteś ranny i zmęczony. Potrzebujesz odpoczynku i opieki.

W tej sytuacji musiał na razie zrezygnować.

- Tak, chyba masz rację - przyznał. - Jeszcze nie doszedłem do siebie po wypadku, powinienem odpocząć.

- Dobry pomysł. - Zaczekała, aż dojdzie do drzwi. - Caleb, nie martw się, wszystko będzie dobrze.

Odwrócił się. Może widzi ją po raz ostatni? Stała na tle okna, na zewnątrz zapadał zmrok. Miała oczy przepelnione współczuciem. Pamiętał smak jej ust. Dopadło go uczucie żalu.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem - oświadczył.

Oniemiała patrzyła, jak zamykają się za nim drzwi.

Nie spał. Leżąc w ciemności, mógł myśleć tylko o Libby. Włączył telewizor. Postaci na ekranie są bardziej realne niż ja, doszedł do wniosku.

Nie uwierzyła mu, w końcu nie ma w tym nic dziwnego. Próbowała go uspokoić. Zastanawiał się, czy Libby zdaje sobie sprawę, że jest kimś wyjątkowym. Pragnął jej. W szarym świetle świtu pragnął jej bardziej, niż mógł sobie wyobrazić. Wystarczyłoby jej dotknąć, wziąć za rękę. Leżeć obok niej, w ciszy. Nie żywił takich uczuć nigdy przedtem, wobec żadnej kobiety. Gdyby miał wybór...

Nie miał.

Powoli wstał. Nie miał nic do zabrania i nic tu nie zostawiał. Po cichu zszedł na dół i wymknął się z domu.

Landrower stał koło ganku. Cal podszedł do samochodu, spojrział na okno pokoju Libby. Miał wyrzuty sumienia, gdyż musiał ją pozbawić jedyne go środka lokomocji. Później zastanowi się, jak jej pomóc.

Będzie wściekła. Uśmiechnął się, zajmując miejsce za kierownicą. Przeklnie go, zniechędzi. Ale na pewno nie zapomni.

Przez chwilę Cal przyglądał się z zachwytem staroświeckim urządzeniom i wskaźnikom. Sprawdził działanie kierownicy, wcisnął ostrożnie pedał gazu.

Pomiędzy siedzeniami dostrzegł dźwignię oznaczoną cyframi od jeden do czterech, w kształcie litery H. Zgrzytnęła, gdy popchnął ją do przodu. Zadowolony, że prowadzenie tak

prostego pojazdu nie sprawi mu trudności, wypróbował kilka przycisków. Gdy nie dało to żadnego rezultatu, poruszył dźwignią zmiany biegów, wciskając równocześnie pedały w podłodze.

Metodą prób i błędów znalazł sprzęgło i wrzucił pierwszy bieg.

Dobry początek, uznał. Zastanawiał się, gdzie u diabła projektant umieścił zapłon.

- Trudno ci będzie go uruchomić bez tego. Libby stała na ganku, z ręką na biodrze. W drugiej, wyciągniętej, trzymała kluczyki.

Rzeczywiście jest zła, pomyślał. Tym razem jednak nie było mu do śmiechu.

- Właśnie... chciałem się trochę przejechać.

- Tak? - Poprawiła narzucony na ramiona sweter i zeszła po schodkach. - Masz pecha, nie zostawiam kluczyków w stacyjce.

Chodziło więc o kluczyk - Powinien był się domyślić.

- Obudziłem cię? - zapytał. Uderzyła go pięścią w ramię.

- Masz tupet, Hornblower. Wczoraj udawałeś wariata, żeby wzbudzić współczucie, a teraz kradniesz mi samochód. Co zamierzałeś zrobić? Połączyć przewody w stacyjce i zostawić mnie tutaj na łasce losu? Myślałam, że taki wspaniały pilot jak ty okaże się dużo sprytniejszy.

- Ja chciałem go tylko pożyczyć - zaprotestował, wątpiąc, czy taka różnica ma dla niej jakieś znaczenie. - Pomyślałem, że nie powinnaś ze mną jechać na miejsce katastrofy.

Uwierzyła mu i natychmiast przeklęła w myślach swoją głupotę. Jednak żałowała go, chciała mu pomóc. Ścisnęła kluczyki, mocno, do bólu. W porządku, pomoże mu.

- No dobrze, przesiądź się.

- Słucham?

- Powiedziałam, żebyś się przesiadł. Chcesz pojechać do wraku, prawda - Zawiozę cię.

- Libby...

- Przesiadaj się, Hornblower, bo zaraz stracę cierpliwość.

- Dobrze, ale pamiętaj, że cię ostrzegalem.

- I pomyśleć, że ja się nad tobą użalałam. Patrzył zaintrygowany, jak Libby wkłada kluczyk do podłużnego otworu i przekręca go. Silnik ożył, zaczęły działać wycieraczki.

Potem zwolniła sprzęgło, nacisnęła pedał gazu i wjechała szybko na wąską drogę.

- Libby, robiłem to, co według mnie byłoby dla ciebie najlepsze. Nie chciałem cię w to jeszcze bardziej wciągać.

- Jestem ci wdzięczna. - Zmieniła bieg, spod kół wystrzeliły kamyki. - Powiedz mi tylko, dla kogo ty pracujesz, Hornblower?

- Działam na własny rachunek.

- Ach, rozumiem. - Uśmiechnęła się ponuro. - Sprzedajesz temu, kto da najwięcej?

Zdziwił go gniewny ton jej głosu.

- Pewnie, przecież wszyscy tak robią.

- Niektórzy ludzie uważają, że lojalność wobec kraju nie ma ceny.

Cal przyłożył palce do oczu. Nagle zdał sobie sprawę, że ona nawiązuje do poprzedniej rozmowy.

- Libby, ja nie jestem szpiegiem, nie pracuję dla CAL.

- CIA.

- Wszystko jedno. Jestem pilotem. Przewożę towary, ludzi, sprzęt. Dostawy do portów kosmicznych, kolonii, laboratoriów.

- Znów zaczynasz. - Zaciśnęła zęby, przejeżdżając przez strumień. - Jesteś więc takim międzygalaktycznym kierowcą ciężarówki?

Uniósł ręce, potem powoli je opuścił.

- Mniej więcej.

- Nie kupuję tego, Cal. Nie jesteś wariatem, więc przestań zmyślać.

- Libby, wszystko co ci powiedziałem, jest prawdą.

- Po prostu przestań. - Gdyby nie musiała trzymać oburącz kierownicy, uderzyłaby go.

- Żałuję, że cię spotkałam. Dbałam o ciebie, doświadczyłam uczuć, jakich dotąd nie poznałam. A ty? Ty tylko potrafisz kłamać.

Trudno, nie pozostawiała mu wyboru. Nachylił się i wyłączył silnik. Samochód stanął. Chwycił Libby za sweter, zmusił, żeby na niego spojrzała. Zobaczył jej twarz.

- Cholera, nie płacz, nie mogę tego znieść.

- Nie płaczę. - Szybko wytarła oczy rękawem.

- Oddaj mi kluczyki.

- Za chwilę. - Puścił ją. - Nie skłamałem, gdy powiedziałem, że wymykam się ukradkiem, bo tak byłoby dla ciebie najlepiej.

Wierzyła mu, właśnie to wyprowadzało ją z równowagi. Ta łatwość, z jaką udawało mu się ją przekonać.

- Powiesz mi wreszcie, w jakie wpadłeś kłopoty? - zapytała.

- Tak. - Ponieważ nie mógł się powstrzymać, dotknął dłonią jej mokrego policzka. - Gdy dojedziemy do wraku, odpowiem na wszystkie pytania.

- Bez żadnych uników i wciskania kitu?

- Powiem ci wszystko, masz moje słowo, Libby. - Chwycił jej dłoń - Co przy mnie czujesz?

Wyrwała dłoń i położyła ją na kierownicy.

- Nie wiem i nie chcę o tym myśleć.

- Uwierz, nigdy, do żadnej kobiety nie czułem tego, co do ciebie. Chciałbym, żeby sprawy ułożyły się inaczej.

Przecież on już się ze mną żegna, zorientowała się. Poczowała ból.

- Przestań, skoncentrujmy się na tym, co mamy teraz zrobić. Znalazłam cię właśnie tu - wyjaśniła, włączając silnik. - Na zakręcie. Sądzę, że szedłeś równoległe do tamtej grani. - Przyjrzała się uważniej okolicy. - Dziwne - zauważyła - ta wyrwa w ścianie lasu...

Nie ma w tym nic dziwnego, pomyślał Cal, w końcu spadł tu statek o wymiarach siedemdziesiąt na trzydzieści metrów.

- Może się temu przyjrzymy? - zaproponował. Libby bez słowa skrzyła z drogi na dość strome zbocze. Spojrzała na Cal. Ze zdumieniem stwierdziła, że gdy samochód podskakuje na wybojach, Cal szeroko się uśmiecha.

- Fajnie! - krzyknął.

- Cieszę się, że dobrze się bawisz.

Patrzyła na drogę, nie zauważyła więc, że Cal naciska jakieś guziki w swoim dziwnym zegarku. Obserwował z rosnącym podnieceniem wskaźniki.

- Dwadzieścia pięć stopni na północ.

- Co?

- Tędy. - Wskazał ręką kierunek. - Dwa i pół kilometra.

- Skąd wiesz?

Uśmiechnął się do niej promiennie.

- Zaufaj mi.

Gdy dotarli do grani, Libby wyłączyła silnik.

- Dalej nie przejadę - wyjaśniła. - Musimy tam dotrzeć pieszo.

- Jasne, to niedaleko. - Niecierpliwie wyciągnął do niej rękę. - Tylko kilkaset metrów.

Spojrzała na jego zegarek. Wydobywało się z niego buczenie. Niskie, w regularnych odstępach.

- Co on robi? - zapytała.

- Namierza - wyjaśnił. - Ma zasięg około dziesięciu kilometrów, ale jest precyzyjny. Wątpię, by w okolicy był inny metalowy przedmiot tak duży, jak mój statek. Mamy szczęście...

- Nie zaczynaj od nowa - poprosiła.

Włożyła rękę do kieszeni i ruszyła szybkim krokiem przed siebie.

- Jesteś naukowcem - przypomniał jej Cal, gdy się z nią zrównał.

- Jestem - przyznała. - Właśnie dlatego nie wierzę w twoją nieprawdopodobną historyjkę.

Przyjacielskim gestem objął jej ramiona.

- Patrzysz za siebie, Libby, nie przed siebie. Przecież nie widziałaś nigdy nikogo, kto żył dwieście lat wcześniej, a jednak nie wątpisz w jego istnienie. Dlaczego jest ci tak trudno uwierzyć, że przybyłem z przyszłości?

- Wierzę, że za dwieście lat będziemy nadal istnieć jako gatunek. Wiem jednak, że nie mogę zrobić kawy żadnemu przybyszowi z przyszłości. - On nie zwariował, uznała, jest sprytny. - Obiecałeś, że poznam całą prawdę, gdy znajdziemy twój samolot - przypomniała. - Trzymam cię za słowo. - Uniosła głowę i zamarła.

- O Boże - szepnęła po chwili.

Kilkanaście metrów przed nią rozpoczynała się wyrwa. Z bliska wyglądało to tak, jakby gigantyczny sierp ścinał wszystko, co tu rosło, nawet najgrubsze drzewa.

- Nie ma śladów pożaru - zauważyła. Musiała przyspieszyć kroku, by zrównać się z Calem. - Co mogło to spowodować?

- To. - Cal wskazał kierunek. W wyrwie, na skalistym gruncie, osiadł jego statek. Zwalone wokół niego drzewa wydawały się małe jak zapałki. - Nie podchodź bliżej, muszę sprawdzić promieniowanie - ostrzegł ją, choć było to zbyteczne, gdyż stała jak wryta.

Ustawiając nadgarstek pod różnymi kątami, sprawdził poziom promieniowania i skinął głową.

- W porządku, wszystko w normie - oświadczył.

- Ponownie objął ramiona Libby. - Wejźmy - zaprosił ją - pokażę ci moje akwaforty.

W milczeniu dała się poprowadzić. Statek był wielki jak kamienica. Nie przypominał żadnego samolotu. Tajny sprzęt wojskowy, wytłumaczyła sobie szybko. Właśnie dlatego Cal dawał tak wymijające odpowiedzi. Zaraz, ale przecież jeden człowiek nie może prowadzić czegoś tak ogromnego...

Dziób przypominał pocisk, dalej dziwaczny pojazd się rozszerzał. Żadnych skrzydeł. To spostrzeżenie ją zaniepokoiło. Kształt przypominał nieco ryby głębinowe. Niesamowite...

To jakiś eksperyment, pomyślała, mijając zwaloną sosnę.

Kadłub miał matowy, metaliczny kolor. Nie na tyle błyszczący, żeby można go było nazwać srebrzystym. Zauważyła wgniecenia i rysy. Jak wysłuchony, lecz niezawodny samochód, doszła do wniosku.

Większość uszkodzeń jest skutkiem wypadku, uznała. Zaniepokoiło ją jednak, że niektóre wgniecenia wyglądały na stare. Pentagon, NASA czy inna agencja, która to coś zbudowała, powinna obchodzić się ostrożniej z urządzeniem, na które wydano na pewno miliony dolarów z pieniędzy podatników.

- Więc przyleciałeś w tym czymś - wykrztusiła, gdy dotarli do pojazdu.

- Jasne. - Czule pogłaskała kadłub. - Prowadzi się jak marzenie.

- Czyje to jest?

- Moje. - W jego głosie zabrzmiała duma. - Powiedziałem ci przecież, że tego nie ukradłem.

Rozpierała go radość i uczucie ulgi. Chwycił Libby, okręcił w powietrzu, postawił na ziemi i pocałował w usta. Ponieważ to mu się spodobało, uniósł ją ponownie, centymetr nad ziemię, i znów pocałował.

- Caleb...

Pozbawiona tchu, oszołomiona, odpychała go od siebie energicznie.

- Całowanie cię już weszło mi w krew. - Ujął ją za rękę. - Zawsze miałem trudności ze zwalczaniem nałogów.

Chce odwrócić moją uwagę, pomyślała. I robi to bardzo skutecznie.

- Więc weź się w garść - poleciła. - Już znaleźliśmy... to coś. Obiecałeś mi wszystko wyjaśnić. Oboje doskonale wiemy, że takie coś nie może należeć do prywatnej osoby. Wyduś z siebie wreszcie, o co tu chodzi.

- Jest mój - upierał się z uśmiechem. - No tak - przyznał smętnie - właściwie zostało mi jeszcze do spłacenia dziesięć rat. - Nacisnął guzik, żeby otworzyć luk. Pokrywa rozsunęła się bezgłośnie. - Wejdz, pokażę ci dowód rejestracyjny.

Znalazła się w kabinie. Dużej, jak jej salonik, z ogromną deską rozdzielczą. Naprzeciw dwóch foteli z wysokimi oparciami zobaczyła mnóstwo kolorowych guzików i dźwigni.

- Usiądź - poprosił.

Na wszelki wypadek trzymając się blisko otwartego luku, objęła się rękoma, gdyż nagle poczuła chłód.

- Tu jest... ciemno.

- Ach, rzeczywiście. - Podeszedł do konsoli i dotknął jakiegoś guzika. Libby cicho krzyknęła, gdyż przód pojazdu otworzył się. - Osłony musiały się zamknąć, gdy uderzyłem o ziemię - wyjaśnił.

Mogła tylko w milczeniu patrzeć. Widziała przed sobą las, góry i niebo. Wnętrze pojazdu oświetliły promienie słońca przechodzące przez coś, co trudno było nazwać przednią szybą, gdyż miało z dziesięć metrów.

- Nie rozumiem. - Szybko podeszła do jednego z foteli i usiadła. - Nic z tego nie rozumiem.

- Parę dni temu miałem takie samo uczucie.

Cal otworzył jakąś szufladę, trochę w niej pogrzebał. Wydobył małą, błyszczącą kartę.

- To moja licencja pilota, Libby. Gdy ją przeczytasz, głęboko odetchnij, to może pomóc.

W rogu zobaczyła jego zdjęcie. Przeczytała, że jest obywatelem Stanów Zjednoczonych i ma uprawnienie do prowadzenia wszystkich kategorii statków, od A do F. Wzrost 185,4 cm, waga 70,3 kg. Włosy czarne, oczy niebieskie. Data urodzenia... 2222 r.

- O mój Boże - szepnęła.

- Zapomniałaś głęboko odetchnąć. - Pogłaskał ją po dłoni. - Libby, mam trzydzieści lat. Z Los Angeles wyleciałem dwa miesiące temu, w lutym 2252 roku.

- To wariactwo.

- Raczej gołe fakty.

- To jakaś sztuczka. - Wcisnęła mu dokument w dłoń i wstała. Serce biło jej tak szybko, że czuła pulsowanie w skroniach. - Nie wiem, dlaczego to robisz, ale to jakaś sztuczka. Wracam do domu.

Ruszyła w kierunku luku, pokrywa jednak natychmiast wróciła na miejsce, odcinając jej drogę.

- Usiądź, Libby, proszę. - Zobaczył jej spojrzenie, spojrzenie kogoś schwytanego w pułapkę. Powstrzymał się, żeby znów jej nie objąć. - Nie chcę cię skrzywdzić, przecież wiesz. Usiądź i posłuchaj.

Była na siebie zła, że wpadła w panikę i chciała uciec. Posłusznie zajęła miejsce w fotelu.

- A więc?

Usiadł naprzeciw niej. Przez chwilę myślał. Są chwile, uznał, gdy trzeba traktować niezwykłą sytuację tak, jakby była normalna.

- Nie zjadłaś śniadania - powiedział nagle. Otworzył małe drzwiczki i wyjął srebrzysty woreczek. - Co sądzisz o jajecznicy na szynce?

Nie czekając na odpowiedź, otworzył inne drzwiczki i wrzucił do środka torebkę. Nacisnął guzik. Siedział przez chwilę, uśmiechając się. Gdy usłyszał brzęczyk, otworzył drzwiczki i wyjął apetycznie pachnące danie.

Libby położyła na kolanach lodowato zimne ręce.

- Masz w zanadrzu więcej sztuczek - stwierdziła.

- To nie sztuczka, tylko zwykła irracjonalność. Spróbuj.

- Podsunął jej talerz pod nos. - Jajecznicę nie jest tak dobra jak twoja, ale da się zjeść.

Libby - poprosił - uwierz w to, co masz przed oczami.

- Nie. - Powoli pokręciła głową. - Nie mogę.

- Nie jesteś głodna? - Ponownie pokręciła głową, tym razem bardziej zdecydowanie.

Cal wzruszył ramionami i poszukał widelca. - Rozumiem, co czujesz.

- Nie, nie rozumiesz. - Dopiero teraz skorzystała z jego rady i wzięła trzy głębokie oddechy. - Nie siedzisz w czymś, co wygląda jak statek kosmiczny i nie rozmawiasz z człowiekiem, który twierdzi, że jest z dwudziestego trzeciego wieku.

- Fakt, ale siedzę w moim statku i rozmawiam z kobietą starszą ode mnie o ponad dwieście lat.

Zaśmiała się, trochę zbyt nerwowo.

- To nonsens.

- Aha.

- Nie powiedziałam, że w to wierzę.

- Daj sobie trochę czasu. Przycisnęła dłoń do czoła.

- Muszę się zastanowić.

- Doskonale.

Westchnęła i spojrzała na niego.

- Chyba zjem teraz tę jajecznicę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jajecznica okazała się niezbyt dobra, za to niezwykle gorąca. Irradiowana, powtórzyła Libby z przekąsem, powoli przeżuając. Słyszała o kontrowersyjnych metodach konserwowania żywności. W tym jednak wypadku miała do czynienia z czymś, czego nie umiała wytłumaczyć.

Dostałam się w jakiś sposób do filmu science fiction, uznała i postanowiła ten fakt skomentować.

- Ciągłe sobie powtarzam, że na pewno istnieje jakieś proste wyjaśnienie - poinformowała.

Cal skończył swoją porcję jajecznicę.

- Powiedz mi, gdy jakieś znajdziesz. Odstawiła talerz.

- Jeśli to prawda, przyjmujesz wszystko bardzo spokojnie - zauważyła.

- Miałem trochę czasu, żeby się przyzwyczaić. Nie jesz już?

Pokręciła głową i wyrzała na zewnątrz. Jakies sto metrów dalej zobaczyła parę łośi. Piękny widok, pomyślała, tu, w górach Oregonu. Gdyby łośie trafiły jakoś na Piątą Aleję na Manhattanie, nie przestałyby być piękne. I rzeczywiste. Jednak tam ich widok wywołałby zdziwienie.

Nie można zaprzeczyć, że Cal rzeczywiście istnieje. Czy istnieje też prawdopodobieństwo, że on i jego niewiarygodny pojazd są w innym miejscu i w innym czasie czymś normalnym?

Gdyby to było prawdą, jak on się czuje? Spojrzała na łośie. Jak zwierzę wyrwane ze swego naturalnego środowiska i rzucone w inny, obcy świat?

Pamiętała przerażenie na jego twarzy, gdy przyszedł do niej ze znaną książką w ręku. Z książką wydaną w tym roku, przypomniała sobie. Jego dziwne pytania uznała wtedy za skutek urazu głowy.

No i ten pojazd. Jeśli on naprawdę istnieje, jeśli mi się nie śni, pomyślała, to opowieść Cala musi być prawdziwa.

- O Horacy, więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się ich śniło waszym filozofom. - powiedziała.

- Hamlet. - Uśmiechnął się na widok jej podejrzliwego spojrzenia. - Nadal czytamy Szekspira. Chcesz kawy?

Pokręciła głową. Śni czy nie, musi poznać prawdę.

- Powiedziałeś, że... odbiłeś się od czarnej dziury. Uśmiechnął się szeroko. Wreszcie mu uwierzyła.

Może jeszcze jest oszołomiona, ale przestała uważać go za wariata lub oszusta.

- Tak, przynajmniej wszystko na to wskazuje. Gdy statek uderzył w pole grawitacyjne, instrumenty oszalały. Przeszedłem na ręczne sterowanie, udało mi się odbić na wschód. Potem straciłem przytomność. Gdy ją odzyskałem, statek opadał na Ziemię. Włączyłem sterowanie automatyczne i pomyślałem, że już po kłopotach.

- To nie wyjaśnia, jak znalazłeś się tutaj.

- Jest wiele teorii. Jedna, do której się skłaniam, mówi o kontinuum czasoprzestrzeni. To jakby miska, którą wyznaczają linie krzywe. - Złożył dłonie, żeby zademonstrować. - Z matematycznego punktu widzenia, ta miska nie jest ani przestrzenią, ani czasem. Jest kombinacją jednego i drugiego. Wszystko w środku porusza się, ściągane siłą ciężenia w dół, na dno miski. Wokół Ziemi nie ma dużego zakrzywienia czasoprzestrzeni. Praktycznie się go nie odczuwa. Jednak wokół Słońca albo czarnej dziury...

- I ty wpadłeś w to zakrzywienie?

- Jak kulka krążąca we wnętrzu miski. Potem, w którymś miejscu, siła odśrodkowa przewyciężyła siłę ciężenia i wyrzuciła mnie na zewnątrz. Odpowiednia prędkość i trajektoria spowodowały, że przemieściłem się nie tylko w przestrzeni, lecz również w czasie.

- Kiedy o tym opowiadasz, brzmi wiarygodnie.

- To jednak tylko teoria. Kiedy zbadam szczegóły, przekonamy się, jak było naprawdę.

Nachylił się i włączył komputer.

- Tak, Cal.

Libby uniosła brew, słysząc jedwabisty, wyjątkowo zmysłowy głos.

- Od kiedy komputery są wysokimi blondynkami z dużym biustem? - - zapytała.

Caleb uśmiechnął się.

- W długich podróżach międzygalaktycznych często dokucza nam samotność - wyjaśnił. - Komputer, odtwórz dane z dziennika z drugiego maja. Na ekranie.

Nachylił się do ekranu, który pojawił się na konsoli. Kokpit wypełnił się dźwiękiem. Na ekranie pojawił się Caleb.

Ze swego krzesła Libby wpatrywała się zafascynowana w obraz. Widziała Calą, siedział tam, gdzie teraz. Błyskały jednak lampki, brzęczały i buczały urządzenia alarmowe. Gdy kokpit zawirował, pilot zapiął pas. Dostrzegła na jego czole kropelki potu. Widać było, jak walczy z przyrządami, starając się odzyskać panowanie nad statkiem.

- Poszerz obraz - poleciał Cal.

Libby zobaczyła teraz to, co Caleb widział przez szybę statku bezpośrednio przed wypadkiem. Ogrom przestrzeni, kuszącej, wciągającej. Gwiazdy, a potem coś, co musiało być odległą planetą. Po chwili czerń, absolutna, bezkresna czerń. Statek zdawał się pędzić wprost w tę mroczną pustkę.

Usłyszała przekleństwo Cala. Pociągnął jakąś dźwignię. Rozległ się przeraźliwy zgrzyt rozdzieranego metalu. Zdawał się wibrować, wypełniać sobą całą przestrzeń. Kokpit zaczął wirować, coraz szybciej, z przyprawiającą o mdłości prędkością. Potem obraz znikł.

- Cholera, komputer, kontynuuj odtwarzanie.

- Banki pamięci uszkodzone. Dalsze odtwarzanie niemożliwe.

- Fajnie. - Zaczął dyktować dane do analizy, spojrzał jednak na Libby. Siedziała sztywno w fotelu, miała popielatobiałą twarz i szkliste oczy. - Hej!

- Szybko wstał i nachylił się nad nią. - Nie przejmuj się.

- Czułam się tak, jakbym tam była.

Skłął się w myślach, spróbował ogrzać jej zimną dłoń. Nie powinien był jej tego pokazywać. Myślał tylko o sobie, chciał zobaczyć, co się wydarzyło.

- Wiem, przepraszam.

- To było straszne. - Jeśli miała jeszcze jakieś wątpliwości, to teraz rozwiały się. Chwyliła go za rękę.

- Przede wszystkim dla ciebie.

- Nie. - Poglaskał ją po włosach. - Tylko trochę. Gdy delikatnie ją pocałował, dotknęła jego policzka.

- Co zamierzasz zrobić?

- Odnaleźć drogę powrotną.

Poczuła ból. Gwałtowny i ostry. Oczywiście, on nie może tu zostać.

- Kiedy wyruszysz?

- To nie potrwa długo. - Wyprostował się i rozejrzał po kabinie. - Muszę naprawić uszkodzenia kadłuba, no i dokonać wielu obliczeń.

- Chciałabym ci pomóc - bezradnie uniosła ręce - ale nie wiem jak.

- Zostań tu ze mną. Wiem, że masz dużo pracy, jednak gdybyś mogła poświęcić kilka godzin...

- Jasne. - Zdobyła się na uśmiech. - Nie co dzień ktoś proponuje mi spędzenie dnia w statku kosmicznym. Zostanę.

Od razu pożałowała swej decyzji. Gdy Cal zobaczy z bliska jej twarz, natychmiast stwierdzi to, co dla niej stało się już oczywiste. Że złamał jej serce.

- Mogę się rozejrzeć?

- Pewnie, zaglądam, dokąd zechcesz. - Jest nadal błada, zauważył, ale mówi już normalnie. Może powinna spędzić trochę czasu w samotności. - Zajmę się obliczeniami.

Wyszła z kokpitu. Drzwi automatycznie się przed nią otworzyły. Znalazła się w czymś w rodzaju małego saloniku. Na dwóch przymocowanych do ścian kozetkach zobaczyła pomarańczowe poduszki. Na przyśrubowanym do podłogi stoliku leżały jakieś kolorowe czasopisma ze zdjęciami pojazdów kosmicznych. Przyszła wersja magazynu motoryzacyjnego, pomyślała i zaśmiała się nerwowo.

Jestem rozsądna, przekonywała się w duchu. Człowiek rozsądny wierzy w to, czemu nie można zaprzeczyć. Ale...

Żadnych ale, przywołała się do porządku.

Przez godzinę zwiedzała statek. Oglądała wszystko, dokładnie i zachłannie. Znalazła wąskie pomieszczenie, w którym panował lekki nieład. Uznała, że jest to kuchnia. Nie było tam kuchenki, tylko urządzenie w ścianie przypominające mikrofalówkę. W czymś w rodzaju lodówki stało kilka butelek. Wyglądające znajomo etykiety poinformowały ją, że ma do czynienia z popularną marką piwa.

W ciągu dwustu lat człowiek nie mógł się za bardzo zmienić, doszła do wniosku. Wybrała inną butelkę, podobną do tej zawierającej dobrze jej znany napój bezalkoholowy. Spróbowała. Zdziwiona, pociągnęła drugi łyk. Smakowało tak, jakby wyjęła tę butelkę ze swej własnej lodówki. Zabrała ze sobą napój i ruszyła dalej.

Doszła do ogromnej ładowni. Pustej, jeśli nie liczyć sterty skrzynek w rogu.

Powiedział, że zawiózł zaopatrzenie. Na Marsa. Poczuła skurcz żołądka i szybko znów upiła łyk.

A więc ludzie osiedlili się na Marsie. Już współcześni jej naukowcy przewidywali taki rozwój wypadków. Musi zapytać Cala, kiedy powstała pierwsza kolonia i według jakich kryteriów dobrano jej mieszkańców. Potarła czoło. Może, kiedy się do tego wszystkiego przyzwyczai, zacznie zadawać sensowne pytania.

Ruszyła dalej i dotarła do drugiego poziomu, który zdawały się wypełniać wyłącznie sypialnie. Kabiny, poprawiła się. Na statku są kabiny. Funkcjonalne meble, większość wbudowana w ściany. Gładki plastik, żywe kolory.

Na kabinę Cala natrafiła przypadkowo. Właściwie ją znalazła, choć nie chciała przyznać, że jej szukała. Od innych odróżniał ją tylko większy bałagan. Dostrzegła rzucony w

kąt kombinezon, podobny do tego, w którym znalazła Caleba. Na ścianie fotografia, chyba trójwymiarowa. Grupka ludzi, wśród nich Cal.

Widoczny w tle budynek był wielopiętrowy i niemal w całości zbudowany ze szkła. Białe tarasy usytuowane pod różnymi kątami. Na trawniku wysokie, rozłożyste drzewa.

To jego dom, pomyślała. I jego rodzina. Przyjrzała się im. Wysoka kobieta robiła wrażenie stanowczo za młodej na jego matkę. Siostra? - Przypomniała sobie jednak, że Cal mówił tylko o bracie.

Wszyscy się uśmiechali. Cal trzymał rękę na ramionach innego mężczyzny. Brata, uznała, dostrzegając podobieństwo. Brat Caleba miał zielone oczy, nawet na zdjęciu denerwująco przenikliwe. Trudny przeciwnik, uznała i przyjrzała się trzeciemu mężczyźnie z fotografii.

Wydawał się lekko wstawiony. Nie był za bardzo przystojny, lecz miał miłą twarz.

Uchwyceni w czasie, pomyślała. To właśnie robi fotografia. Zamyka ludzi w ułamku czasu. Również Cal został chwilowym więźniem czasu...

Powinna pamiętać, że będzie tu tylko tak długo, dopóki nie znajdzie sposobu na powrót do domu. Ma inne życie, w innym świecie. To głupota, że cokolwiek do niego czuję, pomyślała ponuro. Nie do pomyślenia, poprawiła się natychmiast, przykładając do twarzy chłodną butelkę. Tak samo jak fakt, że oto stoję sobie w pojeździe kosmicznym.

Poczuła się nagle zmęczona i usiadła na łóżku. Wszystko jest zwariowane, pomyślała, a już najbardziej to, że po raz pierwszy w życiu zakochałam się właśnie w Calu. W kimś, kto wkrótce znajdzie się dalej, niż można to sobie wyobrazić. Westchnęła i położyła się na łóżku. A może jednak to wszystko i tak okaże się jedynie snem?

Znalazł ją godzinę później, zwinętą na jego łóżku. Spała, jak wtedy gdy zobaczył ją po raz pierwszy.

Była cudowna, lecz teraz nie pociągała go w niej uroda. Chodziło o słodycz, połączenie współczucia z nieśmiałością. Chciałby się koło niej położyć, kochać się z nią, najdelikatniej jak umiał.

Nie była mu jednak przeznaczona. Chciałby, żeby życie potoczyło się jak w baśni, a Libby spała przez ponad dwieście lat. Potem delikatnie obudziłby ją i poprosił o rękę.

Nie jestem księciem, upomniał się natychmiast. Tylko zwykłym człowiekiem, który znalazł się w niezwyklej sytuacji.

Ostrożnie podszedł i okrył śpiącą. Poruszyła się, mruknęła coś przez sen. Nie mógł się powstrzymać. Dotknął dłonią jej policzka. Otworzyła oczy.

- Cał, miałam dziwny sen. - Obudziła się, uniosła na łokciach i rozejrzała po kabynie. - Nie, to nie sen.

- Nie. - Usiadł na łóżku. - Jak się czujesz?

- Nadal jestem trochę rozbita. - Odgarnęła włosy z twarzy, lecz te natychmiast znów opadły. - Przepraszam, nie zorientowałam się, że zasnęłam. Chyba mój mózg chciał się na chwilę wyłączyć.

- Fakt, trochę za dużo wrażeń naraz. Libby?

- Tak?

- Przykro mi, ale muszę to zrobić... Pocałował ją. Odruchowo wyciągnęła rękę, żeby go odepchnąć, lecz od razu ją cofnęła.

- Skłamałem - przyznał. - Wcale nie było mi przykro.

Wstał jednak i odsunął się od łóżka. Libby również wstała. Starła się zapanować nad drżeniem rąk.

- To twoja rodzina? - zapytała.

- Tak. - Spojrzał na fotografię. - Brat Jacob i rodzice.

- To jest Jacob - powiedziała, wskazując postać - ale ci tutaj nie mogą być twoimi rodzicami. Są za młodzi.

- Nietrudno jest wyglądać młodo. - Wzruszył ramionami. - To znaczy, nie będzie trudno.

- A to twój dom?

- Tam dorastałem, znajduje się około dwudziestu kilometrów za miastem.

- Wrócisz do nich. - Cieszyło ją to. Miłość, nieważne jak głęboka i nagła, jest bezinteresowna. - Pomyśl, co im opowiesz.

- Jeśli cokolwiek zapamiętam.

- Nie możesz przecież zapomnieć. - Myśl, że mógłby nie zachować nawet wspomnienia, dotknęła ją boleśnie. - Spiszę wszystko dla ciebie.

- Dziękuję. Pozwolisz, że wrócimy?

- Wrócimy?

- Do twojego domu. Zrobiłem już wszystko, co mogłem. Na dzisiaj koniec, jutro rozpocznę naprawy. Miałem nadzieję, że tymczasem pozwolisz mi u siebie mieszkać.

- Oczywiście. - Tak, na pewno nie zostanie ani minuty dłużej, niż jest to konieczne, pomyślała z goryczą. Gdy wychodzili z kabiny, zdobyła się na pogodny uśmiech. - Chciałabym ci zadać dziesiątki pytań, nie wiem nawet, od czego zacząć.

W samochodzie, w drodze powrotnej, nie zadała jednak ani jednego. Cal wydawał się nieobecny duchem, ponury. Również ona nie miała nastroju do prowadzenia badań nad przyszłością. Postanowiła zachowywać się normalnie, jakby nie zaszło nic nadzwyczajnego.

- Chciałbyś pojechać na obiad do miasta? - - zapytała nieoczekiwanie.

- Co takiego?

- Skup się, Hornblower. Czy chciałbyś pojechać do miasta? Nie widziałeś niczego poza moim domem i okolicą. Gdybym ja znalazła się nagle, powiedzmy w osiemnastym wieku, chciałabym jak najwięcej obejrzeć. To nam zajmie najwyżej dwie godziny.

Uśmiechnął się.

- Czy mógłbym poprowadzić?

- Nigdy w życiu. Zatrzymamy się przy domu, wezmę torebkę.

Droga do autostrady, po leśnych wertepach, zajęła im ponad pół godziny. Na głównej drodze Cal zobaczył historyczne pojazdy, które fascynowały go, gdy je oglądał w telewizji. Pędziły z rykiem silników. Pokręcił z uznaniem głową, widząc, jak Libby zręcznie je wyprzedza.

- Mógłbym cię w godzinę nauczyć prowadzenia mikrodrzewca - zauważył.

Czuła na twarzy wiatr, przepełniało ją szczęście. Na pewno będą razem dziś, może jeszcze dzień lub dwa. Nie chciała zmarnować ani chwili.

- Czy to komplement? - zapytała.

- Aha. Czy nadal używacie benzyny?

- Tak.

- Zdziwiająca.

- Lubisz się wymądrzać, a nie umiałeś nawet uruchomić mojego samochodu.

- W końcu mi się udało. - Dotknął kosmyka jej włosów. - Gdybym był w domu, polecilibyśmy na obiad do Paryża. Byłaś tam kiedyś?

- Nie. - Spróbowała się nie zastanawiać nad urokiem takiej wycieczki. - Musimy się zadowolić pizzą w Oregonie.

- Wspaniale brzmi. Wiesz, najdziwniejsze jest niebo, nic na nim nie ma. - Przejechał koło nich pojazd, z którego wydobywał się jakiś ogłuszający hałas. - Co to takiego?

- Samochód.

- Powiedzmy. Ale co to za ryk?

- Muzyka. Hard rock. - Libby włączyła radio. - To także rock, chociaż nie taki ostry - wyjaśniła.

- Dobrze.

Patrzył na mijane budynki. Schludne domy jednorodzinne, osiedla, centrum handlowe. Gdy zbliżyli się do miasta, natężenie ruchu wzrosło. Cał dostrzegł kanciaste zarysy biurowców i domów mieszkalnych. Ciasno stłoczone, wyznaczały na niebie dziwną, lecz miłą dla oka linię. Przebywali w nich ludzie, toczyło się życie.

Libby zjechała z autostrady i skierowała się do centrum.

- Znam fajną włoską restaurację, bardzo tradycyjną. Czerwone obrusy, świece w butelkach i pizza z pieca na drewno.

Cał skwitował tę informację skinieniem głowy. Patrzył na ludzi na chodnikach. Starszych, młodszych, nijakich, ładnych. Słyszał hałas silników, niekiedy niecierpliwy klakson. Powietrze było tu cieplejsze, przesiąknięte zapachem spalin. Miał wrażenie, że ożyły obrazy ze starych książek.

Libby wjechała na zwirowany parking przy przysadzistym, biało - zielonym budynku, z neonowym napisem „Rocky's” nad wejściem.

- No cóż, to nie Paryż - zauważyła.

- Jest świetnie - odpowiedział, nie przestając się rozglądać. - Wiesz, tu jest trochę tak, jak u H.G. Wellsa.

- To dobrze, że chociaż literatura przetrwała. Jesteś głodny?

- Ja chyba już urodziłem się głodny.

Zmusił się, by odegnać zły nastrój. Skoro Libby potrafi, to ja też, pomyślał.

Wnętrze restauracji okazało się mroczne i niemal puste. W powietrzu unosiły się intensywne zapachy. W rogu stała szafa grająca. Odtwarzała jeden z czterdziestu najmodniejszych przebojów. Libby zaprowadziła Cala do stolika.

- Robią tu naprawdę świetną pizzę - poinformowała. - Jadłeś już coś takiego?

Wskazał palcem butelkę ze świecą.

- Niektórych rzeczy czas się nie ima. Między innymi pizzy.

Podeszła kelnerka, zażywna młoda kobieta w jaskrawoczerwonym fartuchu. Przy podkładkach z mapą Włoch położyła papierowe serwetki.

- Poprosimy jedną dużą - powiedziała Libby, uwzględniając apetyt Cala - z dodatkowym serem i pepperoni. Masz ochotę na piwo? - - zwróciła się do towarzysza.

- Aha. - Oderwał kawałek serwetki. Z namysłem zwinął go kciukiem i palcem wskazującym.

- Jedno piwo i jedną dietetyczną colę.

- Dlaczego wszyscy tutaj są na diecie? - zapytał Cal, zanim jeszcze kelnerka się oddaliła. - Większość reklam dotyczy chudnięcia, zaspokajania pragnienia i utrzymywania czystości.

Libby zignorowała zdziwione spojrzenie kelnerki, która odchodząc, zerknęła jeszcze na nich przez ramię.

- Jak wynika z badań socjologicznych - wyjaśniła - nasza kultura jest zdominowana przez fizyczne aspekty istnienia. Mamy obsesję na punkcie zdrowia i prawidłowego odżywiania się. Liczymy kalorie, ćwiczymy i jemy masę jogurtu. I pizzy - dodała z uśmiechem. - Reklama odzwierciedla styl życia i żeruje na naszych lękach.

- Podoba mi się twoja fizyczność.

- Dziękuję.

- I twoja twarz - dodał z uśmiechem. - I brzmienie twojego głosu, gdy jesteś zakłopotana.

Westchnęła.

- Może lepiej posłuchajmy muzyki?

- Muzyka umilkła.

- Możemy wrzucić monetę.

- Do czego?

- Do szafy grającej. - Wstała z uśmiechem i wyciągnęła rękę. - Chodź, wybierzesz piosenkę.

Cal przyjrzał się kolorowej maszynie, przeczytał tytuły.

- Tę - powiedział. - I tę. I jeszcze tamtą. Jak to działa?

- Przede wszystkim, jeśli nie masz drobnych, musisz rozmienić.

- Dziękuję, na razie mam dosyć zmian.

- Nie zmienić, a rozmienić. Żeby mieć ćwierćdolarówkę. - Chichocząc, pogrzebała w portmonetce. - W dwudziestym trzecim wieku nie używa się monet?

- Nie. - Wziął od niej pieniądze i przyjrzał się mu. - Ale słyszałem o nich.

- My ich często używamy. - Odebrała mu monetę. Wrzuciła ją i jeszcze dwie inne do otworu. - Eklektyczny wybór, Hornblower - zauważyła.

Z szafy popłynęła muzyka.

- Co to jest?

- Ballada.

- Lubisz tańczyć?

- Tak, nieczęsto mam... - Umilkła, gdyż poczuła, że ją obejmuje. - Cal...

- Ciii... - Otarł policzek o jej włosy. - Chcę usłyszeć słowa.

Tańczyli, właściwie tylko się kołysali w takt płynącej z głośników muzyki. W głębi sali matka, która przysłała na pizzę z dwojgiem dzieci, oparła głowę na dłoni i patrzyła na nich z przyjemnością i zazdrością. Za oszklonymi drzwiami kuchni mężczyzna z krzaczastymi wąsami wyrabiał energicznie ciasto.

- To jest smutna piosenka - zauważył Cal.

- Nie. - Z głową na jego ramieniu mogła się tak kołysać w nieskończoność, marzyć. - To o miłości, która przetrwa.

Nagle muzyka ucichła. Po chwili rozległ się dziki, pierwotny wrzask i ogłuszające dudnienie.

- A to?

- To o młodości - wyjaśniła bez przekonania. Zakłopotana, odsunęła się od Cala, dostrzegając przez oszklone drzwi uśmiech kucharza. - Powinniśmy już usiąść.

- Chciałbym jeszcze raz z tobą zatańczyć.

- Kiedy indziej. W takich lokalach zwykle się nie tańczy.

- W porządku. - Wrócili do stolika, na którym stała już cola i piwo. Smak napoju podziałał na Cala kojąco, tak jak na Libby smak płynu z lodówki na statku kosmicznym. - Jak w domu - zauważył.

- Przepraszam, że nie od razu ci uwierzyłam.

- Na początku sam sobie nie wierzyłem. - Naturalnym gestem sięgnął przez stół i wzięł ją za rękę. - Powiedz mi, co tutaj ludzie robią na randce?

- No cóż... - Poczwała, że serce zabiło jej żywiej. - Idą do kina albo restauracji.

- Chciałbym cię znów pocałować. Spojrzała mu w oczy.

- Naprawdę nie sędzę...

- Nie chcesz, żebym cię pocałował?

- Jeśli ona nie chce - kelnerka postawiła przed nimi pizzę - ja kończę pracę o piątej.

Cal uśmiechnął się do niej promiennie. Gdy odeszła, powiedział:

- Jest bardzo miła, ale wolę ciebie.

- Wspaniale. - Cofnęła rękę i zaczęła jeść. - Musisz się ciągle zachowywać tak niezdolnie?

- Chyba tak. Ale wiesz, bardzo cię lubię. - Odczekał chwilę. - Teraz ty powinnaś powiedzieć, że lubisz mnie.

- Zastanawiałam się nad tym. Na pewno lubię cię najbardziej spośród tych ludzi z dwudziestego trzeciego wieku, których poznałam.

- Dobrze i to. Zabierzesz mnie do kina?

- Czemu nie.

- Będzie jak na randce? - Znów wziął ją za rękę.

- Nie. - Oswobodziła dłoń. - Potraktujmy to jako element szkolenia na temat dwudziestego wieku.

Uśmiechał się. Coraz szerzej, coraz bardziej niebezpiecznie.

- W każdym razie zamierzam cię pocałować na dobranoc.

Gdy wrócili do domku, zapadł już zmrok. Libby odczuwała zmęczenie. Otworzyła drzwi i z ulgą rzuciła torebkę na fotel.

- Nie zrobiłem przecież żadnego przedstawienia - upierał się Cal.

- Nie wiem, jak u ciebie nazywają sytuację, w której wyprasza się kogoś z kina. U nas można to określić jako zrobienie z siebie widowiska.

- Wygłosiłem tylko kilka drobnych, celnych uwag o tym filmie. Nie słyszałaś o wolności słowa?

- Hornblower... - Opanowała się szybko. Podeszła do kredensu po brandy. - Nazwanie filmu kupą gwiazdnych odchodów jest nie tyle korzystaniem z prawa do wolności słowa, co niegrzecznością.

Wzruszył ramionami, opadł na kanapę i położył nogi na stoliku.

- Daj spokój, Libby, te bzdury o stworzeniach z Galaktyki najeżdżających Ziemię... Mam kuzyna na Galaktyce. On nie jest krwiożerczy i nie ma żadnych przyssawek na twarzy.

Nie powinnam była go zabierać na tego rodzaju film, zreflektowała się. Ponieważ uznała, że nie jest bez winy, nalała brandy i jemu.

- To fikcja, Hornblower, fantazja.

- Chora wyobraźnia.

- Niech będzie. Ale ludzie w kinie zapłacili, żeby to obejrzeć.

- Nonsens o istotach wysysających z ludzi wodę? I ten skandal z użyciem broni laserowej... Wiesz, jaki tam jest ruch? - Ilu niewinnych ludzi by ucierpiało?

- Nie, nie wiem. - Upiła kolejny łyk brandy.

- Wiesz co, następnym razem obejrzymy western. Przypomnij mi, żebyś cię przypadkiem nie zabrała na „Star Trek”.

- „Star Trek” to klasyka - obruszył się. Zachichotała.

- Nie zwracaj na mnie uwagi - poprosiła. - Ten cały dzień trochę mnie wytrącił z równowagi.

- Dojdiesz do siebie. - Objął ją. Czuł się dobrze. Blask lampy, brandy, zapach kobiety. Mojej kobiety, pomyślał, choć tylko przez chwilę. - Wiesz - dodał - podoba mi się tu bardziej niż w kinie. Opowiedz mi o Liberty Stone.

- Nie ma dużo do opowiadania.

- Opowiedz. Tak, żebym mógł to ze sobą zabrać.

- Urodziłam się tutaj, o tym już wiesz.

- Tak, w łóżku, w którym teraz śpię.

- Aha. Moja matka tkła. Koce, kilimy, dywaniki. Sprzedawała je, dzięki czemu mieliśmy dodatkowe dochody. Jedliśmy to, co ojciec wyhodował w ogrodzie.

- Byli ubodzy?

- Nie, byli dziećmi lat sześćdziesiątych.

- Nie rozumiem.

- To trudno wyjaśnić. Chcieli się znaleźć bliżej natury, bliżej siebie. Taki bunt przeciwko instytucjom państwowym, przemocy, ówczesnym stosunkom społecznym. Mieszkaliśmy więc tutaj, a matka wymieniała swe wyroby na potrzebne nam artykuły, czasami je sprzedawała w okolicznych miastach. Kiedyś pewien marszand przyjechał tu z rodziną na wakacje pod namiotem. Obejrzał wyroby mojej matki... - Uśmiechnęła się. - No i tak zaczęła się jej kariera.

- Caroline Stone - powiedział.

- No cóż, tak.

Roześmiał się, dopił brandy i niemal tym samym ruchem, płynnie, sięgnął po butelkę.

- Prace twojej matki są w muzeach. - Nagle zaskoczony uniósł róg koca, na którym siedzieli. - Widziałem to w Smithsonian.

Dolał jej brandy.

- To się robi coraz dziwniejsze. - Upiła łyk. Brandy pogłębiała poczucie nierzeczywistości. - Powinniśmy porozmawiać o tobie. Chcę zrozumieć, mam tyle pytań. - Nie mogła usiedzieć w miejscu. Z kieliszkiem w ręku wstała i zaczęła chodzić po pokoju. - Najdziwniejsze, co przyszło mi na myśl... pamiętam, jak mówiłeś o Filadelfii i Paryżu. Wiesz, co to oznacza?

- Co?

- Że się nam udało. - Uniosła kieliszek, jakby wznosiła toast, potem lekkomyślnie wypiła jego zawartość. - Wszystko to nadal istnieje. Nieważne, że niejednokrotnie ludzkość stawała na krawędzi zagłady. Ważne, że przetrwała. Filadelfia istnieje w przyszłości,

Hornblower, to najcudowniejsza rzecz, jaką mogę sobie wyobrazić. - Śmiejąc się, okręciła się wkoło.

- Nie wiem, jak ci podziękować za taką dobrą nowinę.

Samo patrzeć na nią sprawiało, że prawie tracił zmysły. Miała policzki zaczerwienione z podniecenia. Szczupłe ciało poruszało się z niewysłowioną gracją. Pragnienie, by ją osiąść, stało się już jego obsesją.

Ostrożnie wciągnął powietrze w płuca.

- Cieszę się, że mogłem przekazać dobrą nowinę.

- Chciałabym wiedzieć wszystko, absolutnie wszystko. Jak ludzie żyją, co czują. Jak się zalecają, kochają i biorą ślub. W jakie gry grają dzieci? - Nachyliła się, by nalać sobie jeszcze trochę brandy. - Czy na meczach baseballowych nadal sprzedają hot dogi? Czy poniedziałek jest w dalszym ciągu najgorszym dniem tygodnia?

- Musisz zrobić listę. - Chciał, by nadal mówiła, poruszała się, śmiała. - Jeśli nie będę znał jakiejś odpowiedzi, komputer mi pomoże.

- Listę. Oczywiście. Wiem, że są też ważniejsze pytania. Rozbrojenie, pokój, lekarstwo na raka i na przeziębienie. Chciałabym jednak wiedzieć wszystko, także o drobiazgach życia codziennego. - Niecierpliwie odgarnęła włosy z twarzy. Słowa nie nadały za myślami. - Co chwilę wpada mi do głowy coś nowego.

- Czy ludzie nadal urządzają w niedziele pikniki? Czy uporaliśmy się z głodem i bezdomnością? Czy wszyscy mężczyźni w twoich czasach całują tak jak ty?

Kieliszek znieruchomiał w połowie drogi do ust Cala. Cal odstawił go. Bardzo powoli, bardzo ostrożnie.

- Nie wiem. Wiem tylko, jak całują kobiety.

- Nie mam pojęcia, dlaczego tak szybko mówię.

- Ona również odstawiła kieliszek. - Chyba jestem trochę nabuzowana.

- Jaka?

- Zdenerwowana, podniecona. Zakłopotana. Och, Caleb, zawsze jestem przy tobie zmieszana, nawet przed... przed tym wszystkim.

- No, to mamy remis.

Patrzyła na niego. Nie poruszył się, zobaczyła jednak, że jest spięty.

- Dziwne - zauważyła. - Zwykle nie przyprowadzam nikogo o zmieszanie. Z tobą nic nie idzie tak, jak zakładałam. Chyba jestem tchórzem. Za każdym razem kiedy koło mnie przechodzisz, mam ochotę uciec.

- Zamknęła oczy. - Nieprawda. Zapytałeś mnie kiedyś, czy się ciebie boję. Odpowiedziałam, że nie. To też nie było prawdą. Boję się. Ciebie, siebie samej, tych wszystkich myśli, których nie miałam nigdy przedtem.

- Zaczęła znów chodzić po pokoju. Chwyciła poduszkę, odrzuciła ją. Przesunęła lampę. - Chciałabym wiedzieć, co robić, co mówić. W takich sytuacjach nie mam żadnego doświadczenia. I, cholera, chciałabym, żebyś mnie wreszcie pocałował i przerwał ten chaotyczny słowotok.

- Libby, wiesz, że cię pożądam, nie utrzymywałem tego w tajemnicy. Jednak skoro za kilka dni zniknę z twego świata...

- Właśnie o to chodzi. - Nagle zachciało się jej płakać. - Znikniesz. Nie chcę się zastanawiać, jak mogłoby być. Chcę wiedzieć. Czuję... och, nie wiem, co czuję. Wiem tylko jedno, że chciałabym się dziś z tobą kochać. - Zatrzymała się, wstrząśnięta faktem, że wypowiedziała tę myśl na głos. Zdumiona, że nigdy jeszcze nie powiedziała czegoś równie prawdziwego. Potem nagle się uspokoiła. Była już absolutnie spokojna i absolutnie pewna. - Caleb - powtórzyła - chcę się dziś z tobą kochać.

Wstał. Ręce, które trzymał w kieszeniach, zacisnął w pięści.

- Kilka dni temu to mogło być łatwe. Teraz wszystko się zmieniło. Bardzo mi na tobie zależy, Libby.

- Zależy ci, więc nie chcesz się ze mną kochać?

- Chcę, tak bardzo, że to niemal boli. - Gdy ich spojrzenia się spotkały, miała pewność, że nie skłamał. - Wiem jednak, że wypijaś sporo brandy, a to, co miałoby się zdarzyć, to dla ciebie o wiele za dużo. - Nie ośmielił się jej dotknąć. - Są pewne zasady, Libby.

Czuła, że jest na krawędzi największego przełomu w swoim życiu. Podeszła do niego i wyciągnęła ręce.

- Złam je - zażądała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Słyszał bicie własnego serca, czuł przepływającą przez tętnice krew. W przyćmionym świetle Libby wyglądała tajemniczo, mimo workowatego swetra niesłychanie erotycznie. Miała zmierzwiłone włosy, od wiatru i ciąglego ich poprawiania. Mógł sobie wyobrazić, aż zbyt wyraźnie, jak czułby się, gdyby je pogłaskał. Jak wyglądałaby, gdyby zerwał z niej luźne ubranie, odsłonił szczupłe i gorące ciało. Wziął głęboki oddech i spróbował myśleć trzeźwo.

- Libby... staram się myśleć jak mężczyzna, którego mogłabyś zrozumieć, jak ktoś z twoich czasów. Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

- Lepiej myśl po prostu jak ty sam. - Chciała zachować spokój, pewność siebie. Na podjęcie takiej decyzji czekała długie lata. Wiedziała już na pewno, czego chce. Odzywały się jednak nerwy, z powodu sytuacji, z powodu podniecenia, jednocześnie zaś głęboko skrywanych wątpliwości co do tego, jak sobie poradzi jako kobieta. - Czas nie zmienia wszystkiego, Caleb.

- Nie.

Wiedział, że mężczyźni musieli mieć podobne odczucia już od zarania ludzkości. Gdy jednak spojrzął na Libby, zaczął się obawiać, że to co czuje, wykracza daleko poza pierwotny instynkt. Im bardziej starał się myśleć racjonalnie, tym okazywało się to trudniejsze.

Libby zwalczyła chęć opuszczenia wzroku; patrzyła mu prosto w oczy.

- Nie chcesz mnie? - zapytała.

- Dziesiątki razy wyobrażałem sobie, że się z tobą Kocham.

Zadrzała, obawy się wzmogły.

- Gdzie byliśmy? - indagowała.

- Tutaj. Albo w lesie. Albo tysiące kilometrów stąd, w kosmosie. Koło mojego domu jest staw z krystalicznie czystą wodą, na brzegu kwiaty, które posadził mój ojciec. Tam także widziałem cię ze mną.

Bolało, bardzo, to że mógł wrócić nad staw, który dla niej pozostanie niedostępny. Teraz liczyły się jednak tylko te chwile, kiedy byli razem, kiedy mogli się mieć. Podeszła do niego. Wiedziała, że musi to zrobić pierwsza.

- Pocałuj mnie, Caleb, to dobry początek - poprosiła.

Jak mógłby się oprzeć? Chyba żaden mężczyzna by nie mógł. Widział jej duże, ciemne oczy, lekko rozwarte usta, oczekujące. Ostrożnie, dotknął ich wargami. Jej słodkie

westchnienie odczuł we wszystkich zakątkach ciała. Poczul pożądanie, dzikie, nie dające się stłumić. Ostatkiem sił spróbował ją odsunąć.

- Libby...

- Nie zmuszaj mnie, żebym cię uwiodła - szepnęła.

- Nie bardzo wiem, jak to się robi.

Ze zduszonym śmiechem przyciągnął ją do siebie, zatopił twarz w jej włosach.

- Za późno, już to zrobiłaś.

- Tak? - Poczula, że chwycił lekko zębami koniuszek jej ucha. - Nie wiem, co robić dalej - poskarżyła się.

- Co zechcesz - odparł, biorąc ją na rękę.

- Ruszył w kierunku schodów. Chciał ją położyć na łóżku, w którym o niej marzył. W bladym świetle księżycy wyglądała zjawiskowo. Da jej wszystko, na co go stać. Przyjmie wszystko, co od niej dostanie. Czuł, jak narasta w nim rozkosz, jak stopniowo otula jego ciało, warstwa po warstwie. Wkrótce również Libby dowie się, jak to jest.

Rozebrał ją, bardzo powoli. Cieszył go każdy skrawek odkrywanego ciała, smukłe kostki, piękna linia ramion. Widział, jak oczy Libby stają się coraz szersze, coraz bardziej zamglone.

Pocałował ją w rękę.

- Właśnie taką cię widziałem - powiedział cicho. - Nawet kiedy próbowałem uwolnić się od twojego obrazu - dodał.

Myślała, że będzie się czuć niezręcznie, nawet głupio. Teraz leżała naga w świetle księżycy. Czula, że jest piękna, widziała to w oczach Cala.

- A ja chciałam tu być z tobą, nawet wtedy, gdy się (przed tym broniłam.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, żeby go rozebrać.

Chciał być cierpliwy i bardzo delikatny. Wiedział, w odróżnieniu od Libby, że do spełnienia prowadzi mnóstwo różnych ścieżek. Powinna je poznać, by ten pierwszy raz był cudowny. Jej niedoświadczone ręce sprawiły jednak, że zawrzał. Stłumił jęk.

Zesztywniała.

- Czy robię coś źle?

- Nie. - Spróbował się roześmiać, choć trochę uspokoić. - Może nawet za dobrze. - Odsunął się i zrzucił resztę ubrań. - Później poproszę cię, żebyś mnie tak rozebrała. Teraz muszę się choć trochę kontrolować. Są rzeczy, które pragnę ci pokazać, miejsca, w które chcę cię zabrać. Zaufaj mi.

- Ufam.

Dygotała jednak jak w febrze. Czuła jego ciało, lecz miała wrażenie, że przebywa w ekscytującym śnie. Czuła jego dłonie, ich ciepło. Złączyli usta w pocałunku, długim, zmysłowym. Potem jego dłonie znalazły punkt, jakieś miejsce u podstawy kręgosłupa. Ten dotyk sprawił, że cały świat wokół Libby zawirował.

Cał zdusił ustami jej krzyk. Reakcja jej wyprężonego ciała wprawiła go w zdumienie. Mógł od niej spłonąć, choć czuł, że pożądanie nie jest teraz najważniejsze. Wiedział, że przyjęłaby go z radością, nie chciał jednak kończyć, chciał, by Libby w pełni rozkwitła.

Znalazł w sobie dość sił na zachowanie resztek samokontroli. Pragnął przedłużyć moment rozkoszy. Zdawał sobie sprawę, jak krucha i wrażliwa jest Libby. W świetle księżyca jej uroda nabrała dziwnego, nieziemskiego blasku.

Żadna fantazja nie mogła się z tym równać, tym bardziej żadna inna kobieta. Ujął Libby za rękę. Wiedział, że nie znajdzie słów, by wyrazić swe uczucia.

Mógł jednak okazać to w inny sposób.

Na przemian płynęła i pędziła. Potem unosiła się w powietrzu. Kochanie się z nim było miliardem odczuć i smaków, burzą zmysłów, symfonią dźwięków. Dotykała go, czuła, że drży równie mocno, jak ona. Pragnęła myśleć, dogłębnie przeżywać każdą sekundę, mogła jednak tylko doświadczać.

Uniósł ją tak, że teraz klęczeli na środku łóżka, spleceni. Jęknął i zaczął całować jej szyję. Wbiła mu paznokcie w plecy, co go jeszcze bardziej podnieciło. Zamienił się w czyste pożądanie, bardziej dzikie i nieokiełznane, niż mógłby sobie kiedykolwiek wyobrazić. Była otwarta, otwarta dla niego, tylko dla niego. Niemal zemdlał na myśl, że da mu to, czego nie dała nikomu innemu.

Powinien postępować rozważniej, delikatniej. Odsunął się trochę, zmienił mocny uścisk w subtelną pieśczętę. Nachylił się do jej piersi, pieścił je i drażnił.

Była drobna, delikatna. To pomagało wyzwolić czułość, którą pragnął jej okazać. Gdy jednak znów położył ją powoli na łóżku, przyciągnęła go gwałtownie do siebie.

Tak długo na to czekałam... Ta myśl przebiegała jej przez głowę, gdy zaczął się z nią kochać.

Był doświadczony, wiedział, jak przenieść ją z krainy przyjemności do aksamitnej przestrzeni bezgranicznej rozkoszy, zarezerwowanej dla namiętnych kochanków. Ona była niewinna, przyjęła go jednak łatwo, naturalnie. Wszedł w nią, ona zaś zamknęła się wokół niego. Nastąpiło połączenie ciał, serc i czasu.

Chmury. Ciemne, o srebrzystych brzegach. Libby unosiła się na jednej z nich. Chciałaby tak płynąć do końca świata. Ręce ześlizgnęły się z pleców Cala, opadły na

prześcieradło. Nie miała siły, by je unieść i znów go objąć. Nie mogła też wydobyć głosu. A chciałaby powiedzieć, żeby się nie ruszał, żeby jej nie zostawiał. Leżał na niej. Zamknęła oczy, wsłuchując się w bicie jego serca.

Jedwab. Jej skóra była jak gorący, pachnący jedwab. Cal wiedział, że nigdy się nie nacieszy ani nie nasyci. Leżał z twarzą zatopioną w jej włosach, czuł, że nie potrafi jej opowiedzieć, jak bardzo go poruszyła. Jak jej powiedzieć, że ta chwila jest lepsza niż powrót do domu, niż szybowanie w przestworzach, które tak ukochał. Jak pogodzić się z faktem, że odnalazł swoją drugą połowę w miejscu i czasie, w którym był obcy?

Nie będzie o tym myślał. Zbliżył usta do jej szyi. Dopóki to możliwe, postara cieszyć się chwilą.

- Jesteś taka piękna. - Zsunął się i uniosł na łokciu, by widzieć jej twarz, bladą w świetle księżycy, rozjaśnioną miłością. W jej oczach dojrzał wspomnienie przeżytej pasji. - Bardzo piękna - dodał i pocałował ją. - Twoje ciało jest nadal gorące. - Zaczął ją głaskać. Była jak pokusa, której nie sposób się oprzeć.

- Chyba już nigdy nie zdołam ochłonać. - Poczula na nowo przypływ pożądania. - Caleb... Sprawiasz, że się czuję...

- Jak? Powiedz, jak się czujesz? - dopytywał się.

- Magicznie. Bezradnie. I jakbym była niezwykle silna. Nie wiem...

- Zamierzam znów się z tobą kochać, Libby. - Zgniółł jej usta gwałtownym pocałunkiem, który pozbawił ich oboje tchu. - Potem jeszcze i jeszcze, za każdym razem inaczej.

Widziała, że narasta w nim siła. Przeraziłoby ją to, gdyby nie jej własna żądza. Spojrzała mu w oczy, a potem uniosła ręce, by go do siebie przyciągnąć.

Leżeli spleceni w mroku nocy, słuchali szumu drzew poruszanych wiatrem. Miał rację, pomyślała Libby. Za każdym razem było inaczej, choć równie wspaniale. Mogłaby spędzić resztę życia, wspominając tylko tę jedną noc.

- Śpisz?

- Nie.

- Szkoda, mógłbym cię obudzić. Na pewno bym to zrobił. Libby?

- Tak?

- Czegoś mi brakuje.

- Czego?

- Jedzenia.

- Jesteś głodny? Teraz? - Muszę zregenerować siły. Uśmiechnęła się.

- Jak dotąd nie narzekałeś chyba na ich brak.

- Jak dotąd? - Gdy zachichotała, wciągnął ją na siebie. - Ale jeszcze nie skończyłem.

Dlaczego nie miałbym popatrzeć, jak robisz mi kanapkę?

- A zatem, męski szowinizm przetrwał do dwudziestego trzeciego wieku.

- Przecież rano to ja przygotowałem śniadanie. Przypomniała sobie małą, srebrzystą torbę.

- Mniej więcej.

Czy to się wydarzyło rano? - Czy życie może się aż tak zmienić w ciągu kilku godzin - Jej odmieniło się.

- Niech będzie.

Chciała wstać, lecz jej nie pozwolił.

- Najpierw to, co najważniejsze - oświadczył.

Później, Libby założyła z trudem szlafrok. Zastanawiała się, czy podoła prostemu zadaniu polegającemu na ukrojeniu chleba i położeniu na nim kilku plasterków wędliny. Całkiem niemal całkowicie pozbawił ją sił.

Usiadł na krawędzi łóżka, bezwstydnie nagi.

- Masz jakieś ciasteczka, które mógłbym zjeść po kanapce? - zapytał.

- Prawdopodobnie.

Nie chciała na niego patrzeć. Właściwie chciała. Wiedziała, że to głupie, ale zaczerwieniła się. Gdy podszedł do drzwi, obrzuciła go spłoszonym spojrzeniem. Chrząknęła.

- Chyba nie chcesz zejść do kuchni w takim stanie.

- W jakim stanie?

- Bez... musisz coś na siebie włożyć.

Oparł się ręką o futrynę i uśmiechnął. Rumieniec Libby sprawiał mu przyjemność.

- Dlaczego? Przecież już wiesz, jak wyglądam.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

Wskazała kłęb ubrań na podłodze.

- Włóż coś - poprosiła.

- Może być sweter?

- Bardzo zabawne, Hornblower.

- Jesteś wstydliva - stwierdził z zadowoleniem. Gdy ruszył w jej kierunku, porwała z podłogi dzinsy i rzuciła w niego.

- Jeśli chcesz, żebym ci zrobiła kanapkę, musisz okryć pewne swoje... walory.

Nadal się uśmiechając, wciągnął spodnie. Skoro tak, będzie później musiała je ze mnie zdjąć, pomyślał z satysfakcją. Zadowolony z takiego obrotu sprawy ruszył za Libby po schodach.

- Może tymczasem napełniłbyś czajnik? - zasugerowała, otwierając lodówkę.

- Czym?

- Wodą - wyjaśniła z westchnieniem. - Po prostu wodą. Postaw go potem na tej okrągłej płytce i przekręć małą gałkę, która jest niżej. - Wyjęła szynkę, ser i pomidor. - Chcesz musztardę? - zapytała.

- Hmm. - Przyglądał się kuchence. - Jasne. Ludzie w tych czasach muszą mieć ogromne pokłady cierpliwości, uznał, sprawdzając palcem, czy płytka już się nagrzała. Miało to jednak pewne zalety. Jedzenie przygotowywane przez Libby było nieporównywalnie lepsze od tego, do którego był przyzwyczajony. No i dom. Choć jego własny był bardzo wygodny, miło było czuć pod bosymi stopami prawdziwe drewno, patrzeć na płomień w kominku.

No i sama Libby. Tyle że ona nie mogła być kimś zwykłym, nawet w tych dawnych, dziwnych czasach. Była nadzwyczajna, miała wszystko, czego kiedykolwiek szukał w kobiecie. Nagle poczuł ból. Krzyknął i odskoczył od kuchenki.

- Co się stało?

- Nic. Oparzyłem się w palec.

- Nie baw się kuchenką - poradziła i powróciła do kanapek.

Wszystko, czego szukał w kobiecie? To niemożliwe. Przecież nie wiedział, czego pragnie. Skąd mógłby wiedzieć?

Ta myśl go przeraziła. Czyżby, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy w fotelu, miał już zakodowany w podświadomości jej obraz? Śmieszne. Przecież nawet jej wtedy nie znał.

Teraz jednak już ją zna.

Nie mógł być w niej zakochany. Patrzył, jak odrzuca włosy z twarzy i czuł, że ogarnia go rozpacz. Miłość? Przecież miłość, wszystko jedno czy w jego czasach, czy w jej, oznacza dom, rodzinę. Całe lata wspólnego życia. A oni byli skazani na rozłąkę...

Gdy woda w czajniku zaczęła wrzeć, odetchnął głęboko. Wszystko wyolbrzymiam, powiedział sobie. Libby jest wspaniała, spędziłem z nią cudowne chwile, może najpiękniejsze dni swego życia. Nie wolno mi jednak zapominać o faktach, ze względu na nią, na siebie, na nas oboje. Moje życie rozpoczęło się dwieście lat po jej życiu.

- Czy coś się stało?

Spojrzał na nią. Trzymała dwa talerze, miała pochyloną głowę. Jak zawsze, gdy o czymś intensywnie myślała.

- Nie. - Uśmiechnął się i wziął od niej talerze.
- Jedz, Hornblower. - Poklepała go po policzku.
- Od razu poczujesz się lepiej.

Chciałby uwierzyć, że to takie proste. Usiadł i patrzył, jak Libby robi herbatę.

To takie naturalne, myślała, jeść z nim kanapki w środku nocy. Tylko ich dwoje w przytulnej kuchni. Księżyc zachodzi, z lasu dobiega pohukiwanie sowy.

- Lepiej? - zapytała, gdy zjadł już połowę kanapki.

- Tak. - Napięcie, które odczuwał, teraz niemal ustąpiło. Wyciągnął nogi, tak że dotykał podbiciem kostki Libby. Taki dotyk działał uspokajająco, jak drzemka w deszczowe popołudnie. - Jak to się stało - zapytał - że jestem twoim pierwszym mężczyzną?

Niemal się zakrztusiła.

- Ja nie... - kaszlnęła. - Nie wiem, jak odpowiedzieć na takie pytanie.

- Uważasz je za dziwnej - Nachylił się i dotknął jej włosów. - Jesteś taka wrażliwa i atrakcyjna. Mężczyźni musieli cię pożądać.

- Nie... to znaczy... nie wiem. Nie zwracałam na to uwagi.

- Czy czujesz się zakłopotana, gdy mówię, że jesteś atrakcyjna?

- Nie. - Zaczerwieniła się jednak. - Może trochę.

- Na pewno nie jestem pierwszym, który ci to powiedział.

- Jesteś. Nie miałam wielu... towarzyskich kontaktów z mężczyznami. Moje studia... moja praca...

- Co to ma do rzeczy? No i twój charakter. Zabrałaś mnie do domu, opiekowałaś się mną, a przecież byłem dla ciebie kimś obcym.

- Nie zostawia się rannego człowieka na deszczu.

- Ty tak twierdzisz, lecz wiele osób ma chyba odmienne zdanie. Szukałaś mnie podczas burzy, pozwoliłaś mi u siebie mieszkać, chociaż działałem ci na nerwy. Jeśli wrócę do moich czasów, to tylko dzięki tobie.

Wstała, żeby zrobić jeszcze trochę herbaty, na którą wcale nie miała ochoty. Nie chciała myśleć o tym, że Cal ją opuści, choć wiedziała, że to nieuchronne.

- Nie uważam, by udzielenie ci schronienia i zrobienie jajecznicy było czymś nadzwyczajnym. - Uśmiechnęła się. - Jeśli jednak odczuwasz wdzięczność, miło mi.

Powiedziałem coś nie tak? - zastanawiał się. Widział to w jej oczach, nie mógł się jednak zorientować, o co chodzi. Uśmiechała się do niego, lecz jej oczy były smutne.

- Nie chcę cię zranić, Libby - powiedział po chwili zastanowienia.

Jej oczy poweselały, a on poczuł ulgę.

- Wierzę - usłyszał. Usiadła i dołała im obojgu herbaty. - Co zamierzasz zrobić? - zapytała. - Chodzi mi o twój powrót.

- Ile wiesz o fizyce?

- Tyle co nic.

- Ujmijmy to więc tak, że uruchomię komputer pokładowy. Uszkodzenie jest drobne, więc nie powinno z tym być problemu. Muszę cię poprosić, żebyś znów zawiozła mnie do statku.

- Oczywiście. - Poczula strach, lecz wzięła się w garść. - Rozumiem, że podczas obliczeń i napraw będziesz tam mieszkał?

Tak byłoby na pewno wygodniej, Cal jednak odpowiedział od razu:

- Miałem nadzieję, że pozwolisz mi zostać tutaj. Na pokładzie jest latający skuter, mogę więc łatwo krążyć pomiędzy statkiem a domem. Nie masz nic przeciwko temu?

- Nie, oczywiście nie. - Odpowiedziała szybko, za szybko. - Jaki latający skuter?

- Jeśli nie uległ zniszczeniu podczas wypadku, sama zobaczysz. Sprawdzimy jutro. Zamierzasz to jeszcze jeść?

- Co? Nie. - Przynęła mu nadgryzioną kanapkę. To śmieszne, pomyślała, ale nadal od czasu do czasu ogarnia mnie wrażenie, że śnię. - Cal - zaczęła powoli - wydaje mi się, że nie powinnam nikomu mówić ani o tobie, ani o tym, co tu się naprawdę wydarzyło.

- Wolałbym, żebyś z tym poczekała, aż odleczę. - Dokończył kanapkę. - Nie mam jednak nic przeciwko temu, byś o tym opowiadała.

- Fajnie. Powiedz mi, czy w dwudziestym trzecim wieku są jeszcze pokoje bez klamek?

- Pokoje bez klamek? To jakiś żart?

- W pewnym sensie. Nie sądzę, żeby ktokolwiek mi uwierzył.

- Mnie pewnie też nie uwierzą.

Nagle wpadła na pomysł. Może absurdalny, lecz fascynujący.

- Wiesz, mogłabym wszystko opisać, włożyć ten opis do pojemnika razem z jakimiś przedmiotami z mojej epoki i całość zapieczętować. Zakopalibyśmy to, może nad strumieniem. Gdy wrócisz w swoje czasy, odkopiesz pojemnik.

- No tak. - Spodobał mu się ten pomysł. Przecież w ten sposób miałby jakąś pamiątkę od Libby, nawet wtedy, gdy już rozdzielił ich wieki. Potrzebuję tego, uznał. Nie tylko dowodu na możliwość podróżowania w czasie, lecz również dowodu istnienia Libby. - Tak, sprawdzę wszystko w komputerze, żebyśmy nie zakopali pojemnika tam, gdzie powstanie jakiś budynek.

- Świetnie.

Wzięła z półki blok papieru i zaczęła pisać.

- Co robisz? - - zainteresował się.

- Notatki. - Zmrużyła oczy, żałowała, że nie ma okularów. - Musimy wszystko opisać, najpierw ciebie i twój statek. Co tam jeszcze włożymy? - zastanawiała się. - Może gazetę i fotografię. Musimy pojechać do miasta, do zakładu fotograficznego. Albo nie, kupię aparat, polaroid. W ten sposób będziemy mogli zrobić zdjęcia tutaj, w domu i na zewnątrz. Potrzebne są jeszcze jakieś rzeczy osobiste. - Dotknęła złotego łańcuszka na szyi. - Może jakieś sprzęty gospodarstwa domowego?

Zaafelowana, wyglądała bardzo powabnie. Nie mógł się powstrzymać. Wziął ją za rękę, dotknął ustami szyi.

- Cal...

- Tak?

Pocałował ją za uchem.

- Chciałam...

Blok wysunął się z jej dłoni i upadł na podłogę.

- Czego? Dziś możesz mieć wszystko, czego zapragniesz.

- Ciebie - poddała się. Westchnęła, gdy zsunął jej z ramion szlafrok. - Tak, po prostu ciebie.

- To życzenie łatwe do spełnienia.

Miał wiele pomysłów. Chciał sprawić, by kuchnia zaczęła się im kojarzyć już nie tylko z przytulnością. Nagle dostrzegł na twarzy Libby kilka śladów po zadrapaniu.

- Co to jest? - zapytał.

- Co takiego?

- Cholera, nie ogoliłem się dzisiaj. - Zły na siebie pochylił się i pocałował ją w policzek. - Jesteś taka delikatna.

- Nie czułam tego.

Chciała go do siebie przyciągnąć, lecz tylko pocałował jej włosy.

- Najpierw pójdę do łazienki i spróbuję użyć tego groźnego narzędzia. Chodź ze mną, przypilnujesz, żebym sobie nie poderzwał gardła.

- Narzędzie? - zapytała, gdy wchodzili na górę. - Nie wiesz, jak działa maszynka do golenia?

- My jesteśmy cywilizowani. Posiadanie narzędzi tortur jest zabronione.

- Tak? - Zgaduję więc, że kobiety nie noszą butów na wysokich obcasach ani obcisłych staników. Nieważne - mruknęła, gdy otworzył usta ze zdziwienia. - To długi temat, teraz nie mamy na to czasu. - Wyjęła z szafki maszynkę i piankę do golenia. - Możesz zaczynać.

- Racja. - Wpatrywał się z przerażeniem w trzymane w ręku przedmioty. Czego mężczyzna nie zrobi dla swojej kobiety, pomyślał. - Co teraz?

- Nigdy sobie nie goliłam twarzy. Wiem jednak, że powinienes nałożyć piankę, a potem przesuwać krawędź maszynki po brodzie i policzkach.

- Pianka do golenia - powtórzył z namysłem. - A więc to nie jest pasta do zębów.

- Nie... - Nie wytrzymała, ze śmiechu zaczęła się niemal zataczać. - Och, Hornblower, ty moje biedactwo. Jesteś rozczulający.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Budziła się powoli, niezadowolona z tego, że światło słoneczne przerywa jej sen. Chciała się poruszyć, lecz nie mogła, gdyż Cal ją obejmował. Więc po prostu wtuliła się w niego jeszcze mocniej.

Nie wiedziała, która godzina. Chyba po raz pierwszy w życiu nie miało to dla niej znaczenia. Rano czy popołudnie, nieważne, grunt, że leży przy nim, są jeszcze razem.

Pogłaskała go czule. Jest rzeczywisty, pomyślała. Do tego, na razie, należy do mnie. Widziała go, nawet gdy zamknęła oczy. Wszystkie rysy twarzy, każdą linię ciała. Czuła, że do niej należy, jak nikt dotąd. Nawet jej rodzice, chociaż bardzo ją kochali, należeli również do siebie, nie tylko do niej. A Sunny... Libby uśmiechnęła się na myśl o siostrze. Choć młodsza od niej o prawie dwa lata, zawsze była niezależna, śmiała, upierała się przy swoim zdaniu w sposób, którego Libby nawet nie próbowała naśladować.

Ale Cal... To prawda, że dopiero pojawił się w jej życiu i że niedługo zniknie. Na razie należał jednak do niej. Jego śmiech, poczucie humoru, jego namiętność... Wszystko to należało teraz do niej. Zachowa wspomnienie swych przeżyć, kiedy jego już nie będzie.

Myślał, że nadal śni, z tym że kształt, zapach i dotyk kobiety były bardzo, bardzo realne. Ciało Libby. Jej imię było pierwszą rzeczą, która przyszła mu na myśl, gdy się obudził.

Nie wiedział, kiedy zasnęli, pamiętał jednak, że gdy po raz ostatni wykrzyknęła jego imię, już świtało. Nie zapomni tego. Pod koniec nocy przestał już pełnić rolę nauczyciela, sam zaczął się uczyć.

Miał do wspomnienia coś więcej niż fizyczną przyjemność. Ufność i cierpliwość, hojność i radość. I to niesamowite uczucie, gdy wiesz, że po przebudzeniu partnerka wciąż przy tobie będzie.

Partnerka, pomyślał. Jego para. Czy sprawił to los, czy przypadek, że musiał podróżować w czasie, żeby ją odnaleźć? Nieważne, później się nad tym zastanowi. Teraz chciał tylko kochać się z Libby w świetle słońca.

Poruszył się i, zanim którekolwiek z nich do końca się obudziło, wszedł w nią. Jęknęła cicho i poszukała ustami jego ust. Poruszali się powoli, pogłębiali namiętny pocałunek.

- Kocham cię.

Usłyszał jej słowa, odpowiedział na nie jak echo.

To wzajemne wyznanie nie wywarło na nich żadnego wrażenia. Zbyt silnie przeżywali ogarniające ich na nowo fale rozkoszy. Ona nigdy nie wypowiedziała tych słów do żadnego mężczyzny, on zaś do żadnej kobiety.

Później, wtulił twarz w jej piersi, lecz już nie usnął. Powiedziała, że go kocha - On odpowiedział to samo? Najbardziej niepokoiło go, że nie był pewien, czy słowa te padły naprawdę, czy podsunęła mu je wyobraźnia.

Nie mógł jej o to zapytać. Nie ośmieliłby się. Każda odpowiedź by go zraniła. Jeśli go nie kochała, to tak, jakby utracił część serca, część duszy. Jeśli natomiast kochała, to rozstanie z nią będzie boleło jak śmierć bliskiej osoby.

Najlepiej dla nas obojga, uznał, będzie cieszyć się chwilą bieżącą. I zapamiętać wszystko, co się zdarzyło. Zamknął oczy. Cokolwiek się z nim stanie, będzie pamiętał.

Ona także. Chciał się upewnić, że zajmie miejsce W jej wspomnieniach.

- Chodź ze mną.

Wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Dokąd?

- Do łazienki.

- Znowu? - Śmiejąc się, usiłowała chwycić szlafrok, lecz wcześniej pociągnął ją za sobą. - Nie musisz się teraz golić. - To dobrze.

- Przecież zaciałeś się tylko trzy czy cztery razy i to z własnej winy. Po co zużyłeś prawie całą piankę do umycia zębów?

Uśmiechnął się.

- Fakt, wolałbym ją rozsmarować na tobie.

- Jeśli masz jakiś pomysł niekonwencjonalnego wykorzystania pasty do zębów...

- Może później. - Uniósł Libby i włożył do wanny. - Na razie zamierzam wziąć prysznic.

Krzyknęła cicho, gdy poczuła zimną wodę. Zanim zdążyła wziąć odwet lub choćby zaprotestować, wszedł do wanny.

Po chwili Libby dostała strumieniem ciepłej wody w twarz, prychnęła, zaczęła głośno krzyczeć. Nagle spostrzegła, że utonęła w długim, gorącym pocałunku. Ta sytuacja stanowiła dla niej nowość. Para w powietrzu, śliska skóra, namydlone dłonie.

Gdy ją wreszcie puścił, a potem owinął rącznikami, ugiwały się pod nią kolana. Równie oszołomiony, oparł czoło o jej czoło.

- Myślę - powiedział - że jeśli chcemy jeszcze coś zrobić, cokolwiek, lepiej wyjdźmy z domu.

- Racja. - Zdziwiła się, że ma jeszcze siłę się roześmiać. - Naturalnie.

Późnym popołudniem stali znów przy statku Cala. Z północy nadciągnęły chmury, przyniosły chłód. Zapinając kurtkę, Libby wmawiała sobie, że wcale nie jest jej zimno. Jednak chłód tkwił w niej samej, nie płynął z zewnątrz.

- Patrzę na to, wiem, że to naprawdę istnieje, a nadal nie mogę zrozumieć.

Cal skinął głową. Opuścił go dobry nastrój.

- Mam to samo wrażenie, kiedy patrzę na twój dom. - Czuł ból w skroniach, spowodowany prawdopodobnie napięciem. - Nie chcę cię dłużej zatrzymywać, wiem, że masz dużo pracy. Mogłabyś jednak poczekać, aż sprawdzę skuter?

- Tak. - Miała nadzieję, że zatrzyma ją na cały dzień. Żeby ukryć rozczarowanie, uśmiechnęła się do niego. - Właściwie chciałabym go zobaczyć.

- Zaraz wracam.

Otworzył luk i zniknął w środku pojazdu.

Wkrótce zrobi to samo, tylko że potem już nie wróci, pomyślała Libby. Musiała się na to przygotować. Dziwne, rano wydawało się jej, że Cal wyznał jej miłość. Nie, to nie mogło wydarzyć się naprawdę. Nie mógł tego powiedzieć. Nie zakochał się w niej tak głęboko, tak nieprzytomnie, jak ona w nim.

Tak, kochała go i chciała zrobić wszystko co w jej mocy, żeby mu pomóc. Przeżyła piękny dzień, potem najwspanialszą noc swego życia. Uśmiechając się, spojrzała na zachmurzone niebo. Wieczorem spadnie deszcz, pomyślała. Nie szkodzi.

Gdy usłyszała niski, metaliczny pomruk, spojrzała znów na statek. Otworzył się inny luk, towarowy, uznała po chwili namysłu. Westchnęła na widok Cala, który wyjechał na małym skuterze o opływowych kształtach. Pojazd unosił się dwadzieścia centymetrów nad ziemią i wydawał dziwny szum, nie jak zwykły skuter czy motocykl. Miał dwa koła i siodełko, lecz właściwie przypominał wygiętą ku górze rurę zakończoną kierownicą.

Cal podjechał do niej z fasonem. Zatrzymał skuter i wskazał go dumnie, jak dziesięciolatek demonstrujący nowy rower.

- Chcesz się przejechać?

Spojrzała nieufnie na małe wskaźniki i guziczki na tablicy pod kierownicą. Całość wyglądała jak zabawka.

- Nie wiem.

- Chodź, Libby. - Pragnął, by dzieliła z nim przyjemność jazdy. - Spodoba ci się. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

Spojrzała na niego, na skuter unoszący się nad pokrywającym ziemię igliwem. Wprawdzie maszyna była mała, lecz wąskie, czarne siodełko wydawało się wystarczająco szerokie dla dwóch osób. Korpus błyszczał metalicznym błękitem. Wyglądała nieszkodliwie, uznała po chwili. Nie wiedziała tylko, jak coś tak małego może mieć tyle mocy. Wzruszyła ramionami i usiadła za Calem.

- Trzymaj się - rzucił, głównie dlatego, że chciał poczuć jej ciało.

Siła wibracji przestraszyła ją, choć wiedziała, że to głupie. Cal również wyglądał na początku nieszkodliwie, przypomniała sobie.

- Hornblower, czy nie powinniśmy mieć kasków albo...

Słowa utonęły w hałasie, gdy przyspieszył.

Mogła krzyknąć, lecz zamiast tego zacisnęła powieki i chwyciła Cala tak mocno, że się roześmiał. Czuł, jak bije jej serce, tak szybko i mocno, jak w nocy. Zręcznie okrążył statek, potem ruszył wzdłuż zbocza.

Prędkość. Zawsze ją lubił. Czuł, jak powietrze omiata mu twarz, i przyspieszył jeszcze bardziej. Wzywało go niebo, jego pierwsza i niezmienna miłość. Oparł się jednak pragnieniu wzbicia się wyżej z obawy, że przestraszy Libby. Leciał więc przez las, omijał drzewa, przeskakiwał nad skałami i strumieniami. Spłoszył jakiegoś ptaka, który odleciał, protestując głośnym krakaniem. Cal poczuł, że Libby trzyma się go już mniej kurczowo, że oderwała twarz od jego pleców.

- No i co o tym myślisz? - zapytał triumfalnie. Już prawie mogła odetchnąć. Otworzyła ostrożnie jedno oko. Przełknęła ślinę.

- Myślę, że z pewnością cię zamorduję. Gdy tylko się zatrzymasz.

- Rozluźnij się.

Skręcił ostro w prawo, potem w lewo, żeby ominąć kępę drzew.

Łatwo powiedzieć, pomyślała. Kolejne spojrzenie upewniło ją, że lecą dwa metry nad ziemią. Chciała już twardo zażądać, żeby się zatrzymał, lecz wtedy nagle zrozumiała... Leciała. Nie w wielkim samolocie kilometry nad ziemią, lecz swobodnie, lekko. Czuła wiatr na twarzy, we włosach, chłoneła zapachy przedwiośnia. Żadnego ryku silnika, który by przeszkadzał. Latali po lesie jak ptaki.

Gdy skuter zawisł w powietrzu, Cal odwrócił się - spojrzał na Libby.

- Chcesz żebym opadł na ziemię? - zapytał.

- Nie, lećmy w górę.

Roześmiała się i odrzuciła głowę. Czuła już, że niebo może fascynować.

Odwrócił się i pocałował ją.

- Jak wysoko?

- A jak można?

- Nie wiem, ale chyba nie powinniśmy próbować. Jeśli wzlecimy nad drzewa, ktoś może nas zobaczyć.

Miał rację, oczywiście. Odgarnęła włosy z twarzy, zastanawiając się, dlaczego przy Calu zawsze traci rozsądek.

- No, to do wierzchołków drzew. Tylko raz - poprosiła.

Czuł, że go obejmuje.

Nigdy tego nie zapomni. Nieważne, ile razy będzie tak jeszcze latał. Ilekroć wzniesie się nad ziemię, przypomni sobie Libby. Śmiała się, a ten dźwięk pieścił jego uszy. Żałował tylko, że nie widział jej twarzy, gdy się wznosili. To było jak kochanie się z nią, czyste i radosne.

Poskromił chęć poszybowania wysoko, zatrzymał się na wysokości kilkunastu metrów. W dole widzieli cienki strumyczek i mały wodospad zasilany teraz roztopami. Słońce przebiło się przez chmury, połyskiwało wśród drzew.

Przez chwilę wpatrywali się w niebo, wypowiadali życzenia...

Potem Cal zwolnił i zaczęli opadać, lekko i bezgłośnie. Libby czuła, jak wiatr igra w jej włosach. Pomyślała o Piotrusiu Panu i czarodziejskim pyłe. Wreszcie osiedli na ziemi koło statku.

- W porządku.

Gdy się do niej odwrócił, Libby poczuła, że chłód znikł.

- Wspaniale, mogłabym tak latać przez cały dzień. Wziął ją za rękę.

- Cieszę się, że ci się podobało.

Już po wszystkim, pomyślała Libby, czując pod stopami twardy grunt. Miała jednak jeszcze jedno wspaniałe wspomnienie.

- Podobało? Kocham to! Nie będę cię nawet pytać, jak to działa. Wątpię, czy bym zrozumiała, no i wiedza zepsułaby mi przyjemność. - Trzymając go za rękę, spojrzała na statek. Jej uczucia wobec tego pojazdu były trudne do zdefiniowania. Statek przywiózł jej Calą, teraz go zabierze. - No dobrze, zabieraj się do pracy.

Cal toczył ze sobą wewnętrzną walkę.

- Wrócę mniej więcej o zmroku.

- Dobrze. - Puściła go, włożyła rękę do kieszeni. Trafisz?

- Jestem dobrym nawigatorem.

- Oczywiście. - Ptaki, które wystraszyli, zaczęły znów śpiewać. Czas mijał. - No cóż, chyba już pojedę.

Widział, że Libby się ociąga, on sam zresztą też. To głupie, powiedział sobie. Spotkamy się za kilka godzin.

- Mogłabyś ze mną zostać - szepnął - ale wtedy chyba niewiele bym zdziałał.

Odczuwała pokusę, by zapomnieć o zdrowym rozsądku. Mogłaby wejść z Cal'em do statku, odwracać jego uwagę, trzymać go z daleka od komputera... przedłużyć wszystko, choćby o kilka godzin. To nie byłoby w porządku, zreflektowała się.

- Ja także powinnam się wreszcie zabrać do pracy - oświadczyła.

- Dobrze. - Pocałował ją - W takim razie do zobaczenia wieczorem.

Stał w otwartym luku, patrzył, jak Libby odjeżdża. Gdy jednak dotarła do szczytu wzniesienia, by wkrótce za nim zniknąć, nie odwróciła się.

Libby poświęciła większość dnia na opisywanie zdarzeń ostatniego tygodnia. Wyjaśniając, w jaki sposób Cal się tu znalazł, cytowała jego słowa, jego teorię. Dodawała do tego własne spostrzeżenia. Potem odtworzyła wszystkie wydarzenia od czasu, gdy zobaczyła na niebie błysk, do momentu pozostawienia Cala przy statku.

Ta część pracy była najprostsza, zwykły opis faktów. Libby miała doskonałą pamięć. Wiedziała, że gdy zostanie sama, okaże się to zarówno błogosławieństwem, jak i przekleństwem. Na razie jednak przywołała na pomoc cały swój obiektywizm i sumiennie relacjonowała fakty, tak jak w swej pracy doktorskiej.

Gdy skończyła, przeczytała całość dwukrotnie, wprowadzając poprawki i uzupełnienia. Umiała pisać sprawozdania. Gdy Cal będzie relacjonował zdarzenia naukowcom swych czasów, może skorzysta z jej spostrzeżeń i wniosków.

To była fantastyczna opowieść, fantastyczna w dosłownym znaczeniu. Możliwe, że w czasach Cala zabrzmi to równie nieprawdopodobnie. Jak zareagują ludzie, gdy opowie im swoją przygodę? - Przypadkowy odkrywca, pomyślała z uśmiechem. No cóż, Kolumb odkrył Nowy Świat, gdy chciał dotrzeć do Indii.

Spodobała się jej myśl, że potraktują go jak bohatera, że jego nazwisko trafi do szkolnych podręczników.

Wygląda zresztą jak bohater, pomyślała. Wysoki i silny, z bandażem na głowie i policzkami pokrytymi zarostem. Potem się ogolił, dla mnie, przypomniała sobie z zadowoleniem.

A może był zwykłym człowiekiem swych czasów, kimś, kto wykonuje swą pracę jak inni, narzeka, kiedy musi wstąpić, czasem pije zbyt dużo albo zapomina o

rachunkach. Nie jest bogaczem, pomyślała. Caleb Hornblower to zwykły człowiek, który przypadkiem został kimś nadzwyczajnym.

Dla niej nie będzie nigdy zwykłym mężczyzną. Będzie tym jedynym.

Czy uda się jej pokochać kogoś innego? - Nie, pomyślała z przekonaniem, bez cienia wątpliwości. Odda się pracy i wspomnieniom. Na pewno już się nie zakocha. Zawsze, już od dziecka wierzyła, że jest jej pisany tylko jeden mężczyzna. Może dlatego łatwo jej przychodziło unikanie romansów, koncentrowanie się na pracy. Nie lubiła popełniać błędów. Uśmiechnęła się. Tak, błędów wystrzegala się jak ognia. W życiu osobistym i w pracy. To dlatego studiowała wszystko tak dogłębnie, rozważała wszystkie za i przeciw.

Opląciło się, pomyślała z uśmiechem. Zamknęła plik, otworzyła inny, zawierający kolejny rozdział jej pracy. Jak na swój wiek osiągnęła bardzo dużo, lecz nie zamierzała osiadać na laurach.

Długo czekała na pierwszego mężczyznę, jednak opląciło się. Miłość do Cala nie jest błędem. Zadowolona, poprawiła okulary na nosie i zagłębiła się w pracy.

Znalazł ją kilka godzin później, bez reszty pochłoniętą pisaniem. Na biurku stała zapalona lampka, światło padało na dłonie Libby.

Silne i zręczne, pomyślał. Chyba po matce artystce. Smukłe palce, krótko obcięte paznokcie bez śladu lakieru. Dostrzegł bladą bliznę u podstawy kciuka, którą zauważył już wcześniej. Chciał zapytać, skąd się wzięła.

Był zmęczony, nie fizycznie, a psychicznie. Teraz jednak, na widok Libby, ożywił się.

Gdy pracował, udawało mu się jakoś o niej nie myśleć. Dzięki temu osiągnął pewne postępy. Nie wiedział jednak na pewno, co powinien zrobić, by wrócić do domu. Ważył szanse, kalkulował ryzyko. Teraz, gdy patrzył na Libby, nałożyła się na to myśl o tym, co przyjdzie mu poświęcić.

Znał ją od niedawna. Musiał, koniecznie musiał sobie o tym przypominać. Jego życie nie upływało tutaj, z nią. Miał własny dom, tożsamość. Miał rodzinę, którą kochał bardziej, niż to sobie dotąd uświadamiał. Miał pracę.

Stał i patrzył na Libby. Mijały minuty, chłonał każdy jej oddech, każdy gest. Sposób, w jaki odrzuciła włosy na szyję, w jaki palce znieruchomiały, gdy przestała pisać. Kiedy wreszcie wypowiedział jej imię, w jego głosie brzmiało napięcie.

- Libby.

Zaskoczona odwróciła się szybko i spojrzała na niego. Z tyłu, za Calem, w korytarzu panowała już ciemność. Widziała tylko jego sylwetkę, gdy stał oparty niedbale o framugę. Poczucie miłości niemal ją dławilo.

- Och, nie słyszałam, jak wchodziłeś.

- To dlatego, że jesteś pochłonięta pracą.

- Chyba tak. - Dostrzegła jego spojrzenie i zmarszczyła brwi. - Co u ciebie? -

Wszystko dobrze?

- Tak.

- Wyglądasz na zmartwionego. Coś się nie udało?

- Nie. - Poglaskał ją po twarzy, spojrzał łagodniej.

- Nie.

- Obliczenia?

- W trakcie. - Ma jedwabistą skórę, pomyślał.

- W gruncie rzeczy osiągnąłem większy postęp, niż się spodziewałem.

Wydało się mu, że dostrzegł w jej oczach jakiś cień. Głos Libby zabrzmiał jednak żywo i zachęcająco.

- To dobrze. Wróciłeś skuterem?

- Aha, zostawiłem go za szopą.

No jasne, pomyślała, trudno, żeby nim wjechał tu, na górę. Chciała poprosić, by znów zabrał ją na przejażdżkę, teraz, gdy wschodził księżyc. Wzmógł się wiatr, co zwiastowało nadejście deszczu. Byłoby cudownie. Cał wyglądał jednak na zmęczonego i zmartwionego.

- Na pewno po tym wszystkim jesteś głodny.

- Rozejrzała się, jakby przedtem nie zdawała sobie sprawy z ciemności. - Nie wiedziałam, że zrobiło się tak późno. Zejdę na dół i coś przyrządzę.

- To może poczekać. - Wziął ją za rękę i pociągnął, by wstała. - Zejdziemy później i razem coś przygotujemy. Podobasz mi się w okularach.

Roześmiała się i sięgnęła, by je zdjąć. Chwycił jej rękę, tak że teraz trzymał już obie.

- Nie, nie zdejmuj. - Nachylił się i pocałował ją. Lekko, jakby na próbę. Smakowała tak samo. Dzięki Bogu. Napięcie ustąpiło. - W okularach wyglądasz... mądrze i poważnie.

Choć serce już biło jej szybciej, uśmiechnęła się spokojnie.

- Bo jestem mądra i poważna.

- Tak, pewnie. Twój wygląd sprawia, że chciałbym się przekonać, czy zawsze zachowujesz się rozważnie.

Całował ją tak, że niemal straciła oddech.

- Libby?

- Tak?

- Co możesz mi opowiedzieć o czarownikach z Nowej Gwinei?

- Nic. - Przylgnęła do niego, cicho jęknęła. - W ogóle nic. Całuj mnie, Caleb.

- Przecież to robię.

- Dotykaj mnie.

- Dobrze.

Doprowadzał ją do granic wytrzymałości samym tylko dotykiem dłoni. Potem zaczął ją rozbierać. Zdjął flanelową koszulę, dzinsy.

Zaczęła mu zdejmować sweter. Dziwiło ją że pożądanie może się zaostrzać, rosnać, by wreszcie przewyższyć to, które czuła za pierwszym razem. Teraz wiedziała już, co może jej ofiarować Cal. Wodziła rękoma po jego plecach, oddychała coraz szybciej. Chciała się z nim kochać, rozpaczliwie.

Bardzo szybko się uczy, pomyślał Cal. Dotyk jej dłoni, z pozoru niewinny, rozgrzewał go do białości. Chciał poprosić, by dała mu przez chwilę odetchnąć, pozwoliła odzyskać samokontrolę. Było już jednak za późno, o wiele za późno.

Opadli na łóżko.

Teraz wszystko przebiegało inaczej. Żadnych delikatnych, drażniących zmysły ruchów. Gwałtowność, desperacki bieg ku spełnieniu. Przetaczali się po łóżku, zatapiali w sobie coraz głębiej. Całowali się, nie czuli, że wbijają sobie paznokcie głęboko w skórę.

Chmury się zageściły, rozpętała się burza. Libby czuła, jak przyroda niemal niewolniczo naśladuje to, co dzieje się w sypialni. Pioruny i ulewny deszcz współgrały z dziką namiętnością kochanków.

Zobaczył jej oczy, ciemnozłote, jak stara moneta. Uniosła się nad nim, wygięła ciało w łuk, błyskawica otoczyła jej włosy poświata.

Pomyślał, że umarłby dla niej. Pomyślał, że bez niej umrze. Przyjęła go, całkowicie, do końca. W tej samej chwili chwycili się za ręce.

Od tego momentu przestał myśleć.

Trzymał ją mocno, jeszcze długo potem, gdy wyczerpani opadli na pościel. Próbował sobie przypomnieć, co zrobił, co ona zrobiła, jednak pamiętał jedynie wszechogarniającą rozkosz, w której rozmyły się poszczególne ruchy, zachowania. Bał się, że może ją skrzywdził, że teraz, gdy ochłonęła, odepchnie go, że zlekceważy to, co do niej czuł.

- Libby? - Nie odpowiedziała, tylko mocniej się do niego przytuliła. - Przepraszam.

Otworzyła oczy. Nawet ten drobny ruch okazał się niemal ponad siły. Nagle ogarnęły ją wątpliwości. Postanowiła je po prostu zignorować.

- Tak.

- Tak. Nie wiem, co mi się stało. Nigdy jeszcze nie potraktowałem żadnej kobiety tak brutalnie.

- Nie?

Nie mógł zobaczyć uśmiechu, który rozjaśnił jej twarz.

- Nie. - Ostrożnie uniósł jej głowę. - Chciałem wszystko robić dla ciebie, ale... - Zobaczył błysk w jej oczach. Nie łez, śmiechu. - Uśmiechasz się - stwierdził niemal z oburzeniem.

- Jak... jak jeszcze bardziej mógłbyś to zrobić dla mnie? - zainteresowała się.

- Myślałem, że cię bolało, że jakoś cię skrzywdziłem. - Obrócił ją na plecy i przyjrzał się jej twarzy. Nadal się uśmiechała. Jej oczy pociemniały, kryła się w nich jakaś odwieczna tajemnica, niedostępna mężczyznom. - Widzę, że nie... - zakończył nieporadnie.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. - Przeciągnęła się jak kotka w promieniach słońca. - Co jeszcze możesz mi zaoferować?

- No cóż... - Spojrzał na zmiętą pościel, potem na podłogę. Podniósł okulary, które w pewnym momencie tam spadły. Uśmiechnął się.

- Załóż je, to ci pokażę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Libby siedziała nad drugą filiżanką kawy. Nie chciało się jej wstać i zabrać do pracy. Zastanawiała się, czy trudności ze skupieniem się przy komputerze mają coś wspólnego z tym, że się zakochała. Również Cal nie kwapił się do wyjścia, wyraźnie zwlekał. Siedział naprzeciw niej, zjadając powoli resztki jej śniadania, choć skończył już swoje, znacznie większe.

Chodzi o coś więcej, pomyślała nagle. Znów, jak poprzedniego dnia, wydawał się zasepiony. W nocy i rano dwukrotnie próbował jej coś powiedzieć, była tego pewna. Coś, obawiała się, czego nie chciałyby usłyszeć.

Pragnęła znaleźć jakiś sposób, żeby go pocieszyć, ułatwić powrót do domu. Miłość, pomyślała z westchnieniem, potrafi człowieka ogłupić.

Deszcz padał przez całą noc. Teraz od czasu do czasu pokazywało się słońce, choć chmury wciąż zasnuwały niebo, a przy gruncie wiły się smugi mgły. Dobry dzień na gnuśne spędzenie czasu, pomyślała. Spacer po lesie, leniwe kochanie się w ciepłym łóżku. Takie nastawienie nie pomoże Calowi w powrocie do domu, zmitygowała się.

- Chyba powinieneś się już zbierać - zauważyła tonem dalekim od entuzjazmu.

- Aha. - Wolałby zostać w domu, ignorować rzeczywistość. Wstał jednak, pocałował Libby na pożegnanie i ruszył w kierunku drzwi. Gdy je otworzył, usłyszeli śpiew ptaków. - Chyba po południu zrobię sobie przerwę, może wpadnę na obiad. Mam już trochę dość tego jedzenia ze statku.

Wolałaby, żeby powiedział, że chce ją zobaczyć, dobre jednak i to.

- W porządku. - Dzień wydał się jej piękniejszy. - Jeśli nie zastaniesz mnie w kuchni, to znaczy, że pracuję na górze.

Taki normalny ranek, pomyślała Libby, zamykając za Calem drzwi. Pocałunek, plany dotyczące wspólnego obiadu. To dobrze, uznała, że w tej zwariowanej sytuacji nie brak takich momentów.

Pracowała do popołudnia, wypila za dużo kawy. Nie chciała wyciągać żadnych wniosków z faktu, że rano Cal wydawał się cichy, zamyślony. Oboje mieli zbyt dużo na głowie. Zresztą, przypomniała sobie, Cal niedługo wróci. Uznała, że czas przygotować coś do zjedzenia. Zaległości w pracy nadrobi z łatwością, gdy jego już nie będzie. Gdy zeszła na dół, usłyszała, że pod dom zajeżdża samochód.

Goście? Tutaj nigdy nikt nie przyjeżdżał. Zdziwiona i zaniepokojona otworzyła drzwi.

- Och, mój Boże! - Zdziwieniu towarzyszyła teraz i radość przemieszana z przerażeniem. - Mamo! Tato! Wyszli z malej, poobijanej półciężarówki.

- Liberty.

Caroline Stone przywitała córkę gardłowym śmiechem i teatralnym rozchyleniem ramion. Podobnie jak Libby, miała na sobie dzinsy i wyciągnięty sweter, tyle że piękny, własnej roboty. Miała też dwa czarne kolczyki - w tym samym uchu - i błyszczący naszyjnik z turmalinów.

Libby pocałowała ją w policzek.

- Mamo! Co tu robicie?

- Ja w każdym razie kiedyś tu mieszkałam - przypomniała Caroline.

William stał z tyłu, uśmiechał się. Widział, dwie z trzech najważniejszych kobiet swego życia. Choć należały do różnych pokoleń, zauważył z dumą, że jego żona wygląda na niewiele starszą od córki. Były do siebie dość podobne i często brano je za siostry.

- A ja? - - zapytał. Uściskał Libby i pocałował ją w policzek. - Moja dziecina. Naukowiec.

- I mój tata, dyrektor. Obruszył się tylko trochę.

Libby przyglądała się mu z uśmiechem. Włosy, zbyt ' długie jak na człowieka interesu, znaczyły siwe pasma, podobnie jak brodę. Pielęgnacją włosów i brody zajmował się teraz fryzjer z francuskim akcentem i to była właściwie jedyna różnica. William Stone pozostał tym, kim był.

Wysoki wzrost, długie nogi i ręce sprawiały, że wyglądał trochę nieporadnie. Miał szczupłą twarz, nieco zapadnięte policzki. Do tego szare oczy o szczerym spojrzeniu.

- A więc? - Libby okręciła się z wdziękiem. - Jak mnie widzicie?

- Nie najgorzej. - Objął ramieniem Caroline. - Wykonaliśmy niezłą robotę przy pierwszej dwójce, Caro.

- Dwójce? - zdziwiła się Libby.

- Ty i Sunbeam, kochanie. - Wyjaśniła Caroline, podchodząc do samochodu. - Może wniesiemy do domu zapasy?

- Ale ja.. - Libby przygryzła wargę. Patrzyła, jak rodzice wyciągają bagaże. Dużo pakunków. Zostaną tu zatem dłużej. Musi im... coś powiedzieć. Wzięła od ojca dwie ciężkie, brązowe torby. - Chciałam... chyba powinnam wam powiedzieć, że nie jestem sama.

- To miło - odparł obojętnym tonem William, wyciągając kolejną torbę. Zastanawiał się, czy jego żona znalazła chipsy, które schował ukradkiem pod innymi produktami.

Oczywiście, pomyślał, zawsze wszystko znajduje. - Lubimy poznawać twoich przyjaciół, dziecino.

- Tak, wiem, ale tym razem...

- Caro, zostaw tę torbę, jest zbyt ciężka.

- Tato. - Nie widząc innego wyjścia, zagroziła ojcu drogę. Usłyszała, że matka wraca po następną porcję bagaży. - Naprawdę powinnam to wyjaśnić. - Ale co? Jak? _ myślała w panice.

- Słucham cię, Libby. - Odstawił pakunki. - To chyba tofu - zauważył.

- Chodzi o Caleba.

To wreszcie przykuło jego uwagę.

Caleba?

- Hornblowera. Caleb Hornblower. On jest... tutaj - brnęła - ze mną.

William uniósł lekko brew.

- Doprawdy?

Człowiek, o którym była mowa, zaparkował skuter za szopą i ruszył w kierunku domu. Dlaczego nie zrobić sobie po południu przerwy? - myślał. Zresztą, komputer ciężko pracuje niezależnie od mojej obecności. Przeprowadziłem już większość poważniejszych napraw. Za dzień, najwyżej dwa statek będzie gotów do lotu.

Cal chciał spędzić trochę więcej czasu z piękną, ekscytującą kobietą i uważał, że ma do tego prawo. Nie jestem w niej zakochany, dodał szybko w myślach. Aha, a Słońce krąży wokół Ziemi, zaszydził.

Zaklął pod nosem i wszedł przez otwarte tylne drzwi. Już sam widok Libby sprawił, że się uśmiechnął. Zwłaszcza widok wypiętego zgrabnego tyłeczka, gdy pochylona dziewczyna szukała czegoś w lodówce. Rozradowany podszedł cicho, żeby ją zaskoczyć, niespodziewanie chwycić z tyłu za biodra.

Zrealizował ten zamiar ze słowami:

- Sam nie wiem, z której strony lubię cię najbardziej, kochanie.

- Caleb!

Okrzyku nie wydała zaskoczona kobieta, którą złapał za pupę. Dobiegł go od drzwi kuchni. Caleb zobaczył Libby, która, obładowana papierowymi torbami, właśnie zastygła w progu. Obok niej stał wysoki mężczyzna spoglądający na niego z wyraźnym niesmakiem.

Caleb powoli odwrócił głowę. Jego wzrok padł na bardzo atrakcyjną, choć nieco starsza od Libby kobietę. No, niezupełnie tego się spodziewał.

- Dzień dobry - przywitał się z uśmiechem. - Jesteś przyjaciółką Libby?

- Tak. - Patrzyła na niego ze szczerym zdumieniem. - Muszę być.

- Może odsunąłby się pan od mojej żony - zainterweniował William - tak żeby mogła zamknąć lodówkę.

- Przepraszam. - Szybko zrobił krok w tył. - Myślałem, że to Libby.

- Czy ma pan w zwyczaj u chwytać moją córkę za...

- Tato - przerwała mu Libby, rzucając torby na stół. Niezbyt obiecujący początek, pomyślała. - To jest Caleb Hornblower. On... chwilowo tu mieszka. Cal, to moi rodzice, William i Caroline Stone.

Wspaniale. Cal poczuł się, jakby ktoś przed chwilą zdzielił go w głowę wyjątkowo ciężkim przedmiotem. Postanowił jednak robić dobrą minę do złej gry.

- Miło mi państwa poznać. - Uznał, że najbezpieczniej będzie włożyć ręce do kieszeni.

- Libby jest do pani bardzo podobna.

- Tak, już mi to mówiono. - Caroline uśmiechnęła się do niego. - Choć nigdy w taki bezpośredni sposób. - Chciała mu pomóc wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Wyciągnęła do niego rękę. - Will, postaw wreszcie te torby i przywitaj się z przyjacielem Libby - zakomenderowała.

William przyjrzał się mężczyźnie. Przystojny, silny, spokojne spojrzenie. Czas pokaże, co to za jeden, uznał.

- Pan Hornblower prawda ?

William zauważył z zadowoleniem, że uścisk dłoni gościa Libby jest zdecydowany i mocny.

- Tak. - Nikt nie przyglądał się mu tak uważnie od czasu, gdy przyjmowano go do MSK. - Chyba powinienem ponownie e przeprosić ?

- Raz wystarczy - odparł William, choć bez przekonania.

- Właśnie miałam robić obiad - poinformowała Libby, uznając, że warto zmienić temat.

- Dobra myśl. - Caroline wyjęła z torby kalafior. Przy okazji znalazła frytki i słoik parówek, przeschumowane przez męża. - Z tym, że ja się tym zajmę. William, pomożesz mi?

- Ale ja...

- Zrób herbatę.

- Uwielbiam herbatę! - wykrzyknęła Libby, wiedząc, że tym można zawsze rozbroić ojca. Wzięła Cala za rękę. - Zaraz wracamy - poinformowała.

Gdy weszli do saloniku, zapytała:

- Co zrobimy?

- Z czym?

Westchnęła zniecierpliwiona, ciągnąc go w stronę kominka.

- Muszę im przecież coś powiedzieć, a trudno żebym wyjaśniła, że przyleciałeś statkiem kosmicznym z dwudziestego trzeciego wieku.

- No tak.

- A nigdy im nie skłamałam. Nie mogłabym.

Podszedł i ujął ją pod brodę.

- Opuszczenie kilku szczegółów nie jest właściwie kłamstwem.

- Szczegółów? Takich jak statek kosmiczny?

- Tak, to jeden z nich.

Zamknęła oczy. Na pewno będzie się z tego śmiała, tyle że za pięć, dziesięć lat.

- Hornblower, sytuacja jest już wystarczająco niezręczna, nawet bez opowiadania o takich fantastycznych, jakby wyssanych z palca wydarzeniach.

- Jaka sytuacja?

Nie miała już do niego siły.

- To moi rodzice - wyjaśniła - ich dom, a ty i ja jesteśmy...

Wykonała nieokreślony ruch ręką.

- Kochankami - uzupełnił.

- Czy mógłbyś mówić ciszej? Położył ręce na jej ramionach.

- Libby, oni przecież wiedzą. Po tym, jak przed chwilą potraktowałem twoją matkę...

- A co do tego...

- Myślałem, że to ty.

- Wiem. A jednak...

- Libby, zorientowałem się, że nie przywitałem twoich rodziców w najbardziej tradycyjny sposób. Chyba jednak z całej czwórki to ja byłem najbardziej zaskoczony.

Zachichotała.

- Chyba tak.

- Na pewno. Powinniśmy więc po prostu zrobić następny krok.

- Jaki?

- Obiad.

- Hornblower. - Z westchnieniem oparła głowę o jego pierś. Niestety, to także w nim lubiła, tę zdolność do cieszenia się najprostszymi przyjemnościami.

- Chciałabym, żeby wreszcie do ciebie dotarło, że sytuacja jest bardzo delikatna. Co zrobimy? - Chwilę odczekała. - Jeśli zapytasz „z czym?”, to cię palnę.

- Mocno powiedziane. Proponuję więc natychmiast przystąpić do działania.

Pocałował ją, mocno, głęboko. Podała się temu. Usłyszała wymowne kasznięcie. Odskokczyła od Cala, odwróciła się i spojrzała na ojca.

- Ach...

- Twoja matka mówi, że jedzenie gotowe. William jeszcze raz zmierzył wzrokiem Cala i wycofał się do kuchni.

- Chyba się do mnie przyzwyczajają - mruknął Caleb.

W kuchni William spojrzał ponuro na żonę.

- Ten facet zawsze trzyma ręce na jednej z moich kobiet.

- Jednej z twoich kobiet - powtórzyła Caroline i roześmiała się. - Uwierz mi, Will - podrzuciła głową, aż zadźwięczały kolczyki - on ma bardzo miłe ręce.

- Szukasz kłopotów? - zapytał z groźną miną i przyciągnął ją do siebie.

- Zawsze. - Pocałowała go, mocno i prowokacyjnie, potem odwróciła się do drzwi. - Wejdźcie, siadajcie - poprosiła, uśmiechając się równie promiennie, jak Cal. - Właśnie zrobiłam sałatkę.

Na utkanym przez siebie obrusie ustawiła cztery miseczki. Na środku stołu, w wielkiej salaterce piętrzyła się sałatka z jarzyn i ziół, z zadziwiającym dodatkiem zielonych bananów oraz pszenicznych grzanek.

- A więc, Cal - Caroline przysunęła mu miskę - jesteś naukowcem?

- Nie, jestem pilotem - odpowiedział w tym samym momencie, w którym Libby rzuciła pospiesznie:

- Jest kierowcą ciężarówki.

- Chodzi o przewóz towarów - wyjaśnił Cal, nakładając sobie sałatkę. - Libby żartuje, że jestem jakby kierowcą podniebnej ciężarówki.

- Latasz?

William bębnił długimi, chudymi palcami w blat stołu.

- Tak. Zawsze o tym marzyłem.

- To fascynujące. - Caroline nachyliła się do niego nad stołem. - Sunbeam, nasza druga córka, jest na kursie pilotażu. Może mógłbyś udzielić jej kilku porad.

- Sunny ciągle kończy jakieś kursy - wyjaśniła Libby. - Jest dobra we wszystkim. Nauczyła się już skakać ze spadochronem i uznała, że nadszedł czas na latanie samolotem.

- Pewnie. - Cal spojrzał na Caroline. Caroline Stone, pomyślał nie po raz pierwszy, dwudziestowieczny geniusz. Cal mógłby równie dobrze jeść obiad z Van Gogh'em lub Wolterem. - Świetna sałatka, pani Stone.

- Mów mi Caroline, dziękuję.

Spojrzała na męża. Wiedziała, że wolałby parówki z frytkami i zimne piwo. Przez ponad dwadzieścia lat nie udało się jej zmienić jego upodobań kulinarnych. To nie znaczyło, że przestała próbować.

- Uważam, że prawidłowe odżywianie wpływa dobrze również na umysł - zaczęła. - Niedawno czytałam, że odpowiednia dieta i ćwiczenia to istotne czynniki w walce o przedłużenie życia. Gdyby ludzie o sobie dbali, mogliby żyć średnio ponad sto lat.

Libby zauważyła wyraz twarzy Cala, toteż szybko kopnęła go w kostkę. Chyba nie zamierzał poinformować zebranych, że w jego stuleciu średnia długość życia ludzkiego dawno przekroczyła sto lat...

- Co to za przyjemność żyć tak długo, jedząc wyłącznie liście? - zapytał retorycznie William, potem jednak napotkał spojrzenie żony. - Nie mówiłem o tych - poprawił się szybko. - Te są bardzo dobre.

- Możesz w nagrodę zjeść coś słodkiego na deser. - Caroline nachyliła się i pocałowała go w policzek. Gdy znów podsunęła Calowi miskę, błysnęło sześć pierścieni, które miała na obu dłoniach. - Chcesz jeszcze? - zapytała.

- Tak, dziękuję. - Nabrał drugą porcję. Jego apetyt nie przestawał zdumiewać Libby. - Podziwiam pani dzieła, pani Stone.

- Naprawdę? - Takie pochwały nadal sprawiały jej przyjemność. - Ma pan jakąś moją pracę?

- Nie, dla mnie są niedostępne - odparł, przypominając sobie pancerne szyby w muzeum.

- Skąd pochodzisz, Hornblower? Cal spojrzał na ojca Libby.

- Z Filadelfii.

- Twoja praca musi się wiązać z częstymi podróżami.

Cal nawet nie się starał ukryć uśmiechu.

- Bardziej, niż może pan to sobie wyobrazić.

- Masz rodzinę?

- Tak, rodziców i młodszego brata. Są nadal, na Wschodzie.

Wbrew sobie William poczuł do chłopaka sympatię. Chodziło o coś w jego oczach, głosie, gdy mówił o swej rodzinie.

Co za dużo, to niezdrowo, pomyślała Libby. Odsunęła miskę, nalała sobie herbatę z dzbanka i spojrzała na ojca.

- Jeśli masz pod ręką formularz, Cal może go wypełnić. Poznasz również jego datę urodzenia i numer ubezpieczenia społecznego.

- Mamy humory, co?

- Ja? - obruszyła się.

- Nie przepraszaj. - Will poklepał jej dłoń. - Każdy ma jakieś wady. Powiedz mi, Cal, którą partię popierasz?

- Tato!

- Żartowałem. - Wyciągnął rękę i przyciągnął Libby, która po chwili usiadła mu na kolanach. - Ona się tu urodziła, chyba wiesz.

- Tak, powiedziała mi.

Cal patrzył na Libby, która zarzuciła ojcu rękę na szyję.

Bawiła się nago przed domem, gdy pracowałem w ogrodzie.

Libby roześmiała się, choć zaczęła udawać, że dusi ojca.

- Potwór.

- Czy mogę go zapytać, co sądzi o Dylanie? Pokręciła głową.

- Nie.

- Bob Dylan czy Dylan Thomas? - zapytał Cal.

- Obaj - zdecydował się Will.

- Dylan Thomas był świetny, ale przygnębiający. Wolę czytać Boba Dylana.

- Czytać?

- Teksty, tato - interweniowała Libby - teksty piosenek. Teraz, gdy znamy już opinię Cal'a, może mi powiesz, co tu robisz? Zazwyczaj o tej porze doprowadzasz do szaleństwa zarząd swojej spółki.

- Chciałem odwiedzić moją małą dziewczynkę. Pocałowała go w policzek, gdyż wiedziała, że to prawda, przynajmniej częściowo.

- Widzieliśmy się niedawno, gdy wróciłam z wyprawy. Spróbuj czegoś innego.

- Chciałem też, żeby Caro odetchnęła trochę świeżym powietrzem. - Spojrzał zalotnie na żonę. - Uznaliśmy oboje, że skoro ta okolica już dwukrotnie okazała się szczęśliwa, spróbujemy po raz trzeci.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że tutejszy klimat wpłynie korzystnie na stan twojej matki.

- Stan? - Jesteś chora? - Libby zerwała się na nogi i chwyciła Caroline za rękę. - Co się stało?

- Will nie wyraził się jasno. Chciał powiedzieć, że jestem w ciąży.

- W ciąży? - Libby poczuła, że uginają się pod nią kolana. - Ale jak...?

- I ona twierdzi, że jest naukowcem - mruknął Cal, czym zasłużył na pierwsze przychylnie spojrzenie Williama.

- Ale... - Zbyt oszołomiona, by zareagować na uwagę Cala, przerzuciła spojrzenie z matki na ojca, potem znów na matkę. Byli młodzi, niedawno przekroczyli czterdziestkę, w pełni sił. Wiedziała, że dziecko w tym wieku nie jest niczym niezwykłym. Ale to w końcu jej rodzice... - Będziecie mieli dziecko - wykrztusiła. - Nie wiem, co powiedzieć.

- Spróbuj pogratulować - podsunął jej Will.

- Nie. Tak. To znaczy, muszę usiąść.

Usiadła na podłodze, między ich krzesłami. Uznała, że to nie wystarczy i wzięła trzy głębokie oddechy.

- Jak się czujesz? - zapytała Caroline.

- Jestem trochę skołowana. - Spojrzała na matkę. - A ty?

- Jak osiemnastolatka, z tym, że wybiłam Willowi z głowy pomysł osobistego odebrania porodu tutaj, w domku, tak jak było z tobą i Sunny.

- Kobiety nie przywiązują już wagi do ideałów z lat sześćdziesiątych - poskarżył się Will, choć gdy Caroline uparła się przy porodzie w szpitalu, odczuł jednak ulgę. - Jak podoba ci się nowina, Libby?

Uniosła się na kolana, by ich uściskać.

- Chyba powinniśmy to uczcić.

- Już o tym pomyślałem. - William wstał, podszedł do lodówki i wyjął butelkę. - Sok jabłkowy z bąbelkami - wyjaśnił.

Korek wystrzelił tak donośnie, jak z butelki szampana. Wznosili toasty za siebie, za dziecko, nieobecną Sunny, za przeszłość i przyszłość. To także się nie zmieniło, pomyślał Cal. Radość z poczęcia i narodzin dziecka.

Sam nigdy jeszcze nie myślał na serio o założeniu rodziny. Sądził, że we właściwym czasie i z właściwą kobietą wszystko samo się ułoży. Teraz wyobraził sobie, jak by to było, gdyby on i Libby świętowali poczęcie ich dziecka.

Niebezpieczne myśli, nierealne. Miał najwyżej kilka dni, a rodzinie trzeba poświęcić całe życie. Widok rodziców Libby przypomniał mu jego matkę i ojca. Czy patrzą w niebo, zastanawiając się, gdzie się podziewa ich syn, co się z nim stało - Gdyby chociaż mógł dać im znać, że jest cały i zdrowy.

- Cal?

- Co? - Przepraszam.

- Powiedziała, że powinniśmy rozpać ogień.

- Jasne.

- Bardzo lubię siedzieć przy ogniu. - Caroline wzięła Williama pod rękę. - Tak się cieszę, że spędzimy tu jedną noc.

- Noc? - - powtórzyła Libby.

- Wpadliśmy tylko po drodze do Carmel - odpowiedziała Caroline. Decyzję podjęła przed chwilą. Znacząco ścisnęła rękę męża, zanim zdążył się odezwać. - Marzyłam o wyprawie wzdłuż wybrzeża.

- Tak naprawdę to marzyła o hamburgerze - odezwał się William. - Wtedy właśnie zorientowałem się, że jest w ciąży.

- Mnie, ciężarnej, należy się popołudniowa drzemka - oświadczyła Caroline, uśmiechając się do męża.

- Może mnie odprowadzisz?

- Chyba ja też się prześpię. - Objął ją ramieniem. Gdy wyszli z saloniku i ruszyli po schodach na górę, zapytał: - Carmel Dlaczego właśnie tam?

- Dlatego, że tutaj z pewnością brak miejsca dla czworga, tępaku.

- Może, ale nadal nie wiem, czy mi się podoba, że Libby z nim jest.

- Jej się to podoba.

Gdy weszli do sypialni, Caroline ogarnęły wspomnienia. Spędzonych tu nocy i ranków. Kochali się w tym łóżku, kłócili o politykę, obmyślali sposoby ocalenia świata i chronienia ludzkości przed nią samą. Śmiała się tu, płakała. Tu rodziła dzieci. Usiadła na krawędzi łóżka i pogładziła pościel.

Will podszedł do okna.

Uśmiechnęła się do jego pleców. Przypomniała go sobie, gdy miał osiemnaście lat. Był jeszcze chudszy, miał głowę pełną ideałów i wspaniały charakter. Właściwie niewiele się zmienił. Zawsze oboje kochali ten dom. Najpierw sami byli dziećmi, potem mieli dzieci. Choć z czasem ich sytuacja życiowa radykalnie się zmieniła, nigdy nie zatarli poczucia przynależności do tego miejsca. Nie zapomnieli, kim są i kim byli. Rozumiała Willa, słyszała jego myśli, jakby rozbrzmiewały w jej własnej głowie.

- Pilot, samolot transportowy - mruknął Will. - I co to u diabła za nazwisko? Hornblower... W nim jest coś dziwnego, Caro. Nie wiem co, ale coś się nie zgadza.

- Nie ufasz Liberty?

- Ufam, oczywiście. - Odwrócił się obrażony. - Chodzi o niego. Jemu nie ufam.

- Skądś to znam. Aha, to samo powiedział kiedyś mój ojciec o tobie.

- Nie znał się na ludziach.

- Mężczyźni na ogół przeżywają takie rozterki, gdy ich córki dokonują wyboru partnera życiowego. Pamiętam, jak tłumaczyłeś mojemu ojcu, że ja sama wiem najlepiej, z kim będę szczęśliwa. Kiedy to było? Wtedy gdy wyrzucił cię po raz pierwszy z domu? - A może po raz drugi.

- Chyba przy obu tych okazjach. - Musiał się uśmiechnąć. - Powiedział, że za sześć miesięcy ode mnie odejdiesz, a ja skończę, sprzedając stokrotki na rogu ulicy. Wykiwaliśmy go, prawda?

- To było prawie dwadzieścia pięć lat temu.

- Nieważne. Naprawdę cię nie niepokoi, że oni są tutaj razem'?

- To znaczy, że są kochankami?

- Tak. To w końcu nasze dziecko.

- Pamiętam, jak mi kiedyś wyjaśniałeś, że uprawianie miłości jest najbardziej naturalnym wyrazem uczuć i zaufania pomiędzy dwojgiem ludzi. Mówiłeś, i że ograniczenia dotyczące seksu powinny zostać zniesione, jeśli chcemy, by na świecie zapanował pokój, a stosunki międzyludzkie opierały się na dobrej woli.

- Nie pamiętam.

- Na pewno pamiętasz. Byliśmy wtedy na tylnym siedzeniu twojego volkswagena. Oddychaliśmy tak gwałtownie, że zaparowały wszystkie szyby.

Uśmiechnął się.

- To znaczy, że cię przekonałem.

- Tak, ale dlatego, że już wcześniej cię wybrałam. Byłeś pierwszym mężczyzną, w którym się zakochałam, Will, wiedziałam więc, że nie robię nic złego. Ten facet na dole jest pierwszą miłością Libby. Ona sama wie, co jest słuszne. - William chciał się sprzeciwić, lecz nie dopuściła go do głosu. - Wychowaliśmy córki tak, by szły za głosem serca. Czy według ciebie popełniliśmy błąd?

- Nie. - Poglaskał ją po twarzy. - Ale jeszcze możemy popełnić.

- On ma łagodne oczy - powiedziała cicho. - Gdy na nią patrzy, widać w nich jego serce.

- Zawsze byłaś przesadnie romantyczna. Dlatego właśnie cię usidliłem.

- I masz mnie nadal.

- Racja. - Bawił się rąbkiem jej swetra. Wiedział, jak łatwo mógłby go jej ściągnąć przez głowę.

- Tak naprawdę to nie chcesz jeszcze spać, prawda - - zapytał.

Roześmiała się i pociągnęła go na łóżko.

- To takie dziwne. - Libby usiadła na trawie nad strumieniem. - Pomyśleć tylko, że moi rodzice będą mieli jeszcze jedno dziecko. Wyglądają na szczęśliwych, prawda?

- Bardzo. - Cal usadowił się obok niej. - Z wyjątkiem tych chwil, w których twój ojciec patrzy na mnie spode łba.

Zaśmiała się i oparła głowę na jego ramieniu.

- Przepraszam. On jest na ogół bardzo przyjacielski.

- Wierzę ci na słowo.

Bawił się źdźbłem trawy. To, czy ojciec Libby go akceptował, nie miało właściwie znaczenia. Wkrótce zniknę z ich życia, pomyślał ponuro.

Podobało się jej tutaj, nad omywającą kamienie wodą. W długiej, miękkiej trawie rosły małe niebieskie kwiatki. W lecie zakwitnie naparstnica. Wysokości człowieka, zwiesi nad strumieniem fioletowe lub białe dzwonki. Będą też lilie i orliki. O zmierzchu jeleń przyjdzie napić się wody, może też zjawi się niedźwiedź, by zapolować na ryby.

Nie chciała myśleć o lecie. Postanowiła cieszyć się chwilą bieżącą, błękitnym niebem i balsamicznym powietrzem. W lesie harcowały wiewiórki. Jej i Sunny udawało się czasami karmić niektóre z ręki.

Gdziekolwiek się znalazła, na odległej wyspie czy też na pustyni, zawsze z rozczuleniem wspominała dzieciństwo.

- To będzie bardzo szczęśliwe dziecko - powiedziała. Uśmiechnęła się nagle. - Pomyśleć tylko, po tylu latach może będę miała braciszka.

Caleb pomyślał o swoim bracie Jacobie.

- Ja zawsze chciałem mieć siostrę - poinformował.

- To bywa wygodne, ale siostra byłaby na pewno ładniejsza od ciebie.

Przewrócił ją na trawę.

- Szkoda, że nie poznałem twojej siostry, Sunbeam. Auu! - krzyknął, gdy Libby go uszczypnęła.

- Skoncentruj się na mnie. Przyglądał się jej przez chwilę.

- Później będę musiał na jakiś czas pojechać do statku.

Starła się nie okazać smutku. Tak dobrze byłoby udawać, że nie ma żadnego statku ani żadnego później.

- Nie zdążyłam zapytać, jak ci idzie? Dobrze, pomyślał. To znaczy, za szybko.

- Okaze się, kiedy sprawdzę, co zrobił komputer. Czy możesz przeprosić rodziców, gdybym nie wrócił, zanim się obudzą?

- Powiem, że wybrałeś się na medytację. Ojciec będzie zachwycony.
- Dobrze. A więc wieczorem, przed wyjazdem, skoncentruję się na tobie.
- Raczej rzeczywiście pomedytujesz. Dzisiaj śpisz na kanapie.
- W takim razie... Osunął się na nią.

W nocy, gdy ogień przygasł, a dom pogrążył się w ciszy, Cal siedział samotnie w saloniku, całkowicie ubrany. Wiedział już, jak wrócić. Wiedział przynajmniej, jak się tu dostał i jak odwrócić ten proces.

Dokona jeszcze kilku napraw, właściwie niepotrzebnych, i będzie gotów do drogi. Technicznie, nie emocjonalnie. Jeszcze nigdy nie dręczyły go tak sprzeczne uczucia.

Jeśli Libby poprosi, by został... Boże, jeśli to zrobi, przechyli szalę. Ona jednak nie poprosi, pomyślał. Ja też nie mogę prosić, żeby wyruszyła ze mną.

Może kiedy wróci, kiedy przywiezie do swojego świata nowe dane, naukowcy opracują jakąś bezpieczniejszą metodę podróżowania w czasie. Może będzie mógł tu wrócić?

Patrzył na ogień. Nie ma co marzyć. Libby odważnie stawia czoło faktom, on też powinien to zrobić.

Myślał, że usłyszał na schodach jej kroki. Okazało się jednak, że to William.

- Kłopoty z zaśnięciem? - zapytał ojciec Libby.
- Aha. Pan też nie może zasnąć?

- Nie, po prostu lubię ten dom w nocy. - Ponieważ kochał córkę, postanowił się zmusić jeśli nie do przyjacielskiego, to przynajmniej do poprawnego zachowania. - Cisza, ciemność. - Podeszedł do kominka i wrzucił nowe polano do ognia. - Nie myślałem, że będę mieszkał gdziekolwiek indziej.

- A ja nie wyobrażałem sobie nawet życia w takim miejscu i tego, jak trudno będzie mi stąd wyjechać.

- Do Filadelfii długa droga.
- Bardzo długa.

William usłyszał w głosie Cala smutek. Wyjął z szafki brandy i dwa kieliszki.

- Napijesz się?
- Aha, dziękuję.

William usiadł w fotelu i wyciągnął nogi.

- Siedziałem tu dawniej po nocach i zastanawiałem się nad sensem życia.
- Znalazł go pan?
- Niekiedy znajdowałem, niekiedy nie.

Wszystko było prostsze, kiedy jedynej troski przysparzał mu pokój światowy i sprawiedliwość społeczna. Teraz zbliżył się do średniego wieku, chociaż jeszcze niedawno to wydawało się bardzo odległe. Przypomniawszy sobie, jak był młody, znacznie młodszy od siedzącego naprzeciw gościa. Miał głowę w chmurach i był zakochany.

- Kochacie się z Libby? - zapytał nagle.

- Sam sobie zadawałem to pytanie.

William wypił łyk brandy. Spodobała mu się ta odpowiedź, świadcząca o rozterkach i poważnym stosunku do związku z Libby.

- I znalazłeś odpowiedź?

- Tak, niewygodną. William skinął głową.

- Zanim poznałem Caro, chciałem wstąpić do Korpusu Pokoju albo do tybetańskiego klasztoru. Właśnie ukończyła liceum. Jej ojciec zamierzał mnie zastrzelić.

Cal uśmiechnął się, spróbował brandy.

- Dziś po południu był taki moment, kiedy cieszyłem się, że nie ma pan broni.

- Jestem pacyfistą, taka myśl tylko przemknęła mi przez głowę - zapewnił William. - A ojciec Caro długo nosił się z takim zamiarem. Nie mogę się doczekać, kiedy mu powiem, że Caro jest znów w ciąży.

- Libby ma nadzieję na braciszka.

- Powiedziała to? - Uśmiechnął się. - To moja pierworodna. Każde dziecko to cud, ale pierwsze...

- Libby jest cudem. Odmieniła moje życie. William spojrzał na niego ostrzej. Hornblower może nie wiedzieć, czy się z Libby kochają, lecz trudno mieć co do tego wątpliwości, pomyślał.

- Caro bardzo cię lubi - poinformował. - Umie jakoś zaglądać ludziom w duszę. Ja chcę tylko powiedzieć, że Libby nie jest taka silna, na jaką wygląda. Uważaj na nią.

Wstał, żeby nie zacząć prawić kazań.

- Prześpij się trochę - poradził. - Caro będzie rano hałasowała, przygotowując ciastka z pszenicy albo potrawę z jogurtu i kiwi. - Powiedział to z żalem. Zawsze wołał jajecznicę na bekonie. - Zdobyłeś u niej punkty, pochłaniając dziś tę sałatkę.

- Była doskonała.

- Nic dziwnego, że Caro tak bardzo cię lubi. - Zatrzymał się u podnóża schodów. - Wiesz, mam taki sam sweter jak ty.

- Naprawdę? - Cal nie mógł powstrzymać uśmiechu. - Jaki ten świat jest mały.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Wiedziałam, że wcześniej wstaniesz. Libby wyszła przed dom do matki.

- Nie tak wcześniej - westchnęła Caroline zła na siebie, że przegapiła wschód słońca. -

Ostatnio długo się zwlekam z łóżka.

- Masz poranne mdłości?

- Nie. - Matka z uśmiechem objęła Libby. - Chyba cała trójka moich dzieci postanowiła mi tego zaoszczędzić. Podziękowałam ci już kiedyś za to?

- Nie.

- No cóż, dziękuję teraz. - Pocałowała Libby w policzek, dostrzegła cienie pod jej oczami. - Przejdziemy się? - zapytała.

- Tak, chętnie. Ruszyły wolnym krokiem. Wszystko jest takie samo, myślała Libby. Drzewa, niebo, cichy teraz dom. A przecież tyle się zmieniło. Oparła na chwilę głowę na ramieniu matki.

- Pamiętasz, jak dawniej tak spacerowałyśmy, ty, Sunny i ja?

- Pamiętam spacerować z tobą. - Zaśmiała się, gdy weszły do chłodnego, zielonego tunelu z gałęzi. - Sunny nigdy nie spacerowała. Gdy tylko nauczyła się stać, zawsze gdzieś pędziła. Spacerować mogłyśmy my obie, tak jak teraz.

A jakie będzie to nowe dziecko - - zastanowiła się Caroline z dreszczem oczekiwania.

- Zbierałyśmy kwiaty albo jagody, żeby tata myślał, że robiłyśmy coś pożytecznego.

- Chyba obaj nasi mężczyźni dzisiaj trochę zaspali. - Libby nie odpowiedziała. Caroline poczekała, aż jej uwaga przestanie brzmieć jak pytanie, straci na znaczeniu. W poszyciu szeleściły jakieś małe zwierzątka, w powietrzu śpiewały ptaki. - Lubię twojego przyjaciela, Libby - dodała.

- Cieszę się. Chciałam, żebyś go polubiła. Pochyliła się i zerwała gałązkę. Idąc, obdzierała ją z kory. Caroline doskonale wiedziała, że takie zachowanie córki jest objawem zdenerwowania. Sunny natychmiast wyraziłaby je w jakiś gwałtowny sposób, ale Libby, jej cicha, rozsądna Libby, ukrywała takie uczucia przed innymi.

- Ważniejsze, żebyś ty go lubiła.

- Lubię, bardzo. - Libby zorientowała się nagle, co robi i odrzuciła gałązkę. - Jest zabawny i silny. Chwile, które z nim tu spędziłam, były cudowne. Nawet nie przypuszczałam, że poznam kogoś, przy kim będę się tak dobrze czuć.

- Ale nie uśmiechasz się, gdy to mówisz. - Caroline wzięła córkę pod brodę. -
Dlaczego?

- Te... te chwile... one się skończą.

- Nie rozumiem. Dlaczego? Skoro go kochasz...

- Kocham - przyznała cicho. - Bardzo go kocham.

- A zatem?

Libby wzięła głęboki oddech. To niemożliwe do wyjaśnienia, pomyślała.

- On musi wrócić, do swojej rodziny.

- Do Filadelfii?

- Tak. - Uśmiechnęła się słabo. - Do Filadelfii.

- Nie rozumiem, co to ma do... - Caroline urwała, położyła dłoń na ramieniu córki. -
Och, dziecino, on ma żonę?

- Nie. - Roześmiałyby się, zobaczyła jednak w oczach matki głęboką troskę. - Nie, nic z tych rzeczy. Caleb nigdy by tak nie postąpił. To bardzo trudno wyjaśnić, ale mogę ci powiedzieć, że już od początku wiedzieliśmy, jak to będzie. Cal wróci tam, gdzie jest jego miejsce, a ja... ja muszę tu zostać.

- Kilka tysięcy kilometrów nie ma znaczenia, jeśli dwoje ludzi chce być razem.

- Niekiedy... odległość jest znacznie większa, niż się wydaje. Nie martw się. - Pocałowała ją w policzek. - Mogę uczciwie powiedzieć, że nie zamieniłabym czasu spędzonego z Calebem na nic innego. Gdy byłam mała, w domu wisiał plakat z takim napisem. Pamiętasz? Jeśli coś masz, pozwól temu odejść. Jeśli nie wróci, nie było naprawdę twoje.

- Nigdy mi się nie podobał ten plakat. Tym razem Libby się roześmiała.

- Zerwijmy trochę kwiatów.

Kilka godzin później Libby patrzyła, jak odjeżdżają. Ojciec za kierownicą, matka machała ręką, dopóki domek nie zniknął jej z oczu.

- Lubię twoich rodziców.

Odwróciła się do Cala, objęła go za szyję.

- Oni też cię lubią. Pocałował ją szybko.

- Twoja matka może tak.

- Ojciec również.

- Gdybym miał rok czy dwa, pewnie udałoby mi się sprawić, że wreszcie by mnie polubił.

- Dziś już na ciebie nie naskakiwał.

- Rzeczywiście. Może tylko trochę się boczył. Co zamierzasz im powiedzieć?

- O czym?

- O tym, dlaczego się rozstaliśmy.

- Powiem, że musiałeś pojechać do domu. Postarała się, by odpowiedź zabrzmiała lekko i obojętnie. Tak obojętnie, że Cal niemal zaklął.

- Tak po prostu?

Teraz głos jej już trochę zadrżał.

- Nie będą mi prawić kazań. Najlepiej, jeśli powiem prawdę.

- To znaczyć?

Czy rzeczywiście chciał to utrudnić? Bezradnie wzruszyła ramionami.

- Sprawy się nie ułożyły, ty wróciłeś do swojego życia, a ja do swojego.

- Aha, tak chyba będzie najlepiej. Bez zamieszania, bez żalu.

Zirytowana włożyła ręce do kieszeni.

- Masz jakiś lepszy pomysł.

- Nie. Twój jest za to po prostu znakomity. - Odsunął się od niej, zły na siebie i zły na nią. - Muszę polecieć do statku.

- Wiem. Ja chyba pojedę do miasta. Kupię aparat i parę innych rzeczy. Jeśli wrócę wystarczająco wcześnie, przyjadę sprawdzić, jak ci idzie.

- Doskonale.

Choroba, to nie może być dla niej takie łatwe, skoro ja jestem właściwie rozdarty na pół, pomyślał. Zanim zdążył tego pożałować, przyciągnął ją do siebie i pocałował. Mocno, niemal brutalnie.

Libby starała się nie stracić panowania nad sobą. Nie mogła, nie chciała dać mu tego, czego żądał. Chciał jej bezwarunkowej kapitulacji. Nigdy o to nie prosił, nie przypuszczała też, że będzie się tego tak zdecydowanie domagał.

Czuła jego ręce, przesuujące się władczo po jej ciele. Powinna zaprotestować. Czuła coś, co ją naprawdę przerażało, czego wcale nie pragnęła. Pocałunek odebrała jak karę, do tego bardzo dotkliwą.

- Caleb... - zaczęła, chwytając oddech, gdy wreszcie ją puścił.

- Powinno ci to dać do myślenia. Po tych słowach odwrócił się.

Oślupiała, patrzyła, jak odchodzi. Przycisnęła dłoń do warg. Gdy uspokoiła już oddech, dał o sobie znać jej charakter. W porządku, pomyśli o tym. Wpadła do domu, z hukiem zatrzasnęła za sobą drzwi. Wkrótce potem równie energicznie wyszła i wsiadła do landrowera.

Wszystko przebiegało doskonale. Caleb był wściekły. Jeśli chodzi o kwestie techniczne, mógł wystartować w ciągu dwudziestu czterech godzin. Statek był już właściwie gotowy do drogi, w odróżnieniu od pilota. O to właśnie chodziło.

Ona jest z pewnością przygotowana na pożegnanie, pomyślał, spawając drobne rozdarcie wewnętrznej powłoki. Teraz prawdopodobnie jest w mieście. Kupuje aparat, żeby zrobić kilka pamiątkowych zdjęć, zanim pomacha mi na pożegnanie. Wyłączył laser i sprawdził spaw.

Dlaczego ona jest w tej sprawie taka praktyczna?

Bo w ogóle jest praktyczna, odpowiedział sobie, zdejmując ochronną maskę. Między innymi to właśnie mu się w niej podobało. Praktyczna, ciepła, inteligentna, nieśmiała. Pamiętał, jak wyglądały jej oczy, kiedy powiedział po raz pierwszy, że jej pragnie. Takie duże i przelężnione...

A gdy jej dotknął, zadrżała. Była miękka, tak niewiarygodnie miękka. Zaklął, umieścił laser w schowku na narzędzia, wrzucił tam maskę i zatrzasnął pokrywę. Nie mógł sobie wyobrazić mężczyzny, który oparłby się tym oczom, skórze albo pełnym, zmysłowym ustom.

To tylko pogarsza sprawę, przyznał, przeszukując statek. Może Libby wcześniej nie zwracała na to uwagi, może zagłębiła się za bardzo w swoich książkach i badaniach. Pewnego dnia ta zasłona opadnie, Libby rozejrzy się wokół siebie i stwierdzi, że większość mężczyzn jej pożąda. Mężczyźni natomiast chętnie składają obietnice, pomyślał ze złością, nawet jeśli nie mają zamiaru ich dotrzymać.

Chyba nie zdawała sobie nawet sprawy ze swojej mocy. On jednak otworzył dla niej te drzwi. Otworzył? Z hukiem wyrwał z zawiasów. Teraz inni mężczyźni skorzystają z ognia, który on rozniecił.

Tej myśli Cal nie mógł znieść. Przyznał się do tego przed samym sobą. Nie znieśie, trafi do takiego pokoju bez klamek, o jakim mówiła Libby. Ktoś inny miałby ją pieścić? Całować? Rozbierać?

Dowlóknął się do kabiny. Zaczął to wszystko porządkować w myślach. To znaczy, rozrzucać rzeczy po kabinie.

Był samolubny i nieuczciwy. I nie dbał o Libby. Musi się pogodzić z faktem, że Libby będzie miała własne życie, a w tym życiu kochanka albo nawet wielu kochanków. Na tę myśl bezwiednie zacisnął zęby. Potem pewnie wyjdzie za mąż i urodzi dzieci. Powinien się z tym pogodzić. Trudno jednak, żeby mu się to podobało.

Kopnął w kąt but, potem wbił ręce w kieszenie i spojrzał na zdjęcie swojej rodziny. Rodzice... Przypatrywał się rysom ich twarzy, jak nigdy przedtem. Minęły trzy, nie, cztery miesiące, od czasu gdy ich ostatnio widział. Jeśli nie liczyć wieków.

Wyglądali na atrakcyjnych, silnych ludzi, choć ojciec na zdjęciu nie wiadomo dlaczego miał spojrzenie winowajcy. Zawsze wydawali się tak zadowoleni, tak pewni siebie i tego, czego chcieli.

Miał nos po matce. Zaintrygowany Caleb nachylił się nad zdjęciem. Dziwne, nigdy przedtem tego nie zauważył. Najwidoczniej matka nie miała zastrzeżeń do kształtu swojego nosa, nie zmieniła go.

Jacob także jest do niej podobny, uznał, przypatrując się bratu na fotografii. Z tym że on odziedziczył po matce również temperament. Cal pamiętał, jak matka mówiła, że J.T, jak go nazywano, częściej się o coś spiera niż oddycha.

Cal natomiast był o wiele spokojniejszy, tak jak ojciec. Choć akurat teraz wcale nie odczuwał spokoju.

Z westchnieniem usiadł na łóżku.

- Spodobałaby się wam - powiedział do zdjęcia. - Chciałbym, żebyście mogli ją poznać.

Uświadomił sobie, że do tej pory jeszcze nie chciał nikogo przedstawić swoim rodzicom.

Zwlekał, robił uniki. Wiedział o tym. Powinien był wyruszyć znacznie wcześniej. Trąc dłońmi twarz, Cal przyznał, że marnował czas na jałowe rozważania. Powinien już wcześniej wylecieć. Pozostawała jeszcze sprawa materiałów, które miała zgromadzić Libby... jeśli Libby się w ogóle do niego odezwie.

To, co jej zrobił rano przed wyjściem... W porządku, uznał, wyciągając się na łóżku. Niech będzie zła, byle tylko nie zachęcała go z uśmiechem do drogi. Spojrzał na zegarek. Powinna wrócić za parę godzin.

Teraz zamierzał się zdrzemnąć. Należało mu się to po długiej, bezsennej nocy, jaką spędził na kanapie. Włączył kasetę usypiającą i zamknął oczy.

Kretyn, myślała Libby, ściskając kurczowo kierownicę w drodze powrotnej do domu. Zarozumiała kretyn, sprecyzowała. Lepiej będzie dla niego, jeśli przedstawi jakieś wyjaśnienie. Dlaczego pocałował ją z taką wściekłością?

Chciał jej dać do myślenia.

No cóż, myślała, pokonując zakręty wyboistej drogi. Jeszcze teraz czuła wściekłość. I jeszcze teraz nie mogła w tym odnaleźć żadnego sensu. Libby miała w Portlandzie sąsiadkę, która mawiała, że mężczyźni na ogół zachowują się bez sensu.

Wjechała na kamień, próbując ponownie rozwikłać zagadkę Caleba Hornblowera.

Być może miało to coś wspólnego z wizytą jej rodziców. Był jednak smutny, zanim przyjechali. Smutny, ale nie zły, przypomniała sobie. Po południu kochali się przecież nad strumieniem, powoli, łagodnie. Potem, przy kolacji może wydawał się lekko zdystansowany, lecz to naturalne. Trudno jest rozmawiać z ludźmi, w towarzystwie których trzeba uważać na każde słowo.

Poczuła do niego sympatię, a przecież powinna być bardzo zła.

Nie miał powodu, by wyładowywać na niej frustrację. Czyż nie starała się mu pomóc? Cierpiała, a mimo to robiła, co mogła, by wrócił tam, skąd przybył.

Miała też swoje życie. Powinna dokończyć pracę i zaplanować następne badania w terenie, a zamiast tego traciła czas na zakupy. Aparat fotograficzny, ciasteczka owsiane. Ostatni raz, przyrzekła sobie, lecz już po chwili zorientowała się, że nie musi podejmować takich postanowień. Chce czy nie, to i tak ostatni raz.

Zatrzymała samochód w miejscu, w którym wąska droga przechodziła w ścieżkę. Nie zamierzała właściwie jechać do Caleba. Przez całą drogę powtarzała sobie, że wróci do domu i zabierze się do pracy. A jednak tu przyjechała, jakoś tak wyszło.

Wyjęła nowy polaroid z torby na zakupy. Wypakowała aparat z pudełka, założyła jeden z kupionych filmów. Potem wzięła jeszcze torebkę ciasteczek.

Ze szczytu wzniesienia spojrzała na statek. Ogromny i cichy, spoczywał na skałach i obalonych drzewach jak dziwne, przyczajone zwierzę. Celowo skupiła się na nim, a nie na pracującym w środku mężczyźnie.

Transportowiec przyszłości, pomyślała. Dalekobieżny autobus lub ciężarówka. Pasażerowie na Marsa, Merkurego i Wenus proszeni są na pokład. Oferujemy również ekspresowe przeloty na Plutona i Andromedę. Westchnęła i zrobiła dwa zdjęcia. Usiadła, patrząc na powstające odbitki. Pięćdziesiąt lat temu, zadumała się, takie natychmiastowe uzyskiwanie odbitek było możliwe jedynie w powieściach science fiction. Przeniosła spojrzenie na statek. Na pewno Cal związał się jak w ukropie. Pracował szybko, zbyt szybko.

Otworzyła torbę i wyjęła ciasteczko.

Oczywiście, nie będzie mogła nikomu pokazać tych zdjęć. Jedno włoży do pojemnika, drugie zachowa dla siebie. Chciała, żeby całą dokumentację znaleźli naukowcy, żeby zapoznali się z fotografiami i sprawozdaniem, które napisała.

Włożyła fotografie do kieszeni, przewiesiła aparat przez ramię i ruszyła w dół zbocza.

Gdy doszła do luku, uniosła rękę, a potem zaczęła się śmiać. Czy należy pukać do drzwi statku kosmicznego? - Może to i głupie, jednak zapukała. Jakiś ptak poderwał się z ziemi, usiadł na pniu zwalonego drzewa. Teraz intensywnie wpatrywał się w Libby.

- Wiem, że to dziwne - powiedziała do niego. - Tylko pamiętaj, zatrzymaj to dla siebie, nikomu ani słowa.

Rzuciła w kierunku ptaka ciasteczko, potem znów zapukała.

- Dobra, Hornblower, otwieraj. Czuję się tu jak idiotka.

Pukała, waliła pięścią, krzyczała. Potem straciła cierpliwość i wymierzyła drzwicom silnego kopniaka. Wściekła także z powodu bólu w stopie, postanowiła już wracać, gdy nagle do niej dotarło, że Cal może jej nie słyszeć.

Znów podeszła. Poszukała urządzenia, którym Caleb otwierał luk. Zajęło jej to dziesięć minut. Gdy drzwi ustąpiły, jak furia wpadła do środka.

- Posłuchaj, Hornblower, ja...

Nie było go na mostku. Odgarnęła włosy. Dlaczego nie może go znaleźć akurat wtedy, kiedy ma ochotę na niego nawrzeszczyć?

Zasłona pozostawała otwarta. Z zewnątrz nie można było przez nią zajrzeć, jednak teraz przed Libby rozpościerał się wspaniały, panoramiczny widok. Podeszła do panelu sterowania. Jakie to uczucie, myślała, siedzieć w tym fotelu, prowadzić taką wielką i potężną maszynę. Spojrzała na przełączniki. Nawet kobieta stąpająca twardo po ziemi mogła sobie łatwo wyobrazić dziką, nieograniczoną wolność, jaką dają podróże w przestrzeni kosmicznej. Planety, kolory i światła. Migotanie dalekich gwiazd, blask księżyców.

Spojrzała na komputer. Rozejrzała się niespokojnie i nachyliła.

- Komputer?

- Pracuję.

Podskoczyła, tłumiąc nerwowy chichot. Chciała zadać dwa pytania, z tym że naprawdę interesowała ją odpowiedź na tylko jedno z nich.

- Komputer, w jakim stadium są obliczenia do podróży powrotnej do dwudziestego trzeciego wieku? Odpowiedz.

- Obliczenia zakończone. Wskaźnik prawdopodobieństwa sformułowany. Czynniki ryzyka, trajektoria, moc ciągu, orbita i prędkość znalezione. Czy przedstawić wyniki?

- Nie.

A więc skończył. Wiedziała to właściwie, choć próbowała sobie wmówić, że mają dla siebie jeszcze kilka dni. Cal jej nie powiedział, ale chyba rozumiała dlaczego. Nie chciał jej

zranić, wiedział, na pewno wiedział, jak się czuje. Przejrzał ją. Starał się postępować jak najdelikatniej.

Chciałaby się z tego cieszyć. Chciałaby...

- Komputer - powiedziała po chwili.

- Gotów.

- Kim jest Caleb Hornblower?

- Hornblower, Caleb, kapitan MSK Urodzony 2 lutego, syn Katriny Hardesty Hornblower i Byrama Edwarda Hornblowera. Miejsce urodzenia Filadelfia, Pensylwania. Absolwent Wilson Freemont Memoriał Academy. Uczęszczał na Uniwersytet Princeton, zrezygnował przed ukończeniem. Wstąpił do MSK. Służył sześć lat i siedem miesięcy. Szczegółowy przebieg służby wojskowej...

Libby wysłuchiwała opisu kariery wojskowej Cala. Pochwała za pochwałą, jednocześnie nagana za naganą. Jako pilot był bez zarzutu. Sprawy dyscyplinarne, to co innego. Nie mogła powstrzymać się przed szerokim uśmiechem.

- Zaszeregowanie kredytowe 5.8 - kontynuował komputer.

- Stop.

Libby westchnęła. Nie interesowała jej wiarygodność kredytowa Cala. I tak już wdarła się zbyt głęboko w jego prywatność. Wszystkie inne odpowiedzi musi uzyskać od niego samego. I to szybko.

Wstała i wyruszyła na poszukiwania.

Jej uwagę przykuła muzyka. Zrazu dobiegała z daleka. To coś klasycznego. Ciekawe, kto skomponował ten utwór?

Znalazła Cala śpiącego w kabinie. Muzyka wypełniała pomieszczenie, brzmiała łagodnie i kusząco. Libby poczuła, że musi się położyć koło Cala, poczekać, aż on się obudzi, potem kochać się z nim. Powoli i czule.

Otrząsnęła się. To ta muzyka, uznała. Jednocześnie uspokajająca i pobudzająca zmysły. Dokładnie taka, jaki mógłby być pocałunek Cala. Nie powinna się temu poddawać, nie wolno jej zapominać, że jest na Caleba bardzo zła.

Zrobiła mu jednak zdjęcie, gdy spał. Potem wsunęła je, niemal ukradkiem, do kieszeni.

Oparła się o framugę, uniosła podbródek. Wyzywająco i buńczucznie.

- A więc to tak pracujesz.

Choć powiedziała to głośno, nie obudził się. Miała ochotę potrząsnąć nim, lecz wpadła na lepszy pomysł. Włożyła dwa palce do ust i przeraźliwie gwizdnęła, tak jak nauczyła ją Sunny.

Zerwał się z okrzykiem:

- Czerwony alarm!

Potem zobaczył ją w drzwiach. Opadł na poduszkę i przetarł ręką oczy.

Miał sen. Mknął przez rozświetloną galaktykę. Libby była przy nim, obejmowała go, widział w jej oczach fascynację lotem.

Potem coś się stało. Wskaźniki zaczęły błyskać, rozległy się dzwonki. Słyszał zgrzyt metalu, statek zanurkował. Cal nie wiedział, co zrobić. Nagle poraziła go myśl, że nie będzie potrafił ocalić Libby.

A teraz tu stała, jakby nigdy nic, podczas gdy jemu serce wciąż waliło z przerażenia. Zadziorna, gotowa do sprzeczki.

- Po co to do diabła zrobiłaś?

Wyglądał, jakby się czegoś bał. Przynajmniej miała taką nadzieję, bo jej zamiarem było go przestraszyć.

- Uznałam, że w ten sposób najszybciej cię obudzę. Szanuj się bardziej, Hornblower, jeśli będziesz tak ciężko pracował, zapadniesz na zdrowiu.

- Zrobiłem sobie przerwę. - Żałował, że nie może się napić mocnego likieru z Antellis.

- W nocy źle spałem.

- Niedobrze.

Przyglądając się mu, wyjęła z torebki ciasteczko.

- Ta kanapa jest niewygodna.

- Aha. Pewnie dlatego wstałeś z niej lewą nogą. Powoli, demonstracyjnie odgryzała małą kawałek ciasteczka. Chciała, żeby nabrał ochoty najedzenie.

Nabrał, ale na nią.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- To takie powiedzenie.

- Słyszałem je.

Wiedział, że odpowiedział dziwnie zduszonym głosem, nie mógł jednak nic na to poradzić. Wsunęła język, by dotknąć okruszka w kącie ust. Cal niemal jęknął.

- Wstałem prawą nogą.

- No cóż, widocznie jesteś z natury gburowaty. Może uda ci się kiedyś nad tym zapanować.

- Nie jestem gburowaty - odpowiedział przez ściśnięte gardło.

- Nie? No to arogancki. To bliższe prawdy?

Jej uśmiech miał go zaniepokoić, podziałał jednak zupełnie inaczej.

Próbował nie zwracać uwagi na Libby i na własne, nieco krepujące reakcje. Spojrzał na zegarek.

- Spędziłaś w mieście dużo czasu.

- To mój czas, Hornblower. Zmarszczył brwi.

- Chcesz się kłócić?

- Ja? - Wyglądała teraz jak uosobienie niewinności. - Dlaczego, Calebs? Poznałem moich rodziców i wiesz, że wszyscy jesteśmy pacyfistami. Zamiast kołysanek słuchałam piosenek folkowych.

Wymruczał swoje zdanie na ten temat, krótkie słowo, które Libby uważała za jak najbardziej współczesne. Zaintrygowana, przechyliła głowę.

- A więc nadal tak się odpowiada, kiedy nie można wymyślić niczego inteligentnego - zauważyła. - To dobrze, że pewne tradycyjne zwroty przetrwały.

Powoli wstał. Nie podszedł do niej, jeszcze nie. Musiał się najpierw opanować, by nie uderzyć jej w ten uniesiony arogancko podbródek. Dziwne, nigdy nie zauważył u niej tej zadziorności. Ani wyzywającego spojrzenia.

Najgorsze było to, że jednocześnie emanowało z niej ciepło.

- Nie przeciągaj struny, mała. Muszę cię ostrzec, że ja nie pochodzę ze szczególnie pokojowo usposobionej rodziny.

- No cóż... - Starannie wybrała drugie ciasteczko.

- Ale mnie wystraszyłeś, aż cała się trzęsę. - Zwinęła torbę i rzuciła nią w Cala, lecz pochwycił ją w powietrzu, przy okazji gniotąc pozostałe w środku ciasteczka.

- Nie wiem, co ty tam sobie myślisz, Hornblower, ale mam ważniejsze sprawy na głowie niż twoje humory. Jeśli chcesz, baw się dalej w nadaśanego chłopczyka. Ja wracam do pracy.

Zanim się odwróciła, chwycił ją za ramiona i przycisnął do ściany.

- Chcesz wiedzieć, co myśleć? Po co te wygłupy, Libby?

- Nic mnie to nie obchodzi. - Nadal trzymała głowę wysoko, choć zaschło jej w ustach. No cóż, zawsze wolała ustąpić, niż trwać przy swoim zdaniu. Od dziecka nie znosiła konfliktów. Czasami wynikało to z łagodnego charakteru, jednak częściej z tchórzostwa. Wzięła głęboki oddech. - Guzik mnie obchodzi.

- A powinno. - Chwył ją za włosy, powoli odchylił jej głowę do tyłu. - Czy uważasz, że uczucia mężczyzny do kobiety są zawsze pełne czułości i delikatności?

- Nie jestem głupia.

Chciała się wyrwać. Nie bała się go, po prostu ją irytował.

- Nie, nie jesteś. - Patrzyli sobie w oczy, prawie porażeni furją. Cał czuł, że coś w nim się przełamało, że pękła ostatnia nić łącząca go z cywilizowaną częścią jego natury. - Może nadszedł czas, żebym nauczył cię naprawdę wszystkiego...

- Nie musisz mnie niczego uczyć.

- To prawda, będą inni, którzy cię nauczą, czyż nie? - Zalała go opętańcza zazdrość. - Niech cię szlag trafi. I ich wszystkich, każdego z nich z osobna. Myśl o tym. Zawsze, kiedy ktoś cię dotknie. Jutro, za dziesięć lat, będziesz żałowała, że to nie ja. Dopilnuję, żeby tak się stało.

Pociągnął ją na łóżko, zanim skończył mówić.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Walczyła z nim. Nie chciała, by wziął ją w gniewie, bez względu na to, jak bardzo go kochała. Muzyka sączyła się z głośników, spokojna i piękna. Brutalnie rozpiął guziki koszuli Libby.

Nie odezwała się. Nie chciała prosić, by przestał, nie chciała płakać, choć to by go z pewnością otrzeźwiło. Starła się tylko wydostać z zasięgu jego bezlitosnych rąk. Rzuciła się, odpychała go, toczyła cichą wojnę z reakcją własnego ciała, które pragnęło czego innego niż jej serce.

Znienawidzi go za to. Ta myśl niemal ją załamała. Jeśli mu się uda, odejdą w niepamięć wszystkie inne wspomnienia, pozostanie tylko to. Wspomnienie gwałtu i dominacji. Nie mogła na to pozwolić. Teraz broniła przed tym ich oboje.

Znał ją aż za dobrze. Każdą krągłość ciała, każde uderzenie puls. Z furią przytrzymał jedną dłonią obie jej ręce za głowę. Całował ją w szyję, szukając wolną ręką najbardziej wrażliwych miejsc. Słyszał jej jęk, gdy zalewała ją kolejna fala niechcianej rozkoszy. Nagle stężała, wygięła się w łuk. Poczuł, że zadygotała, a potem opadła bez sił, wstrząsana zdławionym płaczem. Zanim zacisnęła usta, zobaczył, jak bardzo drżą jej wargi.

Poczuł wszechogarniający żal, poczucie winy. Nie miał prawa, nikt nie miał prawa użyć takich wspaniałych doznań jako broni. Chciał zranić Libby, zmuszając ją, by sama zaczęła dążyć do jak najszybszego poddania się jego woli. I zranił, to mu się udało. Jednak przy okazji też bardzo ucierpiał. Bardziej, niż mógłby przypuszczać.

- Libby. - Miała zamknięte oczy i tylko pokręciła głową. Cał stoczył się z niej i wbił wzrok w sufit. - Nie mam żadnego usprawiedliwienia - dodał. - Nic nie usprawiedliwia sposobu, w jaki cię potraktowałem.

Udało się jej przełknąć ślinę, wstrzymać łzy. To jej ulżyło. Mogła już otworzyć oczy i normalnie oddychać.

- Może i nie ma - odpowiedziała - ale nic nie dzieje się bez przyczyny. Chciałabym ją poznać.

Przez dłuższy czas nie odpowiadał. Leżeli obok siebie. Mógłby podać wiele przyczyn: niewyspanie, przepracowanie, niepokój o powodzenie lotu. Wszystkie byłyby prawdziwe - do pewnego stopnia. Nie złożyłyby się jednak na prawdę. Wiedział, że Libby przywiązuje wielką wagę do uczciwości.

- Zależy mi na tobie - zaczął powoli. - Nie jest łatwo znieść myśl, że już cię nie zobaczę. Wiem, że każde z nas ma swoje życie - dodał, zanim mogła mu przerwać - swoje miejsce na ziemi. Może postępujemy słusznie, jednak ja nie umiem się pogodzić z tym, że to wszystko jest dla ciebie takie łatwe.

- Nie jest.

Wiedział, że jest samolubny, lecz to wyznanie Libby przyniosło mu ulgę. Ujął jej dłoń.

- Poza tym jestem zazdrosny.

- Dlaczego? O co?

- O mężczyzn, których poznasz, w których się zakochasz. O tych, którzy pokochają ciebie.

- Ale...

- Nie, nie przerywaj. Po prostu pozwól mi się wypowiedzieć. Wiem, że to co teraz mówię, nie jest racjonalne. Tu nie chodzi jednak o rozum, lecz o moje odczucia, Libby, muszę się z nimi jakoś uporać. Zawsze, kiedy wyobrażam sobie, że ktoś dotknie cię tak, jak ja cię dotykałem, prawie wariuję.

- I z tego powodu jesteś na mnie zły? - Odwróciła głowę, żeby mu się przyjrzeć. - Z powodu moich przyszłych romansów, które powstały w twojej wyobraźni?

- Świetnie to ujęłaś. Dzięki temu wiem, jak idiotycznie brzmią moje argumenty.

- Nie miałam takiego zamiaru.

- Wiesz, nawet widzę tego twojego faceta - powiedział. - Ma dwa metry wzrostu i jest zbudowany jak jeden z tych greckich bogów.

- Adonis - sprecyzowała z uśmiechem. - Na twoim miejscu obstawiałabym Adonisa.

- Zamknij się. Blondyn, takie trochę zmierzwiłone włosy, silnie zarysowana szczęka, z dołkiem w podbródku.

- Jak Kirk Douglass. Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Znasz faceta odpowiadającego temu opisowi?

- zapytał.

- Tylko z widzenia.

Ponieważ poczuła, że burza minęła, pocałowała Cala w ramię.

- W każdym razie, jest też inteligentny i to kolejny powód, dla którego naprawdę go nienawidzę. Jest doktorem, nie lekarzem, ale filozofem. Może omawiać z tobą godzinami kwestię tradycyjnych związków erotycznych w prymitywnych wspólnotach szczepowych. I gra na fortepianie.

- Rany, to robi wrażenie.

- Jest bogaty - kontynuował masochistycznie Cal.

- Zaszeregowanie kredytowe 9.2. Zabiera cię do Paryża i kocha się z tobą w pokoju z widokiem na Sekwanę. Potem daje ci w prezencie diament wielkości pięści.

- Rzeczywiście nieźle. - Przez chwilę myślała o tym diamencie. - Czytuje wiersze?

- Nawet sam je pisze.

- Och, mój Boże - przyłożyła rękę do serca - kiedy mam go poznać? Muszę się jakoś przygotować.

Uniósł się, żeby na nią spojrzeć. Zobaczył w jej oczach rozbawienie, nie lzy.

- Widzę, że to ci się spodobało, prawda?

- Tak. - Uniosła dłoń do jego twarzy. - Chyba czułbyś się lepiej, gdybym obiecała, że wstąpię do klasztoru.

- Niech będzie. - Uniósł jej dłoń i pocałował.

- Możesz mi to dać na piśmie?

- Zastanowię się. - Jej oczy znów były spokojne, głębokie i czyste. Cal stał się sobą, mężczyzną, którego mogła kochać i potrafiła zrozumieć. - Już się nie kłócimy?

- Na to wygląda. Tak mi przykro, Libby, zachowałem się jak wieprz.

- Nie jestem pewna, czy wiem, o które słowo ci chodzi, ale chyba masz rację.

Pocałował ją, lekko, przepraszająco. Przytrzymała jego głowę, przedłużyła pocałunek.

- Cal?

- Mmm?

- Jak się nazywa ten facet? Masz jego numer telefonu? Auu! - Wyrwała się. - Ugryzłeś mnie!

- Fakt.

- To ty go wymyśliłeś - przypomniała - nie ja.

- Niby tak. Wiesz, dla równowagi mogę ci opowiedzieć, co jeszcze sobie wyobrażałem.

Dotknął jej piersi.

- Opowiedz.

- Gdybym ja zabrał cię do Paryża, spędzilibyśmy trzy pierwsze dni w hotelu i ani razu nie wyszlibyśmy z łóżka. - Pieścił ją, przestając tylko po to, by rozbudzić jej oczekiwanie. - Pilibyśmy szampana, butelka po butelce i jedli dania o egzotycznych nazwach i smakach. Poznałbym do końca każdy centymetr twojego ciała, każdy por skóry. W jakimś dużym, miękkim łóżku docieralibyśmy do miejsc, w których nikt jeszcze nie był. A potem...

- Cał...

Całował jej piersi, niespiesznie i zmysłowo.

- Potem byśmy się ubrali. Ty w coś cienkiego i białego, co odsłaniałoby ramiona, opadając miękkimi fałdami na biodra. W coś takiego, że każdy mężczyzna, który by cię zobaczył, chciałby mnie zamordować.

- Nawet ich nie dostrzegam - westchnęła. - Widziałabym tylko ciebie.

- Na niebie są gwiazdy, miliony gwiazd. Czujesz zapach Paryża, zapach bogactwa, ale również rzeki i kwiatów. Spacerujemy, oglądasz te wszystkie niesamowite światła i wspaniałe, stare domy. Zatrzymujemy się w kawiarni, siedzimy przy stoliku na dworze, pod parasolem, pijemy wino. Potem wracamy, żeby znowu się kochać, całymi godzinami.

- Nie potrzebujemy do tego Paryża - zauważyła.

- Rzeczywiście.

Położył się na niej, ujął jej głowę dłońmi. Uśmiechała się, miała na wpół przymknięte oczy. Chciał to zapamiętać, tę chwilę, w której nie było niczego, oprócz ukochanej kobiety.

- Och, Boże, Libby, pragnę cię.

To właśnie chciała usłyszeć. Objęła go.

Czuła jego rękę, jego ciało. Ona także bardzo go pragnęła.

Jęknęła dziko, odepchnęła go. Zrywała ubranie, z niego, z siebie, byle jak, byle prędej. Usiadła na nim, słyszała, jak Cał szybko oddycha i to podnieciło ją jeszcze bardziej.

Władza upajała Libby. Okazała się bardziej skuteczna od najsilniejszego afrodyzjaku. Libby wiedziała, jak sprawić, by Cał dygotał, by czuł ból, szeptał jej imię. Nie spodziewała się nigdy, że tak łatwo, nie wysilając się zbytnio, jest w stanie doprowadzić mężczyznę do szaleństwa.

Pięknego mężczyznę. Widziała go, czuła całą sobą, dłońmi. Był silny, choć jego twarde mięśnie drżały, gdy dotykała ich delikatnie opuszkami palców.

Chciał sprawić, żeby zapamiętała go na zawsze. Teraz jednak to on jęczał, zatracając się w rozkoszy, której źródłem była Libby. To on zapamięta te chwile na zawsze. Muzyka, którą zawsze lubił, wypełniała mu głowę. Wiedział, że będzie mu przypominać Libby, ilekroć ją usłyszy.

Zwolniła, poszukała ustami jego ust. Całowała go powoli, gorąco, zatapiała się w nim. Potem się śmiała, odsuwała, ponownie doprowadzając go do szaleństwa.

Nie był w stanie zachować nawet najmniejszej kontroli nad swymi reakcjami. Powtarzał tylko jej imię, raz po raz.

Zamknęła się nad nim jak wilgotny aksamit. Dźwięk, który wydała, był tylko odrobinę głośniejszym jękiem, lecz brzmiał w nim triumf. Zatopiona we własnej rozkoszy, zaczęła się poruszać szybciej, najszybciej, jak umiała.

Przemierzał przestrzeń kosmiczną, odbył podróż w czasie, nic jednak nie mogło się równać z tym, co czuł teraz. Na oślepek szukał jej dłoni, napotykał śliskie, spocone ciało. Gdy wreszcie ich dłonie się splotły, oboje osiągnęli szczyt.

Przytuliła się do niego, zapadła w błogostan. Odczuwała pełną harmonię. Ciała, umysłu, serca. Zastanawiała się, jak długo dwoje ludzi może leżeć razem w łóżku, bez jedzenia i picia. Całą wieczność. Uśmiechnęła się do siebie. Prawie w to uwierzyła.

- Moi rodzice mają kota - poinformowała leniwie. - Grubego kota imieniem Stokrotka. On nie ma ani grama ambicji.

- Nie kotkę? - Kot rodzaju męskiego nazywa się Stokrotka?

- Przecież poznałeś moich rodziców.

- Racja.

- W każdym razie, po południu leży zawsze na parapecie. Przez całe popołudnie. Teraz wiem, co wtedy czuje. - Wyprostowała się, tylko trochę, by nie tracić za dużo energii. - Lubię twoje łóżko, Hornblower.

- Ja też coraz bardziej za nim przepadam. Przez chwilę leżeli cicho.

- Ta muzyka - odezwała się Libby. Słyszała ją, słodką, tak romantyczną, że niemal ocierającą się o kicz. - Nie poznaję jej, a powinnam.

- Salvadore Simeon.

- Czy to współczesny kompozytor?

- To zależy od punktu widzenia. Koniec dwudziestego pierwszego wieku.

- Muzyka klasyczna i latający skuter. Interesująca kombinacja.

- Doprawdy?

- Tak, bardzo interesująca. Wiem również, że uwielbiasz teleturnieje i seriale.

- To tylko w celach poznawczych. - Uśmiechnął się, gdy usiadła. - Chciałbym móc opowiedzieć inteligentnie o wszystkich popularnych w dwudziestym wieku formach rozrywki. - Zamyślił się. - Ciekawe, czy w telewizji przechowują archiwalne programy? Chciałbym się dowiedzieć, czy Blake'owi i Evie udało się, pomimo knowań Dorian. Jest jeszcze problem, kto zrobił Justina w morderstwo tego Carltona Slade'a. Ja uważam, że Vanessa. Słodka twarzyczka, ale serce zimne jak lód.

- Widzę, że złapali cię na haczyk. - Podciągnęła kolana i uśmiechnęła się. - A u was nie ma oper mydlanych?

- Są tylko ja nie mam czasu oglądać. Zawsze sądziłem, że są dla domopracowników.

- Domopracownicy - powtórzyła, gdyż spodobało się jej to określenie. - Nie zadałam ci tylu ważnych pytań. - Oparła brodę na kolanach. - Gdy wrócimy, musimy dokończyć opisywanie wszystkiego, co ci się przydarzyło.

- Wszystkiego? - zapytał z uśmiechem.

- Wszystkiego istotnego - przywołała go do porządku. - Zrobimy to, włożymy zapiski do pojemnika, a ty opowiesz mi o przyszłości.

- Aha. - Wstał z łóżka. Może to dobrze, że w najbliższych godzinach będą zajęci. Sięgnął po spodnie i zauważył na podłodze polaroid. - Co to jest? - zapytał.

- Aparat fotograficzny, taki specjalny. Możesz mieć zdjęcie po dziesięciu sekundach.

- Tak?

Rozbawiony, obracał aparat w rękach. Dostał coś takiego na dziesiąte urodziny, tyle że jego aparat mieścił się w dłoni. Mierzył też temperaturę i odtwarzał muzykę.

- Znow masz na twarzy ten wyraz wyższości, Hornblower.

- Przepraszam. Jak to działa? Ten guzik?

- Tak, ten. Nie! - Było już jednak za późno. Sfotografował ją nagą. - Mordowano już mężczyzn za drobniejsze wykroczenia - poinformowała go.

- Myślałem, że mieliśmy zrobić zdjęcia - zauważył.

- Nie jestem ubrana.

- Aha, to dobrze. To zaledwie dwuwymiarowa fotografia, ale jakże seksowna.

Libby wyciągnęła rękę po zdjęcie.

- Chcesz zobaczyć? - Trzymał fotografię poza jej zasięgiem, lecz tak, by mogła obejrzeć. Siedziała na niej, obejmując rękoma kolana. - Boże, uwielbiam, kiedy się rumienisz, Libby.

- Wcale się nie rumienię.

Ubrała się, tłumiąc śmiech. Cal odłożył jednak aparat i znow ją rozebrał.

Gdy opuścili statek, drzewa rzucały już długie cienie. Cal zaproponował, by załadowali skuter do landrowera i razem wrócili do domu.

- Dobry pomysł - zauważyła Libby, tylko nie ma go czym przywiązać.

- Nie ma potrzeby.

Cal nacisnął guziczek pod siodelkiem i wyciągnął dwie taśmy zakończone hakami. Libby wychyliła się z samochodu, zerkając ciekawie.

- Pomogę ci go podnieść. - Chwyliła skuter i zdmuchnęła włosy z oczu. - No, zaczynamy.

- Dobrze, ale nie powinnaś dźwigać.

- Masz pojęcie, ile sprzętu już w życiu załadowałam?

Uśmiechnął się do niej.

- Nie.

- Całe tony. Zaczynamy na trzy. Raz, dwa, trzy!

- Zdumiała się, gdy nagle podnieśli skuter na wysokość ramion. Nie ważył więcej niż dziesięć kilogramów. - Niesamowite.

Cał szybko przymocował skuter. Pozwolisz mi poprowadzić?

- Nie wiem nawet, czy masz prawo jazdy.

- Nie wygłupiaj się. Skoro mogę prowadzić to - wskazał ruchem głowy statek - poradzę sobie z twoim samochodem. Chciałbym spróbować, jak się nim jeździ.

Rzuciła mu kluczyki.

- Pamiętaj tylko, że ten pojazd porusza się po ziemi.

- Zrozumiałem. - Zadowolony jak dziecko, które wreszcie dostało upragnioną zabawkę, usiadł za kierownicą. - Trzeba zmieniać biegi, prawda?

- Tak sądzę.

- Fascynujące. A ten pedał?

- Sprzęgło - wyjaśniła i zaczęła się obawiać o swoje życie.

- Sprzęgło, racja. Odłącza system i wtedy można zmienić bieg. Wyższe biegi do większych prędkości. Taka jest zasada, prawda?

- Tu obok sprzęgła, wiesz, co to jest? - Hamulec. Nie zapominaj o nim, Hornblower, to bardzo ważne urządzenie.

- Nie przejmuj się.

Libby poczuła, że ma spocone dłonie.

- Ostrożnie, dobrze? Teraz spróbuj ruszyć.

Zrobił to tak, że wbiła paznokcie w tapicerkę i zaczęła się modlić. Widziała, że Cał znakomicie się bawi. Był nieco rozczarowany, gdy szlak stał się na chwilę mniej wyboisty.

- Żadna sztuka - rzucił z uśmiechem.

- Patrz, gdzie jedziesz! Och, Boże!

Zasłoniła oczy, żeby nie widzieć pędzących na nich drzew.

- Czy zawsze tak się denerwujesz, kiedy prowadzi ktoś inny? - zapytał, objeżdżając jakiś pień.

- Zaraz cię znienawidzę, jestem tego pewna.

- Rozluźnij się, mała, zrobimy małą rundkę.

- Cal, powinniśmy...

- Pędzić za głosem pragnienia. Tak się mówi?

- Chyba raczej „iść za głosem pragnienia”, ale to nie jest reklama piwa. - Ścisnęła mocniej dłońią pas. - Zresztą, ty możesz sobie pędzić, ale ja wołałabym długie, nudne życie.

Zjechał z usianego skałami stoku jak rasowy rajdowiec.

- Po lataniu to najfajniejsza rzecz, jakiej doświadczyłem. - Spojrzał na nią z ukosa. - No, może jeszcze po czymś innym.

- Cal, żołądek wywraca mi się na drugą stronę, chyba nie chcesz wjechać do... - Woda rozprysła się, tworząc dwie kurtyny po bokach landrowera. - ... strumienia - dokończyła Libby, odgarniając z twarzy mokre włosy.

Mokry tak samo jak ona, wydał okrzyk zadowolenia i znów wjechał do wody. Usłyszała własny śmiech, lecz nagle ponownie poczuła zimny prysznic.

- Wariat z ciebie - zauważyła. - Przynajmniej się z tobą nie nudzę.

- Wiesz, gdyby wprowadzić kilka drobnych modyfikacji, ten pojazd zrobiłby furorę w moich czasach. Nie wiem, dlaczego ich już nie produkują. Gdybym się zjawił z prototypem, moje zaszeregowanie kredytowe sięgnęłoby stratosfery.

- Nie zabierzesz go ze sobą. Mam jeszcze czternaście rat do spłacenia.

- Tak tylko sobie pomyślałem.

Cal mógłby jeździć godzinami. Zauważył jednak, że zrobiło się chłodno, a Libby jest przemoczona. Skręcił w kierunku domu.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - zapytała.

- Jasne, jakieś dwadzieścia stopni na północ od statku. - Pogłaskał ją po mokrych włosach. - Mówiłem ci już, że znam się na nawigacji. Wiesz co? W domu weźmiemy gorący prysznic. Potem rozpalimy w kominku i napijemy się brandy. Potem...

Zaklął i wcisnął mocno hamulec. Samochód z piskiem opon zatrzymał się o kilka metrów od czterech osób z plecakami.

- Jezu, o tej porze roku nikt się tu zwykle nie zapuszcza - zmartwiła się Libby.

Plecaki i górskie buty były nowe. Na niektórych pozostały jeszcze nalepki z cenami.

- Jeśli pójdą dalej w tym kierunku, natkną się na statek - zauważył z niepokojem Cal.

Libby opanowała przypływ paniki i zdobyła się na uśmiech.

- Dzień dobry - powitała obcych.

- Cześć. - Wysoki czterdziestolatek oparł się o maskę landrowera. - Jesteście pierwszymi ludźmi, jakich spotkaliśmy od rana.

- Niewielu turystów tu trafia.

- Właśnie dlatego wybraliśmy tę drogę, prawda, Susie? - Poklepał po ramieniu ładną kobietę, która wyglądała na wyczerpaną. Odpowiedziała tylko skinieniem głowy. - Rankin. Jim Rankin. - Podał Calowi rękę i długo nią potrząsał. - To moja żona Susie i chłopaki, Scott i Joe.

- Miło nam państwa poznać. Cal Hornblower. Libby Stone.

- Przejazdzka po lesie, co?

Libby zorientowała się natychmiast, że z całej czwórki entuzjastą wędrówki jest tylko Jim. Trzeba to jakoś wykorzystać.

- Skąd idziecie? - zapytała.

- Z Big Vista. Ładny kemping, ale trochę za duży tłok. Chciałem pokazać żonie i chłopakom prawdziwą dziką przyrodę.

Libby stwierdziła, że chłopcy mają na oko trzynaście i piętnaście lat. Obaj wyglądali, jakby mieli się za chwilę rozplakać. Biorąc pod uwagę odległość od Big Vista, wcale im się nie dziwiła.

- Kawał drogi - zauważyła.

- Jesteśmy twardzi, prawda, chłopcy? Obaj spojrzeli na niego ponuro.

- Chyba nie zamierzacie iść tą ścieżką? - zapytała Libby.

- Taki mamy zamiar. Chcielibyśmy dotrzeć przed zmierzchem do grani.

Susie jęknęła i schyliła się, żeby rozmasować obolałą łydkę.

- Tędy nie dojdziecie. Dalej jest zamknięty teren. Wyrąb i szkółki. Widzicie przerwę w ścianie lasu?

- Aha, zastanawiałem się, co to jest - odparł Jim.

- Zamknięty teren - powtórzyła Libby bez zmruczenia oka. - Za wejście, a już nie daj Boże biwakowanie grozi pięćset dolarów grzywny - dodała, żeby wzmocnić wymowę tej informacji.

- No cóż, w każdym razie dziękuję, że nas pani ostrzegła.

- Tato, nie możemy pójść do hotelu? - zapytał jeden z chłopców.

- Takiego z basenem - dodał drugi. - I z grami wideo.

- I z łóżkiem - poparła go matka. - Prawdziwym łóżkiem.

Jim mrugnął znacząco do Cala i Libby.

- O tej porze dzieci zwykle marudzą. Poczekajcie na jutrzejszy wschód słońca - zwrócił się do nich - to wam wszystko wynagrodzi.

- Stąd jest wygodny szlak na zachód. - Libby wstała i pokazała ręką. - Widzicie?

- Aha.

Pewne było, że Jim niechętnie schodzi z obranej raz drogi, ale perspektywa zapłacenia pięćsetdolarowej grzywny podziałała na niego jak zimny prysznic. Libby postanowiła jeszcze bardziej wzmocnić motywację całej rodziny.

- Około sześciu kilometrów stąd jest dobry, pięknie położony kemping. Nie będziecie mieć żadnego problemu z dotarciem tam przed zachodem słońca.

- Możemy was podrzucić.

Gdy Cal to zaoferował, zauważył, że żaloszny wyraz twarzy młodszego chłopca przekształcił się w szeroki uśmiech.

- Och nie, dziękujemy - sprzeciwił się Jim. - To niezgodne z duchem przygody.

- Może i nie - Susan poprawiła plecak - ale przynajmniej ocalimy w ten sposób życie. Panie Hornblower, jeśli nas pan tam zawiezie, może pan żądać dowolnej rzeczy...

- Susie...

- Zamknij się, Jim. - Chwyliła mokry rękaw koszuli Cala. - Proszę. Mam na plecach sprzęt za czterysta pięćdziesiąt osiem dolarów. Jest pana.

Śmiejąc się z przymusem, Jim położył rękę na ramieniu żony.

- Susie, uzgodniliśmy...

- Nieważne. - Wzięła głęboki oddech, żeby się opanować i nie zrobić przy obcych ludziach karczemnej awantury. - Ja umieram ze zmęczenia, a chłopcy raz na zawsze zniechęcą się do pieszych wędrówek. Nie chcesz być za to odpowiedzialny, prawda? Jeśli ci na tym zależy, idź dalej na piechotę. My nie damy rady - zakończyła, obejmując synów.

- Susie, skoro tak to przedstawiasz...

- Doskonale. Wsiadajcie.

Stłoczyli się na tylnym siedzeniu landrowera. Po chwili dołączył do nich nadąsany Jim, biorąc młodszego syna na kolana.

- To piękna okolica - powiedziała Libby po wskazaniu Calowi szlaku. - Spodoba się wam, gdy tylko odpoczniecie.

- Na pewno jest tu dużo drzew - zgodziła się Susie, zadowolona, że wreszcie nie musi maszerować. - Mieszkacie tutaj? - zapytała.

- Ja stąd pochodzę - odparła Libby - a Cal jest z Filadelfii.

- Naprawdę? - My też. Jest pan w tej okolicy po raz pierwszy, panie Hornblower?

- Tak, chyba można tak powiedzieć.

- My też. Chcieliśmy pokazać synom część kraju, która nie została jeszcze zanieczyszczona. I pokazaliśmy - mruknęła Susie.

- Tak - zgodził się Jim. - Na pewno zapamiętają tę wycieczkę.

Chłopcy wymienili spojrzenia i zgodnie wywrócili oczami, lecz przezornie nie odpowiedzieli. Woleli nie ryzykować.

- A więc jest pan z Filadelfii. Co pan sądzi o tegorocznych szansach drużyny Phillies?

Cal odpowiedział ostrożnie:

- Zawsze jestem optymistą.

- O to chodzi. - Jim poklepał Cala po ramieniu.

- Jeśli skoncentrują się na grze w środku pola i wystawią lepszego pałkarza, może nawet nieźle wylądują pod koniec sezonu.

Baseball, domyślił się z ulgą Cal. Przynajmniej na ten temat mogę cokolwiek powiedzieć.

- Trudno zgadnąć, jaki będzie ten sezon - odparł - ale myślę, że przez jakieś sto lat nie będziemy wlec się w ogonie.

Jim się roześmiał.

- Długa perspektywa.

Gdy dojechali do polany, pasażerom poprawiły się humory. Chłopcy wyskoczyli i zaczęli gonić królika. Susie wysiadła powoli, wzdychając ciężko.

- Tu jest pięknie. - Spojrzała na zalane zachodzącym słońcem góry. - Nie wiem, jak państwu dziękować. - Zerknęła na męża, który wołał już chłopców, żeby nazbierali chrustu na ognisko. - Ocaliliście mojemu mężowi życie.

- Wyglądał, jakby nie był specjalnie zmęczony - zauważył Cal.

- Bo nie był. To ja zabiłabym go podczas snu.

- Uśmiechnęła się, ścigając plecak. - Teraz już nie muszę, przynajmniej na razie.

Jim podszedł, jowialnie uściskał żonę, tak że Libby obawiała się, czy nie połamie jej żeber.

- Susie, tutaj można oddychać pełną piersią - oznajmił z emfazą.

- Do czasu - mruknęła.

- Nie tak, jak w Filadelfii. Może zjecie państwo z nami kolację? - Nie ma to jak posiłek pod gołym niebem.

- Bardzo prosimy - dodała Susie. - W menu mamy zawsze modną fasolę i hot dogi, o ile nie zzieleniały. Na deser suszone morele.

- Brzmi wspaniale - odparł Cal. Właściwie chciałby zostać. Rodzina Rankinów fascynowała go w równym stopniu, co seriale telewizyjne. - Musimy jednak wracać.

Libby podała rękę Susie, poklepała ją z sympatią po dłoni.

- Tamtym szlakiem, z prawej strony, dojdziecie do Big Vista. To długa droga, ale ładna.

I oddalająca was od statku, dodała w myślach.

- Bardzo dziękujemy. - Jim wygrzebał z plecaka wizytówkę. Po powrocie niech pan do mnie zatelefonuje, Hornblower. Jestem kierownikiem sprzedaży w Biston Motors. Znajdziemy dla pana i pana towarzyszkę zgrabny wozik, nowy albo używany.

- Będę pamiętał.

Wsiadli do landrowera, pomachali Rankinom na pożegnanie i ruszyli.

- Chcesz nowy czy używany? - zapytał Cal, szczerząc zęby do Libby.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Cal sporo myślał o Rankinach. Zapytał Libby, czy są przeciętną amerykańską rodziną. Odparła z rozbawieniem, że gdyby istniało takie zjawisko jak przeciętna rodzina, zapewne zmieściliby się w tej kategorii.

Interesowali go być może dlatego, że dostrzegł w nich pewne podobieństwa do własnej rodziny. Jego ojciec, choć nie przypominał potężnego, jowialnego Rankina, kochał przyrodę, dziewicze lasy i rodzinne wycieczki. Cal i Jacob, jak inni chłopcy, często dąsali się i narzekali. Gdy miarka się przebiegała, do akcji wkraczała matka. Wydawało się, że wzory zachowań w rodzinie przetrwały pomimo upływu wieków. Ta myśl go uspokoiła.

Gdy wrócili do domku, rozpalili ogień i napili się brandy. Potem poszli na górę, żeby dokończyć sprawozdanie.

Potrzebowali trzech egzemplarzy: jednego do pojemnika, jednego dla Cala i jednego dla Libby.

Gdy czytał to, co napisała wcześniej, podziwiał jej styl. Cal nie miał wątpliwości, że naukowcy z jego czasów uznają to opracowanie za wyczerpujące i fascynujące. Pozostała część wyводу składała się właściwie wyłącznie z danych technicznych, które Cal podyktował Libby.

Długo redagowali tekst, dodawali albo usuwali bardziej lub mniej istotne informacje. W przerwach Libby pytała o kwestie społeczne, polityczne i kulturowe. Zmusiła go w ten sposób do przemyślenia wielu spraw, nad którymi nigdy przedtem się nie zastanawiał, traktując je jako oczywiste.

Tak, nadal istniało ubóstwo, lecz opracowano programy zapewniające wszystkim najuboższym dach nad głową i pożywienie. Zdarzały się konflikty, lecz od stu dwudziestu lat nie było wojny. Politycy nadal się kłócili, ludzie troszczyli się bardzo o niemowlęta. Skarżono się na korki w korytarzach powietrznych. O ile Cal pamiętał, cztery czy może nawet pięć kobiet sprawowało urząd prezydenta USA.

W miarę jak odpowiadał, Libby wymyślała coraz to nowe pytania. W końcu zasnęli spleceni na łóżku, niemal w połowie zdania.

Rano przygotowali pojemnik, to znaczy włożyli do szczelnej stalowej skrzynki, którą Libby kupiła w mieście, wszystko, co uznali za najistotniejsze. Egzemplarz sprawozdania owinęli grubą folią. Libby dodała jedną matę utkaną przez matkę i glinianą miskę, którą dawno temu zrobił jej ojciec. Włożyli też do skrzynki gazetę, popularny tygodnik oraz,

ponieważ Cal się przy tym upierał, drewnianą łyżkę z szuflady w kuchni. Libby dołożyła jedno z dwóch zdjęć statku, które zrobiła.

- Przydałoby się jeszcze coś - zauważyła.

- Ja chcę to. - Wskazał pastę do zębów. - No i miałem nadzieję na trochę twojej bielizny.

- Pierwsze tak, drugie nie.

- To do celów naukowych - upierał się.

- Nie ma mowy. Damy za to jakieś narzędzia. Prowadzący wykopaliska zawsze bardzo się cieszą z takich znalezisk. - Przeszukała szuflady. Wróciła z korkociągiem, małym młoteczkiem i kluczem francuskim. - Wybierz - poprosiła.

Wziął klucz.

- Może jakąś książkę? - zaproponował.

- Oczywiście. - Zaczęła oglądać grzbiety książek na półkach. - Najlepiej popularną powieść. Coś napisanego w tych czasach. Stephen King?

- Czytałem, przerażające.

- Również horror jest ponadczasowy. - Przyniosła książkę i umieściła ją w skrzyneczce. - Będą mogli określić wiek papieru. To uwiarygodni twoją opowieść. Chodź, wyjdziemy przed dom i zrobimy jeszcze kilka zdjęć.

Cal wziął aparat, i to on zaczął fotografować. Zrobił zdjęcia domku, Libby przy landrowerze. Libby roześmiana. I Libby, która na niego krzyczy.

- Wiesz, ile filmu już zużyłeś? - - Rozerwała następne opakowanie. - Wychodzi po dolarze za zdjęcie. Antropologia i etnografia są fascynującymi dziedzinami, ale mało nam płacą.

- Przepraszam. Aha, nie wpadłem na to, żeby zapytać. Jakie masz zaszeregowanie kredytowej.

- Nie mam pojęcia. - Sfotografowała Cala z kciukami w kieszeniach pożyczonych dzinsów. - Nie mamy takiego systemu. No, przynajmniej zaszeregowanie kredytowe znaczy coś innego. W razie potrzeby sprawdza się roczny dochód czy coś w tym rodzaju. Posłuchaj, może zdejmij z samochodu skuter i usiądź na nim przed domem? Takie zestawienie różnych epok.

Zrobił to.

- Libby, nie mogę ci zwrócić tych wszystkich wydatków.

- Nie wygłupiaj się, żartowałam.

- Są jeszcze rzeczy, niematerialne, za które nie mam jak ci się odwdziżyć.

- Nic mi nie jesteś winien. - Opuściła aparat i powiedziała, ważąc każde słowo: - Proszę, nie myśl o tym jak o zobowiązaniu. I nie patrz tak na mnie.

- Nie zostało nam wiele czasu.

- Wiem. - Nie rozumiała tego, co jej dyktował. Zorientowała się jednak, że Cal wyruszy przed wschodem słońca. Nie chciała zepsuć tych chwil, które im zostały. - Spróbowała skierować myśli na inny tor.

- Szkoda, że ten model nie ma samowyzwalacza - zauważyła. - Moglibyśmy sobie zrobić kilka wspólnych zdjęć.

- Poczekaj. - Odszedł na chwilę i wrócił z motyką o długim stylisku. - Usiądź na schodkach - poprosił. Przymocował aparat do siodelka skutera, wycelował obiektyw w Libby. Zadowolony z siebie podbiegł, usiadł obok niej i objął ją ramieniem. - Uśmiech - zakomenderował.

Niepotrzebnie. Już się uśmiechała.

Nacisnął wyzwalacz trzonkiem narzędzia.

- Bardzo pomysłowe, Hornblower - pochwaliła go.

- Nie ruszaj się.

Wyjął z aparatu pierwsze zdjęcie, usiadł ponownie koło Libby i powtórzył całą operację.

- Jedno dla ciebie, jedno do skrzynki - wyjaśnił, odkładając zdjęcia. - I jedno dla mnie.

Pocałował ją.

- Zapomniałeś o zdjęciu - zauważyła po kilkunastu sekundach.

- Aha, rzeczywiście.

Nie odrywając warg od ust Libby, manipulował motyką.

Potem Libby wzięła pierwszą fotografię i długo się jej przyglądała. Wyglądamy na szczęśliwych, pomyślała. Szczęśliwi, zwykli ludzie. To zdjęcie dużo dla niej znaczyło. Już teraz, potem będzie znaczyć o wiele więcej.

- Chodźmy zakopać pojemnik - zaproponowała. Umieścili skrzynkę z tyłu skutera, tak że Libby siedziała wciśnięta pomiędzy nią a Calą. Gdy dotarli do strumienia, Libby wręczyła Calowi łopatę. Zmarszczył brwi.

- To bardzo prymitywne narzędzie - zauważył. - Jesteś pewna, że nie ma łatwiejszego sposobu?

- Nie w tym stuleciu, Hornblower. - Wskazała ziemię. - Kop.

- Jeśli chcesz, możesz zacząć. Usiadła na ziemi.

- Nie, nie chcę cię pozbawić tej przyjemności. Patrzyła, jak kopie. Jakim narzędziem, zastanawiała się, będzie to odkopywał? Jak się będzie czuł, gdy to otworzy? - Będzie o niej myślał, wiedziała to. I tęsknił. Miała nadzieję, że Cal usiądzie w tym samym miejscu co teraz ona i przeczyta list, który do niego napisała i po kryjomu schowała do skrzynki.

Tylko jedna zapisana strona, lecz Libby włożyła w te słowa całe serce.

Oparła brodę na kolanach, wsłuchując się w szum wody. Odtworzyła w pamięci list.

„Cal, wiem, że będziesz to czytał po powrocie do domu. Chciałabym, żebyś wiedział, jaka jestem szczęśliwa, że cię spotkałam. Nie umiem sobie wyobrazić, jak się tu czułeś, z daleka od wszystkiego, co znałeś i kochałeś. Od rodziny i przyjaciół. Musisz jednak wiedzieć, że z całego serca pragnęłam, byś powrócił tam, gdzie jest twoje miejsce.

Nie znajduję słów, by opisać, jak wspaniale było mi z tobą i jak wiele to dla mnie znaczyło. Tak bardzo cię kocham, Caleb. Nie będzie dnia, w którym o tobie nie pomyślę. Nie będę jednak nieszczęśliwa. Proszę, wspominaj mnie tylko w taki sposób. To, co podarowałeś mi w ciągu tych kilku dni, przewyższa wszystko, co mogłam sobie wyobrazić, wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam. Zawsze gdy spojrzę na niebo, będę widziała ciebie.

Będę nadal studiowała przeszłość, żeby zrozumieć, dlaczego człowiek jest taki, jaki jest. Teraz jednak, gdy cię poznałam, będę widzieć przyszłość w jaśniejszych kolorach.

Bądź szczęśliwy. Mocno wierzę, że tak się stanie. Nie zapomnij o mnie. Chciałam włożyć do skrzynki gałązkę rozmarynu, bałam się jednak, że zamieni się w proszek. Znajdź taką gałązkę i pomyśl o mnie. Módl się za mnie, kochaj, pamiętaj.

Libby”

- Libby?

Cal patrzył na nią wsparty o łopatę.

- Tak?

- Gdzie byłaś?

- Och, nie tak daleko. - Spojrzała na ziemię. - Wiedziałam, że silny mężczyzna, taki jak ty, potrafi wykopać dół.

- Chyba zrobił mi się pęcherz.

- Ojej.

Wstała. Podeszła i pocałowała skórę na jego dłoni, pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

- Teraz możesz się przyglądać, jak będę zakopywała.

- Dobra myśl. - Gdy włożyli skrzynkę do dołu, Cal wręczył Libby łopatę. Spojrzała na nią, potem na pokazaną stertę ziemi. - Cztery kobiety prezydentami USA? - upewniła się.

Rozprostował obolałe plecy.

- Może nawet pięć.

Libby skinęła głową i zaczęła zasypywać dół.

- Cał.

- Hmm?

Widać było, że rozważał, czy się nie zdrzemnąć po ciężkiej pracy.

- Zadałam ci już wiele pytań. Ważnych, fundamentalnych. Mogłabym cię teraz zapytać o coś bardziej osobistego?

- Spróbuj.

- Opowiesz mi o swojej rodzinie?

- Pytaj?

- Kim oni są, co lubią? - Zrzucała ziemię w stałym rytmie, który podobał się Calowi. - Chciałabym chociaż w ten sposób ich poznać.

- Mój ojciec jest technikiem w laboratorium. Bardzo staranny i solidny, można na nim polegać. W domu lubi uprawiać ogródek, wszystko robi ręcznie. - Wciągnął zapach rozkopanej ziemi i niemal zobaczył ojca pracującego w ogrodzie. - Czasami maluje. Naprawdę, ale to naprawdę złe pejzaże i martwe natury. Wie nawet, że są złe, ale powtarza, że sztuka nie musi być dobra, by wciąż pozostać sztuką. Często grozi, że powiesi w domu jeden ze swoich obrazów. Jest... spokojny. Niemal nigdy nie podnosi głosu. Kiedy jednak mówi, wszyscy słuchają. Jest jak spoiwo trzymające rodzinę razem. - Wyciągnął się na trawie i spojrzał w niebo. - Matka jest, jak ty to ujęłaś? Nabuzowana? - Emanuje energią i intelektem w stopniu nieco przerażającym. Czasami działa na ludzi onieśmielająco i zawsze ją to bawi. Sądzę, że to dlatego, iż w rzeczywistości jest niezwykle łagodna. Ona często podnosi głos, ale potem czuje się winna. W wolnym czasie lubi czytać beletrystykę i literaturę fachową. Jest głównym radcą w Zjednoczonym Ministerstwie Narodów, czyta więc również całe sterty prawniczych dokumentów.

- Czym jest Zjednoczone Ministerstwo Narodów?

- Chyba nazwałabyś to poszerzoną ONZ. Zreformowali to... cholera, nie wiem dokładnie dlaczego.

Myślę, że musieli rozszerzyć zakres działania z powodu powstawania pozaziemskich kolonii i osad.

- Twoja matka zajmuje chyba bardzo prestiżowe stanowisko - zauważyła Libby, dziwnie onieśmielona.

- Tak. Lubi tę pracę. Rodzice poznali się w Dublinie. Matka prowadziła tam praktykę prawniczą, ojciec przyjechał na wakacje. Gdy zaczęli stanowić parę, przenieśli się do Filadelfii.

Libby ubijała ziemię. Słyszała w głosie Cala uczucie, rozumiała je.

- A twój brat? - zapytała.

- Jacob. On jest... impulsywny, w dobrym znaczeniu tego słowa. Odziedziczył umysł po matce, a temperament podobno po dziadku. Z J.T. nigdy nie wiadomo, czy zaraz się uśmiechnie, czy uderzy. Studiował prawo, ale przerzucił się na astrofizykę. Jest sukinsynem - dodał - ale niesłychanie lojalnym wobec najbliższych.

- Lubisz ich? - Gdy Cal na nią spojrział, sprecyzowała pytanie. - Chodzi mi o to, że większość ludzi kocha swą rodzinę, lecz niekoniecznie się z nią przyjaźni. Więc jak, lubisz ich?

- Tak. - Patrzył, jak Libby przywiązuje łopatę do skutera. - Oni też by ciebie polubili.

- Mogłabym ich poznać, gdybyś mnie ze sobą zabrał.

Przygryzła wargę. Nie chciała, żeby te słowa się jej wymknęły. Nie patrzyła na niego. Nie wiedziała nawet, kiedy ta myśl przyszła jej do głowy.

- Libby...

Stał już przy niej, obejmował ją.

- Studiowałam przeszłość. Gdybyś mnie zabrał, mogłabym poznać przyszłość.

Dostrzegł w jej oczach łzy.

- A twoja rodzina?

- Zrozumieliby. Zostawiłabym dla nich list, spróbowałabym wyjaśnić.

- Nie uwierzą ci - powiedział cicho. - Będą cię szukać latami, zastanawiać się, czy jeszcze żyjesz.

Libby, czy nie widzisz, że to właśnie jest najgorsze, że to mnie powstrzymuje? Moi rodzice nie wiedzą, gdzie jestem, co się ze mną stało. Wiem, że czekają na jakąkolwiek wiadomość...

- Sprawię, że zrozumieją. - Słyszała we własnym głosie desperację. - Jeśli będą wiedzieli, że jestem szczęśliwa, że robię to, co chcę robić, uspokoją się.

- Może, gdyby uzyskali stuprocentową pewność. .Nie mogę cię jednak zabrać, Libby.

Opuściła ręce, cofnęła się o krok.

- Tak, oczywiście. Nie wiem, co mi w ogóle przyszło do głowy...

- Cholera, przestań. - Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie. - Nie myśl, że nie chcę. Chcę. Gdyby nie było żadnego ryzyka, wrzuciłbym cię do tego cholernego statku, czy byś się zgodziła, czy nie.

- Ryzyka? - Zesztywniała. - Jakiego ryzyka?

- Wciąż nie wynaleziono lekarstwa przeciwko głupocie...

- Nie zbywaj mnie w ten sposób. Jakie ryzyko? Odetchnął głęboko. Chodziło o jedno z obliczeń, które jej podyktował.

- Prawdopodobieństwo znalezienia właściwej krzywej czasu wynosi 76,4.

- Siedemdziesiąt sześć i cztery dziesiąte - powtórzyła. - Nie trzeba geniusza, żeby obliczyć, że prawdopodobieństwo niepowodzenia to 23,6. Co by się wtedy stało?

- Nie wiem. - Mógł się jednak domyślić. Usmażenie się po wciągnięciu przez pole grawitacyjne Słońca wydawało się jedną z mniej bolesnych możliwości. - Nie narażę cię na takie ryzyko, choć chcę, żebyś ze mną poleciała.

Starła się nie wpadać w panikę. Odetchnęła głęboko i poczuła, że powoli się uspokaja.

- Caleb, nie mógłbyś zmniejszyć ryzyka, gdybyś dał sobie więcej czasu?

- Prawdopodobnie. Libby, to nie wchodzi w grę. W każdej chwili ktoś może znaleźć statek. Mieliśmy szczęście, natykając się wczoraj na Rankinów. Jak sądzisz, co się stanie ze mną, z nami, gdy ktoś odkryje prawdę? - Gdyby mnie znaleźli?

- Do prawdziwego sezonu pozostało jeszcze kilka tygodni. Spotyka się tu najwyżej kilkunastu turystów rocznie.

- Wystarczy jeden.

Miał rację, nie było sensu zaprzeczać.

- Nie będę wiedziała. - Dotknęła palcem już ledwo widocznej blizny na czole Cala. - Nie będę wiedziała, czy ci się udało.

- Jestem dobrym pilotem. Zaufaj mi. - Pocałował jej palce. - I będzie mi łatwiej skoncentrować się na zadaniu, jeśli nie będę się o ciebie martwił.

- Trudno kwestionować zdrowy rozsądek. - Zdobyła się na uśmiech. - Wiem, że powinieneś jeszcze sprawdzić instrumenty. Wracam do domu.

- Wkrótce przyjadę.

- Nie musisz się spieszyć. - Sama potrzebowała paru chwil samotności. - Przygotuję pożegnalną kolację. - Ruszyła w kierunku samochodu. Zatrzymała się jednak i rzuciła przez ramię: - Och, Hornblower, zerwij dla mnie trochę kwiatów.

Zerwał całe naręczce. Nie było łatwo je trzymać, prowadząc skuter, jego drogę znaczyło więc różowe i bladoniebieskie kwiecie. Cal uznał, że kwiaty pachną tak jak Libby. Świeżo, oszalamiająco.

Pracując na statku, myślał tylko o jednym. Chciała z nim polecieć. Opuścić dom. Nie tylko dom, poprawił się w myślach, swoje życie.

Może to tylko impuls, coś, co narodziło się pod wpływem chwili?

Przyczyna nie miała znaczenia. Chciał trzymać się tej jednej, słodkiej myśli, że Libby była gotowa z nim polecieć.

Dom pogrążony był w ciemności, jeśli nie liczyć słabego światła w oknie kuchni. Cal odstawił skuter i podniósł z ziemi kilka kwiatów, które upadły mu pod stopy. Może Libby postanowiła się zdrzemnąć? - Albo czekała na niego przy ogniu płonącym na kominku?

Otworzył drzwi i zastał zupełnie inną scenerię.

Czekała na niego, lecz w świetle świec. Zapaliła ich dziesiątki. Cal zobaczył stół nakryty na dwie osoby i butelkę szampana w wiaderku. Wokół pachniało świecami, przyprawami i Libby.

Uśmiechnęła się do niego. Poczul, że zapiera mu dech. Miała zaczesane do tyłu włosy, tak że widział długą, piękną linię szyi. Miała na sobie sukienkę w kolorze światła księżyca. Nagie ramiona, dalej materiał układał się miękko na biodrach i udach.

- Pamiętałeś. - Podeszła do niego, wyciągając ręce po kwiaty. - Są dla mnie?

- Co? Tak. - Podał jej kwiaty jak w transie. - Na początku miałem ich więcej.

- I tak jest aż za dużo. - Wstawiła rośliny do przygotowanego wazonu. - Kolacja już prawie gotowa. Mam nadzieję, że będzie ci smakowała.

- Oszłomiłaś mnie, Liberty. Odwróciła się, zobaczyła jego spojrzenie.

- Chciałam, przynajmniej raz. - Ponieważ nie odpowiedział, tylko nadal się na nią gapił, zawstydzila się. - Kupiłam szampana i sukienkę wczoraj w mieście. Pomyślałam, że będzie miło ubrać się dziś wieczór w coś bardziej odświętnego.

- Boję się, że jeśli się poruszę, znikniesz.

- Nie. - Wyciągnęła do niego rękę. Gdy ją ujął, ścisnęła jego dłoń. - Zostanę tutaj.

Może otworzysz butelkę?

- Chcę cię najpierw pocałować. Zarzuciła mu rękę na szyję.

- Dobrze, ale tylko raz.

Jedli kolację. Z tym że Libby niepotrzebnie zadała sobie tyle trudu, by ją przygotować. Nie czuli smaku potraw. Szampan także nie miał znaczenia, upili się już samym swoim widokiem.

Po kolacji wzięli ze stołu świece, które jeszcze się nie dopaliły, i zanieśli je do sypialni.

Kochali się w ich świetle. Mijały godziny, lecz oni tego nie zauważali. Gdy świece zgasły, nadal się do siebie przytulali.

Potem, choć żadne z nich nie wypowiedziało tego na głos, wiedzieli już, że to ostatni raz. Zrobili to, najdelikatniej, najbardziej czule. Gdy skończyli, Libby przytuliła się do Cala i modliła o sen. Nie zniosłaby pożegnania. Nie chciała patrzeć, jak Cal odchodzi.

Caleb leżał nieruchomo, zupełnie rozbudzony, dopóki pokoju nie rozjaśniły pierwsze promienie świtu. Cieszył się, że Libby śpi. Nie byłby w stanie wypowiedzieć słów pożegnania.

Wstał. Starając się o niczym nie myśleć, włożył skafander.

Nie chciał jej obudzić. Dotknął tylko lekko jej włosów i po cichu wyszedł z sypialni. Libby otworzyła oczy później, gdy usłyszała skrzypnięcie drzwi wejściowych. Wtuliła twarz w poduszkę i zapłakała.

Statek był już przygotowany, wszystko zapięte na ostatni guzik. Cal siedział na mostku, widział nadchodzący świt. Ważne było, by wystartować przed wschodem słońca; takie założenie leżało u podstaw wszystkich obliczeń. Pozostawał margines błędu. Życie Cala zależało właśnie od tego marginesu.

Powrócił jednak myślami do Libby. Dlaczego nie wiedział, że rozstanie będzie tak bardzo boleć? - Musiał jednak wystartować. Jego życie, jego czas, nie należały do niej, do jej epoki. Nie miało sensu ponowne roztrząsanie tego, o czym rozmyślał już dziesiątki razy.

Siedział nieruchomo, niewiele sobie robiąc z upływu cennych sekund.

- Rozpoczynam procedurę przed standardowym lotem orbitalnym.

- Tak - odpowiedział komputerowi. Instrumenty zaczęły ożywać. W sposób, który stał się już jego drugą naturą, Cal przygotowywał się do lotu. Spojrzał na ekran.

- Wszystkie systemy gotowe. Zapłon zostanie włączony na komendę.

- W porządku. Rozpocząć odliczanie.

- Rozpoczynam. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć...

Stojąc w drzwiach kuchni, Libby usłyszała dudnienie. Niecierpliwie otarła łzy i spojrzała w kierunku statku. Zobaczyła błysk. Jakby błyskawicę przemykającą przez niebo. Potem znów zapadła cisza.

Zadrzała. Chciałaby wierzyć, że to z powodu porannego chłodu. Przecież miała na sobie tylko krótki, niebieski szlafrok.

- Doleć bezpiecznie - powiedziała, a potem zaczęła szlochać.

Życie toczy się dalej, tłumaczyła sobie w duchu. Ptaki zaczynają śpiewać, słońce zaraz wyjdzie zza góry.

Chciała umrzeć.

Nonsens. Trzęsąc się, postawiła czajnik na palniku kuchenki. Musi wypić herbatę i pozmywać. Potem zabrać się wreszcie do pracy.

Będzie pracować, póki zdoła, do kresu sił. Potem od razu zaśnie. Następnego dnia znów się obudzi i zasiądzie do pracy. Powstanie najlepsza cholerna praca doktorancka, jaką widział świat. Później wyruszy w podróż.

I będzie tęskniła. Tęskniła aż do dnia, w którym umrze.

Gdy woda się zagotowała, Libby zrobiła herbatę. Postawiła ją na stole w kuchni, usiadła. Po chwili odsunęła kubek, oparła głowę o stół i znów zapłakała.

- Libby.

Wstała tak gwałtownie, że przewróciła krzesło. Był tutaj. Stał w drzwiach kuchni. Miał w oczach zmęczenie i coś jeszcze, coś ważniejszego. Wpatrywała się w niego. Nie, to tylko przewidzenie...

- Calebs.

- Dlaczego płaczesz?

Słyszała jego głos. Oszołomiona, przycisnęła dłoń do ucha.

- Calebs - powtórzyła. - Przecież cię nie ma.

- Płakałaś od chwili, gdy wyszedłem? Dotknął palcem jej wilgotnego policzka.

Czuła ten dotyk. Był realny. Skoro zwariowała, to trudno. Może to i lepiej”?

- Nie rozumiem. Jak możesz tu być?

- Najpierw ja cię o coś zapytam, tylko o jedno. Kochasz mnie?

- Ja... muszę usiąść.

- Nie. - Przytrzymał ją za ramię. - Żądam odpowiedzi. Kochasz mnie?

- Tak. Tylko kretyn mógłby zadać takie pytanie. Uśmiechnął się, lecz nadal trzymał ją mocno, tak że musiała pozostać na nogach.

- Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś?

- Bo nie chciałam. Wiedziałałam, że musisz odejść. - Przyłożyła dłoń do czoła. - Pozwól mi usiąść.

Puścił ją. Widział, jak stawia krzesło i niepewnie na nie opada.

- Nie śpię - powiedziała bardziej do siebie niż do niego. - Muszę więc mieć halucynacje.

Nachylił się i mocno pocałował ją w usta.

- To też halucynacja? - zapytał. - Nie rozumiesz, że tu jestem?

- Tak - odparła słabym głosem - ale jak się tu dostałeś?

- Przyjechałem na skuterze.

- Nie, chodzi mi o to... - O co mi właściwie chodzi, pomyślała. - Stałam w drzwiach. Słyszałam, jak startujesz. Nawet widziałam błysk na niebie, to musiał być statek.

- Odesłałem go. Steruje nim komputer.

- Odesłałeś - powtórzyła powoli. - Och, mój Boże, Caleb, dlaczego?

- Tylko kretyn mógłby zadać takie pytanie.

- Nie, przecież nie z mojego powodu, nie mogłabym tego udźwignąć, twoja rodzina...

- Nagrałem dla nich dysk. Opowiedziałem im wszystko, to znaczy o wiele więcej, niż napisaliśmy w sprawozdaniu. Dysk jest na pokładzie. Powiedziałem, gdzie jestem i dlaczego muszę tu zostać. Jeśli statek wróci - a beze mnie ma taką samą szansę jak ze mną - oni zrozumieją.

- Nie mogłam cię o to prosić.

- I nie poprosiłaś. - Wziął ją za rękę. - Przecież ty byś ze mną poleciała, prawda?

- Tak.

- Zabrałbym cię, gdybym miał pewność, że oboje to przeżyjemy. Posłuchaj. - Zmusił ją by wstała. - Rozpocząłem odliczanie. Mówiłem sobie, że powinienem wrócić, że jest mnóstwo logicznych powodów. Ale był jeden, tylko jeden powód, żeby zostać. Kocham cię. Moje życie jest tutaj. - Przyciągnął ją bliżej. - Przybyłem do ciebie, oszukując czas, Libby. Nigdy, ale to nigdy nie myśl, że postąpiłem głupio lub nierozważnie, że popełniłem błąd.

Pokręciła głową.

- Boję się, że ty tak kiedyś pomyślisz.

- Nie, Libby. Moje miejsce jest tutaj, przy tobie. Znów poczuła, że do oczu napływają jej łzy.

- Tak bardzo cię kocham, Caleb. Sprawię, że będziesz szczęśliwy.

- Aha, liczyłem na to. - Pocałował ją. - Musisz się teraz wyspać, tak porządnie.

- Nie, nie chcę.

Roześmiał się. Napięcie ustąpiło do końca. Znajdował się tam, gdzie powinien.

- Zobaczymy. Potem się zastanowimy, jak załatwić pozostałe sprawy.

- Jakie sprawy?

- Małżeństwo, rodzina i tak dalej.

- Nie poprosiłeś mnie o rękę.

- Dojdziemy do tego. W każdym razie, muszę sobie wykombinować jakąś nową tożsamość, znaleźć pracę... Coś z... ze stałym dochodem, tak się mówi?

- Coś, co będzie ci sprawiało radość - poprawiła go.

- To znacznie ważniejsze od stałego dochodu i grupowego ubezpieczenia zdrowotnego.

- Czego?

- Nieważne, zapomnij. - Wtuliła mu głowę w szyję. - Myślę, że tata znajdzie dla ciebie jakieś zajęcie, zobaczysz.

- Nie, chyba nie chcę produkować herbaty. - Tknięty nagłą myślą wyprostował się. - Powiedz mi, jak tu się uzyskuje licencję pilota.

NORA ROBERTS

SPIRALA CZASU

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Znał ryzyko i chciał je podjąć. Jeden fałszywy krok, jedna nieprecyzyjna komenda i może być po wszystkim, w zasadzie zanim cokolwiek się zacznie. Zawsze jednak traktował życie jak hazard. Często - być może zbyt często - działał impulsywnie, lekkomyślnie pakując się w niebezpieczne sytuacje. Tym razem jednak starannie wyliczył, jakie ma szanse.

Poświęcił dwa lata życia na obliczenia i symulacje, na prace konstrukcyjne. Rozważył, obliczył i przeanalizował każdy szczegół. Gdy chodziło o pracę, potrafił zachować cierpliwość. Wiedział, co mogłoby się stać. Nadszedł czas, by się przekonać, w jakim stopniu teoria pokryje się z praktyką...

Niektórzy współpracownicy uważali, że przekroczył cienką linię dzielącą geniusz od szaleństwa. Nawet entuzjaści jego teorii mieli obawy, że posuwa się za daleko. Opinie innych zupełnie go nie interesowały, liczyły się wyłącznie rezultaty. A wynik tego najważniejszego doświadczenia w jego życiu będzie miał wymiar osobisty. Bardzo osobisty.

Za wielkim pulpitem sterowniczym wyglądał bardziej jak korsarz przy kole sterowym niż jak naukowiec u progu wielkiego odkrycia. Nauka stanowiła jednak treść jego życia. Sprawiała, że stał się prawdziwym odkrywcą, jak Kolumb czy Magellan.

Wierzył w przypadek, w powszechnym znaczeniu tego słowa, w nieprzewidywalne następstwo pewnych zjawisk i bytów. Teraz miał to udowodnić. Poza obliczeniami, technologią i wiedzą potrzebował jeszcze tego, co jest niezbędne wszystkim odkrywcom. Szczęścia.

Leciał sam, w ogromnym cichym oceanie kosmosu, poza uczęszczanymi trasami transportowymi i komunikacyjnymi. Takiego poczucia spełnienia marzeń nie można osiągnąć w laboratorium. Po raz pierwszy od rozpoczęcia podróży uśmiechnął się. Spędził w laboratoriach zbyt wiele czasu.

Samotność działała uspokajająco, nawet kusiła. Już niemal zapomniał, jak to jest przebywać tylko w towarzystwie swych myśli. Gdyby chciał, mógł zwolnić, cieszyć się samotnością tak długo, jak miałby na to ochotę.

Tu, na krawędzi świata opanowanego przez człowieka, gdzie jego planeta zmaląła do rozmiarów widocznej na niebie gwiazdy, miał czas. A czas stanowił klucz do wszystkiego.

Jeszcze raz sprawdził wszystkie istotne elementy - prędkość, trajektorię, odległość - wcześniej bardzo starannie obliczone. Konsola rzuciła zielonkawą poświatę, roztaczała aureę tajemniczości wokół ostrych rysów pilota.

Koncentrując się, przymrużył oczy i skierował statek w stronę Słońca. Wiedział, co się stanie, jeśli pomylił się w obliczeniach choćby o mikron. Grawitacja olbrzymiej gwiazdy przyciągnie go i zniszczy. W czasie krótszym od sekundy statek i pilot przestaliby istnieć.

Całkowita, jednoznaczna klęska, pomyślał, patrząc na Słońce wypełniające już cały ekran. Albo całkowite zwycięstwo. Wspaniały widok. Jarzące, wirujące światło wypełniało kabinę i oślepiało. Nawet ze znacznej jeszcze odległości, Słońce miało w sobie siłę życia i śmierci. Jak gorąca kobieta.

Opuścił zasłonę ekranu. Zwiększył szybkość, patrząc na wskaźnik dochodzący do punktu wyznaczającego granice możliwości statku. Temperatura na zewnątrz gwałtownie rosła. Czekał, wiedząc, że intensywne światło odizolowane teraz ochronnym ekranem uszkodziłoby mu rogówki. Człowiekowi pędzącemu w kierunku Słońca grozi ślepotą i zniszczenie.

Czekał spokojnie, gdy rozległ się pierwszy brzęczyk ostrzegawczy, czekał, gdy statek zanurkował i zawirował, miotany wypadkową pędu i siły ciężkości. Spokojny głos komputera informował o prędkości, pozycji i co najważniejsze, o czasie.

Mimo dudniącego w uszach pulsu, ręce pilota pozostały spokojne i pewne. Z pracujących pełną mocą silników wydobywały jeszcze trochę dodatkowej prędkości.

Leciał w kierunku Słońca, tak szybko, jak nikt dotąd.

Zacisnął zęby i cofnął dźwignię do pozycji zero. Statek zadygotał, przechylił się. Potem opadł. Raz, drugi, trzeci, zanim pilot zdołał to skorygować. Siła ciągu wcisnęła go w fotel. Chwytał mocniej przyrządy sterownicze. Gdy walczył o utrzymanie kursu, kabina eksplodowała dźwiękiem i światłem.

Pociemniało mu przed oczami. Pomyślał, że zamiast spalić się w Słońcu, zostanie zmiażdżony przeciążeniami. Po chwili jednak statek pomknął naprzód, jak strzała wypuszczona z łuku. Starając się odzyskać oddech, pilot obrał kurs i ruszył ku swemu przeznaczeniu.

Na Północnym Zachodzie największe wrażenie wywarła na Jacobie przestrzeń. Jak okiem sięgnąć, w każdym kierunku rozciągały się lasy, skały i niebo. Ciszę zakłócał tylko szelest małych zwierząt buszujących w poszyciu i śpiew ptaków nad głową. Ślady na otaczającym statek śniegu świadczyły o obecności także większych zwierząt. Co ważniejsze, śnieg dowodził, że obliczenia okazały się niedokładne, co najmniej o kilka miesięcy. Na razie jednak Jacob cieszył się, że jest w przybliżeniu tam, gdzie chciał się znaleźć. No i że w ogóle żyje.

Wrócił do statku, by odnotować fakty i wrażenia. Oglądał fotografie i filmy tego miejsca i czasu. Przestudiował starannie wszystkie dostępne informacje o końcu dwudziestego wieku. Ubrania, język, klimat społeczny i polityczny. Jako naukowiec był zafascynowany. Jako człowiek nieco rozbawiony, ale też nie na żarty przerażony. I zakłopotany, ilekroć przypominał sobie, że jego brat wybrał to życie, w prymitywnych warunkach, w niezbyt budującej przeszłości. Z powodu kobiety.

Jacob otworzył schowek i wyjął fotografię. Przykład technologii dwudziestego wieku, pomyślał z rozbawieniem. Najpierw obejrzał Caleba. Brat miał na twarzy swój zwykły, niewymuszony uśmiech. Siedział wygodnie na stopniach prowadzących do małej drewnianej budowli, ubrany w obszerne dżinsy i sweter. Obejmował ramieniem kobietę. Kobietę o imieniu Libby, niewątpliwie atrakcyjną. Może nie tak efektowną, w jakich Cal zwykle gustował, lecz z pewnością niebrzydka.

Tylko co w niej było takiego, że Cal porzucił dla niej dom, rodzinę i wolność?

Jacob wiedział już od dawna, że bardzo jest ciekaw tej całej Libby. Wrzucił zdjęcie z powrotem do schowka. Sam ją pozna, sam oceni. Potem da Calowi porządnego kopniaka na rozpęd i zabierze go do domu.

Najpierw jednak musiał zastosować pewne środki ostrożności. W drodze z kokpitu do sypialni zdjął skafander. Dżinsy i bawełniany sweter, które kosztowały go fortunę, czekały zwinięte w plastikowej torbie. Doskonała podróbka, pomyślał, podciągając spodnie. No i, trzeba uczciwie przyznać, bardzo wygodne i miłe w dotyku.

Przebrany, przyjrzał się sobie w lustrze. Gdyby spotkał ludzi podczas swego krótkiego, jak miał nadzieję pobytu, nie chciałby się wyróżniać. Nie miał ani czasu, ani ochoty na wyjaśnianie wszystkiego ludziom, którzy byli zbyt prymitywni, by cokolwiek pojąć. Nie życzył też sobie rozgłosu w mediach, tak nagminnego w epoce, do której przybył.

Choć nie zamierzał tego otwarcie przyznać, szary sweter i granatowe dżinsy bardzo mu odpowiadały. Doskonale układały się na ciele, nie krępowały ruchów. Najważniejsze, że w tym ubraniu wyglądał jak człowiek z dwudziestego wieku.

Ciemne włosy niemal sięgały mu ramion. Jak zwykle były w nieładzie, gdyż. Jacob nie zwracał sobie głowy troską o fryzurę. Stanowiły jednak ładną oprawę trochę nadto ostrych rysów twarzy. Jacob zabawnie marszczył brwi. Miał ciemnozielone oczy. Usta, najczęściej ponuro zaciśnięte, gdy ślęczał nad obliczeniami, potrafiły się jednak czarująco uśmiechać.

Teraz się nie uśmiechał. Zarzucił na ramię torbę i wyszedł na zewnątrz.

Ufając bardziej słońcu niż zegarkowi, uznał, że minęło już południe. Niebo było zadziwiająco puste. Czuł się dziwnie, stojąc pod niebieską kopułą, na której rysował się jedynie biały ślad w postaci smugi, pozostawiany, jak wiedział, przez archaiczne środki transportu. Nazywają to samolotami, przypomniał sobie.

Jak cierpliwi musieli być ludzie, pomyślał. Siedzieli obok innych, ramię przy ramieniu, czekając całymi godzinami na pokonanie trasy z jednego wybrzeża na drugie albo z Nowego Jorku do Paryża. Potem ta sama męczarnia podczas powrotu...

Oderwał wzrok od nieba i ruszył. Miał szczęście, że słońce świeciło jasno i nie było zbyt zimno. Nie zadbał o żadną kurtkę czy inną ciepłą odzież. Czuł pod stopami miękkiego śniegu. Wiatr sprawiał, że na początku trochę marzł, potem rozgrzał się marszem.

Był naukowcem z powołania, często zatapiał się w pracy przez całe godziny i dni. Nie zaniedbywał jednak swego ciała; utrzymywał je w takiej samej sprawności, jak umysł.

Spojrzał na naręczny komputer, wskazujący teraz położenie. Cał zadbał przynajmniej o precyzyjne wskazanie miejsca lądowania statku i położenia domu tej Libby. Niemal trzysta lat później Jacob wydobyl tam pojemnik zakopany przez brata i tę kobietę.

Jacob wystartował w roku 2255. Przebył przestrzeń i czas, żeby odnaleźć brata. I zabrać go do domu.

Gdy tak szedł, nie widział żadnych śladów człowieka ani eleganckich kurortów, które pojawią się tu za sto lat. Tylko przyroda, wielkie połacie dziewiczej przyrody, nienaruszonej. Słońce malowało na śniegu cienie wysokich, majestatycznych drzew.

Mimo całej logiki tego eksperymentu i miesięcy przygotowań Jacob czuł się nieswojo. Stał na planecie, która była teraz dla niego bardziej obca niż Wenus. Wciągał w płuca powietrze; widział, jak przy wydechu zamienia się w parę. Czuł zimno na twarzy i dłoniach bez rękawiczek i oszałamiający zapach sosn.

A on sam miał się urodzić dopiero w dalekiej przyszłości.

Czy to samo odczuwał mój brat? Nie, myślał Jacob, on nie czuł podniecenia, smaku zwycięstwa. Przynajmniej nie od razu. Cał był zagubiony, ranny. Nie wybierał się tutaj, stał się mimowolnym więźniem czasu, ofiarą okoliczności i losu. Zdezorientowany i samotny, dał się oczarować kobiecie.

Jacob zatrzymał się przy strumieniu. Nieco ponad dwa lata temu, przypomniał sobie, albo za dwieście lat, stałem tu w lecie. Strumień zmienił trochę bieg, lecz miejsce wyglądało podobnie.

Wtedy nie było śniegu, tylko trawa. Ale trawa odrasta, rok po roku, lato po lecie. Miał tego dowód. Właściwie sam był tego dowodem. Strumień później popłynie szybciej, tam gdzie teraz przebija się między skałą a grubą warstwą lodu.

Nieco oszołomiony ciszą i samotnością, nabrał w ręce trochę śniegu. Wtedy, gdy szukał pojemnika, także był sam. Z nieba dobiegał jednak hałas licznych pojazdów, kilka kilometrów dalej znajdowało się skupisko hoteli. Gdy odkopał skrzynkę, usiadł na trawie i rozmyślał.

Teraz też rozmyślał, tyle że stojąc. Gdyby zaczął kopać, natrafiłby na tę samą skrzynkę. A przecież kilka dni temu zostawił ją w domu rodziców. Skrzynka istniała tutaj, pod ziemią, tak samo jak w jego własnym czasie. Tak, jak istniał on.

Gdyby ją teraz wykopał i zaniósł do statku, nie odnalazłby jej w lecie, w dwudziestym trzecim wieku. Skoro tak, to jak mógłby się znaleźć tu teraz, żeby ją wykopać?

Interesująca .lamigłówka. Ruszył, pozostawiając tę kwestię do późniejszego przemyślenia.

W końcu zobaczył domek. Nieważne, że widział go na fotografiach i filmowych symulacjach. Ten był prawdziwy, rzeczywisty. Z dachu zsuwały się wolno płyty topniejącego śniegu. W oknach osadzonych w pociemniałym drewnie odbijało się słońce. Z komina ku błękitnemu niebu unosił się dym. Jacob widział dym i czuł jego zapach.

Zadziwiające, pomyślał. Czuł się jak dziecko, które znalazło pod choinką niezwykle prezent. Prezent należał do niego. Mógł go badać, analizować, składać i na powrót rozkładać poszczególne elementy, aż wszystko zrozumie.

Poprawił na ramieniu torbę. Zaśnieżoną ścieżką podszedł do ganku. Stopnie zaskrzypiały. Ten kolejny namacalny dowód realności otaczającego go świata sprawił, że Jacob szeroko się uśmiechnął.

Podniecony odkryciem, nie pomyślał, żeby zapukać. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

- Niesamowite, absolutnie niesamowite - powiedział cicho.

Otaczało go drewno. Prawdziwe, wykorzystane hojnie, rozrzutnie. Kamień, taki wykopany z ziemi, łączył się z drewnem w konstrukcji ogromnego kominka. W kominku płonął ogień. Polana syczały i trzaskały. Wydzielały cudowny zapach. Pomieszczenie było dość małe i dziwnie piękne.

Jacob mógłby tu spędzić wiele godzin, badając każdy centymetr pokoju i mebli. Chciał jednak zobaczyć również resztę. Mówiąc cicho do miniaturowego magnetofonu, ruszył w górę po schodach.

Sunny szarpnęła kierownicę landrowera i zaklęła. Jak mogła uwierzyć, że z przyjemnością spędzi kilka miesięcy w górach? Cisza i spokój! Komu to potrzebne? Wjeżdżając na pochyłość, zmieniła bieg. Pomysł zaszcucia się w tej samotni, żeby wszystko przemyśleć i podjąć najlepszą decyzję, był po prostu śmieszny.

Wiedziała przecież, czego chce. Czegoś wielkiego, spektakularnego. Zdegustowana prychnęła i odrzuciła z czoła jasne włosy. Fakt, że nie zdecydowała się co do szczegółów, nie ma znaczenia. Wybór sam się w końcu dokona, jak zwykle.

Na pewno nie latanie transportowcami i nie spadochroniarstwo. Nie balet ani trasa koncertowa z zespołem rockowym. Nie prowadzenie ciężarówki ani pisanie haiku.

Nie każdy w wieku dwudziestu trzech lat już wie, co tak naprawdę chce robić, przypomniała sobie, zatrzymując samochód przed domkiem. Dzięki metodzie eliminacji w ciągu dziesięciu czy dwudziestu lat będzie już pewnie kroczyć po drodze do sławy i sukcesu.

Bębniąc palcami w kierownicę, przyglądała się domowi. Przysadzisty i niebrzydki. Na frontowym ganku stał stary fotel na biegunach. Odkąd sięgała pamięcią, stał tam rok po roku, latem i zimą. W takiej ciągłości kryło się coś uspokajającego. Spokój. Nie, chciała czegoś nowego, czego jeszcze nie poznała.

Westchnęła. Gdyby chociaż w przybliżeniu wiedziała, czego szuka. Jednak zawsze, gdy próbowała znaleźć odpowiedź na to pytanie, powracała tutaj, do domku w górach.

Urodziła się w nim, spędziła pierwsze lata życia. Chyba dlatego wracała tu zawsze wtedy, gdy życie wydawało się bezcelowe. Czerpała siłę z prostoty.

Choć kochała ten dom, nie wyobrażała sobie, że mogłaby w nim teraz mieszkać, tak jak Libby i jej mąż. Dzień po dniu, noc po nocy, bez żadnego kontaktu z innymi ludźmi. Sunny mogła się wychować w lesie, na odludziu, należała jednak całym sercem do miasta, z jego jasnymi światłami i ogromnymi możliwościami.

To tylko wakacje, powiedziała sobie, ściągając wełnianą czapkę i przebiegając niecierpliwie palcami po krótkich włosach. Należały się jej. W końcu rozpoczęła naukę w college'u w wieku szesnastu lat i ukończyła ją przed dwudziestymi urodzinami. Potem chwyciła się różnych zajęć, w żadnym nie odnajdując pełnej satysfakcji.

Starła się być dobra we wszystkim, co robiła. Może dlatego uczyła się właściwie wszystkiego, od stepowania do malowania na szkle. Nie chodziło jej jednak o to, by osiągnąć mistrzostwo w którejś z tej dziedzin. Zostawiała jedno, by zająć się drugim. Zawsze czuła się trochę winna, bo nie doprowadzała niczego do końca.

Musiała jednak coś wybrać. Przyjechała tu, żeby wszystko rozważyć i podjąć wreszcie ostateczną decyzję. Tylko tyle. Nie ukrywała się, nie uciekała od życia, a już na pewno nie przyjechała dlatego, że straciła ostatnią pracę. Dwie ostatnie prace, poprawiła się w myślach.

W każdym razie miała dość pieniędzy, żeby się utrzymać do końca zimy. Zwłaszcza tu, gdzie nie było ich nawet na co wydawać. Gdyby poleciała najbliższym samolotem do Portlandu albo Seattle, pieniądze skończyłyby się w tydzień. A na pewno nie zamierza prosić o nic już trochę zirytowanych, choć nadal wyrozumiałych rodziców.

- Zostanę, dopóki się nie zdecyduję - powiedziała sobie twardo, otwierając drzwiczki.

Wzięła dwie torby jedzenia, które kupiła w mieście i ruszyła przez śnieg. Przynajmniej udowodnię, że jestem samowystarczalna, pomyślała. Chyba że przedtem umrę z nudów.

W domu spojrzała najpierw na kominek. Na szczęście ogień nie zgasł. Przeszła do kuchni, postawiła na stole torby. Libby upierałaby się, żeby je rozpakować. Sunny nie rozumiała jednak, po co tracić czas na chowanie rzeczy, po które i tak prędzej czy później się sięgnie. Rzuciła kurtkę na krzesło, zdjęła buty i kopnęła je w kąt. Wyjęła z jednej z toreb ciasto, rozpakowała je i wróciła do saloniku. Zamierzała spędzić popołudnie na czytaniu. Przyszło jej niedawno do głowy, że może warto studiować prawo. Myśl o staczaniu zażartych bojów w sądzie miała swój urok. Poza ubraniami, aparatem fotograficznym, blokiem rysunkowym, magnetofonem i baletkami Sunny zabrała ze sobą dwa pudła książek o różnych zawodach.

W pierwszym tygodniu pobytu w górach zbadła i odrzuciła zawód scenarzysty jako nie zapewniający stabilności życiowej, medycynę jako zbyt przerażającą oraz prowadzenie sklepu z ubraniami w stylu retro jako zajęcie zbyt modne.

Prawo jednak stwarza duże możliwości. Mogła zostać chłodnym, surowym prokuratorem albo przepracowanym szlachetnym obrońcą z urzędu.

Warto się temu bliżej przyjrzeć, myślała, pokonując schody. Im prędzej się na coś zdecyduje, tym szybciej wróci tam, gdzie da się robić coś ciekawszego od obserwowania roztopiającego się w rynnach śniegu.

Z kawałkiem ciasta w ręku stanęła w drzwiach. I wtedy go zobaczyła. Stał przy łóżku, jej łóżku, najwidoczniej pochłonięty lekturą magazynu kobiecego, który poprzedniego dnia rzuciła na podłogę. Wodził palcami po błyszczącym papierze, jakby badał jakiś dziwny materiał.

Stał tyłem do drzwi, był wysoki. Długie włosy wyglądały tak, jakby nigdy ich nie czesał. Sunny niemal wstrzymała oddech. Starła się ocenić nieproszonego gościa po wyglądzie.

Jak na zbłąkanego turystę wyglądał za porządnie i chyba za mało kolorowo. Dżinsy nie nosiły śladów zużycia, buty wyglądały na drogie i chyba robione na zamówienie. Nie, nie jest turystą, uznała, ani głupcem, który wybrałby się w tym stroju w zimie w góry.

Był dość szczupły, choć obszerny sweter mógł kryć silne mięśnie. Jeśli to złodziej, tracił niepotrzebnie czas na przeglądanie magazynu, zamiast poszukać czegoś cenniejszego.

Spojrzała na komodę i kasetkę z biżuterią. Nie miała jej dużo, każda jednak sztuka została wybrana starannie i bez oglądania się na cenę. No i była jej, tak jak dom i pokój, do którego ten facet po prostu wtargnął.

Rozwścieczona rzuciła na podłogę ciasto, chwyciła jedyną znajdującą się w zasięgu ręki broń, czyli pustą butelkę, i zaatakowała.

Jacob coś usłyszał. Kątem oka dostrzegł szybujący ku niemu przedmiot i instynktownie się uchylił.

Butelka minęła głowę i z hukiem roztrzaskała się o ścianę.

- Co...

Zanim zdążył wypowiedzieć drugie słowo, coś podcięło mu nogę i runął. Leżał na plecach i patrzył na wysoką, szczupłą kobietę o jasnych włosach i szarych oczach. Stała w rozkroku, w starej jak świat postawie bojowej.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegła. - Nie chcę cię skrzywdzić, więc wstań bardzo powoli. Potem zejdź na dół i wynocha. Masz na to trzydzieści sekund.

Nie odrywając od niej spojrzenia, Jacob uniósł się na łokciu. Uznał, że obcując z przedstawicielką prymitywnych tubylców, powinien zachować ostrożność.

- Słucham?

- Słyszałeś, co mówiłam, przyjacielu. Mam czarny pas. Czwarty dan. Spróbuj czegoś, a zmiażdżę ci czaszkę, jak łupinkę orzecha.

Uśmiechała się. Gdyby nie to, przeprosiłby i wyjaśnił, dlaczego tu jest. Uśmiechała się jednak, a wyzwanie jest wyzwaniem.

Bez słowa naprężył mięśnie i wylądował miękko na nogach, w pozycji stanowiącej lustrzane odbicie postawy napastniczki. Dostrzegł w jej oczach zdziwienie. Nie strach, a zdziwienie. Zablokował pierwszy cios, odczuł go jednak silnie w ramieniu. Potem obrócił się na tyle szybko, by dobrze wymierzone kopnięcie nie trafiło w podbródek.

Jest szybka, uznał. Szybka i zręczna. Nie atakował. Blokował tylko ciosy albo się uchylił, oceniając kobietę. Bardzo odważna, pomyślał z podziwem. Wojowniczką w świecie, który jeszcze potrzebuje wojowników. Jeśli Jacob miał jakąś słabość, do której się przyznawał, były nią sztuki walki.

Nie lekceważył przeciwniczki. Wiedział, że skończyłby wtedy na podłodze, z jej stopą na gardle. Potężne kopnięcie, którego nie zdołał zablokować i które trafiło w klatkę piersiową, uzmysłowiło mu powagę sytuacji. Jesteśmy sobie równi, uznał po pięciu ciężkich minutach, tyle że ja mam przewagę zasięgu ciosów i wagi.

Postanowił wykorzystać oba te plusy. Zrobił zwód, zablokował uderzenie i wykonał rzut, posyłając kobietę na łóżko. Zanim zdążyła się pozbierać, przygniótł ją swoim ciężarem, ostrożnie unieruchamiając jej ręce za głową.

Nie mogła swobodnie oddychać, lecz nie brakło jej sił. Wpatrując się w niego z nienawiścią, włożyła całą energię w jeden, ostatni ruch. Ledwie udało się mu przekreślić i uniknąć ciosu kolanem w jądra.

- Niektóre sposoby walki są ponadczasowe - mruknął, dysząc ciężko i przyglądając się kobiecie.

Wyglądała olśniewająco, może z powodu wysiłku fizycznego. Zaczerwienione policzki harmonizowały ze słoneczną barwą włosów. Te, krótko ostrzyżone, podkreślały regularne rysy twarzy. Miała wystające kości policzkowe. Jak pradawne wojownicze ludy, pomyślał, wikingowie lub Celtowie. Duże szare oczy przepelniał gniew, nie było w nich strachu. Do tego pełne usta. Pachniała jak las - rześko, egzotycznie i obco.

- Jesteś bardzo dobra - pochwalił.

- Dziękuję - warknęła. Nie walczyła. Wiedziała, kiedy trzeba walczyć, a kiedy rozmawiać. Przygniatał ją, przedtem zwyciężył, nie była jednak gotowa do omawiania warunków kapitulacji. - Byłabym wdzięczna, gdybyś ze mnie zszedł.

- Za chwilę. Masz zwyczaj witać ludzi, rzucając ich na podłogę?

Uniosła brew.

- A ty lubisz włamywać się do cudzych domów i myszkować po sypialniach?

- Drzwi były otwarte - usprawiedliwił się. Wtedy coś go tknęło. Na pewno trafił we właściwe miejsce, ale to przecież nie jest Libby. - To twój dom? - - zapytał.

- Owszem. Nazywa się to własnością prywatną.

- Starala się zachować spokój, choć przyglądał się jej, jakby była jakimś dziwnym okazem w probówce.

- Zatelefonowałam na policję - dodała, choć najbliższy telefon znajdował się w odległości wielu kilometrów.

- Na twoim miejscu już bym zwiewała.

- Nie, nie zatelefonowałam.

- Może nie, a może tak. Czego właściwie chcesz? Nie ma tu nic, co warto ukraść.

- Nie chcę niczego ukraść.

Sunny poczuła przypływ czysto kobiecej paniki, której miejsce już po sekundzie zajęła furia.

- Na pewno ci tego nie ułatwię - warknęła.

- W porządku. - Nie zwracał sobie głowy pytaniem, o co jej chodzi. - Kim jesteś?

- Chyba to ja powinnam zadać takie pytanie - odparła - ale nie jestem ciekawa.

Serce zabiło jej szybciej. Miała nadzieję, że mężczyzna tego nie wyczuje. Leżeli na pościeli, przyciśnięci do siebie jak kochankowie.

Jacob dostrzegł w jej oczach krótki błysk strachu. Rozluźnił trochę uścisk, którym przytrzymał jej nadgarstki. Wyczuł przyspieszenie pulsu i zorientował się, że jego ciało zaczęło reagować inaczej. Spojrzał na usta kobiety.

Jakby to było? - pomyślał. Może zaryzykować? Miękkie, pełne usta wyglądały jak stworzone po to, by kusić mężczyzn. Walczyłyby czy uległyby? Jedno i drugie byłoby miłe. Przeniósł spojrzenie na jej oczy i postarał się skupić. Miał do wykonania zadanie. Nie powinien się rozpraszać.

- Przepraszam za zakłócenie spokoju. Właśnie szukam kogoś.

- Tutaj nie ma nikogo oprócz... - Zorientowała się, że nie powinna tego zdradzać i zaklęła w duchu. - Kogo? Kogo szukasz?

Lepiej zachować ostrożność, pomyślał Jacob. Jeśli zakradł się jakiś błąd w obliczeniach czasu albo jeśli informacje Cala nie były dokładne... Lepiej nie mówić zbyt konkretnie.

- Pewnego mężczyzny. Myślałem, że tu mieszka, ale najwidoczniej się myliłem.

- Kogo? Jak się nazywa?

- Hornblower - wyznał Jacob i po raz pierwszy się uśmiechnął. - Caleb Hornblower. - Zaskoczenie w oczach Sunny powiedziało mu wszystko. Odruchowo zacisnął dłoń na jej nadgarstku. - Znasz go?

Przypomniała sobie nieco tajemniczego męża siostry. Był szpiegiem, zbiegiem, może ekscentrycznym milionerem, który pewnego dnia postanowił radykalnie odmienić swoje życie. Lojalność wobec rodziny sprawiała, że Sunny nigdy nie zdradziłaby go, nawet gdyby ktoś wbijał jej pod paznokcie bambusowe drzazgi.

- Dlaczego tak uważasz?

- Znasz - nalegał Jacob. - Przebyłem długą drogę, żeby się z nim spotkać. Bardzo długą. Proszę, czy możesz mi powiedzieć, gdzie on teraz jest?

- Na pewno nie tutaj.

- Czy dobrze się czuje? - Puścił nadgarstki i chwycił kobietę za ramiona. - Czy nic mu się nie stało.

- Nie. - Usłyszała w głosie przybysza nieklamana troskę. Dotknęła jego dłoni. - Nie, oczywiście, że nie. To znaczy... - Znow zakłęła w myślach. Jeśli to była pułapka, dała się w nią złapać. - Jeśli chcesz uzyskać ode mnie informacje, musisz mi powiedzieć, kim jesteś i do czego są ci potrzebne.

- Jestem jego bratem, Jacobem.

Sunny otworzyła szerzej oczy i wzięła głęboki oddech. Brat Cala. Możliwe. Nawet go trochę przypominał. Nie za bardzo, ale w każdym razie był podobniejszy do Cala niż ona do Libby.

- No cóż - odpowiedziała po chwili zastanowienia - prawda, że ten świat jest mały?

- Mniejszy, niż możesz sobie wyobrazić. Znasz więc Cala?

- Tak. Ożenił się z moją siostrą. To znaczy, że ty i ja... Nie jestem pewna, jak się nazywa takie powinowactwo, ale na wszelki wypadek zmienmy pozycję na pionową.

Skinął głową, ale się nie ruszył.

- Jak się nazywasz?

- Ja? - Obdarzyła go szerokim uśmiechem. - Sunbeam. - Nadal się uśmiechając, objęła palcami jego kciuk. - Jeśli nie chcesz, żebym ci go zwichnęła, wynoś się z mojego łóżka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ostrożnie się rozłączyli, jak bokserzy wracający po gongu do narożników. Jacob nie wiedział, co sądzić o nowej znajomej, jak również o ujawnionej przez nią rewelacji. Brat miał żonę.

Gdy stanęli już w mniej więcej bezpiecznej odległości, włożył ręce do kieszeni wygodnych dżinsów. Zauważył, że choć Sunny nie przybrała bojowej postawy, nadal jest spięta, gotowa zareagować na każdy jego ruch. Byłoby nawet interesujące wykonać go i zobaczyć, co i w jaki sposób zrobi. Jacob miał jednak inne sprawy na głowie.

- Gdzie jest Cal? - zapytał.

- Na Borneo. Tak, to chyba Borneo. A może Bora Bora. Libby prowadzi tam jakieś badania. - Teraz mogła mu się spokojnie przyjrzeć. Fakt, rzeczywiście przypominał Calą, postawą, sposobem mówienia. Mimo to jeszcze nie do końca mu ufała. - Na pewno Cal ci powiedział, że Libby jest naukowcem.

Zawahał się, potem znów przywołał na twarz uśmiech. Teraz najważniejsze nie było to, co Cal napisał w swoim liście, a czego nie napisał, lecz to, co powiedział tej kobiecie o imieniu Sunbeam. Sunbeam, pomyślał, czy w ogóle ktoś może się tak nazywać?

- Oczywiście - skłamał gładko. - Nie wspomniał jednak, że wyjeżdża. Na jak długo pojechał?

- Jeszcze kilka tygodni. - Ściągnęła czerwony sweter. Już czuła tworzące się siniaki, lecz zupełnie się tym nie martwiła. - Zabawne - zauważyła - nie mówił, że się tu wybierasz.

- Nie wiedział. - Rozczarowany spojrział przez okno na drzewa i śnieg. Jest blisko, tak cholernie blisko, wystarczy poczekać. - Nie byłem pewien, czy mi się uda dotrzeć.

- Aha. - Sunny wzruszyła niedbale ramionami i zakołysała się na piętach. - Tak samo, jak nie udało ci się przyjechać na ślub. Trochę nas dziwiło, że nikt z rodziny Calą nie zjawił się na tak ważnej uroczystości.

Usłyszał w jej głosie naganę. Normalnie by się obruszył, lecz teraz niemal go to rozśmieszyło.

- Uwierz mi, gdybyśmy mogli, na pewno byśmy przyjechali.

- Hmm. No cóż, skoro już przestaliśmy się bić, możemy usiąść i napić się herbaty. - Ruszyła do drzwi. Po drodze obrzuciła go szybkim spojrzeniem. - Który masz dani?

- Siódmy. Nie chciałem zrobić ci krzywdy.

- To ładnie z twojej strony. - Nieco zirytowana, ruszyła po schodach w dół. - Nie sądziłam, że ludzie tacy jak ty zajmują się sztukami walki.

- Tacy jak ja?

- Jesteś fizykiem czy kimś w tym rodzaju, prawda?

- Kimś w tym rodzaju. - Spojrzał z zaciekawieniem na kolorowy pled przykrywający fotel. Choć coś mu przypominał, powstrzymał się i nie podszedł, by mu się dokładniej przyjrzeć. - A ty? - Co robisz?

- Nic. Pracuję nad tym.

W kuchni Sunny zajęła się od razu herbatą. Nie zauważyła więc zdumienia na twarzy Jacoba.

Jak na starym filmie albo w encyklopedii, pomyślał, badając wzrokiem pomieszczenie. Tyle że to lepsze, znacznie lepsze niż jakakolwiek reprodukcja. Na widok kuchenki zdziwienie zmieniło się w podziw. Wspaniała, absolutnie wspaniała, uznał. Swędziały go ręce, chciał dotknąć każdego pokręta.

- Jacob?

- Co?

Sunny patrzyła na niego, marszcząc brwi. Dziwak, doszła do wniosku. Miły, ale dziwak.

- Powiedziałam, że mam bardzo dużo różnych herbat. Chcesz jakąś konkretną?

- Nie.

Nie mógł się oprzeć, po prostu nie mógł. Gdy gospodyni stawiała na palniku czajnik, podszedł do białego, emaliowanego zlewu i przekręcił pokryty chromem kurek. Z kranu popłynęła woda. Wysunął palec i przekonał się, że jest lodowato zimna. Dotknął końcem palca języka. Stwierdził, że woda ma lekki metaliczny posmak.

Zupełnie nieprzetworzona woda, stwierdził. Zadziwiające. Piją ją w takiej postaci, w jakiej wypływa z gruntu. Zapomniał o Sunny. Ponownie wsunął palec pod płynącą z kranu wodę. Teraz leciała już ciepła. Nasyciwszy się chwilowo nowo nabytą wiedzą, zakręcił kran. Gdy się odwrócił, zobaczył że Sunny się w niego wpatruje.

Trudno, uznał, muszę po prostu zaspokajać ciekawość tylko wtedy, gdy jestem sam.

- To jest bardzo ładne - pochwalił.

- Dziękuję. - Sięgając po filiżanki, nie spuszczała go z oka. - Nazywamy to zlewem. Macie chyba zlewy w Filadelfii, prawda?

- Tak. - Postanowił wykorzystać szansę i poszerzyć swą wiedzę. - Nigdy nie widziałem takiego zlewu jak ten.

Trochę się uspokoiła.

- Fakt, domek jest nieco staroświecki.

- Właśnie tak bym to określił.

Gdy woda się zagotowała, Sunny zaczęła przygotowywać herbatę. Podwinęła przy tym rękawy swetra. Długie, kształtne ramiona, zauważył Jacob. Wyglądają zwodniczo delikatnie. Dotknął siniaka na jej przedramieniu.

- Może Cal ci nie powiedział, że rodzice wybudowali ten dom w latach sześćdziesiątych.

Napełniła filiżanki parującą wodą.

- Zbudowali? - powtórzył. - Własnoręcznie?

- Tak, położyli każdy kamień i bal. Byli hippisami, takimi prawdziwymi.

- Lata sześćdziesiąte, tak, czytałem o tej epoce. Bunt młodzieży, kwestionowanie autorytetu instytucji państwowych, rewolucja polityczna i społeczna.

Radykalizacja poglądów, odrzucenie dóbr materialnych, ruchy pacyfistyczne.

- Rzeczywiście, mówisz jak naukowiec - zauważyła. Dziwny naukowiec, dodała w myślach, stawiając filiżanki na stole. - Chociaż... zabawnie jest słyszeć, jak ktoś urodzony w tamtych czasach mówi o nich jak o epoce dynastii Ming.

Usiedli przy stole.

- Czasy się zmieniają.

- Tak. - Patrzyła ze zdziwieniem, jak gość pociera palcem powierzchnię stołu. - A to jest stół, wyjaśniła.

Przywołał się do porządku i podniósł filiżankę.

- Podziwiałem drewno.

- Aha, dąb. Stół zrobił mój ojciec. Dlatego pod jedną nogę trzeba podkładać pudełko zapalek. - Na widok zdumionej miny gościa roześmiała się. - Przez jakiś czas pasjonował się stolarstwem. Prawie wszystkie zrobione przez niego meble są koślawe.

Trudno było to sobie wyobrazić. Drewno, odrąbane od potężnego pnia, przeobrażało się w mebel. Tylko osoby o najwyższym zaszeregowaniu kredytowym mogły sobie pozwolić na taki luksus. A i tak prawo zabraniało posiadania więcej niż jednego drewnianego mebla. Tutaj natomiast siedział w domu wzniesionym niemal wyłącznie z tego budulca. Powinien pobrać próbki, ale nie w tej chwili. Sunny nie spuszcza go z oka, nie ufa mu. Jednak gdy zostanie sam... Rozmyślając o tym, spróbował herbaty.

- Herbal Delight - zauważył. Sunny uniosła filiżankę.

- Trafiony, zatopiony. Trudno tu pić coś innego, nie ryzykując rozłamu w rodzinie. - Przyglądała mu się znad filizanki. - To firma mojego ojca. O tym też Cal ci nie powiedział?

- Nie.

Zbity z tropu wpatrywał się w ciemny, nieco złocisty płyn. Herbal Delight. Stone. Spółkę, jedną z najbogatszych i najbardziej ekspansywnych w federacji założył William Stone. Legendy o jej początkach były tak koloryzowane, jak opowieść o dziewiętnastowiecznym prezydencie, który urodził się w chatce z bali.

Nie, to nie legenda, pomyślał Jacob, wdychając aromat napoju. Okazuje się, że to prawda.

- Co w ogóle powiedział ci Cal?

Jacob upił trochę herbaty i postanowił uzbroić się w cierpliwość. Chciałby jak najszybciej utrwalić to wszystko w formie zapisu magnetofonowego.

- Tylko... że zбочzył z kursu i rozbił się. Twoja siostra zajęła się nim i zakochali się w sobie. No i że postanowił z nią zostać, tutaj.

- Czy masz coś przeciwko temu - - zapytała. - Gdy ich spojrzenia się spotkały, malowała się w nich niechęć i brak zaufania. - To dlatego nie przyjechałeś na ślub? Bo przed ożenkiem nie poprosił cię o wyrażenie zgody.

Spojrzał na nią z nieskrywanym gniewem.

- Niezależnie od tego, co o tym myślę, gdybym tylko mógł, na pewno bym przyjechał.

- Jak miło z twojej strony. - Ze stosu artykułów żywnościowych na stole wyszarpnęła pudełko ciasteczek. - Powiem ci coś, Hornblower. On ma szczęście, że dostała się mu moja siostra.

- No, skąd niby mogłem wiedzieć.

- Ale ja wiem. - Rozdarła opakowanie i sięgnęła po ciastko. - Jest piękna i inteligentna, miła i troskliwa. Poza tym, choć to nie twój interes, oni są ze sobą szczęśliwi.

- O tym także nie mogłem się dowiedzieć.

- Z czyjej winy? Miałeś bardzo dużo czasu, żeby się z nimi zobaczyć, prawda?

Zobaczył w jej oczach furję.

- Problem stanowił czas - odpowiedział, wstając.

- Wiem tylko tyle, że mój brat powziął pochopnie decyzję, która odmieniła jego życie. Zamierzam się upewnić, czy nie popełnił błędu.

- Zamierzasz co zrobić? - Przełknęła ciasteczko. Musiała je popić, żeby odzyskać głos.

- Nie wiem, koleś, jak jest w twojej rodzinie, ale w naszej nie podejmujemy decyzji zbiorowo. Każde z nas jest odrębną osobą, która ma prawo wyboru.

Nie obchodziła go jej rodzina, myślał teraz o swojej.

- Decyzja mojego brata wywarła wpływ na życie bardzo wielu ludzi.

- Aha, na pewno jego małżeństwo z Libby zmieni bieg historii. - Zdegustowana, odstawiła ciasteczka.

- Skoro cię to tak niepokoi, dlaczego u diabła pofatygowałeś się tu dopiero po roku?

- To moja sprawa.

- Jasne. Małżeństwo mojej siostry jest też twoją sprawą. Jesteś prawdziwą dupą wołową, Hornblower.

- Przepraszam?

- Powiedziałam, że jesteś dupą wołową. - Przeciągnęła dłonią po włosach. - Dobrze, porozmawiaj z nim, kiedy wrócą. Pamiętaj jednak o jednym. Cal i Libby kochają się, a to chyba najważniejsze. Teraz wybaczone, ale mam coś do zrobienia. Chyba sam trafisz do drzwi.

Wściekła wypadła z kuchni. Po chwili Jacob usłyszał coś, co przypominało trzaśnięcie prymitywnymi drewnianymi drzwiami.

Wyprowadzona z równowagi kobieta, pomyślał. Interesująca, ale wyprowadzona z równowagi. Musiał jakoś ją udobruchać, gdyż było oczywiste, że powinien tu pozostać do powrotu Cala.

Jako naukowiec zdawał sobie sprawę, że otrzymał niezwykłą możliwość badania prymitywnej kultury, porozmawiania z przedstawicielem swych przodków, czy kimś w tym rodzaju. Spojrzał na sufit. Wątpił, by wybuchowa Sunbeam chciała, żeby uważał ją za swego przodka.

Tak, miał wspaniałą okazję, o jakiej inni naukowcy mogli jedynie marzyć. Zastanawiał się już nad ewentualnym połączeniem się na próbę z prymitywną kobietą. Była niegrzeczna, kłótniwa i agresywna. Może i on nie jest aniołem, lecz w końcu ma nad nią przewagę, powiedzmy... cywilizacyjną.

Po powrocie do statku sprawdził najpierw w komputerowym banku danych, co w dwudziestym wieku oznaczało określenie „dupa wołowa”.

Sunny z przyjemnością by mu to wyjaśniła. W gruncie rzeczy, gdy chodziła po pokoju, nasuwały się jej znacznie barwniejsze określenia dotyczące niespodziewanego gościa.

Zjawił się po ponad roku od ślubu swego brata. Nie żeby złożyć gratulacje, myślała z wściekłością. Nie żeby poznać nową rodzinę. Po to, żeby przedstawiać swoje niedowarzone opinie o tym, czy Libby jest warta jego brata.

Nędzny płaz. Bałwan. Imbecyl.

Przechodząc koło okna, wyjrzała. I wtedy zobaczyła tego kretyna. Miała ochotę wybić szybę, tak żeby móc posłać mu na pożegnanie kilka obelg. Nagle się zastanowiła.

Dlaczego ten facet idzie do lasu? Bez ciepłego ubrania? Zmrużyła oczy i patrzyła, jak mężczyzna brnie w śniegu i wreszcie niknie za drzewami. Dokąd u diabła się wybiera? W tamtym kierunku nie ma niczego poza drzewami.

W ogóle, jak on się tu dostał? Przedtem nie miała czasu, żeby się nad tym zastanowić. Do miasta jest daleko, do najbliższego lotniska jedzie się samochodem dwie godziny. W jaki sposób pojawił się w mojej sypialni, bez ciepłego ubrania, w środku zimy?

Przed domem nie stał żaden samochód ani skuter śnieżny. Autostopem? Zabawne. A przecież nie mógł po prostu w styczniu przyjść na piechotę. O ile jest przy zdrowych zmysłach.

Wzruszyła ramionami i odsunęła się od okna. Może właśnie znalazła odpowiedź na wszystkie pytania. Wariat, i tyle. Ale właściwie co ją skłoniło do tego typu przypuszczeń? Mimo wszystko ten facet jest bratem Cala. Denerwujący typ, ale niekoniecznie szalony. A jednak...

W końcu zachowywał się dość dziwnie. Wyjrzała znów przez okno, zobaczyła tylko świeże ślady na śniegu.

Cal wydaje się dość normalny, rozważała, ale w końcu co my wiemy o jego rodzinie? Tyle co nic. Sunny przypomniała sobie, że gdy rozmowa schodziła na rodzinę, szwagier zachowywał dziwne milczenie. Ponownie wyjrzała na dwór. Może miał jakieś konkretne powody?

Tak, ten facet już od początku zachowywał się dziwnie, uznała. Wszedł jak do siebie, stał w sypialni, wpatrując się w magazyn kobiecy, jakby badał jakieś papirusy. No i to zachowanie w kuchni. Bawił się kranem. I gapił się na stół. Poza tym sprawiał wrażenie, jakby nigdy nie widział kuchenki ani lodówki. Albo jakby nie widział tych przedmiotów od dawna. Nie widział, bo przebywał w zamknięciu. W miejscu, w którym nie stanowił zagrożenia dla społeczeństwa.

Przygryzła wargę i zaczęła krążyć po pokoju. Nagle potknęła się o torbę. Jego torbę. Zostawił ją, zapomniał zabrać. To znaczy, że przypomni sobie i po nią wróci.

Trudno, jakoś sobie z nim poradzę, pomyślała, wpatrując się w torbę. Nie zaszkodzi jednak zastosować pewne środki ostrożności.

Uklekła. Nieważne, że to nieładnie, musi sprawdzić, co jest w środku. Już sama torba była dziwna. Bez suwaka ani innego rodzaju zamknięcia. Otworzyła się nie wiadomo jak, bezgłośnie. Sunny rozejrzała się jak winowajczyni i zaczęła badać zawartość znaleziska.

Ubrania. Drugi sweter, tym razem czarny. Bez metki. Dżinsy w dobrym gatunku, oczywiście drogie, ale też bez nazwy projektanta na tylnej kieszeni. W ogóle nigdzie żadnych naszywek, a ubranie jest nowe. Dałaby słowo, że zupełnie nowe. Szukała dalej.

Znalazła buteleczkę z napisem „fluoratyna”, zawierającą jakiś płyn, parę butów z miękkiej skóry. Brakowało maszynki do golema, lusterka... Nawet szczoteczki do zębów. Tylko komplet zupełnie nowych ubrań i buteleczka, która mogła zawierać jakieś lekarstwo.

Ostatnie odkrycie okazało się najbardziej zadziwiające. Urządzenie elektroniczne, mniejsze od dłoni. Okrągłe, z osłoną na zawiasach. Gdy ją otworzyła, zobaczyła małe guziczki. Nacisnęła pierwszy z brzegu i podskoczyła, gdyż rozległ się głos Jacoba.

Czysty i wyraźny, dochodził z urządzenia, które trzymała w ręku. Wypowiadał jakieś równania i dziwne słowa. Ani liczby, ani użyte określenia nic Sunny nie mówiły. Fakt jednak, że to wszystko wydobywało się z małego krążka, naprowadził ją na nowy trop.

Jest wrogim szpiegiem. Nieważne, kto jest tym wrogiem. Do tego szpiegiem nie zrównoważonym, na co wskazuje jego zachowanie. Sunny nigdy nie cierpiała na brak fantazji. Mogła sobie łatwo wyobrazić przebieg zdarzeń.

Schwytali go. Wydobywali z niego informacje technikami, które odbiły się na jego psychice. Cał go krył, wymyślił historyjkę, że jego brat jest astrofizykiem, za bardzo zagłębionym w badaniach, by przyjechać na ślub brata. W rzeczywistości brat Cala przebywał w obiekcie pewnej instytucji federalnej. A teraz uciekł.

Sunny naciskała losowo guziki, aż głos Jacoba ucichł. Tak, powinna postępować bardzo ostrożnie. Niezależnie od tego, czy lubi Jacoba, czy nie, to w końcu rodzina. Zanim cokolwiek zrobi, musi zyskać absolutną pewność, że Jacob jest niebezpiecznym wariatem.

Ślamazarna, często denerwująca osoba. Jacob spojrzał gniewnie w kierunku dymu, który unosił się ponad linią drzew. Nie obchodziła go właściwie definicja określenia „dupa wołowa”. Przynajmniej ta jej część, z której wynikało, że mógłby grać komuś na nerwach. Ale ślamazarny? Jakaś chuda kobieta, dla której silnik odrzutowy jest najnowszym cudem techniki, nie będzie go tak nazywała. Nie miał zamiaru tego tolerować.

W nocy ciężko pracował. Teraz statek był już dobrze zamaskowany, a notatki uaktualnione. W tym opis doprowadzającego do furii spotkania z Sunbeam Stone. Jednak dopiero o świcie Jacob przypomniał sobie o torbie.

Gdyby ta kobieta nie wyprowadziła go z równowagi, nie zapomnieliby o tak ważnej rzeczy. Nie to, żeby miał w niej coś ważnego. Chodziło o zasadę. Jacob nie był roztargniony, nigdy. Zdarzało mu się czasami zapominać o drobiazgach, gdy pochłaniało go coś ważnego.

Nie chciał o niej myśleć, w nocy jednak, gdy pracował, nie mógł tego osiągnąć. Wspomnienia powracały jak dokuczliwy owad, którego nie sposób odegnąć. Również wspomnienia tego, jak wyglądała, jak czuł jej przyciśnięte do łóżka ciało.

Zniecierpliwiony, pokręcił głową. Nie miał czasu na kobiety. Nie to, żeby nie doceniał ich uroków, ale wszystko w swoim czasie. A ten czas z pewnością nie jest stosowny. Zresztą, Sunbeam Stone nie można nazwać właściwym obiektem.

Im dłużej rozmyślał nad miejscem i czasem, w którym się znalazł, tym bardziej pogłębiało się jego przekonanie, że trzeba sprawić, by Cal się opamiętał i wrócił do domu.

Cal cierpiał na pewnego rodzaju kosmiczną gorączkę, uznał. Przeżył szok, a ta kobieta to wykorzystała. Gdy przedstawi Calowi logiczne argumenty, brat na pewno z ulgą wsiądzie do statku i wróci do domu.

Na razie trzeba korzystać z okazji. Studiować i zapisywać informacje przynajmniej o tym małym kawałku świata.

Na skraju lasu przystanął. Temperatura spadła. Jacob pożałował, że nie ma cieplejszych ubrań. Szare, nabrzmiałe śniegiem chmury przesuwały się po niebie, przesłaniając słońce. W szarawym świetle widział Sunny. Wybierała polana ze stosu drewna za domem. Śpiewała niezwykle erotycznym głosem o jakimś mężczyźnie, który odszedł. Nie usłyszała, jak Jacob do niej podchodzi. Nadal śpiewała i układała na rękę kawałki drewna.

- Przepraszam.

Krzyknęła i odskoczyła, polana upadły na ziemię. Jedno uderzyło ją mocno w nogę. Z bólu zaczęła podskakiwać.

- Cholera, cholera, cholera! Co ty wyprawiasz? Trzymając oburącz bolącą stopę, oparła się o ścianę domku.

- Nic. - Nie mógł powstrzymać uśmiechu. - To chyba tobie coś się stało. Boli?

- Nie, to wspaniałe uczucie, uwielbiam, kiedy coś walnie mnie w stopę. - Uśmiechnęła się i ostrożnie postawiła nogę na ziemi. - Skąd właściwie przyjechałeś? - zapytała.

- Z Filadelfii. - Widząc, że znacząco zmrużyła oczy, dodał: - Chodzi ci o to, skąd teraz? - Wskazał kciukiem. - Stamtąd. - Spojrzał na porozrzucane polana. - Może ci pomóc? - zaproponował.

- Nie. - Utykając, zaczęła zbierać drewno. Nie spuszczała jednak Jacoba z oka, śledziła bacznie każdy, nawet najdrobniejszy ruch. - Wiesz, dlaczego tu jestem, Hornblower? Chodziło mi o spokój i samotność. Znasz te pojęcia?

- Tak.

- To dobrze. - Odwróciła się i weszła do domku, tak że drzwi same się za nią zatrzasnęły. Wrzuciła polana do skrzynki przy kominku i ruszyła do kuchni. - Nagle zobaczyła go i zaklęła. - Czego ty tu chcesz?

- Zostawiłem torbę. - Wciągnął nosem powietrze. - Czy coś się pali?

Sunny chwyciła opiekacz, odwróciła go i zaczęła tłuc w niego pięścią. W końcu czarna, spalona grzanka wypadła.

- Do tego cholerstwa wszystko się przykleja - wyjaśniła.

Żeby przyjrzeć się fascynującemu małemu urządzeniu, Jacob nachylił się nad jej ramieniem.

- Nie wygląda apetycznie - zauważył.

Jest w porządku - odparła, wbijając na dowód prawdziwości tych słów zęby w spalony kawałek i chleba.

- Zawsze jesteś taka uparta? - Tak.

I tak wrogo nastawiona?

- Nie.

Odwróciła się i przekonała, że popełniła błąd. Nie odsunął się, choć właśnie tego oczekiwała. Oparł mocno ręce o stół, pozbawiając ją możliwości ruchu. Niczego nie nienawidziła tak bardzo, jak tego, gdy nią manipulowano.

- Cofnij się, Hornblower.

- Nie. - Zamiast usłuchać, przysunął się jeszcze bliżej. - Interesujesz mnie, Sunbeam.

- Sunny - poprawiła go odruchowo. - Nie nazywaj mnie Sunbeam.

- Interesujesz mnie - powtórzył. - Czy uważasz się za przeciętną kobietę swoich czasów?

Zbita z tropu, pokręciła głową.

- Co to za pytanie?

Jej włosy miały dziesiątki odcieni, od popielatego blondu do ciemnego miodu. Pożałował, że to dostrzegł.

- Pytanie wymagające prostej odpowiedzi. Uważasz się za taką?

- Nie. Nikt nie chce być przeciętny. A teraz, czy mógłbyś...

- Jesteś piękna - przyglądał się, nie ukrywając zachwyty - ale to tylko cecha fizyczna. Jak uważasz, co cię wyróżnia? Co sprawia, że nie jesteś przeciętna?

- Zwariowałeś? Prowadzisz jakieś badania? Uniosła dłoń, żeby go odepchnąć, napotkała jednak nieustępliwą jak skała klatkę piersiową. Wyczuła bicie serca, powolne i równomierne.

- Mniej więcej.

Uśmiechnął się. Nagle spodobały jej się jego oczy.

- Myślałam, że nie zajmujesz się ludźmi, tylko planetami i gwiazdami.

- Na planetach żyją ludzie.

- Tak, przynajmniej na tej. Znów się uśmiechnął.

- Przynajmniej. Możesz to traktować jako osobiste zainteresowanie.

- Chciała się poruszyć, zorientowała się jednak, że w ten sposób tylko się do niego przyciśnie. Zakłęła w duchu. Starła się panować nad głosem i spojrzeniem.

- Nie chcę twojego osobistego zainteresowania, Jacob.

- J.T. W rodzinie nazywają mnie zwykle J.T.

- W porządku. - Mówiła powoli, by się uspokoić. Potrzebowała dystansu. - Co sądzisz, J.T. o tym, że mógłbyś się odsunąć, a ja zrobiłabym śniadanie?

Jeśli nie przestanie przygryzać wargi, pomyślał, będę musiał jej w tym przeszkodzić. W najskuteczniejszy znany mi sposób. Nie wiedział dotąd, że taki drobny nawyk może oddziaływać tak uwodzicielsko.

- To zaproszenie? - zapytał. Nieznacznie przejechała językiem po wardze.

- Jasne.

Nachylił się jeszcze bardziej. Podobał się mu sposób, w jaki trzepotała rzęsami. Nie było łatwo oprzeć się temu. Jacob słyszał z wielu cech, wśród których brakowało jednak umiejętności panowania nad emocjami. Chciał ją pocałować. Nie w ramach jakiegoś eksperymentu, ale ot, tak, po prostu.

- Zrobisz takie grzanki? - zapytał, wskazując spalony chleb.

- Nie, płatki Froot, moje ulubione.

Cofnął się. Skoro ma tu spędzić kilka tygodni, musi popracować nad samokontrolą. Szybko układał plan.

- Zjadłbym trochę.

- Doskonale.

Wmawiając sobie, że to zmiana strategii, a nie odwrót, podeszła do kredensu i wyjęła dwie miseczki. Postawiła je na stole, obok kolorowego pudełka.

- Jako dzieci nie mogłyśmy ich jeść - poskarżyła się. - Moja matka była... jest zwariowana na punkcie zdrowej żywności. Jada korzonki i korę.

- Dlaczego korę?

- Mnie nie pytaj. - Sunny wyjęła z lodówki mleko i zalała nim kolorowe krążki. - W każdym razie, kiedy się wyprowadziłam, zaczęłam pochłaniać góry niezdrowego jedzenia.

Skoro przez pierwsze dwadzieścia lat życia jadłam zdrowe rzeczy, przez następne dwadzieścia mogę sobie pozwolić na różne trucizny.

- Trucizna - powtórzył, patrząc podejrzliwie na płatki.

- Dla maniaków zdrowej żywności nawet cukier jest trucizną. Spróbuj - zaproponowała, podając mu łyżkę. - Spalone grzanki i płatki to moja specjalność.

Uśmiechnęła się czarująco. Ona również miała swój plan.

Nie mógł pozwolić, by go otruła. Począł ostrożnie, aż sama zaczęła jeść, dopiero potem spróbował. Rozmoczony produkt zbożowy, nawet dość dobry. Wspólny posiłek stanowił okazję zbliżenia się do Sunny, a to z kolei umożliwi wyciągnięcie z niej informacji.

Stało się już oczywiste, że Cal nie powiedział nikomu poza Libby, skąd przybył. Jacob pochwalił go za to w myślach. Tak jest lepiej. Następstwa ujawnienia tego faktu... no cóż, musi jeszcze obliczyć prawdopodobieństwo różnych wariantów. Sunny nie była daleka od prawdy, pytając, czy małżeństwo Cala z jej siostrą może odmienić bieg historii.

Trzeba rozegrać wszystko rozważnie, obrócić sytuację na swoją korzyść. Wykorzystać w swych planach Sunny, dodał w myślach, odczuwając jedynie lekkie wyrzuty sumienia.

Zamierzał ją wypytać. O jej rodzinę, zwłaszcza o siostrę, o wrażenie, jakie na niej wywiera Cal. No i poznać z pierwszej ręki życie w dwudziestym wieku. Przy odrobinie szczęścia namówi ją, żeby zabrała go do najbliższego miasta. Tam niewątpliwie będzie mógł poczynić interesujące obserwacje.

Nie wolno tracić cierpliwości, powtarzała w myślach Sunny. Skoro mam ustalić, kim on właściwie jest, muszę się zachowywać taktowniej. To nie jest moją silną stroną, ale poradzę sobie. Wystarczy trochę ostrożności i dyplomacji. Zwłaszcza jeśli on rzeczywiście ma bzika.

Szkoda by go było, myślała, uśmiechając się uprzejmie. Co by szkodziło, gdyby ktoś tak przystojny i atrakcyjny miał jeszcze dobrze poukładane w głowie? Może to tylko chwilowe zaburzenia psychiczne?

- A więc - bębniła łyżką w bok miski - co sądzisz o Oregonie?

- Bardzo duży i słabo zaludniony.

- Właśnie dlatego go lubimy. Przyleciałeś do Portlandu?

Wybrał coś pośredniego między prawdą a kłamstwem.

- Nie, dotarłem trochę bliżej, Mieszkasz tutaj z Calem i siostrą?

- Nie, w Portlandzie, ale chyba czas na zmiany.

- To znaczy?

- Nie wiem, po prostu czuję, że muszę coś zmienić. - Spojrzała ze zdziwieniem, potem wzruszyła ramionami. - Właściwie myślałam o przeniesieniu się do Nowego Jorku.

- Co byś tam robiła?

- Jeszcze się nie zdecydowałam. Odłożył łyżkę.

- Nie masz pracy? Zesztywniała.

- Jestem w trakcie zmiany pracy. Niedawno zrezygnowałam z kierowniczego stanowiska w handlu detalicznym. - Wylali ją z posady kierownika stoiska z bielizną w hipermarkecie średniej klasy. - Rozważam studiowanie prawa.

- Prawa? - Spojrzał na nią łagodniej. - Moja matka jest prawniczką.

- Naprawdę? Cał chyba o tym nie wspomniał. W czym się specjalizuje?

Jacob pomyślał, że pewnie miałby trudności z dokładnym wyjaśnieniem.

- Co masz na myśli? - zapytał na wszelki wypadek.

- Ja chyba wybiorę prawo karne. - Chciała rozwinąć ten temat, lecz przypomniała sobie, że powinna raczej skłonić do wynurzeń rozmówcę. - Zabawne, prawda? Moja siostra jest naukowcem i brat Cala też. Co właściwe robią astrofizycy?

- Teorie, eksperymenty...

- Związane z podróżami międzyplanetarnymi.

- Starła się zachować powagę, lecz niezbyt jej się to udało. - Chyba nie wierzysz, że ludzie będą latać na Wenus, jak teraz na przykład do Clevelandu?

Na szczęście grywał w pokera i potrafił zachować kamienną twarz.

- Wierzę.

Zaśmiała się pobłaźliwie.

- Chyba musisz, na tym polega twój zawód. Ale na pewno przykro pomyśleć, że jeśli tak się stanie, to nie za twojego życia.

- Nigdy nic nie wiadomo. Na początku tego wieku wydawało się, że podróż na Księżyc to mrzonka, a jednak dokonano tego. - Niezbyt subtelnie, pomyślał, ale jednak im się udało. - W następnym stuleciu człowiek dotrze na Marsa i jeszcze dalej.

- Może. - Wstała, żeby wyjąć z lodówki dwie butelki wody sodowej. - Mnie byłoby trudno poświęcić życie na coś, co być może przyniosłoby efekty dopiero w przyszłości.

Jacob patrzył zafascynowany, jak gospodyni wyjmując z szuflady mały metalowy przedmiot, następnie zaś używa go jak dźwigni, żeby zdjąć z butelki kapsel.

- Wiesz - dodała - chyba lubię patrzeć na efekty swych poczynań. - Postawiła na stole otwarte butelki.

- Natychmiastowa nagroda. Chyba dlatego pomimo dwudziestu trzech lat nadal poszukuję swojego miejsca w życiu.

Butelka jest ze szkła, zdziwił się Jacob. Taka sama, jaką poprzedniego dnia Sunny usiłowała trafić go w głowę. Spróbował napoju i natychmiast rozpoznał smak. Pijał to samo w domu, choć nie do płatków z mlekiem na śniadanie.

- Dlaczego wybrałeś badanie kosmosu? - zapytała po chwili milczenia.

Spojrzał na nią. Zorientował się, że celowo go wypytuje. Co szkodzi, trochę zabawić się jej kosztem? Postanowił rozbudzić jej ciekawość, a równocześnie nieco ją przerazić.

- Lubię wyzwania.

- Musiałeś długo studiować.

- Dość długo.

- Gdzieś.

- Gdzie co?

Udało się jej utrzymać na twarzy uprzejmy uśmiech.

- Gdzie studiowałeś?

Pomyślał o Instytucie Kroliac na Marsie, Uniwersytecie Birmingham w Houston oraz o intensywnym roku w laboratorium kosmicznym L'Espac w Kwadrancie Fordon.

- Tu i tam. W tej chwili jestem związany z małym prywatnym ośrodkiem niedaleko Filadelfii.

Zastanawiała się, czy personel tego małego ośrodka nosi białe fartuchy.

- Pewnie ta praca cię fascynuje?

- Tak, zwłaszcza ostatnio. Jesteś zdenerwowana?”

- Dlaczego?

- Stukasz piętą w podłogę.

Położyła rękę na kolanie, żeby wstrzymać ruch nogi.

- Zniecierpliwiona. Zawsze jestem zniecierpliwiona, jeśli przebywam zbyt długo w jednym miejscu.

Stało się niestety oczywiste, że w ten sposób nie uda się z niego niczego wyciągnąć.

- Posłuchaj, naprawdę mam parę rzeczy do... - Zamilkła, gdy spojrzała przypadkiem przez okno. Nie zauważyła wcześniej, że zaczął padać śnieg. - Pięknie.

Podążając za jej spojrzeniem, Jacob zobaczył białe płatki.

- Wygląda na to, że będzie trochę roboty.

- Aha. - Westchnęła. Może gość działał jej na nerwy, ale nie była potworem. - Nie najlepsza pogoda do obozowania w lesie - zauważyła. Walcząc ze sobą, podeszła do drzwi, z

powrotem do stołu, potem do okna. - Posłuchaj, wiem, że nie masz się gdzie zatrzymać. Wczoraj widziałam, jak wchodziłeś do lasu.

- Mam... wszystko, czego potrzebuję.

- Jasne, ale nie możesz w tej zadymce wspinać się na wzgórze, a potem spać w namiocie albo szałasie. Libby by mi nie wybaczyła, gdybyś na przykład zamarzał. - Włożyła ręce do kieszeni i obrzuciła gościa groźnym spojrzeniem. - Zostań tutaj.

Pomyślał o otwierających się dzięki temu możliwościach i uśmiechnął się.

- Z przyjemnością - odpowiedział.

ROZDZIAŁ TRZECI

Starał się nie wchodzić jej w drogę. W tym momencie wydawało się to najlepszym rozwiązaniem. Usadowiła się na sofie przy kominku, rzuciła obok siebie książki i pracowicie sporządzała notatki. Ze stojącego na stole przenośnego radia wydobywały się dźwięki przerywanej trzaskami muzyki, co jakiś czas podawano komunikat o pogodzie. Zagłębiona w pracy, Sunny nie zwracała uwagi na gościa.

Korzystając z okazji, Jacob oglądał swe nowe miejsce zakwaterowania. Gospodyni przydzieliła mu pokój sąsiadujący z jej własnym, trochę większym, z dwoma oknami wychodzącymi na południowy wschód. Łóżko okazało się dużą, przypominającą skrzynię konstrukcją z drewna. Gdy przysiadł na brzegu, sprężyny materaca zaskrzypiały.

Zobaczył półkę z książkami. Powieści i poezja z dwudziestego i dziewiętnastego wieku. Większość w miękkich, bardzo kolorowych okładkach. Znał nazwiska dwóch autorów. Przejrzał książki, zaciekawiony bardziej jako naukowiec niż miłośnik literatury. Cał lubił czytać, Jacob nie wyobrażał sobie, że mógłby stracić godzinę na literacką fikcję.

Oni nadal przerabiają drzewa na papier, przypomniał sobie. Część ludzi wycinała drzewa, żeby mieć gdzie budować domy, przeznaczając drewno na meble, produkcję papieru i opał. Inna część zalesiała grunty. Nie było wiadomo, którzy osiągną przewagę. Taka dziwna gra, jedna z wielu, które prowadziły do powstawania niewiarygodnie złożonych problemów ekologicznych.

Poza tym zatruli powietrze dwutlenkiem węgla, lekkomyślnie niszczyli warstwę ozonową i dziwili się, kiedy przychodziło stawić czoło konsekwencjom takiej głupoty. Jacob zastanawiał się, jakiego rodzaju ludzie mogą zatrucić powietrze, którym sami oddychają. I wodę, przypomniał sobie, kręcąc z niedowierzaniem głową. Wrzucali też wszystko co niepotrzebne do oceanów, jakby to były jakieś gigantyczne wysypiska śmieci. Na szczęście zdążyli się opamiętać, zanim spowodowali nieodwracalne szkody.

Systematycznie przemierzał pokój. Badał dotykiem ściany, pościel. Zatrzymał się przy fotografii w ramce wyglądającej na srebrną. Już sama ramka byłaby interesująca, jego uwagę przykuło jednak zdjęcie. Brat, uśmiechnięty. Miał na sobie smoking i wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Obejmował kobietę imieniem Libby. Ona miała we włosach kwiaty i długą białą suknię, zakrywającą również ręce i dekolt. . Suknia ślubna, pomyślał Jacob. W jego czasach ta ceremonia ponownie stawała się modna, choć wydawało się, że na zawsze uległa zapomnieniu. Pary odnajdywały świeży urok w starych, pełnych konwenansów

uroczystościach. Oczywiście, nie miało to nic wspólnego z logiką. Małżeństwo zawiązywało się i rozwiązywało poprzez podpisanie stosownej umowy. Jeden i drugi typ umowy można było załatwić praktycznie od ręki. Uroczyste śluby i wesela wróciły jednak do łask.

W kościołach wymieniano obrączki i składano przysięgi. Projektanci kopiowali stroje z muzeów i starych filmów. Suknia Libby wywołałaby jęk zazdrości u każdego miłośnika starych obrzędów.

To wszystko go zdumiewało, wprost nie mieściło się w głowie. Wybuchnąłby donośnym śmiechem, gdyby nie chodziło o jego brata. Cal? Ten kobieciarz, który unikał emocjonalnego zaangażowania? Co za ironia losu! A jednak było to zdjęcie, ono stanowiło niezbity dowód, że Cal przestał kierować się logiką.

To rozwścieczyło Jacoba.

Jak tak można porzucić rodzinę, dom, cały swój świat. I to dla kobiety. Jacob zdjął fotografię ze ściany i wrzucił ją do szuflady. Szaleństwo, nie ma innego wyjaśnienia. Jedna kobieta nie może tak drastycznie odmienić czyjś życia. Ale jeśli skusiło go coś innego? Tak, to z pewnością interesujące miejsce. Na tyle, żeby poświęcić mu kilka tygodni studiów i badań. Gdy wrócę do domu, napiszę o tym parę artykułów, obiecał sobie. Ale żeby od razu tu zamieszkać? Musi przywołać Caleba do porządku. Odkręci to, co namotała ta kobieta. Nikt nie zna Caleba Hornblowera lepiej niż jego własny brat.

Właściwie nie widywali się zbyt często. Ostatni raz spotkali się w mieszkaniu Jacoba na uniwersytecie. Grali w pokera i pili rum wenusjański - szczególnie silny napój alkoholowy. Cal przywiózł z ostatniej wyprawy całą skrzynkę.

Jacob przypomniał sobie, że brat jak zwykle przegrywał w karty. Obaj się upili.

- Kiedy teraz wrócę - powiedział Cal, odchylając głowę na oparcie krzesła i ziewając - spędzę trzy tygodnie na plaży, na południu Francji. Będę patrzył na kobiety i pił.

- Trzy dni - poprawił go Jacob, obracając w dłoni szklanekę z czarnym jak węgiel płynem. - Dłużej nie wytrzymasz. W ciągu ostatnich dziesięciu lat przebywałeś na pokładzie statku częściej niż na Ziemi.

- Ty za to za mało latasz. - Uśmiechając się, Cal wyjął Jacobowi szklanekę z dłoni i wypił zawartość. - Przesiadujesz ciągle w laboratorium, braciszku. Powiem ci, że o wiele fajniej jest okrążyć planety, niż o nich czytać.

- To zależy od punktu widzenia. Gdybym ich nie studiował, ty nie mógłbyś na nie latać. - Osunął się niżej na krześle, nie chciało mu się nalać kolejnej porcji rumu. - Poza tym, ty jesteś lepszym pilotem. To jedyna rzecz, którą robisz lepiej ode mnie.

Cal znów się uśmiechnął.

- To też zależy od punktu widzenia. Zapytaj Linsy McCellan.

Jacob zdobył się na uniesienie brwi. Kobieta, o której była mowa, tancerka, hojnie obdarzała swymi wdziękami obu braci, nigdy jednak jednocześnie.

- Jej wiele nie trzeba. Zresztą, dzięki temu, że rzadko latam, częściej widuję się z Linsy.

- Nawet ona - Cal uniósł szklankę - nie może się równać z lataniem.

- Jesteś teraz zwykłym przewoźnikiem, Cal. Gdybyś został w MSK, dosłużyłbyś się już stopnia majora.

Caleb wzruszył ramionami.

- Karierę zostawiłem dla ciebie, doktorze Hornblower. - Wyprostował się na krześle. - J.T., może pozwolisz uniwersytetowi odpocząć od swojej osoby i spędzisz ze mną kilka tygodni? W kolonii Brigston na Marsie jest klub, który trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć, że coś takiego istnieje. Pewien mutant gra na saksofonie, jest świetny.

- Mam pracę.

- Zawsze masz pracę. J.T., to tylko kilka tygodni, poleć ze mną. Zawiozę cię na miejsce, pokażę kilka rozrywkowych dzielnic, potem polecimy na plażę. Powiedz tylko, na którą.

To było kuszące, bardzo kuszące. Jacob niemal wyraził zgodę. Miał ogromną ochotę, nie zapominał jednak o swoich obowiązkach.

- Nie mogę. - Westchnął i sięgnął po butelkę. - Przed pierwszym muszę dokończyć pewne obliczenia.

Powinienem był wtedy polecieć, pomyślał Jacob. Posłać do diabła obliczenia i obowiązki, wyskoczyć z Calem. Może gdybym był wtedy z nim na statku, nic by się nie stało? A jeśli nawet, to byłbym wtedy przy Calebie, a to zmieniłoby postać rzeczy.

Dzięki filmowi wideo ukazującemu przebieg zdarzeń Jacob wiedział, przez co przeszedł jego brat. Czarna dziura, panika, bezradność. Cal przeżył tylko cudem, częściowo dzięki swym umiejętnościom, ale jednak cudem. Gdyby miał na pokładzie naukowca, może wspólnymi siłami odwróciliby bieg zdarzeń. Cal siedziałby teraz w domu, i tyle.

I w końcu tam wróci, powiedział sobie Jacob, starając się uspokoić. Za kilka tygodni. Wystarczy cierpliwie poczekać.

Żeby zabić czas, zaczął się bawić śmiesznym komputerem, który stał w kącie na małym biurku. Przez godzinę rozkładał go i ponownie składał, badał przełączniki, obwody i płytki półprzewodnikowe. Z ciekawości obejrzał jedną z dyskietek Libby.

Zawierała długi, drobiazgowy opis jakiegoś szczepu zamieszkującego wyspę na Pacyfiku. Jacoba zainteresowały, trochę mimo woli, opisy i formułowane na ich podstawie teorie. Autorka potrafiła przekształcić suche fakty w ciekawą opowieść o wychodzącej z izolacji kulturze. Jak na ironię, koncentrowała się na wpływie nowoczesnych narzędzi i technologii na społeczność, która z jej punktu widzenia była prymitywna. Sam Jacob spędził ostatni rok na rozmyślaniach, w jaki sposób technologia, którą miał do dyspozycji, wpłynęłaby na ludzi żyjących w czasach Libby.

Jest inteligentna, przyznał niechętnie. Nie oznaczało to jednak, że pozwoli jej zatrzymać tutaj Calę.

Wyłączył maszynę i zszedł na dół.

Sunny usłyszała jego kroki, lecz nie uniosła głowy znad książek. Chciała zapomnieć o obecności gościa, lecz nie mogła. Nie hałasował ani nie był uciążliwy, ale już sama jego obecność pozbawiała ją spokoju.

Patrząc, jak Jacob wchodzi do kuchni, wmawiała sobie, że chce być sama. Nieprawda. Nie lubiła samotności, zwłaszcza dłuższej. Lubiła ludzi, rozmowy. Obecność tego człowieka nie sprawiała jej jednak przyjemności, tylko niepokoiła.

Dlaczego? - zastanawiała się, stukając długopisem w blok i patrząc na ogień. To ważne pytanie, uznała.

„Możliwe, że jest niepoczytalny” - napisała na kartce z bloku. Potem uśmiechnęła się do siebie. Czyżby i on prowadził jakąś wyprzedaż w supermarkecie? Od tego można zwariować. Wyłania się znikąd, żyje w lesie, bawi się kurkami.

Możliwe, że jest niebezpieczny. Przy tych słowach uśmiech ustąpił miejsca chmurnemu spojrzeniu. Niewielu mężczyzn potrafiłoby tak ją zmylić i pokonać. Nie zrobił jej jednak krzywdy, a musiała przyznać, że miał okazję. Zresztą bycie niebezpiecznym nie oznacza jedynie stosowania przemocy.

Ma silną osobowość. Trzeba się go strzec, pomyślała, nawet gdy się uśmiecha. Wtedy na pozór się rozluźnia, lecz i tak sprawia wrażenie niezwykle skupionego i czujnego.

Dziko atrakcyjny. Sunny nie podobało się to określenie, uznała jednak, że doskonale do niego pasuje. Ma takie ostre, niemal bezlitosne spojrzenie, jak drapieżnik. Jednak nie nieprzyjemne. Jak Heathclif z „Wichrowych wzgórz”, pomyślała i roześmiała się. Nie, to Libby jest romantyczna, nie ja.

Szkicowała jego twarz. Denerwowało ją, że jest w niej coś dziwnego, coś, czego nie potrafi uchwycić. Coś ulotnego, tajemniczego, ekscentrycznego. Czyżby coś ukrywał? Może ma jakieś kłopoty? - Zrobił coś, po czym musiał znaleźć odludne miejsce, bezpieczną

kryjówkę? - A jeśli Jacob mówi prawdę? Co, jeżeli po prostu przyjechał odwiedzić brata i poznać jego żonę?

Nie. Patrząc na naprędce naszkicowany portret, pokręciła głową. Może to i prawda, ale na pewno nie cała.

Westchnęła i odłożyła blok. Wstała i poszła do kuchni.

- Co ty u diabła robisz?

Jacob uniósł wzrok. Na stole leżały części opiekacza i gruba warstwa okruchów. Znalazł w szufladzie śrubokręt i widać było, że przeżywa najpiękniejszą przygodę swego życia.

- Trzeba go naprawić - wyjaśnił.

- Tak, ale...

- Lubisz przypalony chleb?

- Nie bardzo, ale... wiesz przynajmniej, co robisz?

- Może. - Uśmiechnął się na myśl, co by powiedziała Sunny, gdyby przyznał, że potrafi w ciągu godziny rozmontować moduł X - 25. - Nie ufasz mi'?

- Nie. - Odwróciła się, żeby nastawić czajnik. - Nie sądzę jednak, żeby ten toster można było jeszcze bardziej zepsuć. - Grzeczniej, przypomniała sobie, najpierw grzecznie, a potem wykonaj decydujący ruch. - Chcesz herbaty? - zapytała.

- Aha.

Ze śrubokrętem w ręku patrzył, jak Sunny podchodzi do kredensu, potem wraca do kuchenki. Porusza się z gracją, pomyślał. W połączeniu z siłą powstaje interesująca kombinacja. Chodziła z wdziękiem, lekko, miała doskonałą koordynację ruchów. Wyczuła jego wzrok i obejrzała się.

- Chcesz coś powiedzieć?

- Nie, lubię na ciebie patrzeć.

- Zjesz ciasteczko? - zapytała.

- Tak.

Podawała mu małe czekoladowe ciasteczko owinięte w pergamin.

- Gdybyś chciał zjeść na obiad coś bardziej wyszukanego, możesz sobie zrobić. - Postawiła na stole filiżanki i usiadła. - A znasz się na hydraulice?

- Przepraszam?

- Kran nad wanną przecieka. - Sunny zdarła papier ze swojego ciasteczka. - Na noc kładłam w wannie ręcznik, żeby nie słyszeć kapania, ale jeśli potrafisz to naprawić, będę

wdzięczna. - Wbiła zęby w ciasteczko i przymknęła oczy, żeby lepiej poczuć smak. - Moglibyśmy przyjąć, że w ten sposób odpracowujesz posiłki.

- Zerknę na to - obiecał. Nadal trzymał śrubokręt, lecz jego uwagę przykuwał teraz sposób, w jaki Sunny zlizywała polewę z ciastka. Nigdy nie przeszło mu przez myśl, że czynność jedzenia może być tak seksowna. - Mieszkasz sama?

- Oczywiście.

- Także wtedy, gdy nie jesteś tutaj?

- Przez większość czasu. - Oblizwała czekoladę z palca tak, że Jacob niemal jęknął. - Lubię mieszkać sama bo wtedy nie trzeba z nikim nic ustalać. Jem, kiedy chcę, wracam do domu, kiedy mi się podoba. A ty?

- Co ja?

- Mieszkasz sam?

- Tak. Przez większość czasu pracuję.

- Fizyka, tak? To niedobrze. - Myśl, że gość jest szpiegiem, wydawała się jej coraz bardziej absurdalna. No i nie był chyba takim wariatem, za jakiego pierwotnie go uznała. Po prostu ekscentryk, pomyślała. To jej właściwie nie przeszkadzało. Sama na ogół zachowywała się ekscentrycznie. - Więc naprawdę planujesz rozbijanie atomów czy coś w tym rodzaju?

- Coś w tym rodzaju.

- Co sądzisz o reaktorach atomowych? Niemal się roześmiał, lecz przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

- Stosowanie materiałów rozszczepialnych jest jak strzelanie z armaty do komara. Niebezpieczne i niepotrzebne.

- Moja matka byłaby zachwycona, ale taki pogląd nie pasuje do fizyka.

- Nie wszyscy naukowcy myślą tak samo. - Czując, że zabrnął na grząski grunt, powrócił do skręcania tosteru. - Opowiedz mi o swojej siostrze.

- Libby? Po co?

- Interesuje mnie, ponieważ zdobyła mojego brata.

- Zdobyła? Nie przetrzymuje go dla okupu. To on ciągnął ją do ołtarza z taką szybkością, że ledwie zdążyła powiedzieć „tak”.

- Do jakiego ołtarza?

- To taka metafora, J.T. - Mówiła teraz powoli i ostrożnie. - Kiedy ludzie biorą ślub, mówi się, że idą do ołtarza.

- Ach, racja. To znaczy, że na pomysł małżeństwa wpadł Cal?

- Nie wiem, które z nich pierwsze, ale to jest chyba bez znaczenia. W każdym razie zrobił to z entuzjazmem. - Zniecierpliwiona, zaczęła bębnić palcami w stół. - Odnoszę wrażenie, że twoim zdaniem Libby do czegoś go zmusiła albo użyła kobiecego podstępku, by go schwytać w pułapkę.

- I schwytała?

Sunny zakrzuszyła się herbatą. Gdy jej przeszło wzięła głęboki oddech.

- Może trudno jest ci to zrozumieć, Hornblower, ale Cal i Libby kochają się. Słyszałeś o czymś takim jak miłość, prawda?

- Znam to pojęcie - odpowiedział. Intrygowały go objawy narastającego u rozmówczynie gniewu. Jej oczy pociemniały, policzki zaróżowiły się, uniosła podbródek. I bez tego była atrakcyjna, ale teraz wprost oszałamiająco. Nie byłby mężczyzną, gdyby nie pomyślał, jak musi wyglądać pobudzona czymś innym niż złość. - Nie doświadczyłem sam tego uczucia, ale mam otwarty umysł.

- To ładnie z twojej strony - mruknęła. Wstała, włożyła ręce do tylnych kieszeni dżinsów i podeszła do okna. Boże, co za typ, pomyślała. Jeśli nie uduszę go przed powrotem Cala i Libby, to będzie cud.

- A ty? - usłyszała.

- Co ja?

- Byłaś zakochana?

Spojrzała na niego szczególnie wrogo.

- Trzymaj się z daleka od mojego życia osobistego.

- Przepraszam. - Nie powiedział tego szczerze. Musiał sprawić, by to ona wyszła na głupią, nie on. - Po prostu mówiłaś o tym z taką znajomością rzeczy, jakbyś zdobyła duże doświadczenie. Nie masz jednak pary, to znaczy, nie jesteś zamężna, prawda?

Celny strzał, bez pudła. Sunny nie była nigdy zakochana, choć kilkakrotnie próbowała. Uwaga Jacoba jeszcze bardziej rozpalila jej gniew.

- To, że ktoś nie jest zakochany, nie oznacza jeszcze, że nie może docenić wartości tego uczucia.

- Odwróciła się, wściekła, że została zepchnięta do defensywy. - Nie mam męża wyłącznie z wyboru.

- Rozumiem.

Sposób, w jaki to powiedział, sprawił, że mimowolnie zacisnęła zęby.

- Poza tym nie rozmawiamy o mnie, a o Libby i. Calu - dodała.

- Myślałem, że rozmawiamy ogólnie o miłości.

- Rozmowa o miłości z pozbawionym uczuć gburą to strata czasu, a ja nie lubię swojego marnować.

- Oparła rękę na biodrze. - Oboje jednak interesujemy się Libby i Cal, więc wyjaśnijmy sobie wszystko.

- W porządku, wyjaśnijmy.

Nie potrzebował bazy danych, żeby poznać znaczenie słowa „gbur”. Nieważne, to tylko jeszcze jedna obelga, za którą ona zapłaci.

- Zakładasz z góry, że moja siostra, kobieta, podstępnie nakłoniła twojego brata, który jest tylko mężczyzną, do małżeństwa. Nie widzisz, jak przestarzały jest taki sposób rozumowania?

- Naprawdę?

- Idiotycznie staroświecki, szowinistyczny i głupi. Pogląd, że marzeniem każdej kobiety jest wyjście za mąż i zamieszkanie w domku z ogródkiem wyszedł z mody razem ze spódnicą bombką.

Choć zastanawiał się przez chwilę, kto o zdrowych zmysłach użyłby bomby w charakterze spódnicy, zrozumiał, że chodzi o coś innego.

- Głupio - upewnił się.

- Idiotyczny. W dzisiejszych czasach tylko idiota może wyznawać poglądy godne neandertalczyka. Chyba przespałeś kilka ostatnich dziesięcioleci, ale świat się zmienia. Kobiety mają teraz wybór. Oświeceni mężczyźni rozumieją i doceniają zalety takiego stanu rzeczy. Oczywiście, nie tacy nadęci megalomani jak ty. Twoja strata.

Powoli wstał, demonstracyjnie, tak że gdyby nie była wściekła, mogłaby się zaniepokoić.

- Tak, Hornblower, od chwili kiedy się zjawiłeś, próbujesz przedstawić małżeństwo brata jako wynik spisku uknutego przez moją siostrę. - Zrobiła krok w jego kierunku. - Teraz cię zażyję, Hornblower. Tylko głupiec dałby się wbrew swej woli zmusić do małżeństwa, a Cal nie robi na mnie wrażenia głupca. W tym właśnie punkcie kończy się wasze rodzinne podobieństwo. Niestety.

Dupa wołowa, gbur, a teraz głupiec. Tak, pomyślał, ona mi za to zapłaci.

- Dlaczego więc ożenił się tak szybko, zanim jeszcze porozmawiał na ten temat z rodziną? - - mruknął złośliwie.

- Zapytaj jego - odparła. - Może nie chciał, żebyście go przesłuchiwali. W mojej rodzinie nie wywiera się w takich sprawach nacisku. A kobiety radzą sobie doskonale bez

usidlania nieostrożnych mężczyzn. Rozumiesz, Hornbloweri My, kobiety, nie potrzebujemy takich jak ty.

Tym razem to on zbliżył się o krok.

- Nie?

- Nie. Ani do zarabiania na chleb, ani do rąbania drewna czy wynoszenia śmieci. Ani... ani do naprawiania opiekaczy - dodała, wskazując bałagan na stole.

Same radzimy sobie ze wszystkim.

- Zapomniałaś o czymś.

- Niby o czym?

Szybkim ruchem położył dłoń na jej karku, żeby nie mogła się odsunąć, i pocałował ją.

Spodziewała się raczej lewego sierpowego, toteż dała się zaskoczyć. Mruknęła coś; czuł ustami ruch jej warg. Moje imię, pomyślał. Był zły, bardziej niż zły. Nigdy przedtem działanie pod wpływem impulsu nie postawiło go w tak niezręcznej sytuacji.

Mimo to lekkomyślnie odrzucił logikę i myśli o konsekwencjach. Przyciągnął Sunny bliżej. Wyrwała ręce z kieszeni. Trzymała go za ramiona, może w geście oporu, może w geście poddania. Pragnął jednego albo drugiego, wszystko jedno. Pocałował ją mocniej, usłyszał głośne westchnienie rozkoszy.

Nie walczyła. Przez chwilę przenikał ją prąd emanujący z jego ciała. Nie myślała, myśli roztapiały się jak rysunki zrobione kredą na deszczu.

Gdy przywarła do niego, poczuła, że ramiona mężczyzny stężały, usłyszała, jak wciąga głęboko powietrze i wzdycha.

Czuła się, jakby ożywała w jego ramionach. On czuł, że żadna kobieta, której dawał rozkosz, ani która dawała ją jemu, nie pasuje do niego tak bardzo jak ta.

Dotknął jej jedwabistych włosów. Przesunął dłoń po satynowej szyi. Pogłębił pocałunek i jęknął, gdy Sunny stosownie do tego zareagowała.

Nigdy jeszcze żądza nie pozbawiła go tak szybko zdolności do panowania nad sobą, nie osiągnęła tak nieznośnego natężenia.

Cierpiał. Nigdy przedtem nie cierpiał, przynajmniej nie z pożądania. Przestraszył się. Czuł, że coś ważnego wymyka się mu z rąk.

Gwałtownie odsunął ją od siebie, przytrzymał mocno, żeby nie mogła się zbliżyć. Oddychał szybko, jakby właśnie wbiegł na szczyt wysokiego, stromeego wzgórza.

Nie odezwała się, widział tylko jej wielkie, pociemniałe nagle oczy. W słabym zimowym świetle jej skóra wydawała się jasna i czysta. Sunny stała nieruchomo jak posąg, nadal milczała. Potem zaczęła drżeć.

Oderwał ręce od jej ramion, jakby parzyły.

- Zakładam... - Ponieważ głos zabrzmiał słabo, Sunny głęboko odetchnęła. - Zakładam, że w ten sposób chciałeś coś udowodnić.

Poczuł się głupcem, właśnie tak, jak go przedtem nazwała.

- Miałem do wyboru to i lewy prosty - wyjaśnił.

Tak czy inaczej, znokautował ją. Już spokojniejsza, skinęła głową.

- Jeśli nadal zamierzasz tu mieszkać, musimy ustalić pewne zasady.

Szybko doszła do siebie, pomyślał z rozczarowaniem, które go zaskoczyło.

- Rozumiem, że ty je podyktujesz.

- Tak. - Wolałaby usiąść, zmusiła się jednak, by stać i patrzeć mu w oczy. - Możemy się spierać, ile tylko zechcesz. Lubię ciekawe spory.

- Gdy się kłócisz, jesteś czarująca i uwodzicielska. Nikt jej tego nigdy nie powiedział.

- Myślę - odparła - że musisz się nauczyć nad sobą panować.

- W tym właśnie nie jestem najlepszy.

- Albo odejść stąd przez śnieg, którego napadało już ze trzydzieści centymetrów.

Spojrzał w kierunku okna. - Popracuję nad tym.

- To dobrze. - Znów wzięła głęboki oddech. - Jest dość oczywiste, że się za bardzo nie lubimy, ale póki jesteśmy skazani na swoje towarzystwo, możemy się zachowywać w sposób cywilizowany.

- Dobrze powiedziane. - Miał ochotę dotknąć jej policzka, lecz zwalczył tę pokusę. - Czy mogę zadać pytanie?

- Możesz.

- Zawsze reagujesz tak żywiołowo na ludzi, których nie lubisz?

- Nie twoja sprawa.

- Myślałem, że to bardzo cywilizowane pytanie.

- Uśmiechnął się i zmienił taktykę. - Cofam je jednak, gdyż jeśli zaczniemy się znów kłócić, wylądujemy w łóżku.

- Ze wszystkich mężczyzn świata...

- Co? Chcesz się przekonać, czy tak będzie? Nie, chyba nie, zartowałem. Jeśli to ci poprawi humor, wiedz, że ja także nie jestem zainteresowany. - Usiadł i wziął do ręki narzędzia. - Uznajmy to całe wydarzenie za pomyłkę.

- To przecież ty...

- Tak - przyznał - to ja.

Duma nie pozwoliła jej zaszyć się w bezpiecznym zaciszu sypialni. Sunny podeszła do stołu.

- Chyba żądanie przeprosin nie byłoby w tej sytuacji zbyt wygórowanej.

- Nie, nie musisz przeproszać - odparł lekkim tonem.

Chwyciła obudowę opiekacza i rzuciła ją z hukiem na podłogę.

- Cham.

Z trudem, ale jednak zapanował nad sobą. Gdyby jej teraz dotknął, oboje by tego później żałowali.

- No dobrze. Przepraszam, że cię pocałowałem, Sunny. Nie będę ci już tłumaczył, jak bardzo mi przykro.

Odwróciła się i wybiegła z kuchni. Te przeprosiny tylko zwiększyły jej rozgoryczenie. Porwała z półki możliwie najcięższą książkę i rzuciła nią w ścianę. Kopnęła sofę, zaklęła i wbiegła po schodach na górę.

Nie pomogło. Nadal rozpierała ją furia. Niestety, znacznie gorsza była towarzysząca jej żądza. Zrobił to, pomyślała, trzaskając drzwiami. Zrobił to. Zrobił to specjalnie, zaplanował wszystko od początku do końca. Była tego pewna.

Tak ją rozzłościł, tak wytrącił z równowagi, że gdy ją pocałował, zareagowała irracjonalnie. Upokorzył ją i do tego przechytrzył. Zapłaci za to.

Rzuciła się na łóżko. Postanowiła spędzić popołudnie na obmyśleniu sposobów zmienienia życia Hornblowera w prawdziwe piekło.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie powinienem był jej dotykać, rozmyślał ponuro Jacob. Potem zorientował się, że o wiele łatwiej i przyjemniej jest zwalić winę na nią. W końcu to ona zaczęła. Od samego początku wszystko mu komplikowała.

W jego świecie - w każdym świecie, pomyślał z goryczą - są osoby po prostu urodzone po to, by komplikować życie innym. Sunbeam Stone najwidoczniej należała do tej kategorii. W jej wyglądzie, głosie, gestach, w jej osobowości zawierało się wszystko, co potrzebne kobiecie, by odwracać uwagę mężczyzny od innych, naprawdę istotnych spraw. Wyprowadzać go z równowagi.

Robiła to przy każdym spotkaniu. Te chłodne uśmiechy, ten gorący temperament. Połączenie, któremu Jacob nie mógł się oprzeć. I wiedział na pewno, że ona zdaje sobie z tego sprawę.

Kiedy ją pocałował, a Bóg świadkiem, że tego nie planował, poczuł się jak wystrzelony w kosmos. Skąd mógł wiedzieć, że w tych przyjaznych, miękkich ustach kryje się tyle siły?

Nie pociągały go nigdy kobiety bierne. Co z tego? Nie chciał, by Sunbeam go pociągała. Nie mógł sobie na to pozwolić. I nie pozwoli, niezależnie od tego, jakie dwudziestowieczne sztuczki zastosuje ta niewiasta.

To, co zaszło, stało się wyłącznie z jej winy, uznał. Wyśmiewała się z niego, prowokowała go. Chciała go ogłupić, zbić z tropu. Musiał przyznać, że robiła to sprawnie, i osiągnęła swój cel. Gdy już postąpił tak, jak postąpiłby na jego miejscu każdy normalny mężczyzna, spojrziała na niego tymi wielkimi oczami, przepelnionymi strachem i namiętnością. Tak, po studiach nad dwudziestym wiekiem powinien zachować większą ostrożność. Kobiety były wtedy sprytniejsze i bardziej wyrafinowane.

Z rękami w kieszeniach podszedł do okna, zapatrzył się na wirujący śnieg. Tak, ona jest inteligentna, pomyślał. Ostra jak kryształ z Wenus i dwakroć niebezpieczniejsza. Zorientowała się, że w jego opowieści coś się nie zgadza i postanowiła wykryć, co zataił. Tyle że on był równie zdeterminowany w kwestii zachowania milczenia.

Nie obawiał się jej inteligencji, pewien, że pod tym względem przewyższa Sunny. Ile trzeba, żeby okazać się mądrzejszym od kobiety z dwudziestego wieku? W końcu miał nad nią przewagę dwustu lat ewolucji. Szkoda tylko, że ona tak go intryguje. I że jest tak

prymitywnie atrakcyjna. Nie mógł się temu poddać. Wiedział, że zrujnowałoby to wszystkie jego założenia i kalkulacje.

Co do jednego miała jednak rację, przyznał. Są na siebie skazani. Sami na tej całej cholernej górze. Sytuację pogarszał jeszcze wciąż padający śnieg. Trudno, trzeba będzie się jakoś z tym uporać.

Z pomocą Sunny czy też bez niej, jakoś musi dotrzeć do brata.

Odwrócił się i obrzucił wzrokiem kuchnię. Przede wszystkim, domek jest zbyt mały, żeby mogli siebie unikać. Powinien wrócić do statku, wołał jednak zostać tutaj, wykorzystując czas na obserwacje.

Zostanie więc. A jeśli będzie tej Sunny zawadzał, to tym lepiej. Poradzi sobie z nią, ma nad nią przewagę.

Uspokojony tym wnioskiem, usiadł przy stole, żeby złożyć opiekacz. Pracując, słyszał skrzypienie sufitu. Uśmiechnął się. Sunny chodziła po pokoju, na pewno odczuwała niepokój z jego powodu. To dobrze. Może dzięki temu zachowa dystans lub przynajmniej przestanie go prowokować.

Głupio jest pożądać kogoś, kogo się nie lubi. Fantazjować o kimś, kogo się nie toleruje. Tęsknić do kogoś, kto tak konsekwentnie działa nam na nerwy.

Zaklął, gdyż śrubokręt obsunął się i skaleczył go w kciuk.

On się z tego nie wywinie. Rozpierał ją gniew. Chodziła od ściany do ściany, od okna do drzwi. Sięgnął po nią, jakby mu się należała, potem równie bezceremonialnie odtrącił. Czy on naprawdę myśli, że może folgować swemu seksualnemu popędowi, nie licząc się z jej zdaniem? Ze pozostanie bezkarny?

Miała dla niego przykrą wiadomość.

Nikt, absolutnie nikt nie ma prawa traktować jej w ten sposób. A jeśli potraktuje, to i tak nie przeżyje, by obnosić się ze swym zwycięstwem. Od dawna musiała sama o siebie dbać. Mężczyźni naciskali, ona ich odpychała. Uwodzili ją, lecz ona opierała się tym staraniom bez wysiłku. Błagali, a ona...

Uśmiechnęła się szeroko na myśl, że Jacob Hornblower mógłby ją o coś błagać. Tak, to by dopiero był triumf, pomyślała. Enigmatyczny doktor Hornblower na kolanach, u jej stóp.

Westchnęła. Pożałowała, że nie jest biegłą w typowych damskich gierkach. Trudno, ma swoje zasady.

Jest nowoczesną kobietą, samodzielną, radzącą sobie w życiu, wszystko jedno czy z mężczyzną, czy bez. Miała własne przemyślenia i cele. Taka postawa wykluczała

posługiwanie się seksem jako bronią. Chciałaby jednak, bardzo by chciała, ten jeden jedyny raz odłożyć zasady na bok i rzucić Jacoba na kolana.

On sam posłużył się seksem, pomyślała, kopiąc pantofel, który pechowo znalazł się na jej drodze. Mężczyźni zarzucają takie postępowanie kobietom, a sami się do niego uciekają. Podeszła i wymierzyła pantoflowi drugiego kopniaka. Mężczyźni! Udają niewiniątka chwywane w potrzask przez cyniczne wampy. Ha!

Użył siły. Musiała przyznać, że siła była mu potrzebna tylko przez ułamek sekundy, ale fakt pozostaje faktem. No tak, potem już nie musiał...

To ją najbardziej złościło. Fakt, że stopniała nagle jak jakaś słaba kobietka, bohaterka dziewiętnastowiecznego romansu. Ona też go całowała. Jak to się mówi? Lubieżnie. Wystarczył jeden pocałunek, by do niego przylgnęła. Za to też mu odpłaci.

Najlepiej pięknym za nadobne, uznała. Jeśli pozostanie w pokoju, on sobie pomyśli, że wywarł na niej wrażenie. Musi się więc zająć swymi sprawami, zachowywać chłodno i obojętnie.

Gdy zeszła, nadal tkwił w kuchni. Sunny włączyła radio niemal na pełny regulator. Dorzuciła drewna do ognia i rozsiadła się z książkami na sofie. Dopiero po godzinie Jacob wyłonił się z kuchni i poszedł na górę. Udała, że nie zwraca na niego uwagi.

Bardziej z nudów niż z głodu poszła do kuchni i zrobiła sobie wielką kanapkę. W innych okolicznościach zaproponowałaby też jedzenie gościowi. Myśl, że Jacob może być głodny, sprawiła jednak, że kanapka smakowała jej jak nigdy.

Zadowolona, ubrała się, żeby wyjść na dwór i napełnić karmnik dla ptaków. Ta krótka wyprawa uświadomiła jej, że będzie musiała znosić niechciane towarzystwo jeszcze przez co najmniej kilka dni. Śnieg padał dużymi płatami, zasypywał niemal natychmiast jej ślady. Wiał też dość silny wiatr.

W śniegu sięgającym krawędzi wysokich butów dobrnęła z powrotem do szopy i schowała torbę z pokarmem. Potem stała przez chwilę na wietrze. Czuła wiatr, widziała wirującą biel płatków. Wspaniałe uczucie.

Rozdrażnienie minęło, mroczne myśli ją opuściły. Osłaniając policzki przed wiatrem, poczuła radosne podniecenie i spokój, jakiego rzadko doświadczała w innych miejscach.

Choć nigdy nie mieszkała w górach długo, choć wołała miasto, tylko tutaj mogła nasycić się ciszą. Tylko tutaj umiała czerpać siły z potęgi przyrody. Zwłaszcza podczas burzy czy zademki czuła moc natury.

W mieście śnieg szybko topnieje albo zostaje wywieziony. Góry są jednak cierpliwe. Mogą czekać na słońce i wiosnę. Czują owiewający ją wiatr, chciałyby zawsze czuć się taka wolna i lekka.

Jacob, obserwował ją przez okno. Stała otoczona wirującym śniegiem, jak jakaś zimowa bogini. Bez czapki, w rozpiętej kurtce, pozostawała nieruchoma, pozwalając, by śnieg pokrywał jej włosy. Uśmiechała się. Mróz zaróżowił jej policzki. Wydawała się teraz nie tylko piękna, ale też niedostępna i niewyciężona.

Pragnął jej bardziej niż wtedy, gdy trzymał ją w ramionach.

Potem uniosła wzrok, jakby wyczuła, że on na nią patrzy. Ich spojrzenia się spotkały. Zacisnął ręce w pięści. Przestała się uśmiechać.

Wiedział, że gdyby mógł jej teraz dosięgnąć, posiadłby ją, bez względu na konsekwencje. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zlały się w jedno. Zobaczył swe przeznaczenie.

Poruszyła się, Strząsnęła śnieg z głowy i czar prysł. Jacob powiedział sobie, że to tylko kobieta, głupia kobieta, która bez sensu stoi i marznie.

Gdy wróciła do domu, Jacob odczekał dłuższą chwilę, zanim zszedł na dół.

Spała na sofie, książki piętrzyły się koło niej i na podłodze. Radio grało głośno, na kominku migotał płomień.

Teraz nie wygląda na niewyciężoną, uznał. Teraz jest w niej jakiś wszechogarniający spokój. Jacob patrzył na długie rzęsy, piękne usta, lśniące w świetle ognia włosy.

To tylko cechy fizyczne, pomyślał. W jego czasach można je było zmieniać łatwo i bez ryzyka. Oczywiście, uroda czyni życie przyjemniejszym, ale to tylko powierzchowność. Mimo wszystko długo się jej przyglądał.

Sunny obudziła się, gdyż muzyka nagle ucichła. Zdezorientowana i zirytowana, jak zawsze po przebudzeniu, patrzyła na ciemny pokój. Ogień przygasł, zarzyły się tylko węgle. Gdy spała, musiała zapaść noc. No i wysiąść elektryczność.

Z westchnieniem wstała i ruszyła na poszukiwanie zapalek. Potem, już z zapalkami i świecą w ręku, odwróciła się i wpadła na Jacoba.

Gdy pisnęła, uniósł ręce.

- To tylko ja.

- Wiem, że to ty - warknęła, zła na siebie, że okazała strach. - Co tu robisz?

Widziała go na tle dogasającego kominka.

- Co z tym światłem? - - zapytał.

Pokonał chęć wsunięcia dłoni pod rękawy jej swetra, pogłaskania rąk.

- To z powodu burzy śnieżnej.

- Mam naprawić?

Zaśmiała się, trochę niespokojnie. Chciałaby uwierzyć, że denerwuje się z powodu ciemności, tej jednak nigdy się nie obawiała.

- To trochę bardziej skomplikowane niż toster. Gdy droga stanie się przejezdna, przyślą kogoś z elektrowni.

Wiedział, że coś by zaradził, ale brak światła mu nie przeszkadzał.

- W porządku.

Tak, w porządku, pomyślała, ale na razie jesteście tu sami. Ten facet jest być może niepoczytalny, a ja czuję do niego pociąg. Przestań się zamartwiać, napomniała się.

- Mamy dużo świec. - Żeby tego dowieść, zapaliła tę, którą trzymała w ręku. Światło dodało jej pewności siebie. - I dużo drewna. Wrzucić może parę polan do kominka, a ja przyniosę więcej świec.

Widział płomyk odbijający się w jej oczach. Jest zdenerwowana, stwierdził. Modlił się, żeby w tym stanie nie podziałała na niego jeszcze bardziej uwodzicielsko.

- Dobrze.

Sunny zapaliła w salonie wszystkie świece, które udało się jej znaleźć. Zbyt późno zorientowała się, że niektóre były ozdobne. Dawały niewiele światła, lecz stwarzały bardzo romantyczny nastrój. Włożyła zapalki do kieszeni i przypomniała sobie, że coś takiego jak nastrój na nią nie działa.

- Nie wiesz, która godzina? - zapytała.

- Koło szóstej.

Usiadła na poręczy sofy, bliżej paleniska.

Spałam dłużej, niż myślałam. - Postanowiła ignorować fakt, że sytuacja komplikowała się z godziny na godzinę. - Dobrze się bawiłeś po południu?

- Naprawiłem kran.

Okazało się to trudniejsze i zajęło mu więcej czasu, niż się spodziewał, ale w końcu się udało.

- Jesteś prawdziwym majsterklepką, prawda? - Ponieważ zabrzmiało to ironicznie, uśmiechnęła się, żeby złagodzić wrażenie. Naprawdę byli teraz na siebie skazani i kłótnie mogły poczekać. - Zrobię kanapki. Chcesz piwa?

Wstała, zadowolona, że będzie się miała czym zająć.

- Tak, poproszę.

Sunny zabrała do kuchni dwie świece. Niemal się uspokoiła, gdy nagle zorientowała się, że Jacob idzie w ślad za nią.

- Poradzę sobie sama - oświadczyła. Otworzyła lodówkę, w której oczywiście również panowała ciemność. Po chwili podała Jacobowi dwie butelki piwa.

Przypomniał sobie, co Sunny zrobiła rano z podobnymi butelkami. Znalazł potrzebne narzędzie i otworzył je.

- Włącz radio, dobrze?

- Co?

- Radio - powtórzyła - na parapecie. Może złapiemy prognozę pogody.

Znalazł małą plastikową skrzynkę, dostrzegł guzik, nacisnął. Rozległ się szum.

- Złap coś.

Rozważał właśnie, czy nie pożyczyć, tak, to dobre słowo, pożyczyć tego urządzenia i nie zabrać go do domu.

- Co mam złapać?

- No wiesz, jakąś stację.

Upewnił się, że Sunny stoi do niego plecami i na wszelki wypadek potrząsnął urządzeniem. Wydało się mu to głupie, zaczął więc poruszać różnymi pokrętłami. Szum na przemian wzmagał się i ustawał.

- Z musztardą czy majonezem?

- Co?

- Twoja kanapka - wyjaśniła, modląc się o cierpliwość. - Chcesz musztardę czy majonez?

- Nieważne, to co ty.

Natrafił na jakąś stację z ledwo słyszalną muzyką. Jak ludzie mogli się posługiwać tak zawodnym sprzętem? - - zastanawiał się. W domu miał przenośne urządzenie, które podawało informacje o pogodzie w Paryżu, wynikach meczu w Nowym Jorku i o korkach na Marsie, jednocześnie parząc kawę. Natomiast ten antyczny przedmiot wydawał odgłos, jakby ktoś grał na banjo w tunelu aerodynamicznym.

- Może ja spróbuję. - Sunny odłożyła kanapkę i wyrwała mu radio. Po jej manipulacjach zaczęły z niego dobiegać przerywane dźwięki muzyki. - Jest kapryśne - wyjaśniła.

- To przecież martwe urządzenie - zdziwił się.

- Ale kapryśne. - Odstawiła odbiornik, przyniosła i postawiła na stole kanapkę i piwo.

- Właściwie nie potrzebujemy komunikatu o pogodzie. Sama widzę, że pada śnieg.

Jacob wziął jedną z frytek, których stos leżał koło jego kanapki.

- Ale nie wiemy, kiedy przestanie - zauważył.

- Oni też nie wiedzą. Nieważne, że mają sprzęt satelitarny. I tak tylko zgadują.

Chciał się sprzeciwić, lecz uznał, że to nie ma sensu.

- Czy to cię niepokoi? - zapytał.

- Co?

- Że jesteśmy, jak to powiedzieć, odcięci?

- Nie bardzo, o ile nie potrwa to dłużej niż dzień czy dwa. Dopiero potem zacznę wariować. - Zastanowiła się, czy użyła właściwych słów. - A ciebie?

- Nie lubię zamknięcia - odpowiedział po prostu. Uśmiechnął się, słysząc, że Sunny stuka piętą w podłogę. Znów ją zdenerwował. Spróbował ostrożnie piwa.

- To jest dobre - pochwalił.

Spojrzał na radio, gdy muzyka ucichła i rozległ się miły głos spikerki zapowiadającej pogodę. Dopiero po dłuższej chwili zaczęła mówić o górach.

- A wy, w górach w regionie Klamath, powinniście się do siebie przytulić. Mam nadzieję, że macie do kogo. Te białe płatki będą padały z nieba jeszcze przez całą jutrzejszą noc. Spodziewajcie się ponad półmetrowej pokrywy śnieżnej i wichury dochodzącej do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Brr! Temperatura spadnie w nocy do minus dziesięciu stopni. Opatulcie się dzieciaki i niech miłość was rozgrzewa!

- Nie za bardzo naukowe - mruknął Jacob. Sunny prychnęła zniecierpliwiona i spojrzała ponuro na radioodbiornik.

- Nieważne, jak to mówią, oznacza to samo. Lepiej przyniosę więcej drewna.

- Ja to zrobię.

- Nie potrzebuję...

- Ty przygotowałaś kanapki - zauważył i pociągnął łyk piwa. - Przyniosę drewno, gdy zjemy.

- Niech będzie. - Nie chciała od niego żadnej pomocy. Przez chwilę jadła w ciszy, potem spojrzała na gościa.

- Lepiej byś zrobił, gdybyś poczekał na wiosnę.

- Z czym?

- Z odwiedzeniem Cala.

Zjadł kolejny kęs kanapki. Nie wiedział, co to jest, ale smakowało wspaniale.

- Pewnie tak. Właściwie miałem przyjechać... wcześniej. Prawie rok wcześniej, ale nie wyszło.

- Szkoda, że rodzice nie mogli się z tobą zabrać. Zobaczyła w jego oczach... Smutek? Gniew? Nie wiedziała.

- To nie było możliwe. Nie potrafiła tego pojąć.

- Moi rodzice nie mogliby tak długo nie spotkać się z Libby czy ze mną.

Potępienie, które usłyszała w jej głosie, rozdrażniło go.

- Nie masz pojęcia, jak decyzja Cala wpłynęła na moją rodzinę.

- Przykro mi. - Wzruszyła jednak ramionami, by pokazać, że wcale nie jest jej przykro. - Po prostu myślałam, że skoro tak chcą go zobaczyć, mogliby się zdobyć na ten niewielki wysiłek.

- To był nie tyle ich wybór, co decyzja Cala. - Wstał. - Przyniosę trochę drewna.

Jaki obraźliwy, pomyślała, gdy ruszył w kierunku drzwi.

- Poczekaj.

Odwrócił się, gotów do kłótni.

- O co chodzi?

- Nie możesz wyjść bez kurtki. Jest mróz.

- Nie wziąłem ze sobą kurtki.

- Czy wszyscy naukowcy są tacy bezmyślni? - mruknęła, idąc w kierunku szafy. - Jak można być takim głupcem, żeby w styczniu wyjechać w góry bez ciepłego ubrania.

Jacob wciągnął powoli powietrze i odpowiedział spokojnie:

- Jeśli będziesz mnie nadal nazywać głupcem, uderzę cię.

- Ojej, trzęsę się ze strachu. Masz. - Rzuciła w jego kierunku starą, zieloną kurtkę. - Włóż to. Ostatnie, czego mi potrzeba, to leczyć twoje odmrożenia. - Po chwili namysłu dorzuciła rękawiczki i czarną wełnianą czapkę. - Macie chyba zimy w Filadelfii, prawda?

Zacisnął zęby i założył kurtkę.

- Kiedy wyjeżdżałem, nie było zimno. Naciągnął czapkę na uszy.

- Pewnie, to wszystko wyjaśnia.

Roześmiała się, gdy z hukiem zatrzasnął za sobą drzwi. Nie jest tak naprawdę wariatem, pomyślała. Ma trochę przytępiony umysł, no i tak zabawnie się złości. Jeśli jeszcze bardziej wyprowadzę go z równowagi, uznała, może bezwiednie zdradzi coś więcej na swój temat.

Usłyszała, że Jacob klnie i roześmiała się głośno. Sądząc z odgłosu, musiał upuścić sobie na stopę jakąś cięższą kłodę. Może powinna mu dać latarkę? - Nie, zasłużył na karę.

Powstrzymała uśmiech i otworzyła Jacobowi drzwi. Śnieg zdążył go pokryć dość grubą warstwą. Przykleił się do brwi, co nadawało twarzy wyraz komicznego zdziwienia.

Przygryzła wargę, próbując zachować powagę. Jacob przeszedł obok niej z naręczem drewna. Gdy usłyszała, że wrzucił je do skrzynki w salonie, wzięła obie butelki piwa i dołączyła do niego.

- Ja przyniosę następną porcję - zaproponowała z troską w głosie.

- No pewnie - zgodził się skwapliwie. Bolała go stopa, miał zdrętwiałe palce i zupełnie stracił animusz. - Jak można tak żyć? - zapytał retorycznie.

- Jak? - zapytała niewinnie.

- To znaczy tutaj. - Był na granicy utraty panowania nad sobą. Wyrzucił ramiona gestem, jakby obejmował nie tylko domek, lecz w ogóle cały świat. - Nie ma prądu, nie ma żadnych udogodnień, porządnych środków transportu, niczego nie ma. Chcesz ciepła, musisz spalać drewno. Drewno, na Boga! Chcesz światła, wysiada elektryczność. A komunikacja? To już jakiś żart, i to kiepski.

Sunny lubiła życie w mieście, jednak drażniło ją, że Jacob wyrażał się tak obraźliwie o jej rodzinnym domu. Uniosła głowę.

- Posłuchaj, koleś, gdybym cię nie przygarnęła, zamieniłbyś się w lesie w sopel lodu. Znaleźliby cię po roztopach. Pamiętaj o tym.

Przewrażliwiona, uznał.

- Ale chyba nie powiesz, że naprawdę lubisz tu mieszkać.

Wzięła się pod boki.

- Ja tak. Jeśli tobie się nie podoba, tam są jedne drzwi, a tam drugie.

Niewielka w gruncie rzeczy wyprawa po drewno przekonała go, że zmaganie się z siłami natury nie stanie się jego ulubionym zajęciem. Po chwili milczenia wziął swoje piwo, usiadł i napił się.

Ponieważ Sunny uznała tę rundę za wygraną, również usiadła. Nie zamierzała jednak dać przeciwnikowi chwili wytchnienia.

- Wymagający jesteś, jak na faceta, który przyjechał nawet bez szczoteczki do zębów.

- Przepraszam?

- Powiedziałam, że jesteś...

- Skąd wiesz, że nie mam szczoteczki?

Czytał o tych przedmiotach. Patrzył na Sunny z nienawiścią.

- Tak się tylko mówi - wyjaśniła, znajdując zręczną wymówkę. - Po prostu mnie dziwi, że facet podróżujący tylko z jednym ubraniem na zmianę będzie taki wybredny. Przywykłeś do luksusu?

- Skąd wiesz, co mam? Grzebałaś w moich rzeczach, prawda?

- Nie masz żadnych rzeczy - odparła, zdając sobie sprawę, że znów za dużo powiedziała. Chciała wstać, lecz przytrzymał ją za ramię. Odwróciła się do niego, decydując się na spokojne spojrzenie, które wydawało się najlepszą obroną. - Zajrzałam tylko do twojej torby, żeby się przekonać... Skąd mogłam wiedzieć, że jesteś tym, za kogo się podajesz, a nie jakimś maniakiem?

Nie puszczał jej ramienia.

- A teraz już wiesz? - Dostrzegł w jej oczach jakiś błysk, postanowił więc się upewnić. - Przecież w mojej torbie nie znalazłaś niczego, co pomogłoby ci rozstrzygnąć taką wątpliwość, prawda?

- Może i nie.

Próbowała uwolnić ramię. Nie udało się, zacisnęła więc pięść i czekała na rozwój wypadków.

- A zatem według ciebie mogę być maniakiem. - Nachylił się, tak blisko, że czuła jego oddech. - Są różnego rodzaju maniacy, prawda, Sunny?

- Tak.

Wypowiedziała to słowo z trudem. Nie ze strachu. Chciałaby, żeby to był strach. Chodziło o coś znacznie bardziej skomplikowanego, bardziej niebezpiecznego. Przez chwilę, słysząc, jak wiatr uderza w okna i napawając się ciepłem ognia, przestała dbać o to, kim on jest. Liczyło się, że mógł ją pocałować. Nie tylko pocałować.

Widziała to w jego oczach. Opanowała ją myśl, że mogliby stoczyć się razem na podłogę. Spleceni ze sobą, wyzwoleni, w wybuchu żarliwej namiętności. Z nim tak by właśnie było. Za pierwszym razem i za każdym następnym. Rwąca rzeki, trzęsąca się ziemia, eksplodujące gwiazdy.

Poza tym, po pierwszym razie nie miałyby już odwrotu. Była pewna, że nigdy nie nasyciłaby się Jacobem, że pożałowałyby go, dopóki starczyłoby jej tchu w piersiach.

Dotknął wargami jej ust. Trudno to było nazwać pocałunkiem, lecz już sama zapowiedź podziałała jak porażenie prądem. W jej głowie rozdzwoniły się alarmowe dzwonki. Zrobiła zatem jedyną rzecz, jaką każda rozsądna kobieta zrobiłaby na jej miejscu. Zaciśniętą pięścią walnęła Jacoba w żołądek.

Syk wypuszczanego powietrza, wyraz bolesnego zdziwienia na twarzy. Gdy Jacob zgiął się wpół, niemal padając na jej łono, wyslizgnęła się z uchwytu i zerwała na nogi. Przybrała pozycję obronną.

- To ty jesteś maniaczką - udało się mu wykrztusić. - Nigdy nie spotkałem kogoś równie szalonego. Nigdy!

- Dziękuję. - Opuściła ręce. - Zasłużyłeś sobie na to, J.T. - Stała w miejscu, gdy powoli uniósł głowę i posłał jej długie, mordercze spojrzenie. - Próbowałeś mnie zastraszyć.

Musiał w duchu przyznać, że jakoś tak wyszło. Ale przecież gdy się nad nią pochylił, gdy poczuł zapach jej włosów, poczuł słodycz jej warg, diametralnie zmienił zamiary.

- Nietrudno przestać cię lubić - zauważył po chwili milczenia.

- Chyba masz rację. - Ponieważ zachował się lepiej, niż oczekiwała, uśmiechnęła się do niego. - Powiem ci coś, wiesz, ponieważ jesteśmy w pewnym sensie rodziną... A tak przy okazji, wierzę ci. To znaczy, że jesteś bratem Cala.

- Dziękuję. - Udało się mu w końcu wyprostować. - Ogromnie dziękuję.

- Nie ma za co. Jak więc mówię, jako w pewnym sensie rodzina, moglibyśmy zawrzeć porozumienie o zawieszeniu broni. Jeśli ta pogoda się utrzyma, spędzimy tu razem co najmniej kilka dni.

- Kto teraz chce kogo zastraszyć?

Roześmiała się i postanowiła zachowywać się bardziej przyjacielsko.

- Wykładam karty na stół. Jeśli będziemy się bić, tylko dorobimy się siniaków. Chyba nie warto.

Musiał się zastanowić.

- Nie miałbym nic przeciwko małej bitwie.

- Twardy z ciebie orzech do zgryzienia, J.T. Ponieważ nie bardzo wiedział, co to znaczy, zachował milczenie.

- Nadal jestem za zawieszeniem broni - kontynuowała - przynajmniej dopóki pada śnieg. Nie uderzę cię, a ty nie będziesz próbował mnie pocałować. Zgoda?

Podobała się mu ta część proponowanej umowy, w której Sunny zobowiązywała się, że go więcej nie uderzy. Poza tym i tak już przecież postanowił, że nie będzie próbował jej całować. Po co próbować, skoro można to po prostu zrobić. W dowolnej chwili. Skinął głową.

- Zgoda.

- Doskonale. Uczymy to kolejnym piwem i prażoną kukurydzą. W kuchni jest specjalna patelnia z długą rączką. Uprażymy kukurydzę nad ogniem.

- Sunny. - Zatrzymała się w drzwiach, ze świecą w ręku. W jej migotliwym świetle wyglądała wspaniale. - Nadal nie jestem pewien, czy cię lubię.

- W porządku. - Uśmiechnęła się. - Ja także nie jestem pewna, czy cię lubię.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ona określiłaby tę czynność jako uspokajającą, on jako męczącą. Dostrzegał jednak jakiś dziwny urok w prażeniu kukurydzy nad otwartym ogniem.

Ma w tym wprawę, myślał, obserwując, jak Sunny potrząsa nad płomieniami przykrytą patelnią. Już sam zapach był wspaniały. Potem Jacob z uśmiechem słuchał, jak ziarna pękają z suchym trzaskiem i uderzają o pokrywkę.

- Zawsze robiliśmy popcorn w taki sposób - wyjaśniła, wpatrując się w ogień. - Nawet w lecie, kiedy jest upał. Mama i tata rozpalali ogień, a my klóciłyśmy się o to, która z nas będzie trzymała patelnię.

- Byliście tu szczęśliwi - zauważył.

- Jasne, ale potem odkryłam świat. Co sądzisz o świecie, J.T.?

- O którym? Roześmiała się.

- No tak, zapomniałam, czym się zajmujesz. Pewnie często bujasz myślami w kosmosie.

- Owszem.

Siedziała po turecku na podłodze, ogień rozjaśniał jej włosy i twarz. Twarz o regularnych rysach wyrażała w tej chwili całkowity spokój. Z pewnością Sunny traktowała zawieszenie broni poważnie. Mówiła, co przychodziło jej na myśl, jak w obecności starego przyjaciela.

Popijał piwo i słuchał, choć filmy i utwory muzyczne, które wymieniała, były mu w większości obce. Tak samo jak książki. Niektóre tytuły z czymś mu się kojarzyły, nie poświęcał jednak wiele czasu na lekturę powieści. Mimo swych studiów nad dwudziestym wiekiem nie mógł się poruszać swobodnie w dziedzinach, które Sunny najwidoczniej dobrze znała.

- Nie lubisz filmów? - zapytała w końcu.

- Tego nie powiedziałem.

- Nie wybrałeś się na żaden z tych, na które ludzie w ostatnim roku walili drzwiami i oknami.

- Po prostu pracowałem w laboratorium i nie miałem na to czasu.

Poczuła do rozmówcy trochę sympatii. Nie miała nic przeciwko ciężkiej pracy, lecz lubiła część czasu poświęcać na rozrywki.

- Nie dają ci nigdy wolnego? - zapytała.

- Kto?

- Ludzie, dla których pracujesz.

Przez ostatnie pięć lat nie pracował dla nikogo. To on zatrudniał innych.

- Nie o to chodzi - odparł. - Ja sam miałem obsesję na punkcie przedsięwzięcia, którym się zajmowałem.

- Jakiego?

Zastanawiał się przez chwilę, aż wreszcie uznał, że prawda nie może w tych okolicznościach zaszkodzić. Chciał zresztą zobaczyć jej reakcję.

- Podróż w czasie - odpowiedział. Roześmiała się, lecz potem dostrzegła jego poważną minę.

- Nie żartujesz - stwierdziła.

- Nie. - Spojrzał na patelnię. - Chyba się przypala.

- Och! - Szybko wyciągnęła patelnię z ognia i postawiła na podmurówce kominka. - Chodzi o prawdziwą podróż w czasie? - Jak u H.G. Wellsa?

- Niezupełnie. - Wyciągnął nogi, tak że poczuł ciepło na podeszwach stóp. - Mówiąc najprościej, czas i przestrzeń są względne. Chodzi tylko o opracowanie odpowiednich wzorów i zastosowanie ich.

- Jasne, E równa się mc kwadrat, ale podróże w czasie? - Jak pan Peabody i Sherman we „Wsteczniaku”?

- Kto?

- Nie byłeś dzieckiem? To komiks, nie znasz go? Ten pies naukowiec...

Uniósł dłoń, spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Pies był naukowcem?

- W komiksie - wyjaśniała cierpliwie. - Występował też tam chłopiec, Sherman. Nie patrz tak na mnie. Po prostu ustawiali daty w takiej wielkiej maszynie.

- We „Wsteczniaku”?

- Właśnie. Wtedy mogli podróżować w przeszłość, na przykład do Rzymu czasów Nerona albo do Brytanii władanej przez króla Artura.

- Fascynujące.

- Tylko zabawne. To komiks, J.T., w rzeczywistości czegoś takiego nie ma.

Uśmiechnął się enigmatycznie.

- Wierzysz tylko w to, co widzisz?

- Nie. - Ze zmarszczonymi brwiami podnosiła pogrzebaczem pokrywkę. - Myślę, że nie. - Roześmiała się. - A może i tak. Jestem realistką. Ktoś taki jest w naszej rodzinie naprawdę potrzebny.

- Nawet realista powinien się godzić z tym, że wyobrażenia pomagają naukowcom.

- Chyba tak. - Zjadła trochę kukurydzy i postanowiła przejść do sedna. - W porządku, założmy, że mamy taką maszynę. Dokąd chciałbyś się przenieść?

Spojrzał na nią. W jej oczach pozostały iskierki śmiechu.

- Sam nie wiem. A ty?

- Muszę się zastanowić. Libby miałyby chyba wiele takich życzeń. Aztekowie, Inkowie, Majowie. Tata wybrałby chyba Tombstone albo Dodge City. A mama... no cóż, chyba pojechałaby z ojcem, żeby mieć na niego oko.

- Pytałem o ciebie.

- Ja wolałabym przyszłość. Zobaczyć, co będzie kiedyś.

Milczał, wpatrywał się w ogień.

- Sto, może dwieście lat od bieżącej chwili - kontynuowała. - W końcu przeszłość można dość dobrze poznać z książek historycznych. A przyszłość... Chyba chciałabym sprawdzić, jak będzie kiedyś wyglądał nasz świat. - Ta myśl sprawiła, że znów się zaśmiała. - Czy naprawdę płacą ci za pracę nad czymś takim? To znaczy, czy nie powinno się najpierw rozwiązać uciążliwych problemów współczesności? Na przykład, jak usprawnić ruch w godzinach szczytu?

- Sam sobie wybieram przedmiot zainteresowania.

- Fajnie. - Rozluźniła się już zupełnie, towarzystwo Jacoba sprawiało jej przyjemność.

- Wygląda na to, że większość czasu poświęcam na sprawdzanie, co chciałabym robić. Jako pracownik jestem do kitu - przyznała z westchnieniem. - Nie lubię regulaminów i zwierzchników, no i jestem dość klótliva.

- Naprawdę?

Nie zwróciła uwagi na jego szeroki uśmiech.

- Naprawdę. Ale najczęściej to ja mam rację, tylko że z drugiej strony nie umiem przyznać się do pomyłki. Chciałabym postępować bardziej... elastycznie.

- Dlaczego? Na świecie jest wystarczająco dużo tego typu ludzi.

- Może im właśnie jest w życiu lepiej - zauważyła.

- Niekiedy warto pójść na kompromis. Ty też nie lubisz się mylić - zauważyła.

- Po prostu zawsze się upewniam, że mam rację. Roześmiała się i wyciągnęła na dywan.

- Chyba zaczynam cię lubić. Wiesz, powinniśmy podtrzymywać ogień przez całą noc, żeby nie zamarznąć. Możemy to robić na zmianę. - Ziewnęła i oparła głowę na rękach. - Obudź mnie za dwie godziny, przejmę wartę.

Gdy miał już pewność, że Sunny śpi, przykrył ją kolorowym kocem i poszedł na górę. W ciągu pięciu minut podłączył swój minikomputer, który nie miał banków pamięci, do stojącego na biurku peceta. W ten sposób mógł przekazać na statek sprawozdanie i uzyskać odpowiedzi na kilka pytań.

- Komputer, włącz się. Spokojny głos odpowiedział:

- Włączam się.

- Sprawozdanie, Hornblower Jacob. Dwudziestego stycznia. Burza śnieżna zmusza mnie do pozostania w domku. Dopływ elektryczności do budowli został przerwany, co nie jest w tej epoce niczym niezwykłym. Najwidoczniej energia elektryczna jest przekazywana nadziemną linią, łatwo ulegającą uszkodzeniu podczas burzy. Około 18:00 prąd został odcięty. Przybliżony czas naprawy?

- Pracuję... Brak pełnych danych.

- Tego się obawiałem. - Przerwał na chwilę, żeby się zastanowić. - Sunbeam Stone ma zapasy. Świece, woskowe świece, używa ich do oświetlenia. Do ogrzewania służy drewno. Jest to oczywiście niewystarczające, powoduje ogrzanie tylko niewielkiego obszaru. Jest to jednak... - szukał właściwego słowa - przyjemne. Stwarza jakiś miły nastrój, - Zniecierpliwiony, zmienił ton. Nie chciał myśleć o tym, w jaki sposób Sunny patrzyła na płomienie. - Jak już wspomniałem, Stone jest trudną i agresywną osobą rodzaju żeńskiego, łatwo wpada w gniew. Bywa też rozbijającą hojną, sporadycznie przyjazną i... - powstrzymał się przed wypowiedzeniem słów „godna pożądaną” - intrygująca. Niezbędne są dalsze studia. Nie uważam jednak, by była typową kobietą swoich czasów. - Urwał, stuknął palcami w blat biurka. - Komputer, jakie są w tej epoce typowe postawy kobiet, jeśli chodzi o dobieranie się w pary?

- Pracuję.

Gdy tylko Jacob zadał to pytanie, chciał powiedzieć „wyłącz się”. Komputer okazał się jednak szybszy.

- Najczęściej potrzebne jest fizyczne przyciąganie. Związek emocjonalny jest preferowany przez 97,6 procent kobiet. Krótkie spotkania, zwane często przygodą na jedną noc, w tych latach dwudziestego wieku wyszły już z mody. Podmiot preferuje zaangażowanie ze strony partnera seksualnego. Romansowanie jest szeroko akceptowane i pożądane.

- Zdefiniuj romansowanie.

- Pracuję... Oddziaływanie na drugą osobę poprzez okazywanie jej zainteresowania, obdarzanie jej pochlebstwami i podarunkami. Również synonimiczne z miłością, miłosną przygodą, ze związkiem mężczyzny i kobiety. Typowe rekwizyty: atmosfera stwarzana przyciemnionym światłem, cicha muzyka, kwiaty. Przyjęte romantyczne gesty obejmują...

- Wystarczy.

Jacob potarł rękoma twarz. Zastanawiał się, czy nie zwariował. Po co traci czas na zadawanie tak nienaukowych pytań?

Teraz miał tylko dwa cele. Pierwszy i najważniejszy to odnalezienie brata. Drugi - zgromadzenie możliwie najwięcej informacji o tej epoce. Sunny Stone to część gromadzonych danych. Nie powinna się stać niczym innym.

Pragnął jej jednak, coraz mocniej. Niezbyt naukowe, ale niewątpliwie rzeczywiste uczucie. Również nielogiczne. Jak można pragnąć tak nieznośnej i denerwującej kobiety? W dodatku nie mieli ze sobą wiele wspólnego. Dzieliły ich stulecia. Jej świat, choć interesujący poznawczo, był przygnębiający.

Powinien wrócić na statek, zaprogramować komputery i wrócić. Gdyby nie Cal, tak właśnie by postąpił. Chciał w każdym razie myśleć, że wyłącznie Cal powstrzymuje go od powrotu.

Wyłączył oba komputery. Gdy wrócił na dół, Sunny nadal spała. Starając się nie hałasować, dorzucił do ognia trochę drewna. Potem usiadł na podłodze.

Mijały godziny, lecz nie budził Sunny. Był przyzwyczajony do obywania się bez snu. Przez ponad rok pracował przeciętnie przez osiemnaście godzin na dobę. Im bardziej zbliżał się do rozwiązania problemu podróży w czasie, tym więcej pracował. Udało się, pomyślał, patrząc na migoczący ogień. W końcu tu jestem, tyle że mimo starannych obliczeń spóźniłem się o kilka miesięcy.

Cal zdążył się ożenić. Jeśli wierzyć Sunny, jest szczęśliwy. Muszę mu w jakiś sposób przemówić do rozumu, pomyślał. Tak czy inaczej, jedno jest pewne. Człowiek należy do swej epoki. Są pewne zasady rządzące wszechświatem. Jeśli się je ignoruje, skutki mogą być opłakane.

Zabierze więc brata tam, gdzie obaj przynależą. Cal zapomni wkrótce o kobiecie imieniem Libby. Tak jak Jacob zdecydował się zapomnieć o Sunbeam Stone.

Poruszyła się, cicho westchnęła. Obserwował ją uważnie.

Zamrugnęła. Zamglone snem oczy wydawały się ogromne i ciemne. Nie widziała go, tylko ogień. Powoli wyprostowała długie, szczupłe ciało.

Jacob poczuł, że ma sucho w ustach. Że serce zabiło mu szybciej. Brakło mu sił, by nad tym zapanować. Była porażająco piękna. Mógł tylko siedzieć bez ruchu, próbując wziąć się w garść.

Cicho mruknęła. Niemal podskoczył. Przewróciła się na plecy, podkładając ręce pod głowę. Po raz pierwszy w życiu poczuł bezwzględny przymus wypicia czegoś mocniejszego.

W końcu przekreśliła głowę i zobaczyła go.

- Dlaczego mnie nie obudziłeś? - zapytała.

Jej niski, gardłowy głos sprawił, że krew odpłynęła mu z twarzy.

- Ja... nie byłem zmęczony - wykrztusił.

- Nie o to chodzi. - Usiadła. - Jesteśmy tu razem i powinniśmy...

Nie myślał. Później, gdy miał czas na zastanowienie się, uznał, że to był odruch. Tak jak przełknięcie wody spływającej do gardła. To nie było umyślne. Z pewnością nie było też mądre.

Przyciągnął ją do siebie. Wrywała się, zdziwienie i gniew dodawały jej sił. On jednak tylko wzmocnił uścisk. Nie miał wyboru. Wiedział, że musi to zrobić.

Starła się skupić na gniewie, jedynym sensownym uczuciu spośród tysiąca, które nią zawładnęły. Czuła jednak przede wszystkim rozkosz, pożądanie. Czuła, że nad sobą nie panuje. Chciała zaprotestować, jednak tylko jęknęła. Wczepiła się palcami w jego włosy. Jednym szybkim ruchem wciągnął ją na sofę.

Miał urywany oddech, tak samo jak ona. Jedno polano zsunęło się ze stosu, wzniecając deszcz iskier. Wiatr wtłoczył do pokoju kłęb dymu. Usłyszała jednak tylko jęk Jacoba.

Czy tego właśnie szukała? Podniecenia i wyzwania? Poddawała się temu, dała się ponieść.

Jej smak rozpalał go do białości. Nie wystarczał. Im więcej Jacob próbował, tym więcej chciał. Odchylił jej głowę, wodził ustami po szyi, którą tak często podziwiał. To również nie wystarczało.

Z łatwością wsunął ręce pod obszerny, czerwony sweter. Poczuł skórę delikatną jak płatki róży, gładką jak jedwab. Dłoń zamknięta na jej piersi drżała.

Jeszcze raz poszukał ustami jej ust.

To było jak osuwanie się w sen. Nie miękki, zamglony, lecz pełen kolorów i dźwięków. Zagłębiał się w tym śnie coraz bardziej. Jej ręce szukały go, wsunęły się pod jego sweter.

Gdy ją całował, zamknęła oczy. Jej serce, zawsze tak silne i mężne, poddało się.

Miłość zalała ją, olśniła jak nagłe odkrycie. Osłabła. Ręce przesuwwały się bezradnie wzdłuż jego ramion.

Bezradnie.

Może właśnie tego się przestraszyła. Może dlatego zeszywniała, starała się odsunąć, stawić opór. To nie mogła być miłość. To absurd.

- Jacob, przestań.

- Przestać?

Ugryzł ją w podbródek, niezbyt delikatnie.

- Tak, przestań.

Wyczuł zmianę w jej zachowaniu.

- Dlaczego?

- Bo ja...

W starannie wybranym momencie przejechał palcami wzdłuż jej kręgosłupa, drażniąc wrażliwe zakończenia nerwów. Widział, jak jej oczy zaszyły mgłą, jak odchyliła głowę.

- Pragnę cię, Sunny, a ty pragniesz mnie.

- Tak. - Co on jej zrobił? Jak to osiągnął? Wyciągnęła rękę i oparła na jego piersi, chcąc go odepchnąć. - Nie. Nie rób tego.

- Czego?

- Wszystko jedno. Tego, co robisz.

Drżała. Była bezradna. Jacob zaklął w duchu. Widząc jej bezbronność, musiał ustąpić.

- Dobrze.

Chwycił ją za biodra i posadził z powrotem na podłodze.

Przyciągnęła kolana do piersi. Czuła się jak zanurzona zniecka w wannie wypełnionej kostkami lodu.

- To nie powinno było się stać. A już na pewno nie tak szybko.

- Ale się stało - odparł. - Głupio by było udawać, że jest inaczej.

Wstał i dorzucił drewna do kominka. Niektóre świece już się dopaliły. Za oknem pojaśniało, nadchodził świt. Wiatr nadal zawodził.

Nie dostrzegała tego wszystkiego. W ramionach Jacoba zapomniała o całym świecie. Kiedyś przyrzekła sobie, że nigdy nie straci panowania nad sobą z powodu mężczyzny. Nie dotrzymała tej obietnicy.

- Dla ciebie to łatwe, prawda? - zapytała gorzko.

Spojrzał na nią. Nie, nie było mu łatwo. Powinno być, ale nie było.

- Dlaczego to ma być takie skomplikowane? Zadał pytanie bardziej sobie niż jej.

- Nie kocham się z obcymi.

Wstała. Pragnęła kawy i samotności. Poszła do kuchni, nasypała do kubka kawę rozpuszczalną i zalała ją zimną wodą.

Jacob przypomniał sobie informacje przekazane mu przez komputer. Fizycznego przyciągania z pewnością nie brakowało. No i, choć niechętnie to przyznawał, był zaangażowany emocjonalnie. Czegoś jednak brakowało. Zapewne w danej sytuacji Sunny zareagowała normalnie. Nieprzyjemna myśl, ale musiał się z tym pogodzić.

Nadal jednak jej pragnął. I zamierzał zdobyć. To logiczne. Żadnych więcej odruchów. Prawdopodobieństwo powodzenia wzrośnie, jeśli będzie postępował jak typowy mężczyzna z dwudziestego wieku.

Jacob głęboko odetchnął. Nie wiedział jeszcze dokładnie, jak to rozegrać, wiedział jednak, jaki powinien być pierwszy krok. Pewne wzory zachowań są niezienne, opierają się działaniu czasu, był tego pewien.

Gdy wszedł do kuchni, Sunny wyglądała przez okno. Patrzyła na padający śnieg.

- Sunny, przepraszam.

- Nie chcę twoich przeprosin.

Spojrzał na sufit, pomodlił się o cierpliwość.

- A czego chcesz?

- Niczego. - Stwierdziła ze zdumieniem, że jest na krawędzi płaczu. A przecież nigdy nie płakała.

Uważała, że to ponizająca oznaka słabości. Zamiast histeryzować, zawsze wołała na kogoś nawrzeszczeć. Teraz czuła, że pieką ją powieki. Musiała powstrzymać łzy. - Po prostu zapomnij o tym.

- O tym, co się wydarzyło, czy że mi się podobasz?

- O jednym i drugim. - Odwróciła się. Choć jej oczy były suche, jakoś dziwnie pojaśniały. Poczul się niepewnie. - To nie ma znaczenia.

- Z pewnością ma.

Jeśli będzie tak na niego patrzeć, dotknie jej. Broniąc się przed tym, włożył ręce do kieszeni.

- Może nasze kody się zmieszały.

- Nie... Chodzi ci o to, że jakoś na siebie działamy?

- Na to wygląda.

Zmęczona, przeciągnęła ręką po włosach.

- Wątpię. To tylko chwilowy kryzys.

- A jak zamierzasz mu zaradzić? Sama chciałaby wiedzieć.

- Posłuchaj, J.T., oboje jesteśmy dorośli. Wystarczy, że będziemy się stosownie do tego zachowywać.

- Myślałem, że właśnie tak się zachowaliśmy. - Spróbował się uśmiechnąć. - Przykro mi, że cię zmartwiłem.

- To nie tylko twoja wina. - Z wysiłkiem odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech. - Okoliczności. Jesteśmy tu sami, nie ma światła. Świece i ogień na kominku... - Wzruszyła ramionami i poczuła się godna pożałowania. - Każdy by się zapomniał.

- Skoro tak mówisz... - Postąpił krok naprzód, ona się cofnęła. - Ale podobasz mi się także bez tych świec.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

- Prześpij się trochę - zaproponowała. - Ja pójdę po drewno.

- Dobrze. Sunbeam? Odwróciła się niechętnie.

- Wspaniale jest cię całować. Bardzo wspaniale. Mruknęła coś, włożyła kurtkę i uciekła na dwór.

Dzień mijał wolno. Sunny żałowała, że nie spała dłużej, ale w gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Spała czy nie spała, on i tak był tutaj. A jego obecność nie dawała jej spokoju. Choć od czasu do czasu próbowała zagłębić się w książkach, świadomość tej obecności bez przerwy jej towarzyszyła.

Jacob czytał - żarłocznie, jak pomyślała Sunny. Pochłaniał książkę za książką. Siedzieli w saloniku, ruszając się z miejsca tylko po to, by dołożyć drewna do kominka.

Na obiad zadowolili się kanapkami. Udało się też zagotować nad ogniem wodę na herbatę. Zwracali się do siebie tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne.

Wieczorem oboje byli już podenerwowani bezczynnością. Także rozmyślaniami, jak wyglądałby dzień, gdyby spędzili go razem, pod jednym kocem, zamiast siedzieć w przeciwległych kątach pokoju.

Jacob podszedł do okna, Sunny do innego. Ona dorzuciła do ognia, on kartkował kolejną książkę. Ona poszła po ciasteczka, on po nowe świece.

- Czytałaś to?

Sunny spojrzała na niego. Pierwsze słowa, jakie padły po ostatniej godzinie milczenia.

- Co?

- "Dziwne losy Jane Eyre".

- Tak, pewnie.

Ucieszyło ją że znów zaczęli ze sobą rozmawiać. Poczęstowała go ciastkiem, jakby oferowała pokój.

- Co o tym sądzisz?

- Lubię czytać o obyczajach z ubiegłego wieku. Ludzie byli wtedy tak skrepowani i purytańscy. Wszystkie gwałtowne uczucia skrywali pod warstwą ogłady.

Musiał się uśmiechnąć.

- Tak uważasz?

- Jasne. Poza tym, książka jest świetnie napisana i cudownie romantyczna. - Siedziała z nogami przewieszonymi przez poręcz fotela. Miała trochę rozmarzone spojrzenie. - Prosta, uboga dziewczyna zdobywa serce śmiałego, pogrążonego w ponurych rozmyślaniach bohatera.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- To jest romantyczne?

- Oczywiście. Są też omiatane wichrem wrzosowiska i wątki tragiczne. Parę lat temu nakręcili według tej książki świetny film. Widziałeś?

- Nie. - Odłożył książkę, nadal odczuwał zdziwienie. - Moja matka ma w domu tę powieść. Uwielbia czytać.

- Pewnie, chyba musi się odprężyć po całym dniu w sądzie.

- Chyba tak.

- Co robi twój ojciec?

- To i owo. - Nagle rodzina wydała się mu czymś bardzo odległym. - Lubi pracować w ogródku.

- Mój też. Oczywiście hoduje zioła. - Wskazała swój pusty już kubek. - Ale sadi również kwiaty.

Kiedy byliśmy małe, uprawiał warzywa. Jedliśmy właściwie tylko to, co wyrosło w ogródku. Dlatego teraz unikam zieleniny.

Spróbował sobie wyobrazić jej życie, ale po prostu nie mógł.

- Jak się tutaj czułaś, jako dziecko?

- Wtedy to wszystko wydawało się takie naturalne. - Wstała, żeby poprawić polana w kominku. Gdy wróciła, usiadła na sofie obok Jacoba. - Chyba myślałam, że wszyscy tak żyją. Kiedy jednak pojechałam po raz pierwszy do miasta, zobaczyłam światła, tłumy, wielkie budynki. To tak, jakby ktoś rozbił kalejdoskop i obdarował mnie wszystkimi kolorami. Ale z miasta zawsze wracaliśmy tutaj, w góry. - Ziewnęła i opadła na poduszki. - Tęskniłam za tymi kolorami, pragnęłam tego ruchu, intensywnego życia. Teraz się cieszę, że mogę czasem

wpaść do tego domku, że mam taką wspaniałą kryjówkę. Jednak w mieście zawsze dzieje się coś ciekawego. Nie znoszę nudy.

- Teraz jednak tu mieszkasz.

- To w pewnym sensie pokuta. Sama ją sobie zadałam.

- Za coś.

- Długa historia. A ty? Jesteś z miasta i tęsknisz za spokojną wsią?

Odwrócił głowę.

- Nie.

Roześmiała się i poklepała go po dłoni.

- No tak, dwa mieszcuchy uwięzione w tej głuszy. Chcesz zagrać w karty?

Ożywił się.

- Poker?

- Trafiłeś.

Wstali jednocześnie, zderzyli się, otarli o siebie. Odruchowo przytrzymał jej rękę. Nie puścił. Nie mógł. Zdołał się tylko powstrzymać, by drugą ręką nie dotknąć jej twarzy. Tego dnia nic z nią nie zrobiła. Żadnych kosmetyków. Twarz była naga.

- Jesteś piękna, Sunbeam.

Zabolało do utraty tchu. Bała się poruszyć.

- Prosiłam, żebyś tak do mnie nie mówił.

- Czasami Sunbeam pasuje do ciebie bardziej niż Sunny. Wiesz, zawsze uważałem urodę za przypadkowy wynik mieszania się genów albo za coś, co można osiągnąć odpowiednimi zabiegami. Przy tobie zaczynam w to wątpić.

- Jesteś bardzo dziwnym człowiekiem, Hornblower. Uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie wiesz nawet, jak dziwnym. - Odsunął się od niej. - Lepiej zagrajmy w karty.

- Dobra myśl. - Odetchnęła z ulgą i podeszła do kredensu, żeby wyjąć talię. - Poker przy kominku. - Rzuciła karty na podłogę. - To dopiero jest romantyczne.

Usiadł naprzeciw niej.

- Naprawdę?

- Przygotuj się na przegraną.

Wygrywał jednak, niezmiennie niemal przy każdym rozdaniu, aż zaczęła się mu nieufnie przypatrywać. Z braku czego innego, grali o ciasteczka. Przed Jacobem piętrzył się już cały stosik.

- Jeśli zjesz wszystkie, strasznie utyjesz - zauważyła.

- Nie. Mam doskonałą przemianę materii.

- Aha. Dwie pary, damy na dziewiątkach.

- Ful.

Sięgnął po ciasteczka.

- Kurczę... Posłuchaj, nie chcę biadolić, ale wygrałeś dziesięć rozdań z dwunastu.

- Widocznie to mój szczęśliwy wieczór.

- Albo coś innego.

Słyszac jej ton, tylko lekko uniósł brew.

- Poker to gra dla ścisłych umysłów, tak samo jak fizyka. - Nadgryzła ciastko. -

Chcesz zjeść resztę swoich pieniędzy? - zapytał.

Wrzuciła nadgryzione ciasteczko do miski.

- Jeśli nie jem kilka razy dziennie, świruję.

- Aha, więc to dlatego?

- W zasadzie jestem bardzo miłą osobą.

- Nie, nie jesteś. - Rozdając karty, uśmiechnął się. - Ale i tak cię lubię.

- Jestem miła - upierała się. Nie zdradziła spojrzeniem, że dostały się jej dwa asy. -

Możesz zapytać, kogo chcesz, no może poza moimi dwoma ostatnimi szefami. Otwieram za dwa.

Jacob dołożył do miski dwa ciasteczka. Lubił ją taką. Miłą, przyjacielską, gotową jednak odparować każdy cios. Uznał, że to dobra okazja, żeby dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

- Co robiłaś, zanim postanowiłaś zostać prawniczką? - zapytał.

Skrzywiła się i dobrała trzy karty.

- Sprzedawałam bieliznę. Damską, jeśli chodzi o ścisłość. - Spojrzała na niego, spodziewając się lekceważenia czy nawet pogardy. Nie dostrzegła jednak niczego takiego w jego oczach. - Mam masę fajnej bielizny, mogłam kupować ze zniżką.

- Tak? - zapytał z żywym zainteresowaniem.

- Aha. - Dostała trzeciego asa. Udało się jej zachować obojętne brzmienie głosu. - Problem polegał na tym, że szef kazał inkasować pieniądze, pakować majtki i trzymać buzię na kłódkę, nawet gdy klientka popełniała oczywisty błąd.

Spróbował sobie wyobrazić, jak Sunny trzyma buzię na kłódkę. Nie mógł.

- Jaki błąd?

- Na przykład kupuje rozmiar trzydzieści sześć zamiast czterdziestki i zamierza się w to wbić. Dokładam trzy.

- Trzy i jeszcze dwa. No i co?

- Mówię jej życzliwie, że to nie ma sensu, że jest za gruba i natychmiast dostaję czerwoną kartkę.

- W czerwonym jest ci do twarzy. Zachichotała i dołożyła do puli dalsze dwa ciastka.

- Nie o to chodzi. Wylali mnie z pracy.

- Aha, wyrzucili.

- Właśnie tak. - Użyte przez niego słowo doskonale oddawało rażącą niesprawiedliwość, jakiej doznała. - Prawda, że to ja miałam rację?

- Tak. Uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Trójka asów, koleś.

- Poker. Nie jesteś stworzona do pracy, w której ktoś ci szefuje.

- To samo im powiedziałam. I to wielokrotnie.

- Zostało jej już tylko pięć ciastek. Zbyt długo nie miałam szczęścia, pomyślała. - Trzeba jednak wybrać. Dostosować się albo odzwyczaić od jedzenia. Muszę wybrać to pierwsze. Nie lubię klepać biedy.

- Sądzę, że możesz robić, co zechcesz, o ile czegoś naprawdę zapragniesz.

- Prawdopodobnie.

To właśnie zawsze stanowiło problem. Nie wiedziała, czego chce. Zdesperowana, postawiła naraz wszystkie pozostałe ciasteczka. Jak blef, to blef, pomyślała. Pokonał ją parą dziesiątek.

- Proszę. - Ponieważ zwycięstwo zawsze wprawiało go w dobry humor, poczęstował ją ciastkiem. - Zjedz jedno na mój koszt.

- Wielkie dzięki. Miałaś dzisiaj nieprawdopodobne szczęście.

- Najwidoczniej. - Spojrzał na nią. Wyglądała apetyczniej niż wszystkie ciastka razem wzięte. - Możemy jeszcze rozegrać ostatnią partię.

- O co?

- Jeśli wygram, będziesz się ze mną kochała. Postanowiła utrzymać kamienny wyraz twarzy.

- A jeśli ja wygram?

- To ja będę się z tobą kochał.

Wepchnęła do ust resztę ciastka, nie spuszczając wzroku z Jacoba.

Ciekawie, jaką by zrobił minę, gdybym się zgodziła, zastanowiła się. Tak czy inaczej, wygrałabym i przegrała jednocześnie.

- Chyba spasuję - rzuciła lekko.

Podeszła do sofy, położyła się i po chwili zasnęła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ze snu wyrwał ją ryk radia. Gdy otworzyła oczy, oślepiło ją światło. Osłoniła je ręką.

- Kto urządził przyjęcie?! - zawołała, przekrzykując Tinę Turner.

Jacob, który drzemał przy kominku, naciągnął tylko na głowę koc.

Przeklinając, wstała z kanapy. W połowie drogi do radia doznała olśnienia.

- Jest prąd! - krzyknęła radośnie. Podbiegła do Jacoba, usiadła na nim i zaczęła podskakiwać.

- Mamy elektryczność, J.T. Światło, muzykę, gorące posiłki! - Gdy w odpowiedzi tylko jęknął, szturchnęła go. - Wstawaj, leniu. Nie wiesz, że za spanie na warcie mogą cię rozstrzelać?

- Nie spałem, popadłem w katatonię.

- No, to się z niej wydobądź, koleś, znów jesteśmy podłączeni. - Zerwała mu z twarzy koc i uśmiechnęła się na widok nieszczęśliwej miny. - Powinieneś się ogolić - zauważyła. Ponieważ rozpierała ją radość, pocałowała go w czoło.

Spojrzał na nią, zobaczył uśmiech i włosy w nieładzie. Z niechęcią stwierdził, że jego ciało zareagowało na ten widok.

- Jest najwyżej szósta rano.

- Co z tego? - Umieram z głodu.

- Dla mnie może być grzanka - odpowiedział, naciągając z powrotem koc na twarz.

- Nie, musisz mi pomóc. - Bezlitośnie zerwała z niego koc. - Wstawaj, żołnierzu!

Tym razem otworzył tylko jedno oko.

- Jaki żołnierzu?

- Tak się mówi, Hornblower. Jak długo przebywałeś w tym laboratorium?

- Za krótko. - Albo zbyt długo, skoro podniecała go chuda kobieta siedząca mu na brzuchu. - Nie mogę wstać, kiedy na mnie siedzisz. Poza tym chyba złamałaś mi zebro.

- Nonsens. Jak na swój wzrost jestem o sześć kilo za lekka.

- Nie odnoszę teraz takiego wrażenia. Korzystałaś z zepsutej wagi?

Zbyt radosna, żeby się obrazić, wstała i chwyciła go za ramię. Ciągnąc i szarpiąc, udało się jej zmusić Jacoba, by wstał.

- Możesz zrobić frytki - oświadczyła.

- Uważasz, że potrafię?

- Pewnie. - Wzięła go za rękę i zaciągnęła do kuchni. - Wszystko znajdziesz w lodówce. - Boże, jak tu zimno.

Potarła stopą o łydkę. Ziab miał jednak swoją dobrą stronę. Prawdopodobnie lodówka nie zdążyła się rozmrozić.

- Masz. - Rzuciła w jego kierunku torebkę mrożonych frytek. - Po prostu ulóż je na blasze i wstaw do piecyka.

- Racja.

Pomyślał, że poradzi sobie z kuchenką, nie miał jednak pojęcia, o jaką blachę mogło chodzić.

- Blaszki są... tam.

Wskazała szafkę, wpatrując się w opakowanie hamburgera.

- To mięso jest zamrożone - zauważył.

- Doskonale.

Pogwizdując, zajęła się przyrządzaniem posiłku. Gotowanie nie stanowiło jej ulubionej rozrywki, gdy jednak czuła głód, mogła czerpać z niego prawdziwą przyjemność.

- Masz, zrób je na tym.

Podowała mu dość płaską rynienkę z cienkiej stali. Jacob posłusznie przystąpił do pracy.

- Jest szansa na kawę? - zapytał.

- Jasne, zaraz zrobię. - Nadal pogwizdując, wrzuciła kawałek mrożonego mięsa do rondla i przykręciła palnik do minimum. Potem wstawiła wodę i przygotowała filiżanki. - Ogrzewanie, wrzątek, prawdziwe jedzenie - stwierdziła z zachwytem i zaczęła stepować. - Nie docenia się drobnych przyjemności, póki ich nie zabraknie. Nie wiem, jak ludzie sobie radzili przed wynalezieniem elektryczności. Wyobraź sobie gotowanie wody na ogniu. To musiało trwać wieki.

Jacob obserwował stalową płytkę, na której stał czajnik. Rozgrzewała się powoli do czerwoności.

- Zadziwiające - zgodził się.

- Frytki same się nie zrobią, jeśli nie wstawisz ich do piekarnika - zauważyła.

- Aha.

Wolałby, żeby na niego nie patrzyła, gdy przyglądał się pokrętlom. Pozycja „pieczenie” wydawała się bezpieczna, chyba że frytki wymagały „pieczenia z przypiekaniem”. Oddałby rok życia za kurs dla kucharzy.

- Często sam gotujesz? - zapytała niemal szyderczo Sunny.

- Nie.

- Dziwne, nigdy bym nie zgadła. Włączyła piecyk i włożyła do niego blachę.

- Potrwa z dziesięć czy piętnaście...

- Sekund?

- Optymista. Minut. - Ponieważ rozumiała, jak to jest, gdy człowiekowi doskwiera głód, poklepała Jacoba po policzku. - Może weźmiesz prysznic? Poczujesz się lepiej. Kiedy wrócisz, wszystko będzie gotowe.

- Dziękuję.

Wchodząc na górę, uznał, że to najmiłszy jak dotąd gest z jej strony.

Dość długo kłął, starając się zapoznać z archaicznym mechanizmem prysznic. Gdy jednak w końcu się umył, rzeczywiście poczuł się lepiej. Usunął zarost ultradźwiękami. Potem nałożył na zęby fluoratynę. Mógł teraz zaspokoić ciekawość. Zajrzał do wiszącej nad umywalką szafki, której drzwiczki pokrywały lustro.

Prawdziwe skarby dla naukowca. Płyny, kremy, pudry. Spojrzał ze zgrozą na maszynkę do golenia, uśmiechnął się na widok szczoteczki do zębów.

Zwrócił uwagę na krem o dziwnej nazwie. Gdy zdjął pokrywkę i powąchał, wydało się mu, że do łazienki weszła za nim Sunny. Szybko zamknął słoiczek i odstawił na miejsce.

Znalazł pastylki. Przekonał się ze zdziwieniem, że Sunny ma lekarstwa na wszystko. Ból głowy, bóle w stawach, kaszel, przeziębienie. Jedno plastikowe pudełeczko nie miało żadnego oznaczenia. Zawierało maleńkie pigułki. Ponieważ było w połowie puste, doszedł do wniosku, że jest to coś, co Sunny bierze regularnie. To go zaniepokoiło. Czyżby Sunny na coś chorowała? Odstawił opakowanie na półkę. Zastanawiał się, pod jakim pretekstem skierować rozmowę na temat lekarstw.

Zszedł na dół, prowadzony cudownym aromatem jedzenia. Nie wiedział, co gospodyni zrobiła z kawałkiem zamrożonego mięsa, pachniało jednak bosko. No i zapach kawy. Żadne perfumy nie mogły się z nim równać. Gdy wszedł, wręczyła mu filiżankę.

- Dziękuję.

- Nie ma sprawy, wiem, co odczuwa głodny człowiek. Sama często tak cierpię.

Przyjrzał się jej ukradkiem znad filiżanki. Wyglądała normalnie, żadnych oznak choroby. Właściwie jak okaz zdrowia. I przy okazji urody.

- Kiedy tak na mnie patrzysz, czuję się jak robak pod mikroskopem.

- Przepraszam. Chciałem właśnie zapytać, jak się czujesz.

- W nocy trochę zeszytniałam, teraz jestem głodna, ale w zasadzie czuję się dobrze.

A ty?

- Doskonale. Bolała mnie głowa - dodał nagle. - Wziąłem parę twoich proszków.

- I co, przeszło?

- Te w małym niebieskim opakowaniu nie miały żadnego napisu.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, potem się roześmiała.

- Chyba by ci nie pomogły.

- Ale ty ich potrzebujesz.

Tym razem zamknęła oczy i pokręciła głową.

- I ty nazywasz siebie naukowcem. Aha, można powiedzieć, że potrzebuję. Lepiej się zabezpieczyć niż potem żałować, prawda?

Nie wiedząc, co o tym myśleć, skinęła głową.

- Racja.

- Zaczniemy wreszcie jeść.

Nałożyła wielkie porcje mięsa na talerze, usypała na nich góry frytek. Nie odezwała się, zanim nie zjadła połowy swojej porcji.

Zobaczył, że posypała swoje frytki białymi kryształkami. Nasypał sobie trochę na próbę. Sól, odkrył. Choć frytki z solą bardzo mu smakowały, powstrzymał się przed posypaniem następnych. Zastanawiał się, jakie Sunny ma ciśnienie. Gdyby wymyślił jakiś sposób, mógłby ją przebadać w medycznym laboratorium na statku. .; - No, to odżyłam.

- Fajnie. Zobacz, śnieg przestał padać.

- Aha, zauważyłam. Posłuchaj, trudno mi to przyznać, ale cieszę się, że tu jesteś. Nie wytrzymałabym tu sama, zupełnie odcięta od świata.

- Sądzę, że jesteś samowystarczalna.

- Tak, ale lepiej mieć kogoś, z kim można się kłócić. Nie zapytałam cię wcześniej... zamierzasz się tu szwendać do powrotu Cala i Libby? - Może minąć kilka tygodni...

- Przyjechałem, żeby się z nim zobaczyć. Poczekam, dobrze?

Skinęła głową. Zaniepokoiło ją, że ta odpowiedź sprawiła jej przyjemność. Za bardzo przyzwyczała się do jego towarzystwa.

- Widzę, że możesz sobie pozwolić na tyle wolnego, ile zapragniesz.

- Tak. Powiedziałbym nawet, że czas jest moim największym skarbem. Jak długo ty tu zostaniesz?

- Nie jestem pewna. Semestr już się zaczął, muszę więc poczekać do następnego. Myślałam, że napiszę podania do kilku uczelni. Może spróbuję na Wschodnim Wybrzeżu, zawsze to jakaś odmiana. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Jak sądzisz, spodobałaby mi się Filadelfia?

- Chyba tak. Miasto jest piękne. Historyczna dzielnica doskonale się zachowała.

- Dzwon Wolności, Benjamin Franklin, te rzeczy...

- Tak. Pewne rzeczy trwają, niezależnie od wszelkich zmian. - Nigdy przedtem nie miało to dla niego znaczenia. - Parki są bardzo zielone i cieniste. W lecie jest w nich pełno dzieci i studentów. Komunikacja do chrzanu, ale za to z dachów niektórych budynków można zobaczyć całe miasto.

- Tęsknisz za Filadelfią?

- Tak. Bardziej, niż się spodziewałem. - Patrzył jednak na nią, widział tylko ją. - Chciałbym ci to pokazać.

- Ja też bym chciała. Może uda się namówić Cala i Libby na wyjazd? To byłoby prawdziwe rodzinne spotkanie. - Dostrzegła, jak zmieniła się twarz Jacoba. Położyła dłoń na jego dłoni. - Powiedziałam coś nie tak?

- Nie.

- Gniewasz się na mnie.

- To sprawy osobiste.

Postanowiła, że nie pozwoli się zbyć. Jacob nie jest skończonym idiotą, za którego go na początku uważała. Ma tylko jakieś problemy.

- J.T., przecież musisz wiedzieć, jak nieuczciwe jest potępienie Cala za to, że się zakochał, ożenił i osiedlił tutaj.

- To nie takie proste.

- Oczywiście, że proste. - Przyrzekła sobie, że tym razem nie straci cierpliwości. - Oboje są dorośli i z pewnością zdolni do podejmowania decyzji. Poza tym, wiesz, ich związek jest wspaniały. - Posłał jej cyniczne spojrzenie, które nawet świętego wyprowadziłoby z równowagi. - Tak, żebyś wiedział. Ja ich widziałam razem, a ty nie.

- Rzeczywiście, nie widziałem.

- To niczyja wina, ale... Ujmę to inaczej. Ja nie znałam Cala, zanim wszedł do naszej rodziny, umiem jednak poznać, kiedy ktoś jest szczęśliwy. On jest. Co do Libby... zrobił dla niej coś, czego nie udało się zrobić nikomu innemu. Zawsze była nieśmiała, trzymała się z boku. A przy Calu po prostu promienieje radością. Wiem, nie jest łatwo pogodzić się z myślą, że najbliższa nam osoba pokochała kogoś równie mocno jak nas, ale trzeba to zaakceptować.

- Nie mam nic przeciwko twojej siostrze. - Jeśli nawet miał, nie chciał w tym momencie o tym mówić.

- Zamierzam jednak porozmawiać z Caliem o zmianie, jaka zaszła w jego życiu.

- Jesteś nieznośnie uparty. Uznał, że to trafne określenie.

- Tak. - Uśmiechnął się do niej. - Powiedziałbym, że oboje jesteśmy uparci.

- Ja przynajmniej nie wsadzam nosa w cudze sprawy.

- A co z wtrącaniem się w kwestię rozmiaru czyjejś bielizny?

- To zupełnie co innego. - Prychnęła i odsunęła talerz. - Może jestem cyniczna, ale nawet ja wierzę w miłość.

- A czy ja mówię, że nie wierzę?

- Och, doprawdy? - Była pewna, że zapędziła go do narożnika. - Przystaniesz się więc wtrącać, kiedy się przekonasz, że Cal i Libby są w sobie zakochani?

- Jeśli są, to co mógłbym osiągnąć? A jeśli nie - rozłożył ręce - zobaczymy.

Wycelowwała w niego palec.

- Zawsze mogę odesłać cię do lasu, żebyś tam zamarzał.

- Ale tego nie zrobisz. - Uniósł filizankę, jakby wznosił toast. - Mimo pozorów oschłości masz miękkie serce.

- Mogę się zmienić.

- Nie, nie możesz. Ludzie nie zmieniają się tak nagle. - Nachylił się i ujął ją za rękę. Nie umiał się oprzeć tej pokusie. - Sunny, nie chcę skrzywdzić twojej siostry. Ani ciebie.

- Ale skrzywdzisz, jeśli nie zmienisz swojego nastawienia.

- Tak. - Odwrócił jej dłoń. Była zadziwiająco miękka i delikatna. - Masz silne poczucie więzi rodzinnej. Ja także. Moi rodzice... próbowali zrozumieć decyzję Cala, ale to dla nich trudne. Bardzo trudne.

- Wystarczy, żeby się z nim spotkali. Wtedy na pewno zrozumieją.

- Nie mogę tego wyjaśnić. A chciałbym, bardziej niż myślisz.

- Masz jakieś kłopoty? - wypaliła.

- Co?

- Kłopoty - powtórzyła, zaciskając palce na jego dłoni. - Z prawem albo jakieś inne. Widział jej oczy. Duże, piękne i przepelnione troską. O niego.

- Dlaczego tak uważasz?

- To, jak tu przyjechałeś... i to, dlaczego nie zrobiłeś tego wcześniej. W dodatku zachowujesz się... nie umiem tego opisać... jakbyś został wyrwany z rzeczywistości.

- Może zostałem. - Powinno go to rozbawić, lecz się nie uśmiechnął. Gdyby nie to, że potem gorzko by tego żałował, porwałby Sunny w ramiona. - Nie mam kłopotów, Sunny, przynajmniej nie takich, o jakich myślisz.

- I nie jesteś... - szukała możliwie najdelikatniejszego określenia - ...chory?

- Chory? - Spojrzał na nią zdziwiony. Nagle pojął. Uśmiechnął się, uniósł jej dłoń do ust i pocałował. - Nie, nie jestem chory. Ani psychicznie, ani fizycznie. - Gdy spróbowała uwolnić dłoń, zapytał: - Boisz się mnie?

- Niby dlaczego?

- Dobrze pytanie. Zastanawiałaś się, czy jestem... nie zrównoważony. Pozwoliłaś mi jednak zostać. Nawet mnie nakarmiłaś.

Zbiła ją z tropu niezwykle łagodność, z jaką wypowiedział te słowa.

- Nic wielkiego. Przecież to samo zrobiłabym dla chorego psa.

- Jesteś wspaniała. - Gdy wstała, on również wstał.

- Sunbeam.

- Prosiłam cię...

- Są sytuacje, w których muszę cię tak nazywać. Nie mogę się oprzeć. Dziękuję.

Dopiero teraz naprawdę się zdenerwowała.

- W porządku, zapomnij o tym.

- Nie zapomnę. Gdybym odpowiedział, że mam kłopoty, pomogłabyś mi?

- Nie wiem. Zależy.

- Myślę, że byś pomogła. - Ujął jej obie ręce.

- Życzliwość, zwłaszcza okazana komuś, kto jest daleko od domu, zasługuje na najwyższe uznanie. Nie zapomnę.

Nie chciała być tak blisko niego. Gdy jednak patrzył na nią czule, jej wola słabła. A nie ma nic bardziej niepokojącego niż słabość.

- Świetnie. - Wyrwała ręce. - Możesz się odwdzińczyć i pozmywać. Ja idę na spacer.

- Pójdę z tobą.

- Nie chcę...

- Powiedziałaś, że się mnie nie boisz.

- Bo się nie boję. - Westchnęła. - No dobrze, chodźmy.

Gdy otworzyła drzwi, poczuła, że choć wiatr osłabł, a słońce zaczęło się przebijać przez chmury, powietrze jest lodowato zimne.

Dobrze, to mnie ostudzi, pomyślała. Przed chwilą, w kuchni, gdy patrzył jej w oczy, czuła się dziwnie, jakby... Nie wiedziała jak. Nie chciała wiedzieć.

Dobrze, że się przejdą, choć śnieg sięgał kolan. Jeszcze godzina w ciasnej przestrzeni i postradałaby zmysły.

- Jest pięknie, prawda? - szepnął.

Patrzyła na pokrytą śniegiem ziemię. Wiatr strącał z gałęzi biały puch.

- Tak, zawsze najbardziej podoba mi się tu w zimie. Poczekaj, zapomniałam o karmie dla ptaków.

Zawróciła. Pomyślała, że porusza się jak tancerka. Z wdziękiem, mimo głębokiego śniegu. Martwiło go spostrzeżenie, że mógłby przyglądać się jej godzinami. Po chwili wróciła z wielkim jutowym workiem.

- Co robisz?

- Zamierzam nakarmić ptaki. O tej porze roku przyda im się każda pomoc.

- Daj, ja to poniosę.

- Jestem bardzo silna.

- Tak, wiem. Nie dyskutuj, po prostu mi to daj. Wziął od niej worek i zaczął go ciągnąć przez śnieg.

Z każdym krokiem worek robił się cięższy.

- Nie wiedziałem, że jesteś miłośniczką przyrody - zauważył.

- Po prostu szkoda mi ptaków.

Z wysiłkiem przeciągnął worek o następny metr.

- Czy nie moglibyśmy tego po prostu tutaj rozrzucić? - zapytał.

- Jeśli coś robisz...

- Rób to dobrze - dokończył. - Tak, słyszałem kiedyś to powiedzenie.

Sunny zatrzymała się przy drzewie. Zaczęła napełniać pokarmem sporą budkę z drewna i szkła.

- No to gotowe. - Otrzepała ręce. - Może z powrotem ja poniosę?

- Nie, ja to zrobię. Nie rozumiem, jak ptaki mają to znaleźć.

- Halo, tu jesteśmy! - krzyknęła.

- Tego też nie rozumiem.

Gdy ruszył po worek, uśmiechnęła się do jego pleców. Ulepiła sporo piguł. Jacob wyłonił się zza drzewa, więc wycelowwała i rzuciła.

- Środek tarczy! - krzyknęła triumfalnie. Otarł śnieg z czoła.

- Raz już przegrałaś.

- To był poker. - Podniosła następną śnieżkę. - A to jest wojna. Wojna wymaga umiejętności, nie tylko szczęścia.

Ledwie uchylił się przed następnym pociskiem. Kolejny trafił go w pierś. W sam środek piersi.

- Nie powiedziałam ci, że w szkolnej drużynie byłam pierwszym miotaczem.

Kolejna śnieżka wylądowała na jego ramieniu, był już jednak przygotowany. Błyskawicznie nachylił się, ulepił śnieżną kulę, rzucił i bezbłędnie trafił. No cóż, on też nie powiedział, że był przez trzy sezony kapitanem międzygalaktycznej drużyny baseballowej.

- Nieźle, Hornblower.

Po chwili przekonała się z radością, że nie utraciła dawnej sprawności. Kurtkę przeciwnika oblepiał śnieg. Jedna śnieżka prawie zerwała mu z głowy czapkę. Trafiła go częściej niż on ją. Nie zauważyła, że Jacob zmniejszył o połowę dzielącą ich odległość.

Gdy dostał prosto w twarz, zanosła się śmiechem. Potem krzyknęła, gdy chwycił ją wpół i podniósł.

- Celność dobra, strategia do kitu - zauważył, rzucając ją w śnieg.

Przetoczyła się, wypluła śnieg.

- Ale to ja wygrałam.

- Z mojego punktu widzenia wygląda to inaczej.

Z dobrze udaną obojętnością wyciągnęła rękę. Zawahał się, zobaczył jednak jej uśmiech. Gdy podał jej rękę, Sunny szarpnęła i popchnęła go w zaspę.

- A jak teraz wygląda?

- Na razie remis.

Chwycił ją za ramiona. Oboje zapadli się głębiej. Jacob czuł, jak za kołnierz pożyczonej kurtki dostaje się śnieg. Sunny walczyła ze śmiechem, usiłowała przygnieść Jacoba do zimnego podłoża. Prawie się jej udało, gdy nagle wyleciała w powietrze i wylądowała w sąsiedniej zaspie.

Przez chwilę leżała nieruchomo, uspokajała oddech.

- Ładne zagranie - pochwaliła.

Potem znów rzuciła się do ataku. Udało się jej wcisnąć twarz przeciwnika w śnieg. Przytrzymała go, leżąc na nim.

- Powiedz, że się poddajesz - zażądała. Powiedział coś znacznie mniej parlamentarnego.

Roześmiała się tak, że niemal rozluźniła uchwyt.

- Daj spokój, J.T., prawdziwy mężczyzna potrafi przyznać się do przegranej.

Nienawidził jej. To on byłby górą. Dwukrotnie jednak, gdy już uzyskiwał przewagę, natrafiał ręką na szczególnie interesującą okragłość i to go gubiło.

- To co, poddajesz się? - zapytała. Przyjmując jego mruknięcie za potwierdzenie, zwolniła uścisk i pomogła Jacobowi odwrócić się na plecy. - Jak na naukowca, całkiem nieźle - pochwaliła.

- W normalnych warunkach nie miałybyś szans.
- Ale to ja jestem górą.
- W pewnym sensie. Uśmiechnęła się.
- Szkoda, że nie widzisz swojej twarzy. Nawet rzęsy masz białe.
- Ty też.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz ktoś go pokonał. A już na pewno nie odczuwał wówczas takiej przyjemności jak teraz.

- Wracajmy. Powinniśmy przynieść jeszcze trochę drewna.

Podparła się ręką, żeby wstać. Poślizgnęła się i upadła na niego.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi, zostało mi jeszcze kilka całych zeber. Objął ją. Przybliżył twarz. Wiedziała, że robi błąd, że nie powinna była dopuścić do takiej sytuacji. Nie poruszyła się jednak. I przestała myśleć. Najnaturalniej w świecie zbliżyła usta do jego warg.

Były zimne i twarde. Były wszystkim, czego chciała. Całując go, czuła się, jakby skakała do zimnego górskiego stawu. Porażające. I ryzykowne. Pogłębiła pocałunek.

Pokonała go. Odebrała mu chęć oporu. To co, że przestał nad sobą panować? - Czuł, że traci siły, wolę. Widział wszystko jak przez mgłę, wszystkie jego myśli krążyły wokół Sunny.

Kobiety, które miał przed nią, przestały się liczyć. Odpłynęły w mrok, zmieniły się w cienie. Jednocześnie zrozumiał, że po niej nie będzie miał już żadnej. Sunny całkowicie nim zawładnęła. Odebrała mu jego życie.

Chciał ją odepchnąć. Dotknął jej ramion, poczuł jednak tylko pożądanie. Rozpaliło go, a ona to wyczuła. W niej również narastała dzika żądza. Prawdziwa furia. Jego usta, same tylko usta, przeciągały ją przez najeżoną skałami granicę między niebem a piekłem. Niemal czuła rzeczywiste płomienie, chciała się w nie rzucić. Bała się, bardzo się bała, że nigdy już nie zadowoli się niczym poza całkowitym spełnieniem.

To tylko pocałunek, powiedziała sobie. Pocałunek, choćby najbardziej niesamowity, nie może odmienić całego życia. Musiała ochłonać, żeby się przekonać, że jest tą samą osobą co dawniej.

- Naprawdę powinniśmy przynieść to drewno - udało się jej wykrztusić.

Przestraszyła się nagle, że nie będzie mogła wstać. Ma się czołgać do samego domu, zrobić z siebie widowisko? Ostrożnie stoczyła się na śnieg. Potem, maksymalnie się koncentrując, ostrożnie wstała. Otrzepała śnieg. Marzyła, żeby Jacob coś powiedział. Cokolwiek.

- Patrz.

Ostrożnie się odwróciła. Jacob wskazywał karmnik. Kilka ptaków z zapałem jadło śniadanie. Ten widok pomógł jej trochę się rozluźnić.

- No cóż, spełniłam wobec nich swój obowiązek.

- Nagle poczuła chłód. - Wracajmy.

Ruszyła przez śnieg. Gdy szli w kierunku domu, gdy potem brali drewno, gdy układali je w saloniku, nie powiedzieli do siebie ani słowa. Sunny zwalczyła chęć napicia się herbaty. Musiała zostać choć przez chwilę sama. Musiała spokojnie pomyśleć.

- Idę wziąć prysznic.

Czuła się niezręcznie. Patrzyła, jak Jacob poprawia ogień w kominku.

- Świetnie.

Stał odwrócony plecami, toteż skrzywiła się.

- To dobrze, że świetnie - odpowiedziała.

Wyprostował się dopiero wtedy, gdy usłyszał skrzypienie schodów. Ta kobieta zmaciła moje myśli i rozstroiła system nerwowy, pomyślał. Może dlatego, że nie pozbierałem się jeszcze po podróży w czasie? Kto wie, jaki to wywarło wpływ na mój organizm i umysłu. Niedługo wszystko wróci do normy, uznał po namyśle. Potrzebuję trochę czasu, żeby się pozbierać. Gromadzenie danych to ważne zadanie, jednak rozsądniej byłoby mieszkać w statku.

Z wahaniem obrzucił wzrokiem wewnątrz. Przyrzekł Sunny, że pozmywa. No cóż, to także interesujące doświadczenie.

Na górze Sunny rozebrała się, rzucając części garderoby na podłogę. Poczekała, aż woda zrobi się gorąca, weszła pod prysznic i westchnęła.

Już w porządku, uznała. To na pewno lepszy sposób na rozgrzanie się niż całowanie Jacoba. Nie, wcale nie lepszy.

Oparła głowę o ścianę kabiny. Może trochę zwariowała, ale całując go, czuła się żywa jak nigdy. To nie jego wina, na pewno nie tym razem. To ona zrobiła pierwszy ruch. Zajrzała Jacobowi w oczy i zrozumiała, że to on jest tym jedynym.

Ale dlaczego? Ledwie go знаła, nie do końca mu ufała. Na początku nawet go nie lubiła. No ale potem... Czy jest w nim zakochana? - Nie, to bez sensu, trzeba coś z tym zrobić.

Myjąc głowę, wciąż rozmyślała o tym samym. Zawsze radziła sobie ze wszystkim, także z problemami emocjonalnymi. Jeśli się kiedyś zakocha, poradzi sobie również z tym uczuciem. Chodzi tylko o to, żeby nie działać pochopnie.

Ostrożność, zdrowy rozsądek i panowanie nad sytuacją, wyliczała w duchu. Zachowała pewien dystans, przynajmniej do czasu zanim nie pozna lepiej Jacoba, zanim nie upewni się co do jego uczuć. To miało sens. Uspokojona, skupiła się na kąpieli.

Doszła do ładu ze sobą, powinna więc teraz skupić się na nim. Z pewnością jest dość dziwny. Interesujący, oczywiście, ale też nieprzenikniony i jakby... daleki.

Poradzi sobie z nim. Zawsze radziła sobie z mężczyznami. Grunt, że doszła do ładu ze sobą.

Zadowolona, usunęła kopniakiem ubrania z drogi. Owinęła się ręcznikiem i wyszła z łazienki.

Podobało mu się zmywanie. Nie wymagająca zbytniego skupienia czynność, jakiej teraz potrzebował, żeby się rozluźnić. Napis na plastikowej butelce obiecywał, że płyn do zmywania zawiera prawdziwy sok z cytryny. Jacob pociągnął nosem i uznał, że zapach jest przyjemny. Gdy tylko wróci na statek, odnotuje to spostrzeżenie.

Mógł teraz pomyśleć spokojniej o Sunny. Cóż w tym dziwnego, że wzbudzała w nim pożądanie? Powinien jednak nad sobą panować, żeby nie wpakować się w jakąś kłopotliwą sytuację.

Sunny jest piękna i interesująca, lecz także nieznośna. Pomyśl, żeby ją uwieść, należy zarzucić. Wiedział już, że ich fizyczny kontakt nie byłby jedynie miłym, niewiele znaczącym doznaniem. Prawdopodobnie napytaliby sobie masę kłopotów. Ten problem łatwo zlikwidować, wystarczy spakować manatki i przenieść się na statek. Potem wróci Cal, pogadają, brat zrozumie, że popełnił błąd. Polecą do domu i będzie po wszystkim.

Przynajmniej tak sobie zaplanował. Dotarł jednak do szczytu schodów właśnie w momencie, gdy Sunny wyszła z łazienki. Owinęta ręcznikiem. Na widok Jacoba zasłoniła się szczelniej. Zaciśnął dłoń na poręczy tak mocno, że pobiełały mu kostki.

Nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Ta myśl przemknęła przez głowy ich obojga. A może właśnie szczęśliwy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Podchodził do niej powoli, niemal bezgłośnie. Nieuchronnie. Zobaczyła w jego oczach odbicie własnych uczuć. Pożądanie, którego nie chciała przyjąć do wiadomości. Nawet teraz, w tej pełnej napięcia sekundzie, wołałaby zanegować jego istnienie. Nie, nie uda się. Pragnienie jest zbyt silne.

A gdyby tak po prostu powiedzieć „nie”? Może to by go zatrzymało. A może nie. Nie wypowiedziała tego słowa. Ani żadnego innego.

Czuła na plecach ciepło płynące z łazienki. Ścisnęła ręcznik, ręce spoczywały między piersiami. Patrzyła Jacobowi w oczy. Stała nieruchomo. Czuła tylko przyspieszone bicie serca, jak na finiszu długiego biegu.

Nie dotknął jej. Jeszcze nie. Wiedział już, że gdy to zrobi, dla nich obojga nie będzie odwrotu. Jakaś część jego osobowości pragnęła odwrócić się i odejść. Ruszyć drogą, którą sobie wcześniej wytyczył. Sunny była jak niebezpieczny zakręt, jak trakt, który mógł sprowadzić wędrowca na manowce.

Gdy tak na nią patrzył, nagle zrozumiał, że wszystkie mosty zostały spalone.

Dotknął jej twarzy... ujął ją dłońmi. Wodził po niej palcami, jakby chciał zapamiętać.

Usłyszał, jak Sunny chwyta z trudem oddech, poczuł, że narasta w niej pasja. Analizował jej spojrzenie. Częściowo wystraszone, częściowo śmiałe. Nie potrafił się jej oprzeć, tak jak nie potrafił powstrzymać bicia własnego serca.

Powoli przesunął dłonie na mokre, błyszczące kropelkami wody włosy.

Ani na chwilę nie opuściła wzroku. Nie zdołała jednak powstrzymać leciutkiego westchnienia, gdy odchylił jej głowę. Kiedy przybliżył twarz, rozchyliła usta. Dzielił ich już tylko malutki obłoczek pary wydobywającej się z łazienki.

Z ustami o centymetr od jej warg zatrzymał się, czekał.

Przysunęła się jeszcze bliżej.

- Tak - powiedziała.

Żadne inne słowo nie wzniciłoby w nim tak potężnego ognia. Żaden wystudiowany, uwodzicielski ruch nie zwalczyłby tak skutecznie resztek jego oporu. Chwytał mocniej włosy Sunny i zagłębił się w jej ustach.

Niewysłowna ulga. Usta były jak oaza, ostatnie ożywcze źródło przed prowadzącą do spalenia drogą ku słońcu.

Nie wiedział, że kobieta może mu przysporzyć cierpień, potem zaś je ukoić, a wszystko to delikatnym dotykiem ust.

Chciała go dotykać, tak jak on dotykał jej. Położyła dłonie na jego piersi, musiała zyskać trochę przestrzeni. Stłumił ustami ten zarodek buntu, aż jęknęła z rozkoszy.

Teraz całował ją mocno, zarliwie. Oboje, ślepi i głusi na wszystko wokół, zatapiali się w sobie coraz bardziej.

Wyrwała rękę. Zanim mogła go dotknąć, świat zawirował. Poczowała, że Jacob unosi ją, pozbawia oparcia. Nikomu dotąd nie udało się ta sztuka. Przyciskał ją do siebie, pokonał odległość do sypialni kilkoma długimi krokami. Runęli na łóżko.

Jednym gwałtownym ruchem zerwał z niej ręcznik. Białe zimowe światło padło na jej nagą skórę.

Przestała wyrwać rękę. Przez chwilę wydawało się jej, że przestała również oddychać.

Była jasna jak światło księżyca, w pięknym ciele czaiła się jednocześnie siła i kobiecość. Patrzył na nią, nie mógł przestać. Pod wpływem tego spojrzenia zadrżała.

Mokre włosy nie zasłaniały twarzy. Patrzyła mu w oczy, miała coraz bardziej zamglone spojrzenie.

Trzymając nadal jej dłonie, zniżył twarz do pocałunku. Wypreżyła się, łaknąc tego kontaktu tak samo jak on. Choć pocałunek podzielał jak narkotyk, usiłowała wyrwać rękę. Jacob do tego nie dopuszczał, jakby wiedział, że gdy wypuści więźnia, straci panowanie nad sytuacją.

Czuła miękki materiał jego swetra. Nie chciała tego, pragnęła dotyku nagiego ciała. Chciała go do siebie przyciągnąć, stopić się z nim. On jednak pieścił ją ustami, tylko ustami, doprowadzając do krawędzi szaleństwa.

Gwałtownie, niemal dziko przesuwiał usta po jej twarzy, szyi, ramionach. Wypowiedziała jego imię, znów spróbowała się wyrwać.

Nie pozwolił na to. Całował jej piersi, wzbudzając w niej te same żądze, które spalały jego.

Znał zapach kobiet, ten jednak był niepowtarzalny, należał tylko do niej. Nie mógł się nim nasycić.

- Jacob - wydyszała - pozwól mi...

Słowa przeszły jednak w nabrzmiały zdumieniem, stłumiony krzyk. Wznosiła się w powietrzu, słowa i uczucia wirowały, rozpadały się na kawałki. Nadal trzymał jej dłonie.

Oddychając ciężko, zamknęła oczy i poczuła, że stęzała przed chwilą mięśnie zaczynają się rozluźniać.

Jeśli to przyjemność, nigdy jej nie doświadczyła. Jeśli rozkosz, rozumiała teraz, dlaczego kobieta mogłaby dla niej umrzeć.

Oszołomiona, otworzyła oczy. Triumfalne spojrzenie Jacoba sprawiło, że serce znów zabiło jej szybciej.

- Ja nie mogę...

- Możesz.

Znów sprawił, że zaczęła jęczeć. Drżała, była coraz bliższa utraty zmysłów. Ręce, choć już wolne, leżały bezwładnie na zmiętej pościeli. Miała przed oczami mgłę. Czowała, że uniesie się i odpłynie.

Dotykaj mnie.

Nie była pewna, czy wypowiedziała te słowa, czy tylko odbiły się echem w jej głowie. Przez warstwy rozkoszy uniosła ręce i przyciągnęła Jacoba jeszcze bliżej. Znów złączyli się ustami.

Powracały jej siły, jeszcze potężniejsze po tej chwili słabości. Ściągnęła Jacobowi sweter przez głowę. Westchnęła z rozkoszy, gdy wreszcie dotknęła jego ciała.

Gorące, twarde. Jej. Wodziła po nim dłońmi. Niecierpliwie rozpięła mu dzinsy, zdarła je z niego.

Wiedział, co kobieta może dać mężczyźnie, nie wiedział jednak, co może dać ta. Wspomnienia o wszystkich innych zbladły i rozplynęły się.

Był wypełniony jej ciałem, umysłem i duszą. Stanowiła wszystko, o czym marzył, nie wiedząc nawet, że marzy, wszystko czego pragnął, nie wiedząc, że pragnie. Czuł na ciele jej wargi, pożądanie zamieniało się w pasję.

Ze splecionymi nogami przetaczali się po łóżku, od krawędzi do krawędzi. Chwycił jej biodra, lecz ona już je unosiła, by wyjść mu na spotkanie.

Zagłębił się w niej. Świat przestał istnieć. Jacob pokonywał przestrzeń, czas. Wiedział tylko jedno. Wiedział, że ona z nim jest.

Leżała na łóżku, ze swobodnie odrzuconym ramieniem. Drugą ręką trzymała Jacoba mocno za włosy. Częściowo ją przygniatał, oparł głowę na jej piersi. Pomyślał, że bicie serca, które w tej pozycji słyszał, doskonale współgra z jego własnym. Wyciągnął rękę, dotknął dłoni Sunny. Nie potrafiłby nawet opisać uczucia, które go ogarnęło, gdy mocno chwyciła jego palce.

Był ciężki. To jej nie przeszkadzało. Mogłaby spędzić tak resztę życia. Leżąc, słuchając jego oddechu i spływających z dachu kropel wody.

Więc taka jest miłość, pomyślała. Nie zdawała sobie sprawy, że przez całe życie czekała na takie uczucie. Zawsze uważała, że może spędzić życie samotnie, ciesząc się wolnością i niezależnością.

Myśl o dzieleniu łóżka z mężczyzną, którego się szanuje i rozumie, wydawała się jej zawsze rozsądna. Ale wspólne życie? Albo potrzeba takiego życia, niemożność obycia się bez innej osoby? To zawsze wydawało się jej romantycznym nonsensem.

Teraz już nie.

A Jacob był naprawdę wspaniałym mężczyzną. Silnym i inteligentnym. Zawziętym i upartym. Właśnie takim, zdała sobie sprawę, jakiego potrzebowała. Uśmiechnęła się, zwichrzyła jego włosy.

Wszystko się teraz zmieniło. Zresztą, gdyby umiała spojrzeć prawdzie w oczy, przyznałaby, że zaczęło się zmieniać już wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, tu, właśnie w tym pokoju.

A jak odczuwał to Jacobs Sama nazwała go twardym orzechem do zgryzienia. Pokonanie skorupy, odkrycie wewnątrz innych, delikatnych uczuć, stanowiłoby trudne zadanie. Wymagające wysiłku, starań. Nieważne, uzbroję się w cierpliwość, postanowiła.

Nie wiedział, o czym Sunny myśli. Na wszelki wypadek pocałował ją w pierś.

- Smakujesz pysznie - mruknął.

- Hmm?

- Robię się głodny. - Przeciągnął ustami po jej skórze, ucieszył się, czując, że serce zabiło jej szybciej. - Tak podobasz mi się najbardziej - oświadczył. - Naga i w łóżku.

- Typowo męskie podejście. Ale ja mam chyba wobec ciebie takie samo.

- Dobrze, że w końcu doszliśmy w jakiejś kwestii do porozumienia. Lubię twoje usta, Sunbeam. Są uparte i seksowne.

- Mogłabym powiedzieć to samo o twoich.

- Znow się ze sobą zgadzamy.

- To chyba rekord. - Chwyciła lekko zębami jego wargę. - Może warto próbować dalej? Co jeszcze lubisz?

- Twoją... energię.

- Kolejna zgodność.

Roześmiał się i pogłębił pocałunek. Była taka słodka, tak chętna jak na początku.

- Twoje ciało - dodał. - Z pewnością twoje ciało. Westchnęła.

- Dobrze nam idzie, J.T., nie przestawaj. Ugryzł ją w ucho.

- To miłe miejsce - mruknął - ale muszę powiedzieć, że twój umysł i twoje postępowanie są... intrygujące.

- Intrygujące - powtórzyła rozleniwiona. - Ciekawy dobór słowa.

- Chyba brzmi lepiej, niż gdybym powiedział, że irytujące. A ja... - Urwał, gdyż dostrzegł na jej ramieniu małe sińce. Dotknął ich końcami palców. - Posiniaczyłem cię - zauważył nieco przestraszony. Gdyby zrobił to w walce, nie zaprzętałby sobie tym głowy ani przez chwilę. Ale w łóżku, gdy się kochali... - Przepraszam, tak mi przykro.

Przekreśliła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Naprawdę?

- Nie, chyba nie.

- Skoro jestem taka intrygująca... - odpowiedziała z uśmiechem.

- Racja.

Chciał jeszcze coś dodać, zażartować, lecz głos uwiązł mu w gardle. Coś w jej uśmiechu, spojrzeniu, sprawiło, że zapomniał, co chciał powiedzieć.

Śmieszne, pomyślał, niezwykle zabawne. Cokolwiek czuł, nie mogło to być miłością, nie taką, która sprawia, że mężczyzna głupieje i podejmuje niewłaściwe decyzje. To tylko pożądanie, wmawiał sobie, połączone z troską i czułością. Ale miłość? Nie miał na nią czasu.

Czas. Nagle odniósł wrażenie, że ktoś zdzielił go pięścią w żołądek. Czas stanowił przeszkodę. Największą ze wszystkich.

Musiał się odsunąć, uzyskać jakiś dystans, spokojnie się zastanowić.

Nadal się uśmiechając, objęła go rękoma i nogami.

- Wybierasz się gdzieś?

- Na pewno cię przygniatam. Jestem dość ciężki.

- Jesteś. - Nadal się uśmiechając, oblizwała wargi. Patrzył na to jak zahipnotyzowany. -

Miałam nadzieję, że zrobimy mały eksperyment.

Pokręcił głową.

- Eksperyment?

- Fizyczny. - Przejechała mu palcem po plecach. - Znasz się na fizyce J.T., prawda?

- Doktorze Hornblower - poprawił ją i pocałował w szyję.

- A więc, doktorze, co z teorią zachowania pędu?

- Zademonstruję ci.

Wszystko ją bolało. I nigdy nie czuła się lepiej. Spojrzała na okno. Nadszedł ranek.

Nie mogła uwierzyć, że spędziła w łóżku większą część dnia i całą noc. A spała najwyżej ze dwie godziny. Westchnęła i spróbowała zmienić pozycję. Natknęła się jednak na solidną przeszkodę - ciało Jacoba.

Jak on tego dokonał? - zastanawiała się. Zajmował dziewięć dziesiątych powierzchni łóżka i zagarnął całą kołdrę. Sunny nie spadła na podłogę tylko dlatego, że przełożył nogę przez jej biodra. Na gardle czuła jego rękę. Dławiła ją całym swym ciężarem.

Poruszyła się znów, tym razem energiczniej.

- No dobrze, koleś - powiedziała. - Nie zamierzam do końca życia spadać co noc na podłogę.

Dość brutalnie wbiła mu łokieć w brzuch. Mruknął coś i przepchnął ją o kolejne dwa centymetry w kierunku krawędzi łóżka.

Dobra taktyka, pomyślała z uznaniem i postanowiła zastosować odmienną. Pogłaskała go, pocałowała w policzek.

- Kochanie.

- Hmm? Szepnęła mu do ucha:

- Jacob? Mój najdroższy?

Wydał kolejny nieartykułowany dźwięk i położył dłoń na jej piersi. Sunny uniosła brwi. Ta sekwencja ruchów kosztowała ją kolejny centymetr.

- Słodziutki - dodała, zdając sobie w popłochu sprawę, że kończy się jej zapas czułych określeń. - Obudź się, cukiereczku, chcę coś zrobić. - Delikatnie przeciągnęła wargami po jego ramieniu. - Coś, czego naprawdę potrzebuję.

Gdy otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ugryzła go w ramię. Mocno.

- Jezul! - Otworzył oczy. - Dlaczego to zrobiłaś?

- Żeby odzyskać swoją część łóżka. - Z rozkoszą zajęła zwolniony przez niego kawałek poduszki. - Czy ktoś ci już kiedyś powiedział, że rozpierasz się jak wieprz? I kradniesz kołdrę.

Chwyciła luźny koniec i owinęła się nim.

- Nie, ty pierwsza się uskarżasz. Uśmiechnęła się tylko. Liczyła na to, że jest również ostatnia.

Potarł bolące ramię i spojrzał na Sunny. Wyglądała tak bezbrinnie. Przekonał się jednak przed chwilą, że pozory mylą.

W jej kształtnym ciele drzemał wulkan energii. I całe pokłady pasji, które, był tego pewien, czekały na odkrycie. Zabierała go w miejsca, w których istnienie nigdy przedtem nie wierzył. Miejsca, do których już tęsknił, już chciał wrócić. W najgłębszych otchłaniach nocy

okazała się nienasycona i nieprawdopodobnie hojna. Wystarczyło jej dotknąć, by reagowała. Wystarczyło, że go dotknęła, a od razu tracił rozum.

Teraz owinęła się szczelnie kołdrą. Widział tylko jej jasne włosy i pół twarzy. Nadal jej pragnął.

Co ma zrobić? Zrobić z nią? Dla niej? - Nie wiedział.

Zastanawiał się, jak by zareagowała, gdyby wyznał jej całą prawdę. Pomyślałaby po raz kolejny, że jest wariatem. A gdyby udowodnił, że przybywa z przyszłości? Wtedy oboje mieliby świadomość nieuchronności rozstania. On sam nie był już jednak przygotowany na taki rozwój wypadków.

Po raz pierwszy w życiu wołał się okłamywać. Udawać. Mają dla siebie najwyżej kilka tygodni. Co robić?

Usiadł i potarł rękami twarz. Jeśli wyzna teraz Sunny prawdę, zrani ją, zanim jeszcze zdążą się sobą nacieszyć. Gdy przemilczy fakty, ich rozstanie z Sunny będzie dla niej ciosem. I tak źle, i tak niedobrze. Sunny będzie cierpieć z jego powodu. A on? Tak, chyba powinien zniszczyć ich związek w zarodku, to najuczciwsze, co mógł zrobić.

- Wybierasz się gdzieś? - zapytała.

Znów te same słowa... Teraz jednak nabrały one innego znaczenia. W jaki sposób mógłby jej wytłumaczyć, jak daleko się wybiera? Jest inteligentna, pomyślał. Muszę po prostu przedstawić fakty.

- Sunny?

- Tak?

Pogładziła go po ramieniu. Ponieważ poczuła wyrzuty sumienia, uniosła głowę i pocałowała go tam, gdzie przedtem ugryzła.

- Może to nie powinno było się stać.

Widząc, jak przestaje się uśmiechać, zorientował się, że źle zaczął.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz.

Niezadowolony z siebie, chwycił ją, zanim zdążyła wstać.

- Nie przejmuj się - powiedziała chłodno. - Gdyby wylewali cię z pracy tak często jak mnie, też przyjmowałbyś spokojnie brak akceptacji. Jeśli żałujesz tego, co zaszło...

- Nie żałuję - przerwał jej. - Może powinienem, ale nie mogę. Mogę tylko myśleć, jak bardzo pragnę znów się z tobą kochać.

Postanowiła za wszelką cenę zachować spokój.

- Nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć.

- Ja też do końca tego nie wiem. - Puścił ją i zagłębił dłoń we włosach. - To ma dla mnie ogromne znaczenie, to co między nami zaszło. Nie myślałem, że będzie miało, ale stało się...

Poczuła się trochę lepiej.

- Martwi cię, że to coś więcej niż seks?

- Martwi mnie, że to znacznie więcej niż seks. - Jestem tchórzem, stwierdził. Nie mogę jej powiedzieć, jak mało mamy czasu. - Nie wiem, co począć.

Przez chwilę milczała. Wyglądał na zagniewanego. Na samego siebie. I na zagubionego.

- Dlaczego nie poprzestaniesz na radości z tego, co podarował ci los?

Spojrzał na nią. Chciał, żeby to było takie proste.

- A co będzie, gdy wyjadę?

- Jakoś sobie poradzimy. - Starannie dobierała słowa. - Jacob, żadne z nas tego nie planowało. Ale stało się. I ja nie żałuję.

- Ja także nie.

Nie chcąc powiedzieć ani słowa za dużo, Sunny zmieniła temat.

- Dziś ty masz dyżur w kuchni. Idź zrobić śniadanie. Zawołaj, kiedy będzie gotowe.

Nie odpowiedział. Nadal bił się z myślami. Nie chciał jej wyjawiać wszystkiego, nie wiedział, jak wybrnąć z sytuacji. W końcu postanowił milczeć. Wstał, ubrał się i wyszedł z sypialni.

Sunny wtuliła twarz w poduszkę. Poszewka pachniała Jacobem. Sunny westchnęła i spróbowała się rozluźnić. Skłamała. Każde odrzucenie bardzo ją bolało. A odrzucenie przez niego? Jak można to porównać z utratą pracy?

Co zrobi, jeśli on odejdzie? Jakoś to przeżyje. Chciałaby bardzo w to wierzyć. Nie, nie przeżyje. Musi zatem sprawić, by Jacob został z nią na zawsze.

Nie wolno zbyt mocno naciskać. Sunny zdawała sobie sprawę, że wymaga za dużo od bliskich sobie ludzi. Za dużo miłości, za dużo uwagi, cierpliwości, wiary. Tym razem musi postępować inaczej. Musi zachować cierpliwość.

Potrzebowali tylko trochę więcej czasu, żeby się lepiej poznać, żeby nauczyć się zasad współżycia. Nauczyć się sztuki kompromisu. Wybaczając sobie potknięcia.

Popatrzyła w sufit.

Więcej czasu, tak. Muszą się oswoić z nową sytuacją, zaakceptować ją.

Uśmiechnęła się, nagle uspokojona. A jeśli nie uda się po dobroci, weźmie Jacoba za kark i zmusi do uległości. Doskonale wiedziała, czego chce, a to najważniejsze. Chciała

Jacoba T. Hornblowera. Jeśli po rozmowie z Calem spakuje swą żalną małą torbę i wróci na Wschód, ona po prostu pojedzie za nim.

Co to jest kilka tysięcy kilometrów dla przyjaciół? Albo kochanków?

Tak, nie pozbędzie się jej tak łatwo, skoro postanowiła o niego walczyć. A walka jest jej mocną stroną. Skoro uznała, że Jacob jest jej przeznaczony, już znajdzie jakiś sposób, by złamać jego upór. Może pozwoli mu na trochę swobody za jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat, ale do tego czasu Jacob przyzwyczai się do niej na tyle, że i tak zostanie.

- Sunny! Nie mogę znaleźć tej cholерnej kawy! Uśmiechnęła się. Ach, ten słodki głos kochanka rozbrzmiewający w porannej ciszy. Jak muzyka, jak śpiew ptaków...

- Mówię, że nie mogę znaleźć tej cholерnej kawy! Jak ryk rannego bawołu.

Uśmiechnęła się czule, odrzuciła koldrę.

- Na półce nad kuchenką, tępaku. Zaraz zejść.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kolejny tydzień pobytu na pustkowiu doprowadzał Sunny do szaleństwa. Tak jak zawsze. Tym razem nawet miłość nie wystarczała jako przeciwwaga dla wlokących się godzin, przerywanych jedynie krzykiem ptaków i kapaniem wody z topniejących sopli.

Mogła dla urozmaicenia słuchać szumu wiatru w gałęziach drzew. Nie. Oddałaby wszystko za hałas podczas godzin szczytu w dużym mieście.

To, że urodziłam się w lesie, pomyślała, nie oznacza, że jestem stworzona do takiego życia.

Wraz z upływem dni okazywało się, że również Jacob nie jest entuzjastą pobytu na łonie przyrody. To odkrycie nie pomogło jednak ani jemu, ani jej.

Udawało się im zabijać czas sporami, w łóżku i poza nim. Oboje byli wybuchowi, w dodatku skazani wyłącznie na swoje towarzystwo. Nic dziwnego, że często dochodziło do gwałtownych spięć.

Sunny dużo spała. Uznała, że śpiąc, przynajmniej się nie nudzi. Nabrała więc zwyczaju ucinania sobie długich drzemek o różnych dziwnych porach. Gdy spała, Jacob wymykał się do szopy, w której znalazł skarb - latający skuter Cala. Dzięki niemu mógł robić szybkie wypadki do statku i wprowadzać nowe dane do głównego komputera.

Wmawiał sobie, że nie oszukuje Sunny, że wykonuje po prostu niektóre z zadań, które przed sobą postawił. Jeśli nawet oszukiwał, nie mógł na to nic poradzić. Niemal uwierzył, że to, o czym nie wiemy, nie może nas ranić.

Przyląpał się na tym, że porządkuje w myślach wspomnienia. O tym, jak Sunny wygląda, kiedy się budzi. O tym, jak się śmieje, jak słońce błyszczało w jej włosach, gdy budowali pod sosnami domek ze śniegu. Jak kochali się na podłodze przed kominkiem i w kuchni.

Będzie potrzebował tych wspomnień. Za każdym razem gdy wchodził do statku, coraz bardziej to sobie uświadamiał.

Sunny napisała listy do kilku wybranych uniwersytetów. Pogoda nie pozwalała jej jednak jak dotąd na wyprawę do Medford, skąd mogłaby je wysłać. Poza tym czytała, przegrywała z Jacobem w pokera, nawet wyciągnęła swój szkicownik. Rysowała drzewa, potem, gdy ją to znudziło, wewnątrz domu, wreszcie przeszła do karykatur.

Jacob dużo czytał, robił notatki w notesie, który znalazł w którejś szufladzie. Gdy Sunny pytała, czy przygotowuje się do jakiegoś eksperymentu, zbywał ją ogólnikami. Gdy naciskała, wciągał ją po prostu na kolana i sprawiał, że zapominała o temacie rozmowy.

Jeszcze dwukrotnie wysiadła elektryczność. Kochali się tak często, jak się kłócili, to znaczy bardzo często.

Pewnego dnia Sunny doszła do wniosku, że jeśli nie znajdą lepszego sposobu spędzania czasu, trafią do sanatorium dla nerwicowców.

Przerwała ślanie łożka i podbiegła do schodów.

- J.T.

Właśnie budował domek z kart.

- Co?

- Pojedźmy do Portlandu.

Wpatrywał się w interesujący zarys powstającej budowli. Przypominał Omegę II.

- J.T.

- Aha?

Zaczął ustawiać kolejne piętro.

- Chyba jednak jest już za późno - mruknęła i usiadła obok niego.

- Mamy jeszcze jakieś karty? Westchnęła.

- Nie.

- Myślałem o moście.

- Pomyśl lepiej o terapii wstrząsowej.

- Albo o pasie powietrznym.

- O czym?

- Nic takiego, zamyśliłem się i gadam od rzeczy. Prychnęła.

- Pojedźmy gdzieś za horyzont.

- Horyzont? Myślałem, że najbliższe miasto nazywa się Medford.

Otworzyła usta, lecz natychmiast je zamknęła. W końcu stwierdziła:

- Niekiedy mi się wydaje, że jesteś z innej planety.

- Nie, z tej. - Zapadła się część ostatniego piętra.

- Nie mogłabyś chuchać w inną stronę?

- Jacob, gdybyś poświęcił mi chwilę swego cennego czasu...

Spojrzał na nią i wreszcie się uśmiechnął.

- Odymasz wargi tak seksownie, że...

- Nie odymam warg.

Ponieważ złapała się na tym, że właśnie to zrobiła, dmuchnęła i zrujnowała całą budowlę.

- Właśnie zamordowałaś tysiące niewinnych ludzi.
- Chcę zamordować tylko jednego człowieka.
- Chwyła go za sweter. - J.T., jeśli się stąd nie wyrwę, zacznę burzyć ściany.
- Dasz radę?
- Tylko na mnie popatrz. - Przysunęła się bliżej.
- Portland. Ludzie, ruch, restauracje.
- Dokąd chcesz pojechać? Odsunęła się.
- Czy ty mnie w ogóle słuchasz?
- Oczywiście. Kiedy chcesz wyjechać?
- Tydzień temu. Teraz. Będę gotowa za dziesięć minut.

Wstała. Jacob, choć miał jej za złe zburzenie jego budowli, również wstał.

- A co ze śniegiem?
- Od trzech dni nie pada. Poza tym mamy samochód z napędem na cztery koła. Jeśli przedostaniemy się do szosy numer pięć, będziemy wolni.

Pomysł zainteresował Jacoba. Niemal zapomniał o najważniejszym.

- A jeśli wróci Cal? Roznosiła ją niecierpliwość.
- Tak szybko nie wróci. Poza tym, oni mieszkają tu na stałe. J.T., zastanów się, naprawdę chcesz, żebym dostała szału?

- Może. - Przyciągnął ją do siebie. - Lubię, kiedy szalejesz.
- Więc gotuj się na najgorsze.
- Jestem gotowy. Pociągnął ją na podłogę.

Rozpięła guziki flanelowej koszuli. On zdjął sweter. Zaczęli się całować.

Sunny wrzuciła torbę do bagażnika. Zdążyła zapakować szczoteczkę do zębów, szczotkę do włosów, ulubiony stanik i szminkę.

- Na wypadek, gdybyśmy musieli się po drodze zatrzymać - wyjaśniła.
- Po co mielibyśmy się zatrzymywać?
- Nie wiem, ile czasu zabierze nam wydostanie się z gór - Usiadła za kierownicą. -
Potem to już tylko pięć godzin.

Pięć godzin, pomyślał. Z jednej części tego samego stanu do drugiej. Przez ostatnie dni niemal zapomniał, w jakiej epoce się znalazł.

- Gotowy?
- Jasne.

Patrzył, jak Sunny przekręca mały kluczyk i silnik ożywa. Czuł wibracje. Kilka drobnych poprawek, pomyślał, a nawet ten archaiczny pojazd mógłby jeździć łagodnie i cicho. Niemal to powiedział, lecz na szczęście zamilkł, gdyż gwałtownie wcisnęła gaz.

- Nie patrz tak, będzie dobrze!

- Na pewno?

- Tak, to maleństwo ma moc jak czołg.

- Aha, widzę. - Uznał, że po niebezpiecznej podróży kosmicznej byłoby niedorzecznością zginąć tutaj, w tym starodawnym pojeździe. - Zakładam, że wiesz, co robisz?

- Pewnie, że wiem. Umiem prowadzić terenowy samochód.

Wjechali na wzniesienie. Na jego szczycie śnieg najpierw się roztopił, a potem zamarznął, zamieniając grunt w ślizgawkę. Jacob ocenił odległość od drzew. Mógł tylko mieć nadzieję, że Sunny potrafi je ominąć.

- Pozieleniałaś - zauważyła ze zdziwieniem. - Nie jechałeś nigdy czymś takim?

Pomyślał o swoim pojeździe LMP. Łąd, morze, powietrze. Poruszał się płynnie i cicho, szybko jak kometa.

- Nie, nigdy.

- Więc rozkoszuj się nowym doznaniem. Landrower podskoczył na ukrytym pod śniegiem kamieniu.

- Jasne.

Droga stała się mniej wyboista. Jacob trochę się uspokoił. Wszystko wskazywało na to, że Sunny potrafi prowadzić ten pojazd.

- Może byś coś złapał?

- Co?

- Coś w radiu.

Zjeżdżała teraz po pochyłości. Jacob dostrzegł na wprost kilka wyjątkowo dużych drzew. Przy tym kursie i prędkości wylądują na jakimś pniu najdalej za trzydzieści sekund...

- Nie damy rady! - krzyknął.

- Radio, J.T., złap wreszcie jakaś stację - poprosiła, mijając drzewo o centymetry.

Jacob przyjrzał się tablicy rozdzielczej. Tak, to ta gałka. Przekręcił ją.

- Znalazłbyś szybciej, gdybyś najpierw je włączył. Szybko nacisnął jakiś guzik i został nagrodzony rozdzierającymi uszy trzaskami. Ściszył i zajął się wyszukiwaniem stacji. Znalazł pierwszą. Przeróżliwy jazgot sprawił, że skulił się ze strachu. Spojrzał jednak niepewnie na Sunny.

- Jeśli to twoja ulubiona muzyka, to nie wiem, czy długo ze sobą wytrzymamy.

Szukał dalej. Natrafił na stację nadającą tradycyjny rock. Podobnej muzyki Jacob słuchał czasami w swojej epoce.

- Dobry wybór - pochwaliła Sunny, uśmiechając się do niego. - Jakiego muzyka najbardziej lubisz?

- Mozarta - odpowiedział, gdyż uznał, że to bezpieczne i częściowo zgodne z prawdą.

- Jak moja matka. Gdy byłam dzieckiem, tkęła, słuchając koncertu a - mol na klarnet. Mówiła, że ma czyste brzmienie. Mama lubi wszystko, co naturalne, pozbawione jakichkolwiek dodatków czy konserwantów.

- Jak przechowywać bez nich żywność?

- Ja zadaję jej to samo pytanie. Komu zaszkodzi trochę glutamianu sodu? Tata woli Boba Dylana.

- Roześmiała się z ulgą większą, niż chciałaby przyznać, gdyż wjechali wreszcie na regularną drogę. Gruntową, ale zawsze drogę. - Tak, pamiętam, z jakim zapałem pracowałem w ogródku. Nagi tors, sprane dżinsy, koraliki na szyi.

Jacob przypomniał sobie swego ojca, który, zawsze schludnie ubrany, sadząc róże, słuchał Brahmsa. I matkę. W niedzielne popołudnia siadywała w cieniu drzewa i czytała książkę. On i Cal grali w baseball i kłócili się o strefy.

- Polubiłbyś go - dodała.

Wyrwany z rozmyślań, nie wiedział, o kim mowa.

- Co?

- Mojego ojca - powtórzyła. - Myślę, że byś go polubił.

Zdusił w zarodku ogarniający go gniew. Wiedział, do czego zmierza Sunny.

- Twoi rodzice mieszkają w Portlandzie? - - zapytał.

- Tak, dwadzieścia minut drogi od mojego mieszkania. - Wjechała na szosę numer pięć prowadzącą na północ. - Chętnie cię poznają, zwłaszcza że niewiele wiedzą o rodzinie Cala. - Miły uśmiech, którym go obdarzyła, zniknął, gdy dostrzegła wyraz jego twarzy.

- Wiesz, dodała po chwili, poznanie moich rodziców nie jest jednoznaczne z zaciągnięciem cię do ołtarza.

Powiedziała to na pozór obojętnie, niemal chłodno. Gdyby nie był tak bardzo pochłonięty własnymi rozterkami, usłyszałby w jej głosie goręcz.

- Nie wspomniałaś o wizycie u rodziców.

Nie chciał ich poznawać. Nie chciał nawet o nich myśleć jako o realnych, żywych ludziach.

- Nie sądziłam, że to konieczne. - Zaczęła stukać lewą nogą o podłogę. - Różnimy się w poglądach na temat więzi rodzinnych. Ja po prostu nie wyobrażam sobie, że mogłabym przyjechać do miasta i nie odwiedzić rodziców.

- Nie wiesz, co znaczy dla mnie rodzina - odpowiedział gorzko.

- Nie? Zdołałam wywnioskować, że długa rozłąka z niektórymi członkami rodziny nie stanowi dla ciebie żadnego problemu. Twoja sprawa - dodała, zanim zdążył odpowiedzieć. - I oczywiście nie masz obowiązku towarzyszenia mi, kiedy do nich wpadnę. - Stukała palcami w kierownicę, w tym samym rytmie, co nogą w podłogę. - W gruncie rzeczy nie zamierzałam im o tobie wspominać.

Nie odpowiedział. Gdyby to zrobił, musiałby potem zbyt wiele wyjaśniać.

Nie wiedziała, jak on się czuje. Dla niej wszystko było proste i oczywiste. Żeby odwiedzić rodzinę, musiała tylko wskoczyć do tej karykatury pojazdu i przejechać mały kawałek po tej namiastce drogi. Mogła też do nich telefonować. Mogłaby ich odwiedzać, nawet gdyby wyprowadzili się na drugą półkulę. Technologia dwudziestego wieku umożliwia takie podróże.

Nie wiedziała nic o prawdziwym oddaleniu. Jak by zareagowała, gdyby się okazało, że prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy siostry? Nie byłaby wtedy taka zadowolona z siebie.

Przez następną godzinę Jacob przyglądał się innym pojazdom na drodze. Śmiesznie niezdarnym, powolnym i absurdalnie nieekonomicznym. Do tego dwutlenek węgla emitowany do atmosfery. Niesamowite, ci głupcy sami zatruwają powietrze, którym oddychają. Nie szanują własnego zdrowia, nie troszczą się o losy przyszłych pokoleń.

A Sunny uważała, że to on jest pozbawiony serca.

Zastanawiał się, co by się stało, gdyby wszedł do ich archaicznego laboratorium i nauczył kilku nowych technologii. Pewnie złożyliby w ofierze owcę i obwołali go bogiem.

Nie, muszą sami do wszystkiego dojść.

Zobaczył ze zdziwieniem, że Sunny zjeżdża z szosy.

- Co robisz? - zapytał.

- Zamierzam coś zjeść i zatankować - warknęła, nie patrząc na niego.

Zatrzymała samochód przed stacją benzynową, wysiadła i zatrzasnęła z rozmachem drzwiczki. Mrużąc coś pod nosem, zaczęła nalewać benzyne.

Zapomniała, jak Jacob rozumuje. Oczywiście uznał, że wciągam go w jakąś pułapkę, myślała z furją. Że natychmiast zaczniemy rozmawiać o ślubie. Zaciśnęła zęby. To obraźliwe.

Może go kochała, choć żałowała teraz, że tak się stało. Ale czy wywierała na niego jakikolwiek nacisk? Nie dawała mu przecież w żaden sposób do zrozumienia, że powinien paść na kolana i poprosić ją o rękę. Jeśli sądził, że chce go przedstawić rodzicom jako przyszłego męża, to on chyba rzeczywiście jest świrem albo ma jakąś obsesję.

Po chwili Jacob postanowił rozprostować nogi. I rozejrzeć się.

A więc to jest stacja benzynowa, pomyślał, przypatrując się dystrybutorom. Sunny włożyła końcówkę węża do otworu z boku pojazdu. Z wyrazu jej twarzy wywnioskował, że ta czynność nie sprawia jej przyjemności. Za nią, na wyświetlaczu, zmieniały się szybko cyfry. W powietrzu unosił się silny smród paliwa.

Wciąż podjeżdżały kolejne samochody. Niektórzy kierowcy nie wysiadali. Czekali na człowieka w czapeczce, który podchodził i wykonywał te same czynności co Sunny. Inni szli w jej ślady i dygotali z zimna.

Przy ścianie oddalonego nieco od drogi budynku zobaczył kobietę z trojgiem dzieci. Dzieci się kłóciły, kobieta z trudem starała się przywrócić spokój. Uśmiechnął się. Pewne wzory zachowań pozostały niezmiennie.

Drogą przejeżdżały samochody. Jacob skrzywił się, czując spaliny. Przetoczyła się ogromna ciężarówka, zostawiając za sobą obłok dymu.

Widział wiele budynków, wysokich, niskich. Wszystkie stłoczone tak, jakby bały się osamotnienia. Architektura pozostawiała wiele do życzenia, całość wyglądała brzydko. Nieco dalej zobaczył jednak coś, co sprawiło, że zatęsknił za domem. Dwa wysokie, złote łuki. Przynajmniej ta konstrukcja nosi ślady pewnej koncepcji artystycznej, uznał. Odwrócił się i uśmiechnął do Sunny.

Nie zareagowała. Zamknęła miejsce wlewu paliwa i odwiesiła wąż. Może się nie odzywać, pomyślał. I tak nie przeproszę za coś, co nie jest moją winą. Poszedł jednak za nią. Weszli do pomieszczenia wypełnionego rzędami półek i oszklonych szafek z napojami.

Gdy Sunny wyjęła papierowe pieniądze, musiał się powstrzymać, żeby nie wyciągnąć ręki i nie dotknąć ich. Człowiek w czapeczce postukał w klawisze maszyny. Na wyświetlaczu pojawiły się cyfry. Mężczyzna wziął papier, a w zamian za to dał Sunny metalowe krążki.

To też są pieniądze, przypomniał sobie Jacob. Tak zwane monety. Niestety, wrzuciła je do kieszeni, zanim zdążył im się lepiej przyjrzeć. Zastanawiał się, jak ją poprosić o podarowanie mu kilku.

Kobieta, na którą zwrócił wcześniej uwagę, wprowadziła dzieci do środka. Cała trójka rzuciła się natychmiast do półek ze słodyczami.

- Tylko po jednym, pamiętajcie - upomniała dzieci kobieta.

Mówiąc to, szukała czegoś w torebce.

Dzieci znów wszczęły kłótnię. Najmniejsze upadło pupą na podłogę i zaczęło płakać. Jacob pochylił się odruchowo, żeby pomóc dziewczynce wstać. Potem podniósł zgnieciony batonik i podał jej.

Zobaczył wpatrzone w siebie duże, niebieskie oczy.

- Popchną mnie. Zawsze mnie popycha - poskarżyła się.

- Niedługo będziesz taka duża jak oni - pocieszył ją.

- Nie będą mogli cię popychać.

- Przepraszam - powiedziała matka dziewczynki.

- Jechaliśmy długo i w końcu zaczęły wariować. Scotty - zwróciła się do chłopca - przez następne dwadzieścia kilometrów nie wolno ci się odzywać.

Gdy Jacob odwracał się, dziewczynka obdarzyła go promiennym uśmiechem. Tak samo jak Sunny.

- Czy nadal ze mną nie rozmawiasz? - zapytał, gdy wracali do samochodu.

- Nie rozmawiam. - Co za pech, pomyślała. Byłoby o wiele łatwiej nienawidzić tego bałwana, gdyby nie zachował się tak miło wobec trzylatki. - Ja jestem już dużą dziewczynką, trudniej mnie oczarować niż małego brzdąca.

- Możemy rozmawiać na jakiś neutralny temat. Włączyła silnik.

- Nie mamy żadnych neutralnych tematów. Trafiła. Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Mógłby ją po prostu pocałować, ale nie zrobił tego.

Zatrzymała samochód przy tablicy z wykazem oferowanych dań.

- Co zjesz? - zapytała.

Chciał poprosić o McGalaktyka i laserowe pierścienie, nie zobaczył jednak w menu tych dań. Postanowił ponownie zdać się na Sunny.

- Podwójną porcję tego, co ty.

Nie mógł się powstrzymać. Dotknął jej włosów. Zniecierpliwiona potrząsnęła głową. Rzuciła do mikrofonu zamówienie i dołączyła do kolejki pojazdów.

- Będzie prędzej, jeśli zjemy w drodze - wyjaśniła.

- Czy się spieszymy? - zapytał.

- Nie lubię marnować czasu.

On też nie lubił. Zastanawiał się, co jeszcze ich łączy. Kolejka posuwała się powoli.

- Sunny? Cisza.

- Kocham cię.

Noga ześlizgnęła się ze sprzęgła. Samochód skoczył naprzód, więc Sunny gwałtownie wcisnęła hamulec. Pojazd stanął i jeszcze przez chwilę kołysał się na resorach.

Spojrzała na Jacoba. - Co?

- Powiedziałem, że cię kocham. - Wyznanie nie przyszło mu z taką trudnością, jak oczekiwał. Właściwie poczuł się po nim dobrze. Bardzo dobrze. - Wiesz, pomyślałem sobie, że powinienem wyjaśnić tę kwestię.

- Och.

Wiedziała, że to nie jest najinteligentniejsza odpowiedź, na jaką ją stać. Patrzyła na szybę stojącego przed nimi samochodu. To znaczy na przyczepionego tam przyssawkami pluszowego kota. Uśmiechał się do niej. Kolejka znów ruszyła, ktoś z tyłu niecierpliwie zatrąbił. Roztrzęsiona Sunny podjechała do okienka.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia? Tylko „och”?

- Ja... nie jestem pewna, co...

- Razem dwanaście siedemdziesiąt pięć! - krzyknął chłopak, podając dwie papierowe torby.

- Co?

- Dwanaście siedemdziesiąt pięć. Uważa pani, że za dużo?

- Przepraszam.

Wzięła torby, rzuciła je na kolana Jacoba. Zaklął, a ona wyszukała dwudziestodolarowy banknot i podała chłopcu. Nie czekając na resztę, wjechała na najbliższe wolne miejsce na parkingu.

- Chyba oparzyłaś mnie w...

- Przepraszam - warknęła. Ponieważ czuła, że zrobiła z siebie idiotkę, postanowiła wywołać awanturę. - To twoja wina, baranie. Wybrałeś bardzo nieodpowiedni moment. Czego się spodziewałeś? Że rzucę ci się w ramiona, patrząc, jak wkładają do bułki plasterki ogórka?

- Nigdy nie wiem, czego się po tobie spodziewać. Wyjął z torby zapakowanego w folię hamburgera i rzucił jej.

- Po mnie? - Odwinęła hamburgera i odgryzła potężny kęs. Nawet to jej nie uspokoiło.

- Po mnie? - To ty wszystko zacząłeś, Hornblower. Najpierw mnie obrażasz, potem mówisz, że mnie kochasz, a na koniec rzucasz we mnie hamburgerem.

- Zamknij się i jedz.

Wcisnął jej w dłoń papierowy kubek.

Prędeż odgryzie sobie język, zanim powie jej coś takiego po raz drugi. Nie wiedział, co go napadło. To przez ten smród benzyny, przez spaliny, na pewno. Nikt o zdrowych zmysłach nie mógłby pokochać takiej jędzy. A on, pomimo niesprzyjających warunków, jest jeszcze chwalić Boga poczytalny.

- Kilka minut temu błagałeś, żebym z tobą porozmawiała - przypomniała mu, gryząc słomkę.

- Nie błagałem. Ja nigdy nie błagam. Spojrzała na niego.

- Błagałbyś. Gdybym tylko zechciała. Mógłby ją udusić. Za to, że powiedziała prawdę.

- Podobno mieliśmy zjeść w drodze.

- Zmieniłam zdanie.

Czuła się tak rozrzucona, że nie wiedziała, czy zdoła poprowadzić samochód. Ale na pewno nie da tego po sobie poznać. Ponieważ siedząc za kierownicą, nie mogła kopnąć Jacoba, porzuciła na patrzeniu przez szybę. Jadła bez przyjemności, wściekła, że odebrał jej apetyt. Tylko pomyśleć, wyznał mi miłość, kiedy czekaliśmy na hamburgery. Co za styl, jakie wyczucie chwili!

Spojrzała na niego ukradkiem. Siedział spokojnie, miał ponurą minę. Widziała wielokrotnie, jak się złości, teraz jednak, gdy trwał w zaciętym milczeniu, roztkliwiła się. Za dwadzieścia lat będzie się śmiała na wspomnienie okoliczności, w jakich Jacob wypowiedział po raz pierwszy te magiczne słowa.

Wspięła się kolanami na siedzenie i zarzuciła mu ręce na szyję. Podskoczył, gdy zimny płyn wylał się mu na kolana.

- Cholera, Sunny, co ty wyprawiasz...

Ucichł, gdy znalazła ustami jego usta. Spróbował przyciągnąć ją bliżej, lecz przeszkadzała w tym dźwignia zmiany biegów.

- Czy powiedziałaś to szczerze? - zapytała, strącając na podłogę to, co pozostało z ich posiłku.

Nie pójdzie jej tak łatwo, pomyślał.

- Co czy powiedziałem szczerze?

- To, co powiedziałeś.

Posadził ją sobie na kolanach. Starannie zadbał, by siedziała dokładnie na mokrej plamie na jego spodniach. Taki rodzaj zemsty.

- Kiedy?

Prychnęła niecierpliwie, lecz otoczyła go ramieniem.

- Wtedy, kiedy powiedziałeś, że mnie kochasz. Mówiłeś to szczerze?

- Mogło tak być - zgodził się. Włożył jej ręce pod kurtkę, musiał się jednak zadowolić dotykiem flanelowej koszuli. - A może tylko chciałem jakoś nawiązać rozmowę.

Przygryzła wargę.

- Masz ostatnią szansę, Hornblower. Mówiłeś szczerze?

- Tak. - Niech Bóg pomoże im obojgu. - Chcesz się znów o to kłócić?

- Nie. - Przytuliła policzek do jego twarzy. - Przynajmniej nie teraz. - Westchnęła. - Wiesz, to mnie trochę przeraża.

- No, to znów mamy ze sobą coś wspólnego. Pocałowała go w szyję.

- Przestraszę cię jeszcze bardziej. Ja też cię Kocham. Wiedział to od dawna, a jednak...

Przyciągnął ją i pocałował.

Nie wydawało się mu dziwne, że obejmują się i całują w samochodzie, na parkingu przy ruchliwej drodze i w biały dzień. Znacznie bardziej dziwił go fakt, że w ogóle tu był, że znalazł Sunny mimo dzielących ich stuleci.

Nie mogła z nim pojechać. On nie mógł z nią zostać. A czas mijał.

- Nie wiem, co z tym zrobimy - mruknął. Musiał istnieć jakiś sposób. Jakiś wzór, jakaś teoria. Jednak nie wymyślono jeszcze komputera, który byłby w stanie dokonać analizy ludzkich emocji.

- Nie myśl o tym teraz. Mamy mnóstwo czasu. - Wtuliła się w niego, nie widziała na szczęście jego oczu, które mogłyby coś zdradzić. - A skoro mowa o czasie, przed nami prawie dwie godziny jazdy do Portlandu.

- Zbyt długo.

Zachichotała i wróciła na swoje siedzenie.

- Podzielam twoje zdanie.

Wyjechała z parkingu na drogę. Po kilku minutach zadowolona zatrzymała samochód przed najbliższym napotkanym motelem.

- Chyba możemy zrobić sobie przerwę. Porwała torbę i poszła do recepcji.

Tym razem posłużyła się plastikową kartą - czymś znacznie mniej egzotycznym.

- Ile mamy czasu? - - zapytał, gdy odebrała z recepcji klucz.

- Może to tylko motel - odparła, zmierzając do drzwi oznaczonych numerem 9 - ale nie sądzę, by wynajmowali pokoje na godziny. Mamy więc - przekreśliła klucz w zamku - resztę dnia. No i całą noc, jeśli chcemy.

- Chcemy.

Chwycił ją w chwili, gdy przekroczyła próg. Zatrzasnął drzwi ciężarem ich splecionych ciał. Sunny zasunęła zasuwkę.

- J.T., poczekaj.

- Dlaczego?

- Wolałabym zasłonić okna.

Przejechał dłonią po ścianie, szukając przycisku. Drugą ręką zdarł z Sunny kurtkę.

- Co robisz?

- Szukam przełącznika. Zaśmiała się.

- Za trzydzieści pięć dolarów za dobę trzeba zasłaniać okna ręcznie. - Wyrwała się, żeby to zrobić. - Chciałabym zobaczyć hotele, w których ty się zatrzymujesz.

Gdy zasłoniła okna, wewnątrz pociemniało. Tylko środek pokoju, gdzie stanęła Sunny, oświetlała jasna plamka.

- W Maine jest taki hotel - powiedział, zrzucając pożyczoną kurtkę. Usiadł, żeby zdjąć buty. - Na cyplu, na takiej konstrukcji, że pokoje wiszą nad morzem. Fale łamią się przed oknami, pod podłogą. Okna są.. - Jak to wyjaśnić? - Zrobiono je ze specjalnego materiału, tak że ze środka jest widok aż po horyzont, a z zewnątrz niczego nie widać. Mają tam ogromne wanny, a z kranów leci perfumowana woda. - Powoli wstał. - Można słuchać muzyki, wystarczy o tym pomyśleć. Jeśli marzysz o świetle księżyca albo szumie deszczu, wystarczy nacisnąć guzik. Łóżka są miękkie i duże, tak że mężczyzna musi szukać swojej kobiety. Kiedy się tam jest, czas staje w miejscu.

- Wymyśliłeś to? Pokręcił głową.

- Gdybym mógł, zabrałbym cię tam.

- Nie szkodzi, potrafię to sobie wyobrazić. - Zadrzała, gdy dotknął jej ramion. - Możemy udawać, że tam jesteśmy. Chyba jednak nie uda się załatwić blasku księżyca - dodała z uśmiechem.

Zdjął jej buty.

- Co zamiast tego proponujesz?

- Burzę. I błyskawice. To właśnie czuję, gdy mnie dotykasz.

W nim również rozszalała się burza. Zobaczył jej odbicie w oczach Sunny. Wstała, zerwała z niego koszulę, podeszła tak blisko, że ich ciała się zetknęły. Zanim zdążył ją pocałować, wpila się wargami w jego szyję.

Potem wodziła ustami po piersi, wdychając zapach męskiej skóry. Była miękka, rozkosznie miękka, choć opinała twarde mięśnie.

Zbliżyła twarz do jego serca. Czowała, jak bije. Biję dla niej. Spojrzała mu w oczy.

Oszołomiony, nadal stał nieruchomo. To, co robiła Sunny, niemal pozbawiało go przytomności. Opadła na kolana, rozpięła mu dzinsy. Czas nie stanął jednak w miejscu. Cofnął się. Do epoki, w której mężczyźni posługiwali się narzędziami i bronią z krzemienia. Jęknął, porwał ją w ramiona i pocałował.

Znalazła się pod nim na łożku. Oddychała szybko, powietrze zdawało się rozdzierać płuca. Słyszała, że Jacob coś mówi, lecz nie rozumiała sensu słów. Zdarła z siebie bluzkę, guziki poleciały na boki. Wykrzyknęła jego imię, zdumiona siłą, jaka z niego emanowała. Potem mogła już tylko ciężko dyszeć, walcząc o powietrze, o resztki samokontroli.

Gdy pierwszy orgazm minął, tym razem nie utraciła sił. Objęła mocno Jacoba, odchyliła głowę.

Jak oszalały szarpał jej dzinsy. Chciał, by Sunny też była naga. Poczwała, że jego ciało drży. Poraziła ją potęga jego pożądania.

Wszedł w nią, wypełniał ją rozpałał.

Szybciej, głębiej... Fale rozkoszy narastały. Wygięła ciało w łuk. Gdy skończył, ona właśnie znów zaczynała. Nie odróżniała już początku od końca, końca od początku. Nie dbała o to.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sunny energicznie otworzyła drzwi swego mieszkania. Zignorowała ciche skrzypnięcie oznaczające, że pani Morgenstern uchyliła swoje, żeby obserwować, kto wchodzi albo wychodzi z drugiego piętra.

Sunny wybrała to piętro pomimo kapryśnej windy i hałasów dochodzących od sąsiadów, ponieważ jej małe mieszkanko miało coś, co mogło uchodzić za balkon. Dawało się tam nawet usiąść na krześle, pod warunkiem że jego tylne nogi pozostawały wewnątrz mieszkania. Z balkonu rozciągał się widok na parking.

Jej to wystarczało.

- Tak to wygląda - obwieściła nieco zdziwiona nostalgią, która ogarnęła ją na widok znajomych sprzętów i mebli.

Jacob wszedł za nią. Przez drzwi balkonowe do mieszkania wpadało światło słoneczne. Ściany zajmowały liczne fotografie, szkice, obrazy olejne i plakaty.

Nawet w swoich czterech ścianach Sunny lubiła mieć towarzystwo.

Na sofie piętrzyły się kolorowe poduszki. Przed nią stał stolik pełen czasopism, książek i listów - otwartych i nieotwartych. W kącie stał duży wazon z pawimi piórami.

W dalszej części pomieszczenia Jacob dostrzegł inny stół. Rozpoznał wspaniałą robotę z poprzedniego stulecia. Na zakurzonej blacie spoczywała para baletek, jakieś niebieskie wstążki i nadtłuczony czajniczek do herbaty. W drewnianym pudle piętrzyły się płyty i kasety. Na wysokim wiklinowym taborecie stała błyszcząca papuga z porcelany.

- Interesujące - zauważył.

- No cóż, to jest mój dom. - Podała mu papierową torbę, pełną ciasteczek i napoi, które kupili po drodze. - Postaw to wszystko w kuchni, dobrze? Chcę odsłuchać sekretarkę.

- Dobrze. Gdzie?

- Tam - pokazała i znikła za innymi drzwiami. W kuchni zatrzymał się na dłużej. Tym razem jego uwagi nie przykuły urządzenia i sprzęty, do których zdążył się już przyzwyczaić, lecz imbryczki do parzenia herbaty.

Były wszędzie, zajmowały wszystkie wolne przestrzenie na półkach, ścianach, na lodówce. Wszystkie kolory i kształty, od topornych do wyrafinowanych.

Nigdy nie wpadłby na to, że Sunny może cokolwiek zbierać. Była zbyt żywa, zbyt ruchliwa, żeby zaprzętać sobie głowę rzeczami. Spodobało mu się, że w głębi duszy jest sentymentalna.

Przyjrzał się jednemu z czajniczków, szczególnie krzykliwemu. Pękate fajansowe naczynie z jakimś ptakiem na pokrywce i ogromnymi, brzydkimi stokrotkami na bokach. Może z czasem, gdy ten przedmiot się zestarzeje, stanie się cennym okazem kolekcjonerskim.

Odstawił czajniczek i zaczął zwiedzać mieszkanie. Wstążki okazały się trofeami. Za pływanie, szermierkę, jazdę konną. Widać było, że Sunny nie umie skupić się na jednej dziedzinie. Zobaczył jej podpis pod jednym z obrazów na ścianie. Wisiały tam również szkice krajobrazów miejskich, obrazy zatłoczonych plaż. Uznał, że na pewno zrobiła też wiele z wiszących na ścianie fotografii.

Tutaj dostrzegano się więcej talentu. Gdyby autorka skoncentrowała się na jednej dziedzinie, na pewno osiągnęłaby mistrzostwo. Choć mogło to dziwić, wołał ją jednak taką, jaką była, nie poprzestającą na jednym. Eksperymentującą, szukającą nowej wiedzy i doświadczeń. Nie chciał, żeby się zmieniła.

Wystarczy, że Sunny zmieniła jego. Trudno mu było pogodzić się z tym faktem, lecz pod jej wpływem zmienił pogląd na wiele istotnych spraw. Teraz wystarczała mu już tylko jedna osoba. Zresztą kompromis nie musi oznaczać rezygnacji. Miłość nie pociąga za sobą wyrzeczenia się własnej osobowości, powinna raczej nas wzbogacać.

Zaczął się zastanawiać, jak przeżyje bez Sunny resztę życia.

Ruszył w kierunku sypialni. Sunny stała w czymś, co początkowo wziął za szafę lub schowek. Zobaczył jednak łóżko i okazało się, że to cały pokój.

Choć był małeńki, Sunny udało się tu upchnąć trochę rzeczy. Kolejne książki, pluszowy niedźwiadek, łyżwy. Para nart wisiała na ścianie jak skrzyżowane szable.

Na nocnej szafce stały buteleczki, co najmniej dwadzieścia rodzajów perfum i wód. Zobaczył też fotografię jej rodziny.

Trudno mu było się na niej skoncentrować, gdyż gospodyni stała przy łóżku rozebrana do pasa. Zdjęła sweter, który musiał jej pożyczyć na pozostałą część podróży, gdyż koszula po nocy w motelu nie nadawała się do użytku. Słuchając informacji nagranych na urządzeniu, które było jednocześnie radiem, budzikiem i telefonem z automatyczną sekretarką, szukała w szafie czegoś, w co mogłaby się ubrać.

- Cześć, kotku - głos z maszyny brzmiał bardzo męsko. Jacob natychmiast zniechęcił się do właściciela. - Tu Pete. Już się nie daszasz, co, laleczko? - Daj spokój, Sunny, wybaczyć i zapomnieć, to nasze życiowe credo, prawda - Zadzwoń, pójdziemy potańczyć. Tęsknię za twoją ładną buzią.

Sunny prychnęła i wyciągnęła z szafy koszulkę.

- Kto to jest Pete?

- Ojej. - Przyłożyła rękę do piersi. - Przestraszyłeś mnie, Jacob.

- Kim jest Pete? - powtórzył.

- Po prostu facetem. - Włożyła koszulkę. - Miałam nadzieję, że przyniosłeś coś do picia. - Usiadła na łóżku, żeby zdjąć buty.

- Sunny. - Tym razem głos w urzędzeniu był miły i zdecydowanie damski. - Dostaliśmy pocztówkę od Libby i Cala. Daj znać, kiedy wrócisz do miasta.

- Moja matka - wyjaśniła Sunny. Z uśmiechem wręczyła mu sweter. - Proszę, oddaję.

Dopiero teraz zdjął kurtkę. Pod spodem nic nie miał. Gdy wkładał sweter, maszyna odtworzyła następną wiadomość.

- Hej, Sunny, tu Marco, gdzie się podziewasz, słodziutka? Od tygodnia nie mogę się do ciebie dodzwonić. Odezwij się, kiedy wrócisz. - Zanim rozległ się sygnał, maszyna odtworzyła z taśmy przeciągłe cmoknięcie.

- Kim jest Marcos - zapytał Jacob niebezpiecznie spokojnym głosem.

- Innym facetem.

Spojrzała ze zdziwieniem, gdy wziął ją za ramię i zmusił, by wstała.

- Ilu ich jest?

- Ile czego? Wiadomości?

- Mężczyzn.

- Sunny, mówi Bob. Pomyślałem, że zechciałabyś... Sunny wyłączyła sekretarkę.

- Nie prowadzę ewidencji. Zamierzasz porównać naszą przeszłość, J.T.?

Nie odpowiedział, gdyż odebrało mu głos. Puścił ją i odszedł.

Zazdrość. To właśnie uczucie go przepęniało. Jakże go nienawidził. Jest przecież inteligentny. Wie, że Sunny nie urodziła się dopiero w chwili, w której wkroczył w jej życie. Kobieta taka jak ona, piękna i fascynująca, musiała pociągać mężczyzn. Wielu mężczyzn. Gdyby mógł, zabiłby teraz ich wszystkich, jednego po drugim. Za to, że zabrali coś, co należało do niego.

I coś, co do niego nie należało. Zaklął i odwrócił się, mocno zaciskając pięści. Stała przy drzwiach i patrzyła na niego.

- Szykujesz się do walki?

Na jej widok poczuł ból. Z powodu tego, co już się stało, i tego, co nie mogło się stać.

- Nie.

- To dobrze.

- Nie chcę, żeby oni się koło ciebie kręcili - warknął.

- Nie bądź głupi.

Podszedł do niej trzema szybkimi krokami.

- Mówię poważnie.

- Ja też. Cholera, czy naprawdę uważasz, że któryś z nich może dla mnie coś znaczyć teraz, kiedy jestem z tobą?

- Jeśli nie...

- Co? Sądzisz, że możesz mi wydawać polecenia, koleś? Grubo się mylisz. Nie muszę...

- Nie, nie musisz - przerwał jej. - Wiesz, po prostu niezbyt dobrze to znoszę. Nigdy przedtem nie byłem zakochany.

Spojrzała na niego łagodnie.

- Ja także nie. Przynajmniej nie w taki sposób. Uniósł jej dłoń i pocałował.

- Wiesz, mimo wszystko co za dużo, to niezdrowo. Odsłuchaj resztę komunikatów później.

Rozbawiona tym doborem słów uśmiechnęła się.

- Jasne. Tymczasem, częstuj się, czym chcesz. Telewizor jest w sypialni, sprzęt grający tutaj. Wrócę za kilka godzin.

- Dokąd się wybierasz?

- Odwiedzić rodziców. Możemy później pójść na kolację i potańczyć.

- Sunny. Chciałbym pójść z tobą. Przyjrzała się mu.

- Nie musisz, Jacob, naprawdę.

- Wiem, po prostu chciałem. Pocałowała go w policzek.

- Ubieraj się - zakomenderowała.

William Stone podszedł bosy do drzwi swego eleganckiego domu w stylu Tudorów. Koszulka wisiała na nim luźno, jak na wieszaku. Dżinsy miał wypchane na kolanach, lecz nie pozwalał ich wyrzucić. W jednej dłoni trzymał przenośny telefon, w drugiej banana.

- Posłuchaj, Preston, chciałem, żeby nowa kampania reklamowa była subtelna. Żadnych tańczących torebek z herbatą, żadnej muzyki metalowej i tańczących misiów. - Otworzył drzwi. - Tak, to dotyczy również tańczących walca królików. Chcę... - Zobaczył córkę i uśmiechnął się od ucha do ucha. - Zajmij się tym, Preston - zakończył i przerwał połączenie.

- Cześć, dzieciaku.

Sunny pocałowała go hałaśliwie w oba policzki i zabrała mu banana. - Gruba ryba przemówiła.

William skrzywił się, zerkając na telefon. Takie uwagi wprawiały go w zakłopotanie.

- Ja tylko...

Zamilkł, gdyż ujrzał stojącego w progu mężczyznę. Starał się sobie przypomnieć jego nazwisko. Sunny często przyprowadzała do domu znajomych i przyjaciół.

W każdym razie William odrzucał samą myśl o tym, że jego mała dziewczynka mogłaby mieć kochanków. Ten człowiek wydawał mu się znajomy, nie mógł sobie jednak przypomnieć jego nazwiska.

- To jest J.T. - przedstawiła gościa Sunny po przeknięciu ostatniego kawałka banana. Obejmowała ojca w pasie.

Jak dwa ziarenka piasku, pomyślał Jacob, zadowolony z odnalezionego w pamięci frazeologizmu. Ta sama karnacja, budowa ciała, to samo szczere, lecz baczne spojrzenie. Postanowił przejąć inicjatywę. Przekroczył próg i wyciągnął rękę.

- Panie Stone...

William, nadal obejmując córkę, włożył telefon do tylnej kieszeni dżinsów i dopiero wtedy uściśnął wyciągniętą ku niemu dłoń.

- Hornblower - oznajmiła Sunny z radością. - Jacob Hornblower, brat Cala.

- Nie żartuj. - Uściśnął mocniej dłoń Jacoba, uśmiechnął się szerzej. - Miło cię poznać. Myśleliśmy już, że Cal zmyślił swoją rodzinę. Wejdz, Caro gdzieś tu jest.

Puścił dłoń Jacoba, nadal jednak obejmował Sunny. Zaprowadził ich przez hol do saloniku. Jacob zauważył, że jaskrawe kolory mieszają się z pastelami. Wnętrze było bardzo eleganckie. Tak, prostota jest ponadczasowa.

Dostrzegł kryształ, antyki i oczywiście dzieła Caroline Stone. Zdziwił się, że tak po prostu wisiały na ścianach, pełniąc rolę kilimów. Odebrało mu jednak mowę dopiero na widok cuda, które leżało na podłodze. Arcydzieło w charakterze zwykłego dywanu?

- Usiądź - powiedział William, przechodząc bezceremonialnie przez bezcenne dzieło sztuki. - Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję.

Spojrzał na ozdobne drzewko cytrynowe za oknem. Jego ojciec hodował takie samo.

- Musisz się napić herbaty - zaprotestowała Sunny, siadając obok niego na sofie. - Nie chcesz chyba zranić uczuć ojca.

- Tak, oczywiście, poproszę.

Spojrzał na Williama i napotkał jego uważny wzrok.

- Ja też poproszę, tato. Może Orientalną Ekstazę? - przerwała ciszę Sunny.

- Doskonale, zajmę się tym. William ruszył do kuchni.

Sunny zachichotała i dotknęła dłoni Jacoba.

- Chyba powinnam cię ostrzec... - Spojrzała ze zdziwieniem na Jacoba, gdyż ten wpatrywał się osłupiały w jeden z kilimów jej matki. - J.T., słuchasz mnie i Jacobs.

- Tak.

- Co?

- Ostrzegam cię, ojciec jest wścibski. Będzie ci zadawał wszelkiego rodzaju pytania, w większości osobiste. Już taki jest.

- Aha.

Nie mógł się powstrzymać. Wstał, podszedł do prostokątnej tkaniny, musnął ją dłonią.

- Piękne, prawda?

- Tak, bardzo piękne. Sunny też wstała.

- Mama staje się coraz bardziej docenianą artystką.

„Doceniana”, to niezbyt stosowne słowo w odniesieniu do Caroline Stone, pomyślał Jacob. W muzeach jej dzieła wystawiano tylko za pancernymi szybami. Uczyli się o niej studenci w całym wszechświecie. A tutaj jedna z jej prac po prostu wisiała na ścianie i mógł jej dotknąć.

- Sprzedawała koce i inne wyroby, żeby zarobić na jedzenie.

- To tylko mit.

- Przepraszam?

- Nic takiego.

Opuścił rękę. Po raz pierwszy od opuszczenia statku czuł się zdezorientowany. Uczył się o tych ludziach z dysków o historii. Teraz przebywał tutaj, w ich domu. Kochał ich córkę. Jak mógł się zakochać w kobiecie, która żyła - i zmarła - dwa stulecia wcześniej, niż on się urodził?

Panika. Takiego właśnie uczucia doznał. Chwytał Sunny za ramiona. Prawdziwe. Materialne i ciepłe.

- Sunny.

- Co się stało? - Widziała, że Jacob zbladł. - O co chodzi?

Pokręcił głową. Nie wiedział, co powiedzieć. Nie znał słów, którymi mógłby to wyjaśnić. Zamiast tego pocałował ją, by chociaż w ten sposób uwolnić się od strachu.

- Kocham cię.

- Wiem. - Poruszona brzmieniem jego głosu pogłaskała go po policzku. - Oboje się w końcu do tego przyzwyczaimy.

- Dzień dobry.

Odsunęli się od siebie. W drzwiach stała Caroline.

Ciemne proste włosy opadały jej na ramiona. Z uszu zwisały się klipsy z koralików. Uśmiechała się, wyraźnie rozbawiona. Miała na sobie luźną męską koszulę, obcisłe granatowe spodnie i mokasyny. Trzymała na ręku niemowlę.

- Mamo!

Sunny podbiegła do niej, żeby się przywitać. Była trochę wyższa od matki, musiała się więc nachylić, by pocałować ją równie entuzjastycznie jak ojca. Śmiejąc się, wzięła na ręce dziecko.

- Cześć, Sam, jak leci? Ojej, jak ty urosłeś!

- Odziedziczył apetyt po siostrzyczce - poinformowała Caroline.

Sunny uśmiechnęła się.

- J.T., to jest moja mama Caroline i mój brat King Samuel.

- J.T. - Caroline zdążyła już dostrzec podobieństwo. - Musisz być bratem Cala.

- Tak.

Poczucie nierealności powróciło, gdy podeszła do niego i zamiast podać mu rękę, delikatnie pocałowała go w policzek.

- Zawsze chcieliśmy poznać kogoś z rodziny Cala. Jest z ciebie bardzo dumny.

- Tak?

- Tak, żebyś wiedział. Rodzice przyjechali z tobą?

- Nie, nie mogli.

Rozczarowanie w jej oczach było krótkie, lecz szczere.

- No cóż, miło, że ty wpadłeś. Gdzie jest Will - zwróciła się do Sunny.

- Robi herbatę.

- Ach, oczywiście. Usiądź, proszę. Jesteś astrofizykiem, prawda?

- Tak.

Siedział obok Caroline. Sunny usadowiła się z dzieckiem na podłodze.

- J.T. zajmuje się właśnie podróżami w czasie - poinformowała matkę.

- Naprawdę? Will oszaleje. Właśnie zainteresował się kwestią równoległych światów.

- Znudziła go już reinkarnacja?

- Nie, w tym zachowuje konsekwencję. Jest przekonany, że był członkiem pierwszego Kongresu.

- Zawsze w awangardzie. - Sunny uśmiechnęła się do Jacoba. - Mój ojciec lubi kontrowersyjne zagadnienia. Dzięki temu może się często o coś spierać. O, Sam raczkuje!

- Nowo nabyta umiejętność. Will już to utrwalił na wideo.

- Tak. - Will wtoczył barek z herbatą. - Pamiętam, że Sunny przeszła od raczkowania do chodzenia, a potem biegania tak szybko, że nie zdążyliśmy się połapać.

- Zdążyłeś to jednak sfilmować. Pamiętasz? Kupiliśmy używaną kamerę.

Caroline wstała, obeszła syna i pocałowała Willa w policzek. Potem zaczęła mu pomagać podawać herbatę.

- A więc - widać było, że William, parząc herbatę, przygotował całą listę pytań - przyjechałeś właśnie do Portlandu?

- Dziś po południu - odparł Jacob, przyjmując filiżankę.

- Szukałeś Cala i trafiłeś na Sunny?

- Tak, właśnie tak. - Spróbował herbaty, starając się przejść do porządku dziennego nad faktem, że pije Herbal Delight z człowiekiem, który ją wynalazł. - Cal podał mi... - współrzędne, chciał powiedzieć, lecz w porę się powstrzymał. - Opisał drogę do domu w górach.

- W górach? - Filiżanka zatrzymała się w połowie drogi do ust Williama. - Byłeś tam? Z... z Sunny”?

- W zeszłym tygodniu mieliśmy burzę śnieżną. Przez kilka dni musieliśmy się obyć bez prądu, tato.

- Razem”?

Udało się jej zachować obojętny wyraz twarzy.

- Trudno nie przebywać razem w takim małym domku.

Caroline patrzyła z rozbawieniem, jak jej synek podpełza do stopy Jacoba.

- Szkoda, że nie trafiłeś na Cala i Libby. Mam nadzieję, że poczekaasz do ich powrotu.

Dziecko zaczęło ssać krawędź nogawki. Cal schylił się i posadził sobie Sama na kolanach.

- Tak, poczekam.

- Gdzie? - chciał się dowiedzieć William. Sunny posłała mu mordercze spojrzenie.

- Czy wiesz, że J.T. przeprowadza eksperymenty nad podróżą w czasie? - zapytała.

- Podróżą w czasie? - Zafascynowanie walczyło z poczuciem ojcowskiego obowiązku.

To ostatnie zwyciężyło. - Jak długo przebywaliście razem w górach?

Jacob pozwolił Samowi ssać palec wskazujący.

- Parę tygodni.

- Naprawdę? - Will położył zaborczo rękę na ramieniu Sunny. - Rozumiem, że śnieg stanął na przeszkodzie w znalezieniu stosowniejszego rozwiązania problemu?

Sunny przewróciła oczami. Caroline westchnęła. Jacob przejechał głową po rzadkich, jasnych włosach Sama.

- Rozwiązanie, które przyjęliśmy, bardzo mi odpowiadało.

- Pewnie, rozumiem. - William syknął, gdyż Sunny go uszczypnęła.

- Czy wiesz, J.T., że ojciec zbiegł - podobało się jej to słowo, wypowiedziała je z lubością - z moją matką, gdy miała szesnaście lat?

- Siedemnaście - poprawił William.

- Szesnaście i pół - sprecyzowała Caroline. Spiorunował ją wzrokiem.

- No więc prawie siedemnaście.

- Naturalnie - zgodziła się Sunny.

- To były czasy - rozmarzył się William. - Lata sześćdziesiąte.

- Tak, to wszystko wyjaśnia - potwierdziła jego córka.

- Rzeczywiście. Szkoda, że tego nie widziałeś, Jacob. . Poza tym, nie musielibyśmy uciekać, gdyby ojciec Caro nie zachowywał się jak uparty osioł. Był nieprzejednany.

- Jestem pewna, że masz rację. - Sunny zatrzepotała rzęsami. - Nie ma nic gorszego niż ojciec, który wsadza nos nie tam, gdzie trzeba.

Chwycił jej nos dwoma palcami.

- Uważaj, co mówisz. Tylko się uśmiechnęła.

- Powiedz mi, czy dziadek już się do ciebie odzywa?

- Rzadko i niechętnie.

- Chyba, że bawi się z Samem - skorygowała Caroline. - Już niemal wybaczył nam, że nie mógł rozpuszczać ciebie i Libby, kiedy byliście małe. Chcesz, żebym zabrała Sama, J.T?

- Nie, nie trzeba. - Niemowlę bawiło się palcami Jacoba. - Jest podobny do ciebie - zauważył, zwracając się do Sunny.

Podobał się jej widok Jacoba z niemowlęciem na kolanach.

- Cieszę się, że tak uważasz.

William bębnił palcami w poręcz fotela. Wyglądało na to, że chłopaki Hornblowerów mają jakiś urok, który działa na jego córki. Choć uznał już wcześniej, że Cal jest niemal godny Libby, z osądem jego brata postanowił jeszcze poczekać.

- Jesteś więc naukowcem.

William bardzo szanował naukowców, lecz nie oznaczało to, że aprobował poczynania tego konkretnego, który spędził z jego córką wiele nocy w domku bez elektryczności.

- Tak.

Jaki gadatliwy, pomyślał z przekąsem William i postanowił zbadać wszystko dogłębniej.

- Astrofizykiem?

- Właśnie.

- Gdzie studiowałeś?

- Chcesz też wiedzieć, jaką miał średnią ocen - zapytała Sunny.

- Cicho. - William klepnął ją w głowę. - Wiecie zawsze interesowałem się kosmosem.

- Tym razem jego uśmiech był niemal przyjacielski. - Po prostu to mnie ciekawi.

Jeśli to jakaś gra, pomyślał Jacob, ja na pewno nie przegram.

- Mam dyplom z prawa, z Princeton.

- Prawa? - - spytała zdziwiona Sunny. - Nie powiedziałeś mi...

- Nie pytałaś. - Spojrzał na nią, potem przeniósł spojrzenie na jej ojca. - Fizykę początkowo traktowałem wyłącznie jako hobby.

- Dość niezwykle - zauważył William.

- Tak. - Jacob się uśmiechnął. - Jak hodowanie ziół. William musiał się rozeźmiać.

- Co do podróży w czasie...

- Poczekaj, Will - upomniała go Caroline. - Przesłuchasz człowieka później. Trzeba zmienić dziecku pieluchę.

- Tak, a teraz moja kolej - zgodził się William? Podszedł do Jacoba i wziął Sama na rękę. - Napij się herbaty - zaproponował gościowi. - O twoich eksperymentach porozmawiamy później.

- Pójdę z tobą. - Sunny zerwała się z podłogi.

- Chcę obejrzeć wszystkie zabawki, jakie mu kupiłeś w ciągu ostatniego miesiąca.

- Przede wszystkim fajną kolejkę - zaczął z ożywieniem William, gdy wychodzili.

- Will lubi udawać, że zabawki są dla Sama. - Caroline uśmiechnęła się i dołąła Jacobowi herbaty. - Mam nadzieję, że nie jesteś zły.

- Za co?

- Za przesłuchanie. - Usiadła na poręczy fotela. - Choć właściwie jest bardzo łagodne w porównaniu z tym, przez co musiał przejść Cal.

- Najwidoczniej przeszedł pomyślnie.

- Bardzo go kochamy. Nic nie sprawiłoby Willowi większej przyjemności niż wciągnięcie go do naszych interesów. Cal jednak musi latać, na pewno o tym wiesz.

- Nigdy nie chciał niczego innego.

- To widać. Taka sama jest Libby. Zawsze wie, czego chce. Sunny to zupełnie inna historia. Zastanawiam się czasem, czy cała ta energia i inteligencja za bardzo jej nie rozprasza. Ty chyba doskonale to rozumiesz. - Widząc jego pytające spojrzenie, wyjaśniła. - Sam przeszedłeś od prawa do astrofizyki. Trudno o bardziej odległe dziedziny.

Z krótką przerwą na boks zawodowy, sprecyzował w myślach. Wzruszył ramionami.

- Niektórym ludziom potrzeba więcej czasu na podjęcie ostatecznej decyzji.

- Oczywiście, na przykład Sunny.

Jest subtelniejsza niż jej mąż, pomyślał Jacob. I trudniej ją zbyć.

- Sunny to najbardziej fascynująca kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałem.

I kocha się w niej, doszła do wniosku Caroline. Może nie jest z tego powodu najszcześliwszy, ale kocha ją.

- Sunny jest jak gobelin w jaskrawych kolorach. Niektóre włókna są niewiarygodnie mocne i trwałe, inne bardzo delikatne. Całość godna podziwu, z tym że dzieło sztuki wymaga miłości, nie tylko podziwiania - Uniosła ręce. - Znienawidziłaby mnie, gdyby usłyszała, jak ją opisałam.

Jacob spojrział na żywe barwy gobelinu na ścianie.

- Nie spodobałaby się jej wzmianka o tych delikatnych włóknach.

- Rzeczywiście.

Caroline poczuła ulgę. Znał więc jej młodszą córkę i rozumiał ją.

- To na pewno staroświeckie, ale Will i ja chcemy naprawdę tylko tego, żeby była szczęśliwa.

- To nie jest staroświeckie.

Jego matka mówiła to samo o nim i o Calu, gdy opuszczali dom.

Caroline westchnęła i przeniosła spojrzenie na gobelin, któremu przyglądał się gość.

- To jedna z moich starszych prac. Zrobiłam go kiedy byłam w ciąży z Sunny. Od tego czasu sprzedałam wiele gobelinów, ale z jakichś powodów ten jeden zatrzymałam.

- Jest piękny.

Nagle wstała i zdjęła gobelin ze ściany. Poglaskała tkaninę. Przypomniała sobie, jak siedziała przy zrobionych ręcznie krosnach, patrzyła, jak słońce ożywia barwy. Will pracował w ogrodzie, a Libby spała na kocu na trawie. Jedno z najpiękniejszych wspomnień.

- Chciałabym, żebyś go wziął.

Gdyby dała mu Rembrandta albo O'Keeffe'a, nie byłby bardziej zdumiony.

- Nie mogę go przyjąć.

Dlaczego?

- Jest bezcenny. Roześmiała się.

- Nie, mój agent potrafiłby go wycenić. Zresztą uważam, że on zawyża ceny. Nie chciałam, żeby moje prace trafiły do galerii czy muzeów. - Zwinęła kilim.

- Sprawia mi o wiele większą radość myśl, że podobają się najbliższym. - Gdy nie odpowiedział, podała mu zwinięty gobelin. - Jedna z moich córek nosi nazwisko twojego brata. To sprawia, że jesteśmy rodziną.

Nie chciał się czuć jak członek rodziny. Wolał myśleć o Caroline i Williamie Stone jako o postaciach historycznych. Przyjął jednak z jej rąk miękką tkaninę.

- Dziękuję.

Pokój dziecka miał zielone ściany. Zdobila go antyczna żelazna kołyska przykryta pastelowym kocem Caroline. W pokoju było dużo zabawek, w tym takie, którymi Sam mógł się zainteresować dopiero za kilka lat. Sunny dostrzegła też jednak dziesiątki pluszowych zwierząt, od słoni do tradycyjnego misia.

Podniosła misia z podłogi, gdy ojciec układał Sama na stoliku.

- Jesteś patetyczny.

- Może nie pamiętasz, jaka jest kara za przerywanie dorosłym - mruknął Will, rozpinając kombinezon Sama.

- Chyba jestem trochę za duża na siedzenie na krześle, dopóki nie przeproszę.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Bo ja wiem...

- Tato. - Z westchnieniem odłożyła niedźwiadka.

- Od kiedy skończyłam trzynasty rok życia, przesłuchiwałeś każdego chłopca, który pojawił się w naszym domu.

- Chcę wiedzieć, z kim spotyka się moja córka. To nie zbrodnia.

- Ale to, że się w ogóle z kimś spotyka, też nie jest zbrodnią.

Will posypał pupę niemowlaka talkiem.

- Kiedy byłaś w jego wieku, nie przysparzałaś nam kłopotów.

Podeszła do ojca. Nie potrafiła gniewać się na niego.

- Zakładam, że kiedy Sam zacznie się spotykać z dziewczętami, też będziesz je przesłuchiwać.

- Oczywiście. Nie dyskryminuję ludzi ze względu na płeć.

I nie jest głupi, pomyślała.

- Czy chcesz mi wmówić, że między tobą a J.T. nic nie zaszło? - zapytał nagle.

- Nie.

- Tak właśnie myślałem. - Założył synowi nową pieluszkę. Życie jest takie proste, pomyślał, kiedy jedyny kłopot stanowi zmienianie pieluch i wyrzynanie się zębów. - Sunny, znasz tego człowieka dopiero kilka tygodni.

- Czy to znaczy, że zmieniłeś swój pogląd na wolną miłość?

- Rewolucja seksualna umarła śmiercią naturalną. - Zaczął ubierać Sama. - Z kilku bardzo ważnych przyczyn.

Uniosła rękę.

- Zanim zaczniesz je wymieniać, wspomnę, że zgadzam się z tobą w tej kwestii.

To stwierdzenie zakłóciło zaplanowany tok wypowiedzi.

- Świetnie. Rozumiemy się więc.

- Uważasz, że rozwiązłość seksualna dowodzi braku moralności i zdrowego rozsądku?

- Absolutnie się z tym zgadzam.

- Co za ulga.

Will zobaczył, że synowi zamykają się oczy. Zaniósł go do kołyski, usunął z niej nadmiar pluszowych zwierząt i ułożył maleństwo.

- Nie powiedziałam jednak, że jestem dziewicą. Will skrzywił się, potem westchnął.

- Nie musiałś mówić.

- Chcesz, żebym siedziała na krześle, dopóki nie przeproszę?

- Chyba nie na wiele by się to teraz zdało. Zresztą, nie myśl, że nie ufam twoim osądom, Sunbeam.

- Dziękuję, ale twoje osady są zazwyczaj trafniejsze - odparła, uciekając się do pochlebstwa.

- Naturalnie. - Uśmiechnął się. - To jedna z nielicznych zalet mojego wieku. W końcu przekroczyłem już czterdziestkę.

- Nigdy nie będziesz nawet czterdziestolatkiem. Tato, muszę ci coś wyznać. Miałam już wcześniej mężczyznę.

- Ale chyba nie tego podobnego do szczura Carla Lomminsa?

Skrzywiła się.

- Powinieneś bardziej ufać mojemu gustowi. Zawsze spotykałam się wyłącznie z takimi mężczyznami, których lubiłam i szanowałam.

- Mówisz mi zatem, że mam się nie martwić twoim związkiem z J.T.

- Nie, nie mówię, żebyś się nie martwił. Chcę powiedzieć, że wcale nie lubię Jacoba.

- No więc...

- Kocham go.

Spojrzał jej w oczy. Sam kochał żarliwie kobietę, jedną przez całe życie. Potrafił rozpoznać to uczucie. Powinien od razu przyznać, że dojrzał je w twarzy córki, gdy tylko pojawiła się w drzwiach.

- I?

- I co?

- Co zamierzacie z tym zrobić?

- Zamierzam za niego wyjść. - Własne słowa zdziwiły ją tak, że się roześmiała. - On jeszcze o tym nie wie, bo dopiero teraz wpadłam na ten pomysł. Gdy wróci na Wschód, pojedę z nim.

- A jeśli będzie miał coś przeciwko temu? Uniosła podbródek.

- To będzie musiał się przyzwyczaić.

- Problem polega chyba na tym, że jesteś za bardzo podobna do mnie.

Objęła go.

- Może nie do końca. Ale on jest tym, którego wybrałam.

- Jeśli cię uszczęśliwi... - William odsunął córkę na odległość ramion. - Niech się lepiej o to postara, bo inaczej...

- Nie zamierzam dawać mu wyboru.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Zobaczysz, będzie fajnie. - Sunny wcisnęła się na wolne miejsce parkingowe niedaleko kłującego w oczy, świetlistego napisu „Club Rendezvous”. Gdy Jacob spojrział nieufnie na migające, kolorowe światła, poklepała go po ręce. - Zaufaj mi, koleś, potrzebujemy tego.

- Skoro tak twierdzisz...

- Twierdzę. Poza tym muszę się przekonać, czy umiesz tańczyć. Jeśli nie, porzucę cię od razu. Pomyśl, co za oszczędność czasu. - Roześmiała się, gdy skarcił ją pociągnięciem za ucho. - No i jesteś mi to winien.

- Niby dlaczego? Szybko przejrzała się w lusterku. Wyciągnęła szminkę i pomalowała usta na jaskrawoczerwony kolor.

- Dlatego, że gdybym nie wymyśliła wymówki, jadłbyś teraz kolację u moich rodziców.

- Lubię twoich rodziców.

Nachyliła się i pocałowała go w policzek. Ponieważ zostawiła ślad szminki, wytarła go kciukiem.

- Wiem, że ich lubisz. Ja też. Ale nigdy nie jadłeś *nachos* i *buritos* u Willa i Caro. - Zniżyła głos. - Moja matka gotuje.

- Czy w tym stanie to jest karalne?

- Gotuje coś takiego jak *fondue* z lucerny.

- Och. - Gdy już to sobie wyobraził, uznał, że rzeczywiście ostre potrawy meksykańskie, które niedawno jedli, są lepsze. - Tak, chyba mam wobec ciebie dług wdzięczności.

- I to niemały - potwierdziła.

Otworzyła drzwiczki na tyle, na ile pozwalała niewielka odległość do sąsiedniego samochodu. Migające światła sprawiały, że wyglądała jak piękny, egzotyczny motyl.

- Myślę, że po tygodniach spędzonych na łonie natury spodoba ci się trochę muzyki na żywo, im głośniejszej, tym lepiej, tłum i wiszący w powietrzu dym z papierosów.

- Brzmi jak opis raj. - Mimo ciasnoty udało się mu jakoś wysiąść. - Sunny, nie podoba mi się, że wymieniasz wszystkie swoje pieniądze.

Uniosła brwi, częściowo rozbawiona, częściowo zaś zdziwiona sformułowaniem, którego użył.

- Wymieniam pieniądze, kiedy wyjeżdżam za granicę. Teraz mogę je najwyżej wydawać.

- Wszystko jedno. Ja nie mam żadnych, które mógłbym wydać.

Pomyślała, że to nie w porządku. Człowiek tak inteligentny i oddany swojej pracy powinien przecież zarabiać co najmniej na przyzwoite życie.

- Nie przejmuj się. - Choć musiała liczyć się z groszem, zbytnio o to nie dbała. - Jeśli przyjadę do Filadelfii, będziesz mógł się zrewanżować.

- Porozmawiamy o tym później. - Postanowił zmienić temat. Nowy sam się narzucał. - Chciałbym zapytać, jak się nazywa to ubranie, które masz na sobie.

- To? - - Spojrzała na czerwoną, krótką i obcisłą sukienkę bez ramion.

- Seksowna sukienka - odparła, oblizując lubieżnie wargi.

- Co takiego?

- O tym też porozmawiamy później.

Objęci weszli na chodnik. Krótka, obcisła kurtka ze skóry nie chroniła za bardzo przed wiatrem, Sunny czuła się jednak dobrze, mając wreszcie na sobie coś innego niż dżinsy. Poczuli się jeszcze lepiej, gdy dostrzegła, że Jacob spojrzał ukradkiem na jej nogi.

Gdy otworzyli drzwi, ogarnął ich gorący zaduch i dźwięki muzyki.

- Ach, cywilizacja - westchnęła.

On zobaczył tylko salę wypełnioną migającym, oślepiającym światłem. Muzyka brzmiała tak głośno, jak obiecywała Sunny. Jacob czuł zmieszane zapachy dymu, alkoholu, potu i perfum. Oprócz muzyki słyszał podniesione głosy i śmiechy.

Sunny oddała ich ubrania szatniarzowi i schowała numerek. Miała rację, potrzebował tego. Nie tylko zmysłowej podniety, nie tylko anonimowego tłumu, lecz również okazji bezpośredniego przyjrzenia się życiu towarzyskiemu w dwudziestym wieku.

Ogólnie rzecz biorąc, nie różniło się to zbytnio od imprez, w których mógłby uczestniczyć w jego czasach. Ludzie w obu epokach szukali swego towarzystwa dla rozrywki. Potrzebowali do zabawy muzyki, jedzenia i napojów. Czasy się zmieniają, lecz potrzeby pozostają w zasadzie takie same.

- No chodź.

Ciągnęła go przez tłum do miejsca, w którym na dwóch poziomach ustawiono ciasno stoły. Na pierwszym poziomie zainstalowano długi bar. Za barem stał chyba człowiek, nie robot. Przy barze tłoczyli się ludzie.

Na drugim poziomie, na półkolistej scenie, gra zespół. Jacob naliczył ośmiu muzyków, w bardzo różnych ubraniach. Mieli instrumenty, lecz dźwięk dobiegał z wysokich skrzynek rozmieszczonych na krawędziach podestu.

Przed nimi, na małym kwadracie podłogi, stłoczeni ludzie podrygiwali i wymachiwali rękami. Jacob przyjrzał się ich ubraniom i doszedł do wniosku, że w tym miejscu nie obowiązywały żadne normy. Spodnie obcisłe i workowate, spódnice długie i krótkie, żywe kolory i czerń. Kobiety miały pantofle płaskie albo, tak jak Sunny, z cienkimi słupkami pod piętą.

Jacob pomyślał, że kobiety noszące ten ostatni rodzaj obuwia chcą być wyższe. Przy okazji jednak ich nogi wyglądały bardziej interesująco.

Podobał mu się luz, zdrowe wyrażanie osobowości poprzez ubiór. Wiedział, że pomiędzy tą epoką a jego własną, przez pewien czas, panowała moda na jednolity strój, właściwie coś w rodzaju uniformu. Uznał, że to musiało być nudne.

Gdy stał i przyglądał się tańczącym, kelnerki w krótkich spódnicach roznosiły jedzenie i napoje albo wysłuchiwały zamówień wykrzykiwanych tak, by przebiły się przez gwar i muzykę.

Niezbyt wydajny system, pomyślał, ale dość interesujący. Choć prościej byłoby nacisnąć guzik na skrzynce zamówień i zostać obsłużonym przez szybkiego robota.

Sunny wzięła go za rękę i zaprowadziła do spiralnych schodków. Zaczęła się rozglądać w poszukiwaniu wolnego stolika.

- Zapomniałam, że dziś sobota - krzyknęła. - W soboty jest tu zawsze tłoczno.

- Dlaczego?

- Ludzie umawiają się na randki, koleś. Nie przejmuj się, gdzieś się wciśniemy. -

Przerwała poszukiwania i uśmiechnęła się do niego. - No i co, podoba ci się tutaj?

- Tak, jest fajnie.

- Maruderzy są dobrzy. Tak nazywa się zespół.

- Wskazała saksofonistę. - Dobrze dają czadu.

- Występują - poprawił ją.

- Nie, mam na myśli... Nieważne. - Ktoś ją potrącił. Żeby utrzymać równowagę, objęła Jacoba za szyję.

- Wiesz, to nasza pierwsza randka.

Nie zwracając uwagi na tłum, pocałował ją.

- Jak nam idzie?

- Odłotowo.

Uznał, że to oznacza „dobrze” i pocałował ją ponownie. Westchnęła tak, że przycisnął ją mocniej.

- Nie musimy szukać stolika. Możemy po prostu stać i całować się - szepnął jej do ucha. - Chyba nikt nie zwróci na to uwagi.

- Masz rację, ale jest tak gorąco...

- Sunny! - Ktoś chwycił ją w pasie, okręcił i pocałował w usta. - Wróciłaś, dziecińko!

- Marco. Objął ją.

- Gdzie się podziewałaś?

- W górach. - Uśmiechała się, zadowolona ze spotkania. Marco był miły i nieszkodliwy. Już dawno postanowili nie komplikować swojej przyjaźni romansowaniem. - A co słyhać w prawdziwym świecie?

- Silniejsi pożerają słabszych, kochanie. Dzięki Bogu. - Spojrzał ponad ramieniem Sunny i dostrzegł parę wpatrzonych w siebie zielonych oczu, w których czaiła się żądza mordy. - Ach... przedstaw mi swojego przyjaciela.

- J.T. - Położyła rękę na ramieniu Jacoba. - To jest Marco, stary kumpel. Nie drocz się z J.T., Marco, bo on cię zabije.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać.

- Jak się nasz? - zapytał. Nie wyciągnął na powitanie ręki, bo nie chciał jej stracić.

- Dziękuję, dobrze.

Jacob postanowił, że jeśli ten facet znów pocałuje Sunny, najprościej będzie skrócić mu kark.

- Tak się składa, że J.T. jest bratem męża mojej siostry.

- Świat jest mały.

Jacob nie spuszczał go o oka.

- Mniejszy, niż myślisz - syknął z pogrózką.

- Racja. - Marco wolał zmienić temat. - A może szukacie stolika?

- Nawet bardzo.

- Tam z tyłu zsunęliśmy dwa stoły, przysiądziecie się do nas?

- Pewnie. - Spojrzała na Jacoba. - Zgadzasz się?

- Jasne.

Był już na siebie zły. Zazdrość należała do świata emocji, nie intelektu. Chociaż, emocje też są ważne, uznał, patrząc na długie nogi Sunny, gdy lawirowała pomiędzy stolikami.

Przy zsuniętych stolikach siedziało sześć osób, które Sunny najwidoczniej dobrze znała. Z powodu hałasu Jacob nie dosłyszał ich imion.

Usiedli, Marco przywołał kelnerkę.

- Tę kolejkę stawiam ja - obwieścił. - Jeszcze raz to samo - powiedział do kelnerki - plus kieliszek białego wina dla pani i... - Spojrzał pytająco na Jacoba.

- Poproszę piwo. Dziękuję.

- Nie ma problemu, sprzedałem dzisiaj trzy samochody.

- Świetnie - pochwaliła Sunny. - Marco handluje samochodami - wyjaśniła Jacobowi.

- Gratulacje - powiedział, gdyż to wydało się mu najbezpieczniejsze.

- Dobrze mi idzie. Dajcie znać, gdy będziecie chcieli wymienić samochód. Mam w tym tygodniu dostawę prawdziwych cacek.

Jacob spojrział na siedzącą koło niego brunetkę, która otarła się ramieniem o jego ramię.

- Jasne, na pewno się odezwiemy. Marco rozpogodził się.

- Czym teraz jeździsz, J.T.? - zapytał.

Na szczęście wszyscy zgromadzeni wokół stołu zgodnie jęknęli. Widać było, że Marco jest przyzwyczajony do takiej reakcji. Zjadł trochę orzeszków.

- Dajcie spokój, to moja praca. W końcu nikt z nas nie jest badaczem kosmosu.

- J.T. jest - poinformowała Sunny.

- Naprawdę?

Brunetka przysunęła bliżej swoje krzesło. Jacob zauważył, że kobieta ma duże, brązowe oczy i że chyba jest nim zainteresowana.

- W pewnym sensie - odparł.

- Och, uwielbiam inteligentnych mężczyzn.

Rozbawiony Jacob wziął do ręki piwo, które postawiła przed nim kelnerka. Pochwyił spojrzenie Sunny. Jest zazdrosna, zorientował się. Nic nie mogło mu sprawić większej radości. Napił się piwa i przyjął ze spokojem kłęb dymu, który paląca papierosa brunetka wypuściła w jego kierunku. Nie miało sensu uświadamiać jej, że szkodzi w ten sposób swym atrakcyjnie opakowanym płucom.

- Tak?

Wpatrywała się w niego, gasząc powoli papierosa.

- Och tak, bardzo.

- Zatańczmy. - Sunny wstała i chwyciła Jacoba za rękaw. - Miła jesteś, Sheila - mruknęła i pociągnęła Jacoba na parkiet.

- Jak ona się nazywa? Sheila?

- A co cię to obchodzi?

- Nie chcesz, żebym był miły dla twoich przyjaciół? Położył ręce na jej biodrach.

- Nie. Przynajmniej nie dla tych z dużym biustem.

- Ona ma duży biust?

- Nie wygłupiaj się i nie mów, że nie zauważyłeś. Niestety, jej iloraz inteligencji jest zadziwiająco niski.

- Chyba twój... iloraz bardziej mi się podoba.

- Prawidłowe rozumowanie. - Uśmiechnęła się i pocałowała go w usta. - Zresztą nie winię jej, rzeczywiście jesteś słodki.

- Słodkie są małe pieski - zauważył. - A także niemowlęta.

- Lubisz niemowlęta?

- Pewnie, dlaczego nie?

- Tak tylko pytam. W każdym razie jesteś słodki. I seksowny. - Ugryzła go w podbródek. - I inteligentny. - Przyciągnął ją bliżej. I mój, dodała w myślach, cały mój. - Co to jest T? - zapytała nagle.

- Jakie T?

- W J.T.

- Nic.

- Musi przecież coś znaczyć. O, dobrze tańczysz - zauważyła.

Zespół grał teraz bluesa. Przytulili się mocniej. Panujący na parkiecie tłok utrudniał taniec. Sunny to nie przeszkadzało. Jacob przyciskał ją do siebie, całował w szyję. Nie zależało jej na tańcu.

- Pięknie pachniesz - powiedział. - Jak wiosna na pustyni.

Pocałowała go w usta. Mocno.

- J.T.?

- Tak?

- Nie jestem pewna, ale chyba mogliby nas za to aresztować.

- Trudno, chyba warto. Otworzyła oczy, spojrzała na niego.

- Wracajmy do domu - poprosiła. - Ten tłum zaczął mnie męczyć.

Zostali cały tydzień, chodzili do kina, po sklepach, do innych klubów. Jego fascynację miastem Sunny tłumaczyła tym, że nigdy przedtem nie odwiedził północno - zachodnich stanów. Za każdym razem, gdy gdzieś wychodzili, zachowywał się tak, jakby widział

wszystko po raz pierwszy w życiu. Może właśnie dlatego te wspólne wyprawy sprawiały jej ogromną przyjemność.

Gdy zostawali sami, gdy brał ją w ramiona, nie miało znaczenia, gdzie są. Czuła, że jest z każdą chwilą bardziej zakochana, bezgranicznie radosna.

Po raz pierwszy w życiu zaczęła myśleć o przyszłości z mężczyzną. Z jednym, wybranym mężczyzną. Wyobraziła sobie, jak razem przeżywają kolejne lata, lepsze i gorsze. Pomyślała o domu, o dzieciach. Wyobrażała sobie kłótnie, hałas i śmiechy.

Powinni o tym porozmawiać, uznała, może nawet coś zaplanować.

Pozwolił sobie na ten tygodniowy urlop. Robił dużo notatek, gromadził wspomnienia.

Zastanawiał się, jak powiedzieć Sunny prawdę, jak sprawić, by nie cierpiała. Martwiło go coś jeszcze. Czy odważy się bez niej żyć?

Gdy wracali w góry, powiedział sobie, że to początek końca. Skoro wszystko musi się skończyć, a nie widział innego wyjścia, nie powinien jej dłużej okłamywać.

- Nic nie mówisz - zauważyła, gdy wjeżdżali na wyboistą drogę prowadzącą do domku.

- Myślę.

- To doskonale, ale martwię się o ciebie, bo już od pięciu godzin się ze mną nie pokłóciłeś.

- Nie chcę się z tobą kłócić.

- Nie chcesz? - Jesteś chory? - Czuła, że chodzi o coś poważnego. Postarała się więc, by jej głos zabrzmiał lekko i bez troski. - Za kilka minut dojedziemy. Przyniesiesz drewno, zjesz coś z puszki i od razu poczujesz się lepiej.

- Sunny, musimy porozmawiać.

- Dobrze. - Gdy zatrzymała samochód przed domem, była już bardzo zdenerwowana. - Teraz?

- Teraz. - Wziął ją za rękę i wypowiedział pierwsze słowa, które przyszły mu na myśl. - Tak bardzo cię kocham.

Trochę się uspokoiła.

- Rzeczywiście, jeśli będziesz nadal tak mówił, nie pokłócimy się. - Nachyliła się, żeby pocałować go w policzek. W tym momencie zauważyła, że z komina wydobywa się dym.

- Jacob, ktoś tu jest.

- Co?

- W domu. - Zobaczyła, że otworzyły się drzwi..

- Libby! - Wskoczyła energicznie z samochodu.

- Libby, śmiertelnie mnie przestraszyłaś! - Jacob widział, jak Sunny obejmuje szczupłą brunetkę. - Rany, jaka jesteś opalona!

- Na Bora Bora nie sztuka się opalić. Przyjechaliśmy wczoraj, myśleliśmy, że cię tu zastaniemy.

- Wpadłam tylko na kilka dni do miasta, żeby nie zapomnieć, jak wygląda.

Libby roześmiała się.

- Tak właśnie powiedziałam Calowi. Widziałam, że zostały wszystkie twoje książki. - Nagle chwyciła siostrę mocno za rękę. - Och, Sunny, tak się cieszę, że wróciłaś. Nie mogłam się doczekać, żeby ci wszystko powiedzieć. Ja...

Nagle dostrzegła wychodzącego z samochodu Jacoba. Gdy ich spojrzenia się spotkały, przestała się uśmiechać. Bezwiednie ścisnęła rękę Sunny.

- Co? - Co ci się stało? - Sunny obejrzała się przez ramię. - A! Zgadnij, kto przyjechał? - To Jacob, brat Cala.

- Wiem. - Libby czuła, że grunt usuwa się jej spod nóg. Znała Jacoba z fotografii. Teraz jednak stał przed nią mężczyzna z krwi i kości. Wściekły. Patrzyli na siebie w milczeniu. Libby zbladła.

Przyleciał po Cala, zdała sobie sprawę. Z wysiłkiem stłumiła krzyk protestu, który w niej narastał.

Jest przerażona, zorientował się. Poczul, że coś w nim drgnęło, lecz zaraz się opamiętał. Nie będzie jej współczuł.

- J.T.? - Sunny objęła siostrę, jakby poczuła, że trzeba ją chronić. - Libby, ty drzysz. Wejdźmy do środka. - Spojrzała przez ramię na Jacoba. - Ty też.

Libby podeszła do kominka i spróbowała ogrzać lodowato zimne dłonie. Wiedziała, że to nie pomoże. Nie spojrzę na niego, myślała, dopóki nie zacznę nad sobą panować. Gdzieś w zakamarkach jej duszy wciąż tliła się isierka strachu. Strachu, że któregoś dnia ktoś przyleci po Cala. Nie sądziła jednak, że tak szybko.

Czas, pomyślała gorzko. Słowo, które najchętniej wykreśliłaby ze wszystkich słowników.

Sunny stała pomiędzy nimi, nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. W powietrzu dawało się wyczuć napięcie, tak wyraźne, jak zapach płonącego na kominku drewna.

- No dobrze. - Przeniosła wzrok z Libby na kamienne oblicze Jacoba. - Może któreś z was powie mi, o co chodzi?

- Hej, Libby, czy to twoja seksowna siostra? Chciałbym jej powiedzieć...

Boso, w rozdartej koszulce, w drzwiach kuchni pojawił się Cal. Wszyscy na niego spojrzeli. Uśmiech zamarł mu nagle na ustach.

- J.T. - wyszeptał z mieszaniną radości i niewiary. - J.T. - powtórzył. Nagle skoczył i chwycił brata w objęcia. - Boże, Jacob, to naprawdę ty!

Libby patrzyła na nich przez chwilę. Potem odwróciła się, bo do oczu napłynęły jej łzy. Sunny szeroko się uśmiechnęła.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział Cal. Odsunął brata na odległość ramion, żeby się mu przyjrzeć. - Naprawdę tu jesteś. Jak?

- Tak samo jak ty, tylko z większą finezją. Dobrze wyglądasz.

Nie wiadomo dlaczego spodziewał się, że zastanie Cala bladego, wychudłego i zmęczonego Uciążliwościami życia w dwudziestym wieku. Brat okazał się jednak opalony, energiczny i ostentacyjnie szczęśliwy.

- Ty także. Co z mamą? - Tata? - - zapytał trochę niespokojnie.

- Wszystko w porządku. Cal skinął głową.

- Otrzymałeś więc moją wiadomość. Nie miałem przecież pewności, czy dotarła.

- Otrzymaliśmy ją.

- Poznałeś już Libby?

W jego oczach pojawiła się radość. Odwrócił się i wyciągnął rękę. Libby nawet nie drgnęła.

- Tak, poznaliśmy się.

Jacob pochylił głowę i czekał. Niech ona zrobi pierwszy ruch.

- Na pewno macie sobie wiele do powiedzenia. Udało się jej zachować spokój.

- Libby. - Cal do niej podszedł. Dotknął policzka, sprawił, że uniosła głowę. Dostrzegł w jej oczach miłość i strach. - Przestań.

- Nic mi nie jest. - Zbierając wszystkie siły, ścisnęła palcami jego dłoń. - Mam coś do zrobienia na górze. - Spojrzała na Jacoba. - Wiem, że tęskniliście za sobą.

Odwróciła się i wbiegła po schodach. Sunny obserwowała to ze zdumieniem. Potem spojrzała na Cala, wreszcie na ponurą twarz Jacoba.

- Co się tu u diabła dzieje? - zapytała.

- Idź do Libby - poprosił Cal. - Nie chcę, żeby teraz była sama.

- Dobrze.

Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby się zorientować, że nic jej nie wyjaśnił. Już prędzej wydobędzie coś od Libby.

Cal poczekał, aż Sunny zniknie na górze. Odwrócił się do brata. Zobaczył w jego oczach gniew przemieszany z bólem.

- Musimy porozmawiać - powiedział.

- Tak.

- Nie tutaj - odparł, myśląc o Libby.

- Tak, nie tutaj - zgodził się Jacob, myśląc o Sunny. - Na moim statku.

Sunny zatrzymała się przy drzwiach sypialni. Wzięła głęboki oddech i otworzyła je. Libby siedziała na krawędzi łóżka. Nie płakała. Jej spojrzenie rozdzierało serce bardziej niż płacz.

- Kochana, o co chodzi?

Libby spojrzała nieprzytomnie na siostrę.

- Jak długo on tutaj jest? - zapytała.

- Mniej więcej od trzech tygodni. - Sunny usiadła na łóżku i wzięła siostrę za rękę. - Powiedz mi, co się dzieje? Myślałam, że będziesz zadowolona z przyjazdu Jacoba.

- Jestem. Z uwagi na Cala. Czy on ci powiedział, dlaczego tu jest? Skąd pochodzi?

- Oczywiście. - Zdziwiona, Sunny delikatnie potrząsnęła siostrą. - Daj spokój, Libby, J.T. może się zachowywać trochę szorstko, ale nie jest potworem. Martwił się tylko o Cala, no i chyba miał mu trochę za złe, że Caleb wybrał ciebie i osiedlił się tutaj.

- Och, Boże. - Libby nie mogła usiedzieć w miejscu.

Wstała i podeszła do okna. Usłyszała silnik, zobaczyła że landrower znika w lesie. - Będę musiała pozwolić mu odejść - powiedziała cicho i zamknęła oczy.

- Kiedyś myślałam, że jestem na to przygotowana. Ale teraz nie mogę. Nie dam rady.

- Gdzie miałyby niby odejść?

- Gdzie? Jacob na pewno ci wytłumaczył, jakie to wszystko jest skomplikowane.

Sunny wstała. Podeszła do Libby i objęła ją.

- Cal jest dorosłym mężczyzną, Libby. Został tutaj, bo sam tak postanowił. J.T. będzie się musiał z tym pogodzić.

- Czy na pewno?

- Kiedy się tu pojawił, był naprawdę zły. Zupełnie nie rozumiał uczuć Cala. Ale to się zmieniło. Bo my...

Libby powoli się odwróciła. Wiedziała, co chciała powiedzieć Sunny, i nagle ogarnęło ją przerażenie.

- Och, Sunny.

- Hej, nie patrz tak na mnie. - Uśmiechnęła się.

- Jestem tylko zakochana, a nie śmiertelnie chora.

- Ale co zamierzasz zrobić?

- Pojadę z nim.

Libby krzyknęła i zaniósła się płaczem. Zarzuciła siostrze ręce na szyję.

- Boże, Libby, co ty wyprawiasz? - To tylko Filadelfia. Zachowujesz się, jakbym się wyprowadzała na Plutona.

- Na Plutonie nie ma jeszcze kolonii. Sunny zaśmiała się niepewnie i odsunęła.

- No tak, to przesadza sprawę. Będziemy musieli zadowolić się mieszkaniem w Filadelfii.

Libby przyjrzała się uważnie siostrze.

- Ty nic nie rozumiesz, prawda?

- Rozumiem, że Kocham J.T. i że on Kocha mnie. Jeszcze nie rozmawialiśmy o planach na przyszłość, ale to tylko kwestia czasu. - Urwała, widząc ściągniętą twarz siostry. - Libby, patrzysz, jakbyś miała zamiar mnie zamordować...

- Nie Ciebie. - Głos Libby zabrzmiał silniej. - Tego sukinsyna.

- Słucham?

- Powiedziałam, że tego sukinsyna.

Mimo że mogła siostrze wiele wybaczyć, Sunny poczuła się urażona.

- Posłuchaj, Libby...

- Powiedział ci, że Cię Kocha?

- Tak.

- I poszłaś z nim do łóżka, prawda?

- Tata udzielał ci jakichś lekcji?

- Oczywiście, że poszłaś z nim do łóżka - stwierdziła Libby i zaczęła przemierzać pokój. - Sprawił, że się w nim zakochałaś, zaciągnął Cię do łóżka i nie miał tej odrobiny przyzwoitości, żeby ci powiedzieć.

Sunny uderzała rytmicznie stopą w podłogę.

- Co niby miał mi powiedzieć?

- Że on i Cal są z dwudziestego trzeciego wieku.

Stopa Sunny znieruchomiała. Nagle zapadła grobowa cisza. Biedna Libby, pomyślała Sunny ze zgrozą. Słońce na Bora Bora musiało porazić jej mózg. Ostrożnie podeszła do siostry.

- Lib, połóż się.

- Nie. Ty tu zostań, a ja przyniosę brandy. Zaufaj mi, będziesz jej potrzebowała.

Gdy Cal wszedł na mostek statku, ogarnęła go nostalgia. Nie mógł się oprzeć. Dotknął kilku urządzeń.

- Piękny, J.T. To nowy model.

- Tak. Zaprojektowany specjalnie na tę wyprawę. Poprawiliśmy trochę sterowność.

- Chciałbym zobaczyć, co potrafi.

- Proszę bardzo. Cal się roześmiał.

- Wykryliby nas po pierwszym tysiącu kilometrów. Napisaliby o nas w „National Enquirer”.

- Co to takiego?

- Potem ci wytłumaczę.

Cal odwrócił się niechętnie od pulpitu. Spojrzał na Jacoba.

- Boże, jak miło cię widzieć.

- Jak mogłeś to zrobić, Cal?

Caleb nabrał powietrza w płuca i usiadł w fotelu pilota.

- To długa historia.

- Przeczytałem twoje sprawozdanie.

- O niektórych sprawach nie pisze się w raportach. Widziałeś ją.

- Tak, widziałem.

- Kocham ją, J.T. Nie potrafię nawet powiedzieć, jak bardzo.

Jacob poczuł w sobie iskierkę empatii. Zdusił ją jednak w zarodku. W tym momencie nie mógł myśleć o Sunny.

- Myśleliśmy, że nie żyjesz. Przez sześć miesięcy.

- Bardzo mi przykro.

- Naprawdę? - Jacob podniósł osłonę, wyjrzał i zaczął się wpatrywać w śnieg. - Pięć miesięcy i dwadzieścia trzy dni. Twój statek rozbił się sześćdziesiąt kilometrów od bazy McDowell w Baja. Był pusty. Patrzyłem bezsilnie, jak mama i tata rozpaczają.

- Gdy tylko mogłem, dałem o sobie znać. J.T., ja tego nie planowałem. Widziałeś zapis.

- Tak. Przeżyłeś cudem. Obliczyłem prawdopodobieństwo wydostania się w całości z tej próżni. Wiesz, co wyszło? Zero. - Po raz pierwszy się uśmiechnął. - Jesteś mistrzem pilotażu.

- Aha, ale nie wszystko można wprowadzić do pamięci komputera. - Wielokrotnie o tym myślał. - Los przeznaczył mi Libby, J.T. Kocham cię, ale nie mogę jej zostawić.

J.T. przyglądał się bratu w milczeniu. Był na siebie zły. Przed kilkoma tygodniami spierałby się, krzyczał. Albo zamknąłby Cala w kabinie i wystartował, nie dając mu wyboru.

- Czy ona też cię tak kocha?

Na twarzy Cala zagościł cień uśmiechu.

- Ani razu nie poprosiła, żebym z nią został. Właściwie robiła, co mogła, żeby mi pomóc w przygotowaniach do powrotu. Nawet raz zażądała, żebym ją ze sobą zabrał. Poświęciłaby dla mnie wszystko.

- W końcu jednak to ty zostałeś. Ty poświęciłeś wszystko.

- Myślisz, że łatwo mi przyszła ta decyzja? - To był najtrudniejszy wybór w moim życiu. Cholera, właściwie nie miałem wyboru. Nie wiedziałem, czy uda mi się bezpiecznie wrócić, nie mogłem narażać życia Libby. Gdybym ją zostawił, musiałbym znów wlecieć w próżnię, tylko że to by już nie miało dla mnie znaczenia.

Jacob nie chciał zrozumieć, ale zrozumiał.

- Przez dwa lata pracowałem nad udoskonaleniem procedury podróży w czasie. Zaprojektowałem ten statek, dokonałem obliczeń. Udało mi się w końcu. Wracaj do domu, Cal, i zabierz ją ze sobą.

Caleb wpatrywał się w ekran. W ciągu ostatniego roku wiele się nauczył. Przede wszystkim tego, że życie nie jest proste. Że nie można podejmować pochopnych decyzji.

- Jest coś, czego nie uwzględniłeś, J.T. Libby spodziewa się dziecka.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sunny milczała. Trzydzieści minut wcześniej obawiała się, że jej siostra doznała poważnego udaru słonecznego. Teraz zmieniła zdanie. To ona musiała zwariować.

Dwudziesty trzeci wiek. Czarne dziury. Statki kosmiczne. Sunny ostatecznie zamilkła, gdy Libby opowiadała o locie na Marsa. Dobry Boże.

Cal, międzygalaktyczny pilot statków towarowych, stał się mimo woli podróżnikiem w czasie.

Podróż w czasie. Jezu, myślała w popłochu, podróż w czasie.

Przypomniała sobie uśmiezek Jacoba, gdy mówił jej o swych eksperymentach. Ale to przecież nie znaczy...

To na pewno jakiś dowcip. Jacob pochodzi z Filadelfii, wmawiała sobie, przełykając brandy. Jest nieco ekscentrycznym naukowcem, i tyle.

- Nie wierzysz mi - stwierdziła Libby.

Staranna opieka i cierpliwość, oto, czego jej trzeba, powiedziała sobie Sunny i delikatnie pogłaskała siostrę po włosach.

- Kochanie, nie przejmuj się tym tak bardzo - poprosiła.

- Uważasz, że to zmyśliłam.

- Nie jestem pewna, co o tym myśleć. No dobrze, usiłujesz mi powiedzieć, że Cal, były kapitan... czego właściwie?

- Międzynarodowych Sił Kosmicznych.

- Racja. Więc rozbił w lesie statek kosmiczny, ponieważ otarł się o czarną dziurę i znalazł się w innym czasie.

Miała nadzieję, że gdy to powie, zły urok pryśnie. Libby jednak skinęła głową.

- Mniej więcej.

- Tak, mniej więcej - zgodziła się Sunny. - A teraz Jacob celowo przebył tę samą drogę, żeby odwiedzić brata.

- On chce go zabrać z powrotem. Wiem, widzę to w jego oczach, gdy na mnie patrzy.

- Cal cię kocha. Nic nie może tego zmienić.

- Nie, ale... Sunny, nie rozumiesz? On tu nie wpadł z braterską wizytą. Musiał pracować miesiącami, żeby tego dokonać. Jeśli ktoś ma na jakimś punkcie obsesję...

- W porządku - przerwała jej Sunny. - Z przyczyn, których nie rozumiem, jest zły, że Cal ożenił się z tobą i zamieszkał w Oregonie.

- Nie chodzi o Oregon, a o dwudziesty wiek.
- Proszę cię, uspokój się, kochana. Widzę, że jesteś zmartwiona...
- Zmartwiona? Tak, cholera, jestem zmartwiona.

Jacob przebył ponad dwieście lat i nie zechce wrócić bez Cala.

Sunny poczuła, że przegrywa. Opadła na łóżko.

- Libby, musisz się jakoś pozbierać. Przecież jesteś rozsądna, prawda? Chyba sama nie wierzysz w to, co mówisz.

- Posłuchaj. - Libby postanowiła sięgnąć po nowe argumenty. - Możesz mi powiedzieć, tak uczciwie, że nie zauważyłaś w J.T. niczego dziwnego? - - Uniosła rękę, zanim Sunny zdążyła odpowiedzieć. - Nie chodzi o jakieś drobne dziwactwa, ale o coś naprawdę niezwykłego. Zauważyłaś?

- No cóż, ja...
- Widzisz! Jak on się tu dostał?
- Nie wiem, o co ci chodzi.
- Przyjechał samochodem?
- Nie, nie samochodem. - Poczula nagle, że drżą jej dłonie. - Wyszedł z lasu.
- Wyszedł z lasu - powtórzyła ponuro Libby. - W środku zimy.
- Lib, przyznaję, że J.T. jest trochę niezwykły.
- A nie fascynują go przypadkiem najzwyklejsze pod słońcem przedmioty?
- Sunny przypomniała sobie kran w kuchni.
- No cóż, chyba tak.
- Może także nie rozumie niektórych powiedzonek przerośni?
- Owszem, ale to jeszcze nie oznacza, że jest kosmitą.
- Nie kosmitą. Jest człowiekiem, tyle że z dwudziestego trzeciego wieku.
- I to wszystko?
- Może jest prostszy sposób, żeby cię przekonać. - Wstała i wzięła Sunny za rękę. -

Musisz wiedzieć, w co się wplątałaś.

Sunny skinęła głową.

Libby wyjęła z szuflady biurka przedmiot przypominający zegarek. Na oczach Sunny wyciągnęła z niego cienki przewód i przyłączyła do komputera.

- Podejdz - poprosiła.

Sunny ostrożnie zbliżyła się do biurka.

- Co to jest?

- Naręczny komputer Cala.

- Pracuję.

Sunny odskoczyła na dźwięk mechanicznego głosu.

- Jak to zrobiłaś?

- Łącząc technologię dwudziestego wieku z technologią dwudziestego trzeciego.

- Ale... ale...

- Jeszcze niczego nie widziałaś - ostrzegła ją Libby i zwróciła się w stronę ekranu. - Komputer, podaj informacje o Jacobie Hornblowerze.

- Hornblower, Jacob, urodzony w Filadelfii 12 czerwca 2224 roku. Astrofizyk, obecnie szef wydziału AP laboratorium Duran, Filadelfia. Ukończył prawo na Uniwersytecie Princeton w 2244 roku. Status AAA Doktorat z astrofizyki w O'Bannion, 2248 rok. Grał w Międzygalaktycznej Lidze...

Sunny stłumiła histeryczny chichot.

- Stop - powiedziała.

Komputer zamilkł. Sunny na miękkich nogach cofała się, aż natrafiła na łóżko.

- To wszystko prawda?

- Tak. Weź głębszy oddech - poradziła jej Libby. - Trzeba trochę czasu, żeby się z tym oswoić.

- Powiedział mi, że zajmuje się podróżami w czasie. Dobre sobie... - Zamknęła oczy. To sen, powiedziała sobie, tylko zabawny sen. Gdy jednak znów je otworzyła, w otoczeniu nie zaszły żadne zmiany. - Chyba sobie ze mnie żartujecie. - Usłyszała trzaśnięcie drzwi i zerwała się na nogi. - Idę z nim porozmawiać. Natychmiast.

- Dlaczego nie... - Libby urwała, gdy Sunny wyminęła ją pędem. - Nieważne. - Usiadła na łóżku.

Na dole Sunny wpadła jednak na Cala, nie na Jacoba.

- Gdzie on jest? - zapytała ostrym tonem.

- On... eee... wyszedł. Libby jest na górze?

- Tak. - Spiorunowała go wzrokiem. - Martwi się.

- Niepotrzebnie.

- Cieszę się, że wiesz, jakim jesteś szczęśliwym dupkiem.

- Ja też cię kocham.

Czuła tak dużą ulgę, że pocałowała go w policzek. Później, postanowiła. Później sobie to wszystko przemyśle. I prawdopodobnie zwariuję. Na razie jednak mam coś do zrobienia.

- Chciałabym wiedzieć, gdzie jest twój kochany braciszek. I nie próbuj mnie zbyć. Libby mi wszystko powiedziała.

- Co ci powiedziała? Przechyliła głowę.

- Jest już za późno na powitanie cię w dwudziestym wieku?

Uśmiechnął się.

- Nie. J.T. jest w swoim statku. To jakieś pięć kilometrów na północny wschód. Wystarczy jechać po śladach. - Chwycił ją za ramię. - Teraz jest mu ciężko, Sunny. Zraniłem go.

- Chyba nie tak bardzo, jak ja zamierzam go zranić. Cal chciał jeszcze coś dodać, lecz przypomniał sobie, że Jacob sam potrafi o siebie zadbać. Wszedł na górę. Libby siedziała na łóżku, patrzyła ponuro w kierunku okna.

- Cześć.

Drgnęła, potem próbowała się uśmiechnąć.

- Cześć. - Zanim zdążył coś powiedzieć, wstała. - Mam dużo do zrobienia. Jeszcze nie skończyłam się rozpakowywać, a trzeba przecież przygotować uroczystą kolację.

- Poczekaj. - Objął ją, zanim zdążyła odejść. - Kocham cię, Libby.

- Wiem.

- Nie, chyba nie wiesz. - Delikatnie odsunął ją żeby spojrzeć jej w oczy. - Jak mogłaś pomyśleć, że wyjadę?

Pokręciła głową.

- Usiądź - poprosił.

- Caleb, nie wiem, co ci powiedzieć. - Usiadła. Splotła palce, żeby zapobiec ich drzeniu. - Mogę sobie wyobrazić, jak się czujesz. Spotkałeś brata, którego miałaś nigdy nie ujrzeć. Przypomniał ci o wszystkim, z czego zrezygnowałaś.

- Już skończyłaś?

Bezradnie wzruszyła ramionami.

- J.T. dał mi kopię listu, który znalazł w zakopanym przez nas pojemniku. - Usiadł koło żony, ujął jej dłoń. - Nie przeczytał go. Jest nadal w kopercie.

- Jak mógł zrobić kopię, skoro list jest w kopercie? - Zorientowała się, że palnęła głupstwo i roześmiała się cicho. - No tak, dziwne pytanie.

Wyjął z kieszeni kopertę. Libby zmarszczyła brwi. Papier jest inny, stwierdziła, gdy go dotknęła. Grubszy i mocniejszy. Prawdopodobnie to w ogóle nie jest papier, pomyślała, przynajmniej nie taki, jakiego my używamy.

- Wracając ze statku, zatrzymałem się, żeby go przeczytać. - Rozłożył list na kolanach.

- Nawet gdybym zwariował i postanowił cię opuścić, ten list sprowadziłby mnie z powrotem. Musiałbym jakoś wrócić.

- Nie o to mi chodziło.

- Wiem. - Pocałował ją w rękę. - Ten list bardzo wiele dla mnie znaczy. Pamiętasz, co napisałaś?

- Mniej więcej.

- Napisałaś, co naprawdę myślisz?

- Tak.

- Więc ucieszy cię zapewne, że znalazłem się już tam, gdzie jest moje miejsce. - Pocałował ją. - Ty też.

Sunny bez trudu odnalazła ślady landrowera. Z ponurą miną zacisnęła rękę na kierownicy. Nie rozmyślaj, jeszcze nie teraz, nakazała sobie. Skup się na prowadzeniu, bo zaraz walniesz w drzewo.

Gdy zobaczyła statek, wielki jak dom, wcisnęła za mocno hamulec i wpadła w poślizg. Pomyślała, że statek towarowy Cala musiał być jeszcze większy. Gładka, biała powierzchnia pojazdu kosmicznego błyszczała w słońcu. Sunny dostrzegła coś, co przypominało okno. Nagle stanął w nim Jacob.

Widok Jacoba w czymś, co w ogóle nie powinno istnieć, zmienił jej zdumienie w furję. Wyskoczyła z samochodu i pobiegła w kierunku statku.

Jacob przesunął dźwignię. Drzwi powoli się rozsunęły, pojawiły się schodki. Wspięła się na nie. Jacob podał jej rękę i pomógł wejść do środka.

- Sunny, ja...

Nie dokończył, gdyż pięść Sunny wylądowała na jego szczęce. Zobaczył gwiazdy, cofnął się chwiejnie i runął na podłogę.

Stanęła nad nim.

- Wstawaj, nędzny tchórze, żebym mogła znów cię uderzyć - zażądała.

Siedział na podłodze i rozcierał podbródek. Ciosu właściwie się spodziewał, nie spodobało mu się jednak, że nazwała go tchórzem.

- Jesteś zdenerwowana? - zapytał.

- Zdenerwowana? - syknęła. - Ja ci dopiero pokażę zdenerwowanie.

Ponieważ najwidoczniej nie zamierzał wstać, rzuciła się na niego. Potężnym ciosem odebrała mu oddech. Chwycił ją za rękę.

- Cholera, Sunny, bo będę musiał zrobić ci krzywdę.

- Zrobić mi krzywdę? - Zaatakowała. Choć po chwili udało się mu znaleźć na górze, kopnęła go kolanem w krocze, tak że opadł na nią bezwładnie. - Złaż ze mnie, padalcu - zażądała.

Nie mógł się jednak poruszyć. Ból, zasłużony czy nie, zupełnie go sparaliżował. Teraz jego jedyny atut stanowił ciężar. Dopóki na niej leżał, nie mogła go bić.

- Sunny... - z wysiłkiem nabrał powietrza w płuca - wygrałaś - przyznał.

Zapał bojowy minął. Sunny postanowiła nie okazywać słabości. Postarała się, by nie zdrzął jej głos.

- Powiedziałam, żebyś ze mnie zlął.

- Dobrze, jak tylko będę w stanie. Udało się mu unieść nieco głowę.

Sunny bezgłośnie płakała. Duże łzy spływały jej po policzkach. Oszołomiony tym bardziej niż ciosami, Jacob pokręcił głową.

- Nie płacz - poprosił, ocierając jej łzy. Nie pomagało, w ich miejsce pojawiały się nowe. - Cholera, Sunny, przestań.

- Odczep się:

Stoczył się na bok. Chciał ją zostawić, żeby mogła się uspokoić. Zamiast tego przytulił ją, głaskał po włosach.

- Nie dotykaj mnie. - Czuła gniew i poniżenie. Nie chce, żebyś mnie dotykał.

- Wiem, ale muszę.

- Okłamałeś mnie.

- Tak. - Pocałował ją w czoło. - Przepraszam. Wykorzystałeś mnie.

- Nie. Dobrze o tym wiesz.

- W ogóle cię nie znam. - Spróbowała się odsunąć, lecz przyciągnął ją bliżej. Nagle zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się. - Nienawidzę cię. Do końca życia będę cię nienawidzić.

Teraz płakała już głośno. Czuł na twarzy jej łzy. Nic nie powiedział. Nie miał nic do powiedzenia. Rozumiał ją i umiał sobie z nią poradzić, gdy walczyła. Teraz, bezbronna i łkająca w jego ramionach, stanowiła tajemnicę.

Tę inną Sunny także kochał.

Przytuliła się do niego i nienawidziła się za to. Chciała go bić, chciała, żeby zapłacił za jej złamane serce, a mogła tylko przyjmować pocieszenie, które jej zaoferował.

Ostrożnie wstał, nie wypuszczając jej. Musi ją uspokoić, ochronić. Chciał ją tak trzymać, aż łzy wyschną, aż ciało przestanie dygotać. Chciał jej udowodnić, że miłość do niej jest dla niego najważniejsza.

Nie mogła przestać płakać. Nie mogła się złościć. Mogła tylko znajdować pociechę w tym, że Jacob ją delikatnie obejmuje.

Zabrał ją do kabiny. Przyciemnione światła, miękkie łóżko z jasnoniebieską pościelą. Ściany też niebieskie. Położył się razem z Sunny na łóżku. Znowu czuł na policzku wilgoć jej łez.

Łkała już ciszej, spokojniej. Pocałował ją delikatnie w czoło, potem w usta. Były wilgotne, jeszcze trochę drżały. Gdy dotknął ich palcem, odsunęła się i położyła na boku.

- Sunny. Proszę, porozmawiaj ze mną.

Nie odtrąciła jego ręki. Wpatrywała się w jasnoniebieską ścianę.

- Czuję się jak głupia. Płaczę z twojego powodu.

- Nie chciałem cię skrzywdzić.

- Kłamstwo zawsze rani.

- Nie skłamałem. Tylko nie powiedziałem ci prawdy. Zamierzałem ci powiedzieć.

Dzisiaj.

Niemal się roześmiała.

- W dwudziestym trzecim wieku nadal używa się tej starej wymówki?

Wypowiedziała te słowa. Dwudziesty trzeci wiek. Znalazła się w czymś, co można było nazwać statkiem kosmicznym, z człowiekiem, który urodzi się dopiero za dwieście lat. Wołałaby, żeby okazało się to snem. Ból odczuwała jednak bardzo realnie.

- Przyleciałem po brata - powiedział. - Nie chciałem cię uwieść, potem nie chciałem się zakochać. Wszystko stało się zbyt szybko. Proszę, spójrz na mnie.

Pokręciła głową.

- Po prostu o tym zapomnijmy, J.T. Ktoś taki jak ty uważa pewnie, że kobieta mu się należy, w każdym stuleciu.

- Poprosiłem, żebyś na mnie spojrzała. - Niecierpliwie chwycił ją za ramiona i odwrócił. - Kocham cię.

To ją zaskoczyło.

- Najwidoczniej zmieniło się znaczenie tego słowa. Nie przejmuj się, nic mi nie będzie.

- Czy ty mnie słuchasz?

- Nieważne, co powiesz.

- Co więc ci szkodzi posłuchać? Poczula, że zaraz znowu się rozpłacze.

- Nigdy nie zamierzałeś ze mną zostać. Właściwie, nie mam cię za co winić. Niczego mi nie przyrzekałeś. Ja jednak uważam, że nie postępowałeś uczciwie.

- To było zbyt skomplikowane. Nie wiedziałem, jak zareagujesz.

- Mogłeś przynajmniej spróbować.

- Mogłem, ale... - Chciała się znów odwrócić, lecz ją przytrzymał. - Wymagasz uczciwości, więc posłuchaj. Przy tobie nie byłem w stanie logicznie myśleć. Nie wiedziałem, co zrobić. Uważałem, że nie mogę ci o wszystkim powiedzieć. Potem się zakochałem... Nie wiedziałem, czego ode mnie oczekujesz. - Potarł dłonią policzek. - Sunny, gdyby to było możliwe, zachowywałbym się bardziej romantycznie. Z tym że nie mogę ci niczego podarować.

- Podarować? - O czym u diabła mówisz?

- Chodzi mi o tradycyjne romansowanie. Wiesz, okazywanie uwagi, komplementy, podarunki.

- To najgłupsza wypowiedź, jaką kiedykolwiek słyszałam. Jakie znowu romansowanie? - To jakiś pomysł z twoich czasów? - - Odepchnęła jego rękę. - Idiota. To nie ma nic wspólnego z prezentami i komplementami. Chodzi o uczucia, o wspólne marzenia. Także o uczciwość, może przede wszystkim o uczciwość. Rozumiesz?

- Uczciwe postawienie sprawy.

Pocałował ją. Chciała go odepchnąć, lecz tym razem jego pocałunek był tak czuły... cudowny. Jej opór roztopił się jak śnieg na wiosnę.

Spojrzał na nią. Jak? Nieważne, powiedziała sobie.

Nie wiedział, że czułość może tak obezwładniać.

I dawać poczucie takiego spełnienia. Chciał, żeby Sunny uwierzyła w jego miłość.

- Kocham cię.

Powtarzał te słowa wielokrotnie.

Nie mogła się temu oprzeć. Gdy znów ją pocałował, nie odsunęła się. Cierpliwie przebiegał wargami po jej ustach, nie spieszył się.

Czas, pomyślał. Wezmą wszystko, czego potrzebują. Gdy czas upłynie, Sunny będzie wiedziała, że Jacob nie pokocha już nigdy nikogo.

Rozebrał ją. Powoli, bez pośpiechu. Guzik po guziku rozpiął koszulę.

Sunny się poddała. Podciągnęła mu sweter, tak by czuć ciepło jego skóry. Wystarczało jej to, co miała dziś. Mogła zapomnieć o wszystkich innych dniach, przeszłych i przyszłych. Gdy go całowała, czuła się tak, jakby robiła to po raz pierwszy. Jakby kochała po raz pierwszy.

To zapamięta. Jego zapach, słowa miłości, które szeptał jej do ucha. Nie obietnice. Nie może być żadnych obietnic. Nieważne. Wystarczało, że mogła zatopić spojrzenie w jego zielonych oczach, zagubić się w łagodnym dotyku jego rąk.

Oczarowała go, aż uwierzył, że będą tu zawsze razem, sami, słysząc tylko siebie, czując tylko swe ciała.

Wszedł w nią, ona go przyjęła. Czas jakoś cudownie zastygł w miejscu.

Obudziła się w ciemności. Poczowała strach. Była w łóżku sama. Odszedł. Chciała krzyknąć, lecz opanowała się.

Nie mógł odejść. Leżała przecież w jego łóżku. Nie ruszała się, próbowała myśleć.

Kochał się z nią tak słodko, tak cierpliwie. Jakby na pożegnanie. Teraz się już nie rozpłaczę, postanowiła. Płacz niczego nie rozwiązuje. Jeśli kocha Jacoba, a kocha, może zrobić tylko jedno. Postara się być silna.

Ubrała się po ciemku i wyszła z pokoju. Natknęła się na inną kabinę, mniejszą niż Jacoba, pomalowaną na ten sam bładoniebieski kolor. Przeszła przez pomieszczenie, chyba kuchnię, o czym świadczył pusty karton po jakimś napoju, gładki, wąski blat i metalowe drzwiczki w ścianie, które można było uznać za coś w rodzaju kuchenki.

Znalazła Jacoba na mostku. Siedział przy konsoli sterowania. Miał na sobie tylko dżinsy. Odślonięty ekran ukazywał panoramę lasu i odleglejszych szczytów. Jacob patrzył na ekran i mówił do komputera.

- Ustaw współrzędne na 1500 godzin.

- Potwierdzam.

- Preferowane lądowanie jak najbliżej położenia, dnia i godziny startu.

- Zrozumiałem.

- Oszacuj czas lotu.

- Pracuję. Około trzech godzin i dwudziestu dwóch minut od przyjęcia kursu na orbitę Słońca. Czy potrzebne dokładniejsze obliczenia?

- Nie.

- Jacob.

Odwrócił się, cicho zaklął.

- Wyłącz się.

Z ekranu komputera znikły liczby.

- Myślałem, że śpisz.

- Spałam. - Cisnęły się jej na usta oskarżenia, groźby, błagania. Nie. Przysięgła sobie, że będzie silna. - Wracasz.

- Muszę. - Wstał i podszedł do niej. - Sunny, próbowałem znaleźć inny sposób. Nie ma żadnego.

- Ale...

- Kochasz swoich rodziców?

- Tak, oczywiście.

- A ja swoich. - Wziął ją za rękę. - Nie będę ci opowiadał, przez co wszyscy przeszliśmy, myśląc, że Cal nie żyje. Moja matka... Jest bardzo silna, jednak strasznie cierpiała. Dniami, tygodniami.

- Przykro mi. Mogę sobie tylko wyobrażać, co czuliście.

Pokręcił głową. Nawet teraz trudno mu było mówić o tych dniach.

- Potem, gdy poznaliśmy prawdę, rodzice starali się ją zaakceptować. Cal żył, a to oczywiście najważniejsze. Ale dla nich... myśl, że już nigdy go nie zobaczą... Może teraz będzie lepiej, gdy opowiem im, że Cal jest tu szczęśliwy, powiem o dziecku.

- Jakim dziecku?

- Cal, to znaczy Libby nosi w sobie dziecko. Nie powiedziała ci?

- Nie. - Przycisnęła dłoń do skroni. - Wszystko się tak poplątało. A ja... Libby jest w ciąży. - Roześmiała się cicho i opuściła rękę. - Co o tym myślisz? - Będę mieć siostrzenicę czy siostrzeńca? A ty... bratanicę albo bratanka.

W mrocznym świecie błysnął nareszcie promyk słońca, nadziei.

- Ciąża trwa dziewięć miesięcy - powiedziała, siląc się na obojętny ton. - Chociaż nie sądzę, żebyś zamierzała na to poczekać.

- To byłoby zbyt ryzykowne, ktoś mógłby zauważyć statek. Poza tym moi rodzice muszą się dowiedzieć o życiu Cala, o dziecku. Mają zostać dziadkami.

- Oczywiście.

- Gdybym mógł zostać... Nie ma nic ważniejszego, niż to, co odnalazłem w tobie. Musisz mi uwierzyć.

Starła się zachować spokój, mimo że jej świat właśnie rozpadał się na kawałki.

- Wierzę, że mnie kochasz.

- Kocham, ale gdybym nie wrócił, gdybym nie zrobił dla rodziców przynajmniej tego, nie mógłbym z tym żyć.

Odwróciła się. Rozumiała to aż za dobrze.

- Kiedyś, gdy miałam dziewięć czy dziesięć lat, wyszłam z domu. Mieszkaliśmy tu wtedy w lecie. Myślałam, że znam dobrze las. Zgubiłam się jednak. Spędziłam noc pod jakimś drzewem. Gdy mama i tata znaleźli mnie następnego dnia... Nigdy przedtem nie widziałam płaczącego ojca.

- Wiesz więc, dlaczego nie mogę po prostu odwrócić się do nich plecami.

- Tak, oczywiście. - Zdobyła się na uśmiech. - Przepraszam, że urządziłam taką scenę.

- Daj spokój.

- Nie, naprawdę. Nie miałam prawa powiedzieć tego, co powiedziałam. Nie wiem tylko, jak ty się czułeś przez te tygodnie. Musiałeś się maskować, dopasować do innej rzeczywistości, czekając na powrót Cala.

- Nie było tak źle. Miałem ciebie.

- Tak. - Chciała go pogłaskać, lecz opuściła rękę. - Cieszę się, że mnie miałeś. Chcę, żebyś to wiedział.

- Sunny.

- Kiedy startujesz?

Odsunęła się, żeby nie mógł jej dotknąć. Gdyby to zrobił, zaczęłaby dygotać.

- Jutro.

- Tak szybko?

- Pomyślałem, że tak będzie najlepiej. Dla wszystkich. Dziwiła się, że sztuczny uśmiech nie rozerwał jej twarzy.

- Chyba masz rację. Czy nie powinieneś jednak spędzić więcej czasu z Cal'em? - Przebyłeś długą drogę.

- Rano z nim porozmawiam. I z Libby - dodał. - Muszę ją przeprosić.

Tym razem uśmiech przyszedł jej łatwiej.

- Oni do siebie pasują, widzisz to, prawda?

- Musiałbym być ślepy, żeby nie widzieć. Poczula się pewniej.

- Chciałabym spędzić tę noc tutaj, z tobą. Przyciągnął ją mocno do siebie.

- Wrócę. - Gdy pokręciła głowę, odsunął ją na odległość ramion. Zobaczyła w jego oczach miłość i gniew. - Wrócę. Przysięgam. Potrzebuję tylko trochę więcej czasu na przeprowadzenie testów. Przez dwa lata opracuję wszystko tak, że podróż stanie się całkowicie bezpieczna, jak wahadłowcem na Marsa.

- Wahadłowcem na Marsa - powtórzyła bez przekonania.

- Zaufaj mi. Gdy wszystko przygotuję, będziemy mieć dla siebie więcej czasu.

- Więcej czasu - powtórzyła i zamknęła oczy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wyszła, zanim się obudził. Uznała, że tak będzie najlepiej. W nocy ogóle nie spała. Leżała tylko z otwartymi oczami i rozmyślała.

Jacob włączył muzykę, piękny utwór jakiegoś kompozytora, o którym nawet nie słyszała. Bo jeszcze się nie urodził. Wyregulował światło tak, że pomieszczenie zdawało się tonąć w świetle księżyca.

Żeby stworzyć romantyczny nastrój. Teraz już to rozumiała, kochała go za to. Chciał w tę ostatnią noc dać jej jak najwięcej. I dał wszystko, oprócz tego, czego potrzebowała najbardziej. Oprócz przyszłości.

Powoli dojeżdżała do domu. Jak mogłaby ponownie się pożegnać? Są rzeczy, których nie sposób powtórzyć. Miała tylko nadzieję, że Jacob to zrozumie.

Zatrzymała samochód. Siedziała przez chwilę, obserwując promienie słońca, barwiące skrzące się od lodu gałęzie drzew. Wsluchiwała się w niemal doskonałą ciszę. Czuła w powietrzu nadchodzący śnieg.

Powoli wysiadła i weszła do domu. Po cichu wślizgnęła się do kuchni.

Libby zostawiła w oknie światło. Widok starej lampy naftowej sprawił, że do oczu Sunny znów napłynęły łzy. Przelknęła je i usiadła przy stole. Dotknęła palcami drewna, jak Jacob trzy tygodnie wcześniej. To było tak dawno...

- Wcześniej wstałaś.

- Cześć - uśmiechnęła się - mamu.

Libby odruchowo położyła rękę na brzuchu.

- Jacob ci powiedział? To dobrze.

- Wspaniała wiadomość jest dobra niezależnie od źródła. - Wstała i podeszła do siostry. Dziecko oznaczało radość. Uczepiła się tej myśli.

- Nie masz mdłości?

- Nie, nigdy nie czułam się lepiej.

- Pewnie, poza tym na pewno Cal cię rozpieszcza. Sunny dostrzegła w oczach siostry smutek.

- A co z tobą?

- W porządku. - Poczula, że nie może stać. Wróciła na swoje miejsce przy stole. - Przepraszam, że tak bez słowa wybiegłam.

- Nieważne.

Libby miała na sobie obszerny sweter. Sunny przyjrzała się jej i uznała, że jej siostra nie była nigdy piękniejsza. Zastanawiała się, czy ona też urodzi kiedyś dziecko.

- Zrobiłam mu awanturę.

- To dobrze - odparła Libby. Napełniła czajniczek wodą i postawiła go na kuchence. - Zjesz śniadanie?

- Może później.

- Sunny, tak mi przykro.

- Nie ma powodu. Wierz mi, wszystko jest w porządku.

- Naprawdę go kochasz.

- Tak, kocham go.

Libby żałowała, że nie może się podzielić z siostrą swoim szczęściem.

- Cal mówi, że J.T. chce udoskonalić podróże w czasie. Sprawić, by stały się bezpieczniejsze.

- Tak, powiedział mi.

- On jest bardzo mądry, Sunny, naprawdę mądry. To nie są jakieś przechwałki Cala. Przeczytałam resztę jego akt. Zresztą dowiódł tego, przygotowując tę podróż tylko dwa lata. Gdy zakończy próby, wróci tutaj.

- Mam nadzieję, że mu się uda. - Zamknęła oczy.

- Naprawdę mam nadzieję. - Nagle się roześmiała.

- Niesamowite, siedzimy tutaj i rozmawiamy o podróży w czasie, jak o jakimś drobnym problemie technicznym. Nadal nie wiem, czy to nie sen.

- Ja wciąż budzę się z uczuciem, że wszystko sobie tylko wyobraziłam.

- Ale ty masz Cala - zauważyła Sunny.

- Sunny, gdybym... - Przerwała, gdyż do pokoju wszedł Cal. Uniosła ramiona, potem je opuściła. - Czy jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić?

- Nie, poradzę sobie. Obiecuję.

- No, to idę się przejść - obwieściła Libby. - Cal, zajmij się herbatą, dobrze?

Spojrzeli na siebie znacząco.

- Jasne.

Sunny zorientowała się od razu, że zaaranżowali to małe przedstawienie, by Cal mógł z nią porozmawiać w cztery oczy.

- Co chcesz? - zapytał. - Płatki czy przypaloną grzanekę?

- J.T. naprawił opiekacz.

- Tak? - Woda się zagotowała, co dało mu kolejny moment na przygotowanie wypowiedzi. - Sunny... chyba przed zmrokiem spadnie śnieg.

- Cał, dlaczego się nie rozluźnisz? Nie zamorduję Jacoba.

- Nie tego się obawiam. - Nalał wodę do dwóch filiżanek. - Przynajmniej nie tak bardzo. Chodzi raczej o wyjaśnienia.

- Że twój brat jest porąbany? Wiem.

- Jest także wrażliwy. To ją trochę rozbawiło.

- Mówimy o tym samym człowieku? Jacobie Hornblowerze? Astrofizyku? Tym upartym, z paskudnym charakterem?

Trafny opis, uznał.

- Chodzi mi o to, że jest bardzo przywiązany do najbliższych. - Niepewnie postawił filiżanki na stole.

- Na przykład jako dziecko połowę bijatyk odbył dlatego, że ktoś mi dokuczył. To mi się nie podobało, bo chciałem sam o siebie dbać. A rodzice... Nie zdarzyło się, żeby zapomniał o urodzinach albo Dniu Matki.

- Nadal obchodzicie Dzień Matki?

- Pewnie.

- Cał. - Posłodziła herbatę. - Jak to się stało, że postanowiłeś zostać?

- Nie postanowiłem. To znaczy, słowo „postanowić” nie za bardzo pasuje. Zakłada wybór. A ja nie mogłem zostawić Libby. Próbowałem, ale nie mogłem. Nigdy jednak nie zapomniałem o rodzinie.

- Tak czy inaczej, to musiało być dla ciebie trudne.

- Trudne? Tak, ale nie zapominaj, że nie miałem pewności, czy uda mi się wrócić. - Położył rękę na jej dłoni. - Z J.T. jest inaczej. On wie, że doleci do domu i że jeśli tego nie zrobi, odbierze rodzicom nadzieję. Nie może postąpić inaczej.

- Nie, nie może. - Uniosła głowę. - Tobie też musi być ciężko.

- Przeżyłem najlepszy rok swego życia.

- Ale konieczność przystosowania się, rozłąka...

- Dopóki mam Libby, nic innego się nie liczy.

- A ona na szczęście ma ciebie.

- Lubię tak myśleć. - Uśmiechnął się, lecz po chwili spoważniał. - On cię kocha, Sunny.

- Powiedział ci to?

- Tak, ale nawet nie musiał. Zorientowałem się od razu, kiedy po raz pierwszy wypowiedział twoje imię. Chcę ci powiedzieć, że on nigdy nie czuł do nikogo tego, co do ciebie.

- Pomożesz mi, Cal Wysłam, zanim się obudził. - Zaciśnęła wargi, żeby nie zadrżały.
- Nie mogę się z nim pożegnać.

Libby stała przy strumieniu. Patrzyła, jak woda toruje sobie drogę przez lód. Oczyma wyobraźni zobaczyła wiosnę, gdy woda opływa kamienie i zewsząd dochodzi śpiew ptaków. Trawa jest miękka i zielona.

Właśnie tutaj ona i Cal zakopali pojemnik. Tutaj się kochali, gdy ze złamanym sercem myślała jeszcze, że ją opuści.

Został jednak. Nie on, lecz jego brat wykopał skrzynkę. Teraz cierpi nie ona, lecz jej siostra.

Nie mogła jej pomóc.

To nie w porządku, pomyślała, że ja mam wszystko, a Sunny nic. Mam Cala, dom, dziecko. Dziecko, które urodzi się wiosną i jeszcze mocniej scementuje ich związek.

Sunny pozostaną tylko wspomnienia.

Nagle zobaczyła Jacoba. Stał zaledwie dwa metry od niej. Nie słyszała, jak się zbliżał, gdyż śnieg stłumił odgłos kroków. Zobaczyła, jak bardzo przypomina Cala. Z twarzy, sylwetki. Zastanawiała się, jak długo stał i w milczeniu się jej przyglądał.

Nie podeszła do niego. W końcu skradł serce jej siostrze. I złamał je.

- Cal jest w domu - poinformowała go chłodno. Okazuje gniew inaczej niż Sunny, pomyślał. Sunny krzyczy, atakuje. Libby najwidoczniej skrywa uczucia. Zastanawiał się, czy zdaje sobie sprawę, że i tak wszystko po niej widać.

- Chciałem porozmawiać z tobą.

- Nie przekonasz mnie w żaden sposób, żebym namówiła Cala do powrotu. Wybór należy do niego. Tak samo jak za pierwszym razem.

- Wiem. - Podeszedł do niej. - Rozumiem to i akceptuję, choć nie przypuszczałem, że tak się stanie. A rodzice... Sądzę, że to będzie miało dla nich ogromne znaczenie, gdy opowiem im o tobie. I o dziecku.

- On za nimi tęskni. Powinni o tym wiedzieć.

- Dowiedzą się.

- Dlaczego jej nie powiedziałeś? - - zapytała. - Jak mogłeś dopuścić, żeby zakochała się w tobie, skoro wiedziałeś, że nie zostaniesz?

Włożyła dłonie do kieszeni, żeby nie zobaczyła, jak je zaciska.

- Poświęciłem dwa lata, żeby się tu dostać. W jednym celu. Znaleźć brata i sprowadzić go do domu.

Spojrzała na niego ostro.

- Nie mogłeś go zmusić.

- Nie. - Niemal się uśmiechnął. Chyba przypominała Sunny bardziej, niż się na początku wydawało. - Ja też nie mogę mieć Sunny - zauważył. - I muszę z tym żyć. Nie tylko ona się zakochała. Nie tylko ona ponosi stratę.

- Ale ty wiedziałeś, co robisz.

Zbliżył się jeszcze bardziej. Po raz pierwszy dostrzegła w jego oczach rozpacz.

- Ty przez jakiś czas sądziłaś, że Cal odleci. Czy z tego powodu przestałaś go kochać?

- Nie. - Westchnęła cicho. - Nie, nie przestałam.

- Sunny jest silna. - Teraz, gdy Libby okazała zrozumienie, coraz bardziej tracił pewność siebie. - Jeśli nie uda mi się wrócić, pogodzi się z tym.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Muszę. - Czuł ból, przyłożył dłoń do czoła. Powiedział przed chwilą to, czego nie odważył się powiedzieć Sunny. - Procedura nie jest doskonała. Tym razem spóźniłem się o kilka miesięcy. Następnym razem mogą to być lata.

Uśmiechnęła się do niego.

- Znam się na ludziach. Wiem, czym jest prawdziwa miłość. Jest czymś bardzo rzadkim. Nie można jej po prostu przyjmować, J.T., trzeba ją pielęgnować.

Spojrzał na pokrytą śniegiem ziemię.

- Będę o niej myślał każdego dnia, do końca życia.

- Nie znasz słowa kompromis?

- Jaki? W tej sytuacji czegoś takiego nie ma. Mogę tylko robić wszystko, by znów tu wrócić.

Pocałowała go w policzek. On ją objął.

- Dbaj o nią. No i o Cala - poprosił.

Uściskała Jacoba i uśmiechnęła się, widząc, że podchodzi do nich Cal. Jeszcze raz pocałowała Jacoba w policzek i puściła go, żeby wyciągnąć rękę do Cala.

- Może pójde zrobić śniadanie? - zaproponowała.

- Dziękuję. Kocham cię - odpowiedział jej mąż. Uśmiechnęła się i ruszyła w kierunku domu. Cal zwrócił się do brata:

- Sunny wcześniej wróciła. - Położył rękę na ramieniu Jacoba, żeby go zatrzymać. - J.T., ona prosiła, żeby ci powiedzieć, że życzy szczęśliwej podróży, ale nie może się po raz drugi z tobą żegnać.

- Do diabła z tym.

- Jacob. - Cal zrobił krok, żeby zagrozić bratu drogę. - Wierz mi, tak chyba będzie dla niej najlepiej. Nie próbuj już z nią rozmawiać.

- Według ciebie to takie proste?

- Nie twierdzę, że to jest proste. Chyba nikt nie rozumie cię tak dobrze jak ja. Powtarzam jednak, jeśli ją kochasz, pozwól, żeby stało się tak, jak ona chce.

Jacob uniósł ręce i zrobił kilka kroków. Czuł ból. Nie chciała nawet zobaczyć go po raz ostatni.

- Niech będzie. Powiedz jej...

Odszedł. Nie umiał znaleźć słów, które oddałyby jego uczucia.

- Ona i tak wie - stwierdził Cal.

Po południu odwieźli go do statku. Jacob zastanawiał się, czy Sunny widzi przez okno, jak znikają w lesie.

Cal mówił coś nieustannie, jakby chciał wypełnić pustkę słowami. Jacob widział, że brat przez cały czas trzyma mocno Libby za rękę.

Ja nie mam nawet tego, pomyślał.

Przeklinając prośbę Sunny, wysiadł z samochodu.

- Opowiem wszystko mamie i tacie. Cal skinął głową.

- Wracaj do laboratorium. Fajnie by było, gdybyś przyleciał i przywiózł ich z wizytą.

- Wrócę. Objęli się.

- Kocham cię, J.T.

Jacob zwrócił się do Libby:

- Powiedz siostrze, że znajdę sposób, by wrócić.

- Dobrze. - Libby podała mu kopertę. - Sunny prosiła, żeby ci to dać. Musisz jednak przyrzec, że przeczytasz, dopiero gdy wrócisz do swoich czasów.

Wyciągnął rękę, Libby jednak cofnęła swoją.

- Najpierw przyrzeczenie. Cal powiedział, że można ci zaufać.

- Nie otworzę wcześniej. - Starannie złożył kopertę i wsunął ją do kieszeni. Pocałował Libby. W jeden policzek, potem w drugi. - Trzymaj się, siostrzyczko.

- Ty też.

Gdy Jacob wchodził do statku, wtuliła twarz w ramię Cala.

- On wróci, Libby. - Caleb uniósł rękę w geście pożegnania. Pocałował mokry policzek żony. - To tylko kwestia czasu.

Jacob skupił się na czynnościach związanych ze startem. Nic trudnego, nie chciał jednak myśleć o niczym innym. Nie mógł sobie na to pozwolić.

Wiedział, że będzie bolało, nie wyobrażał sobie jednak, że aż tak.

Włączył zapłon. Spojrzał na ekran, żeby się upewnić, że Cal i Libby oddalili się na bezpieczną odległość. Spojrzał jeszcze na las, w nadziei, że zobaczy tam Sunny. Nie zobaczył. Przesunął dźwignię.

Statek oderwał się od ziemi łagodnie, niemal bezszelestnie. Jacob podrywał go powoli, aż Cal i Libby stali się tylko plamkami na tle zieleni lasu i szarości skał. Potem westchnął, otworzył szeroko przepustnicę. Statek wystrzelił w górę. Zwykle w takim momencie Jacob się uspokajał. Teraz nie chciał.

Uruchomił komputer.

- Włącz współrzędne na Słońce.

- Włączone.

Ziemia wyglądała teraz jak ładna, kolorowa piłka.

Prowadził statek niemal mechanicznie, ominął niewielki deszcz meteorów. Łatwe, pomyślał. Żadnych innych statków, patrolowców, z którymi trzeba by się komunikować, punktów kontrolnych.

Wprowadził statek w hiperprzestrzeń. W napięciu obserwował, jak pojazd zmierza ku Słońcu. Spojrzał obojętnie na wskaźnik zewnętrznej temperatury. Wzrosła. Opuścił pokrywę, teraz leciał na ślepo. Sprawnie, lecz bez tej pasji, jaką odczuwał, gdy pokonywał po raz pierwszy tę drogę.

Zwiększył prędkość. Choć był na to przygotowany, odczuł boleśnie siłę grawitacji, która wcisnęła go w fotel. Zaklął. Teraz, choć jego serce pozostało kilka tysięcy kilometrów niżej, nie miał już odwrotu.

Czuł, jak po plecach ścieka mu strużka potu. Rzut oka na wskaźniki wystarczył, by stwierdzić, że się udało.

Udało się, pomyślał gorzko. Podniósł osłonę, by zobaczyć świat swoich czasów. Wyglądał tak podobnie. Gwiazdy, planety, atramentowa ciemność. Tyle że więcej satelitów. W oddali błysnęło światło. Wiedział, że to laboratorium badawcze. Za mniej niż trzydzieści minut znajdzie się na szlaku komunikacyjnym. Nie będzie już sam. Odchylił się w fotelu i zrozpaczony zamknął oczy.

Nie ma jej.

Los rzucił go do niej, potem mu ją zabrał. Los, pomyślał, i mój własny intelekt. Muszę się nim posłużyć. Choćby miało mi to zająć całe życie, muszę się z nią znów połączyć. Wrócę. Obliczę wszystko tak, żeby wrócić niemal w chwilę po wyjeździe.

Powoli wyjął z kieszeni list. Tylko to mu po niej zostało. Wiadomość. Jaka? Kilka słów, zapewnienie o miłości i pamięci. To nie wystarczy, pomyślał z rozpaczą i rozerwał kopertę.

Znalazł tylko jedno słowo: Niespodzianka!

Wpatrywał się ze zdumieniem w kartkę.

Niespodzianka? Co to ma oznaczać? Ze złością zmiął list. Przypomniał sobie jednak, że to ostatnia pamiątka i starannie wygładził papier.

Usłyszał coś i odwrócił się.

Stała w drzwiach. Śmiertelnie blada, lecz oczy błyszczały jej radością. Gdy patrzył na nią, nie mogąc ochłonąć ze zdumienia, uśmiechnęła się.

- Widzę, że wiadomość dotarła.

- Sunny?

Wyszeptał to słowo. Był przekonany, że to halucynacja, jakiś uboczny efekt podróży w czasie. Muszę to zanotować, pomyślał.

Nie. Zerwał się z fotela, chwycił Sunny, przyciągnął.

Potem wpadł w popłoch.

- Co ty tu robisz? - zapytał, potrząsając nią. - Co ty tu u diabła robisz?

- Chyba zaraz zemdleję - odparła spokojnie.

- Nie.

Mimo wściekłości uniósł ją delikatnie i zaniósł na fotel.

- Boli cię głowa?

- Tak. - Przyłożyła dłoń do skroni. - Męcząca wycieczka.

- Mdłości?

- Trochę.

Nacisnął czarny, okrągły guzik, wysunęła się szuflada. Wyjął z niej pudełko, z pudełka małą pastylkę.

- Rozpuść na języku. Idiotka - dodał, choć usłuchała. - Nie jesteś przygotowana do podróży z taką prędkością.

Po zażyciu pastylki natychmiast poczuła się lepiej.

Odetchnęła głębiej i wyjrzała. Przed nią rozciągała się galaktyka.

- Mój Boże. - Kolory, które powróciły na jej twarz, znów odpłynęły. - Niesamowite.
To jest... czy to jest Ziemia?

- Tak. - Miał spocone ręce. - Sunny, czy ty w ogóle wiesz, co zrobiłaś?

- Jak szybko teraz lecimy?

- Cholera, Sunny.

- Tak, wiem, co zrobiłam. - Spojrzała mu w oczy.

- Pokonałam razem z tobą czas, Jacob.

- Chyba zwariowałaś. - Miał ochotę nią potrząsnąć. - Jak mogłaś postąpić tak lekkomyślnie?

- Cal i Libby mi pomogli.

- Pomogli ci? Wiedzieli, że to planujesz?

- Tak. - Splotła ręce, gdyż zauważyła, że drżą. Nie chciała, żeby się zorientował, jak bardzo się bała.

- Zdecydowałam się wczoraj wieczorem.

- Zdecydowałaś się - powtórzył ze zgrozą.

- Tak. - Uniosła podbródek. - Rozmawiałam z Calem, powiedziałam mu, co zamierzam zrobić.

Już spokojniejsza, wyjrzała przez ekran. Na niebie błyszczały światelka. Gwiazdy. Choć przekraczało to wszelkie granice prawdopodobieństwa, pędziła właśnie przez kosmos z człowiekiem, którego kochała. I którego zawsze będzie kochać.

- Sunny, nie sądzę, żebyś rozumiała, co zrobiłaś.

- Rozumiem doskonale. Cal się sprzeciwiał. Bardziej ze względu na Libby niż na mnie. Ale Libby zrozumiała. Przywiozła mnie do statku po południu, kiedy rozmawiałeś z Calem.

- Twoi rodzice...

- Chcą, żebym była szczęśliwa. - Wypowiadając te słowa, poczuła jednak bolesne ukłucie w sercu. - Libby i Cal wszystko im wyjaśnią. - Ponieważ czuła się już dość pewnie, wstała i zaczęła spacerować po pokładzie. - Wiem, że będą się martwić, tęsknić za mną, gdyby powrót okazał się niemożliwy. Ale myślę, że ojcu, zwłaszcza ojcu, zaimponuje to, gdzie jestem.

Spojrzała na niego. Uśmiechała się.

- Żadne z nas nie uznaje kompromisów, J.T. Wszystko albo nic. Chyba właśnie dlatego tak do siebie pasujemy.

- Wróciłbym. Cholera, Sunny, powiedziałem ci, że wrócę. Za rok, dwa, no, może trzy.

- Nie chciałam tak długo czekać.

- Kretynko! Gdyby mi się udało udoskonalić procedurę, wylądowałbym u was pięć minut po dzisiejszym starcie. Rzecz jasna, w twoim czasie. Nie miałaś prawa podejmować takiej decyzji bez omówienia jej ze mną.

- To moja decyzja. Jeśli mnie nie chcesz, proszę bardzo, na pewno znajdę sobie jakiegoś przystojnego faceta. Może na Marsie. Potrafię o siebie zadbać, koleś.

- Nie chodzi o to, czego ja chcę, tylko o to, co jest najlepsze dla ciebie.

- Sama wiem, co jest dla mnie najlepsze. Odwróciła się, żeby odejść, lecz chwycił ją za ramię.

- Dokąd się wybierasz? - - zapytał. - Na zewnątrz będzie można oddychać dopiero za kilka tysięcy kilometrów.

- To duży statek.

- Usiądź.

- Nie.

- Powiedziałem, żebyś usiadła. - Popchnął ją niezbyt delikatnie na fotel. - I zamknij się. Mam ci coś do powiedzenia.

Gdy oparła ręce na poręczach, uniósł pięść.

- Jeśli wstaniesz, przyrzekam, że cię palnę.

- Nie grzeszysz nadmiarem delikatności.

- Gdybym wiedział, co zamierzasz, uderzyłbym cię już wcześniej. Tu wchodziło w grę ryzyko, o jakim nawet nie masz pojęcia. Gdybym popełnił błąd w obliczeniach, nawet najdrobniejszy...

- Ale nie popełniłeś.

- Nie o to chodzi.

- A o co, Hornblower?

- O to, że nie powinnaś była tego robić. Prychnęła.

- Nie ma co o tym mówić, bo już się stało. Dlaczego nie przejdziesz do następnego punktu?

Teraz on sam musiał usiąść.

- Być może nigdy nie uda ci się wrócić.

- Wiem, liczę się z tym.

- A jeśli zmienisz zdanie?

- Jacob. - Wstała, podeszła do jego fotela i uklękła na podłodze. - Nie zmienię zdania, dopóki nie odmieni się moje serce. A tak się nie stanie.

Dotknął jej włosów.

- Nie mogłem cię o to prosić.

- Wiem. A gdybym sama poprosiła, znalazłbyś sto racjonalnych argumentów i wykazał, że muszę zostać. I myliłbyś się. Nie mogę bez ciebie żyć.

- Sunny.

- Spójrz na to inaczej. Zawsze czułam, że wyprzedzam swój czas, że urodziłam się w niewłaściwej epoce. Może w twojej pójdzie mi lepiej.

- Ale postąpiłaś głupio. Dzięki Bogu, że się udało.

- Więc nie jesteś już zły? Pocałował ją.

- Kiedy się nie pożegnałaś, odczułem to jak cios w serce. Ale to nie miało znaczenia, bo i tak nie mógłbym bez ciebie żyć.

Do oczu napłynęły jej łzy, powstrzymała je jednak. Chciała się do niego tylko uśmiechać.

- Jakie to romantyczne i poetyckie.

- Tylko się nie przyzwyczajaj.

Nie wypuszczając jej z objęć, wychylił się, żeby skorygować tor lotu.

- Nauczysz mnie to prowadzić? - - zapytała. Spojrzał na nią z ukosa. Była tu. Naprawdę była.

I jest jego, na zawsze.

- Już się boję, co będzie, kiedy się dorwiesz do cruise ridera.

- Jestem pojętna.

- Właśnie tego się boję. Nie wiem też, czy mój świat jest przygotowany na spotkanie z tobą.

- Ale ty jesteś. Pocałował ją.

- Byłem, przez całe życie.

- Nie mógłbyś włączyć automatycznego pilota? - zapytała.

- Teraz nie.

- A przedtem mogliśmy?

Spojrzał na ekran.

- Przedtem tak, ale teraz muszę uważać.

- A tak w ogóle, to jaki mamy rok?

- 2254.

- To znaczy, że mam 287 lat. Co sądzisz o starszych kobietach?

- Szaleję za nimi.

- Kiedy skończę trzysta, dopiero ci pokażę.
- Liczę na to.

EPILOG

Słyszeli huk łamiących się fal. Przez ścianę ze szkła widzieli przecinające niebo błyskawice i rozszalałe morze. W powietrzu unosił się zapach jaśminu. Pulsująca muzyka współgrała z odgłosem rozszalałego morza.

- Miałam rację - stwierdziła Sunny. Jacob przekręcił się na łóżku i przyciągnął ją bliżej.

- Co do czego tym razem?

- Burzy. Wiedziałam, że to nie jest noc, światło księżyca czy tropikalny zachód słońca. Tak, miała rację, lecz nie chciał tego przyznać.

- Jeśli chodzi o mnie, zjawiska atmosferyczne nie robią na mnie wrażenia.

- Tak? - Czy nie po to mnie tu przywiozłeś? Do miejsca, które mi kiedyś opisałeś?

- Chodziło o kilka dni relaksu.

- Rzeczywiście? Kiedy chcesz się zrelaksować? - Uśmiechnęła się i pocałowała go. - Teraz chyba nie jesteś zbyt rozluźniony?

Dotknął jej włosów.

- Jak długo jesteśmy małżeństwem?

Leniwie dotknęła przycisku, który miała w zasięgu ręki. W powietrzu ukazały się świetliste cyfry.

- Od pięciu godzin i dwudziestu minut.

- Rozluźnimy się za około pięćdziesiąt lat. - Dotknął jej nagiego ramienia. - Podoba ci się?

- Co? - Status mężatki?

- To także, ale chodziło mi o hotel.

- Bardzo. I wiesz, zabranie mnie tutaj jest najromantyczniejszym gestem, na jaki się zdobyłeś.

- Bałam się, że wolałabyś Paryż albo Kurort Intymności na Marsie.

- Zawsze możemy polecieć na Marsa - zauważyła, chichocząc. - Już niemal się do tego przyzwyczaiałam. Powiedziałam ci, że szybko się uczę.

- Jesteś tu już od sześciu miesięcy.

- Tak. Nie spieszyłeś się ze ślubem.

- Załatwiłbym to w sześć minut, gdybyście z ojcem doszli od razu do porozumienia.

- Załatwiłbyś? Załatwia się sprawę w urzędzie skarbowym.

- W jakim urzędzie?

- Nieważne. Załatwia się coś mało przyjemnego. Skoro małżeństwo ze mną jest tylko sprawą do załatwienia, to po co sobie zawracałeś głowę?

- Bo nie dałabyś mi spokoju. - Skrzywił się, gdy go uszczypnęła. - Bo przynajmniej tyle mogłem zrobić. Roześmiał się i przytrzymał ją, gdyż wbiła mu paznokcie w ramiona. - Bo jesteś cudowna.

- Mało.

- I niekiedy inteligentna.

- Próbuj dalej.

- Bo cię kocham.

- Mam nadzieję. - Uszczęśliwiona objęła go za szyję. - Może było za dużo zamieszania, ale ślub wypadł wspaniale. Cieszę się, że twój ojciec namówił nas na coś tradycyjnego.

- Tak, to niezła ceremonia.

Gdy widział, jak ojciec prowadzi ją do ołtarza, ubraną w błyszczącą biel, po prostu oniemiał.

- Lubię twoich rodziców. Traktują mnie tak, że czuję się jak w domu. A najfajniej jest, kiedy powierzają mi mroczne sekrety rodzinne.

- Jakie na przykład?

- T. w J.T. - Gdy się skrzywił, uśmiechnęła się z satysfakcją. - Byłeś taki niedobry i niezdyscyplinowany, że...

- Byłem po prostu nietuzinkowym dzieckiem.

- ... tak uparty, że ojciec używał słowa „trudność” jako drugiego imienia. I T zostało.

- Jeszcze nie widziałaś prawdziwych trudności. Lekko ścisnęła zębami jego wargę.

- Mam nadzieję, że zobaczę. Pocałował ją i wstał z łóżka.

- Dokąd idziesz? - zapytała Sunny, siadając.

- Zapomniałem o czymś.

Oczywiście nie zapomniał, czekał tylko na stosowny moment. Wyregulował oświetlenie tak, że pokój wyglądał teraz jak skąpany w blasku świec. Po chwili Jacob podszedł do łóżka. Trzymał pudełko.

- Prezent - wyjaśnił.

- Dlaczego?

- Dlatego, że jeszcze nigdy niczego ci nie dałem.

- Podał pudełko Sunny. - Otworzysz w końcu, czy tylko będziesz się na nie gapić?

- Rozkoszuję się chwilą. - Przygryzła język i otworzyła pudełko. W środku zobaczyła czajniczek do herbaty. Pękaty, z fajansu, z ptakiem na pokrywce i wielkimi, brzydkimi stokrotkami na bokach. - Och, Boże.

- Chciałem, żebyś miała coś ze swoich czasów.

- Czuł się trochę głupio. Nie zamierzał zdradzać, że miesiącami przeszukiwał sklepy ze starzyzną. - Kiedy go zobaczyłem, to było... wiesz, jakby los. Nie płacz.

- Muszę. Przetrwał, tak długo.

- To, co najlepsze, trwa.

- Jacob. - Trzymała czajniczek w dłoniach. - Nie mógłbyś znaleźć niczego, co znaczyłoby dla mnie więcej.

- Mam jeszcze jedną niespodziankę. - Usiadł koło niej, wyjął jej z rąk czajniczek i odstawił. - Chciałabyś na Boże Narodzenie odwiedzić rodzin?

Na chwilę zaniemówiła.

- Jesteś pewien?

- Tak, już prawie tam jesteśmy, Sunbeam. - Delikatnie otarł palcem łzę z jej policzka.

- Zaufaj mi, to już niedługo.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Pracuj nad tym, ile chcesz. Mamy dla siebie całą wieczność.